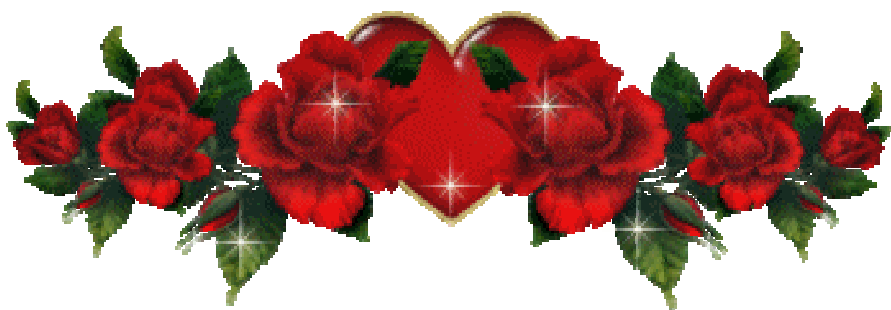


CATHERINE COOKSON



UCIECZKA PRZED  
FAUNEM

Przełożyła Bożena Stokłosa

## Część pierwsza

# BEZDOMNA DZIEWCZYŃKA

### ROZDZIAŁ 1

Felix Road była szersza od przecinających ją uliczek, lecz zarazem tak wąska, że mieścił się na niej zaledwie jeden powóz. Obok niego mogła iść tylko jedna osoba, zarówno po prawej, jak i po lewej stronie. W ostatnią środę czerwca 1854 roku w mieście panował upał, który dawał się ludziom we znaki już od tygodnia. Błotniste jezdnie i chodniki wyschły, pojazdy oraz piesi wzniecali więc tumany kurzu, który bez przerwy unosił się nad najbardziej ruchliwymi ulicami jak mgła nad rzeką.

Felix Road nie znajdowała się ani w centrum, ani na przedmieściu, lecz w północnej części miasta, nazwa ta zaś obejmowała całą dzielnicę zamieszkaną przez biedotę - wszelkiej maści nędzarzy i męty społeczne. Charakterystyczne dla tego miejsca były niezliczone szynki i sklepy sprzedające dżin, a także kościoły, kaplice oraz towarzystwa ochrony moralności, te ostatnie powoływano w reakcji na równie często jak one powstające tu domy publiczne. Przedstawiciele różnych wyznań z takim samym zaangażowaniem jak policjanci zwalczali szerzącą się w dzielnicy plagę alkoholizmu i prostytucji, jakkolwiek stróże prawa wydawali się bardziej zainteresowani ściganiem utrzymujących się z nierządu kobiet niż pijaków.

O wpół do szóstej po południu Felix Road była niemal pusta, choć miała się zaludnić już za trzydzieści minut - z chwilą kiedy okoliczne fabryki „wyplują” zmęczonych i zniszczonych z powodu nadmiernego picia dżinu ludzi. Ale teraz środkiem jezdni podążała tylko stara kobieta. Popychała ręczny wózek wyładowany używanymi ubraniami. Z przeciwka zaś nadchodziła druga - młoda, trzymała za rękę dziewczynkę. Ulica była pogrążona w cieniu, przez co jasne włosy małej oraz jej dorosłej towarzyszki - widoczne pod płaskim słomkowym kapeluszem - szczególnie przyciągały uwagę.

Na widok mężczyzny, który wyłonił się z bocznej uliczki, młoda kobieta zatrzymała się, jakby chciała ukryć dziewczynkę pod murem domu, lecz niemal w tej samej chwili ruszyła temu człowiekowi na spotkanie i zaczęła z nim rozmawiać. Z jego gestykulacji wynikało, że z jakiegoś powodu gani młodą kobietę, która w momencie gdy skinął na kogoś, kto stał za nią, rzuciła się do ucieczki, pociągając za sobą dziecko.

Agnes Winkowski właśnie skręcała w boczną uliczkę, gdy mała omal nie wpadła na wózek.

- Wracaj do domu! Wracaj do domu! - dyszała blondynka, biegnąc ile sił w nogach.

Agnes Winkowski spojrzała na przestraszone dziecko, kurczowo trzymające się wózka, odwróciła głowę i zaczęła obserwować ścigających młodą kobietę stróżów porządku. Widok nie był niezwykły. Niemal codziennie widziała, jak któryś z tych młokosów zatrzymuje na ulicy prostytutkę polującą na klientów. Dziwne wydawało się jej tylko to, że blondynka wybrała się na łowy wraz z dzieckiem.

- Czy to twoja mama? Dziewczynka skinęła głową.

- Potrafisz sama wrócić do domu? Dziewczynka znowu skinęła głową.

- Ale mamusia ma klucz - pisnęła po chwili wahania. Nie mówiła „mama”, tylko „mamusia”.

- Gdzie mieszkasz?

- Na Nelson Close... na końcu.

Na Nelson Close... W tym mieście istniały gorsze miejsca, choć i Nelson Close należała do niebezpiecznych, bo graniczyła z The Courts, a od Salford oddzielała ją tylko linia kolejowa.

Agnes Winkowski zaczęła popychać wózek. W tej wąskiej uliczce mogła się zmieścić obok niego tylko ta mała dziewczynka, która trzymała się metalowej bariery otaczającej drewnianą platformę i zabezpieczającej ubrania przed wypadnięciem. Na końcu uliczki znajdowała się brama. Agnes i dziewczynka weszły przez nią na wielkie kwadratowe podwórze, zamknięte ze wszystkich stron przez tylne ściany czteropiętrowych domów - nędznych ruder, przed którymi piętrzyły się góry śmieci. Toteż nie trzeba było się domyślać, skąd pochodzi wypełniający podwórze smród.

Na widok starej kobiety zza gór śmieci wyskoczyła gromada dzieciaków. Otoczyły wózek i zaczęły coś wyrzaskiwać, przekrzykując się nawzajem, tak że dziewczynka nie mogła zrozumieć, czego chcą.

- Nie mam dziś dla was cukierków! Skończyły się. Skończyły

- odprawiła je Agnes.

- Aggie łachmaniarka! Aggie komiwojażerka! Aggie nędzarka! Aggie nic niewarta! - odpowiedział jej chór dziecięcych głosów.

Stara kobieta nie zwracała na nie uwagi, lecz spokojnie podążała do bramy naprzeciwko, która wychodziła na następną wąską uliczkę.

- Męty społeczne! - mruknęła z goryczą. Gdy zaś minęła podwórze, zerknęła na dziewczynkę i dodała, jakby tytułem wyjaśnienia: - Idąc tędy,

oszczędza się dziesięć minut. - Zatrzymała się. - No i co, złotko, zamierzasz zrobić?

- Nie wiem, co począć - odparła mała drżącym głosem.
- Macie sąsiadów? Takich, do których mogłabyś pójść?
- Nie. Mamusia nie ma znajomych sąsiadów. To... to suterena.
- Jaka suterena?
- Mieszkamy... mieszkamy w suterenie. Schodzi się... po... schodach.

Aggie bacznie przyjrzała się małej. Zwróciły jej uwagę zwłaszcza sięgające dziewczynce do pasa włosy - takiej barwy nigdy dotąd nie widziała, a przynajmniej w tej dzielnicy. Owszem spotykała tu wiele jasnowłosych dziewczynek, jednak żadna nie przypominała tej właśnie. Zwróciły jej uwagę również oczy małej - szare, duże, bystre. Teraz zdradzały strach, co Aggie zawsze bez trudu potrafiła zauważyć. Rysy blondyneczki były równie wyraziste jak oczy, a cera śmietankowa i lekko zaróżowiona.

Dziewczynka wyróżniała się urodą, podobnie jak jej matka. Urodę tej drugiej Aggie zdołała dostrzec, obserwując, jak kobieta uciekała przed policjantami. Młoda blondynka z pewnością wybrała się na „łowy”, ale dlaczego zabrała ze sobą córeczkę? Przecież to musiało odstręczać mężczyzn. Czyżby małą też nakłaniała do uprawiania nierządu? Och, nie, nie... Aggie nawet nie chciała o tym myśleć, ale z drugiej strony doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wszyscy starzy zboczeńcy zaprzędaliby duszę diabłu za możliwość spędzenia z tą dziewczynką kilku chwil. Dom publiczny Kita był znany z dziecięcej prostytutki. Odwiedzali go, oczywiście tylko po zapadnięciu zmroku, sprośni starzy jegomoście, choć zdarzali się także młodzi. Wszyscy przyjeżdżali powozami, nie chcąc, by ktoś ich rozpoznał. Dlaczego ta cholerna policja wciąż nie nakryła Kita i nie zlikwidowała jego burdelu? Zrobiła za to w ubiegłym tygodniu nalot na burdel Paper Meg. Niestety, nie miało to większego znaczenia, bo wszyscy byli przekonani, że właścicielka po prostu przeniesie go w inne miejsce, ale należało dostarczyć satysfakcji duchownym czy może raczej ich okpić.

- Chciałabym prosić...
- Słucham, skarbie?

- Czy mogłaby pani zabrać mnie do swojego domu? Zabrać do swojego domu? Aggie zerknęła na stos starych ubrań na wózku i na te, które miała na sobie. I jedno, i drugie cuchnęły. Nawet sam wózek był przesiąknięty smrodem. I w takim otoczeniu znalazło się nagle to kulturalne dziecko. Tak, tak, to słowo pasowało do małej jak ulał. Ktoś taki prosił Aggie, by zabrała go do siebie... Ale jeśli odmówi, co stanie się z dziewczynką? Nagle

przyszło jej do głowy, że powinna wrócić na Felix Road, a nawet udać się na Nelson Close, gdzie mała mieszka, by zorientować się w sytuacji. Zrobiło się jej żal tego stworzonka, które podejrzewała o najgorsze rzeczy.

- Nie ma w tym mieście nikogo oprócz mnie, do kogo mogłabyś pójść? Żadnej twojej rodziny?

- Nie. - Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Naprawdę? - nie ustępowała Aggie.

- Są wujkowie - odparła mała po namyśle.

- Masz jakichś wujków?

- Tak ich nazywam. Każdy z nich odwiedził nas dwa lub trzy razy, ale... ale to było w ubiegłym tygodniu. Nie wiem, gdzie mieszkają.

- Chryste Panie! - Aggie chwyciła za rączki wózka i burknęła: - Chodź!

Szła tak szybko, że dziewczynka musiała biec, by dotrzymać jej kroku. Po dobrych dziesięciu minutach dotarły do ostatniego z podwórek - studni, na obrzeżach osiedla The Courts. Znajdujące się za nim domy były coraz niższe.

Gdy znalazły się przed żelazną ażurową bramą w ceglany, wysokim na dwa metry murze, kobieta nie zatrzymała się, by otworzyć, lecz pchnęła wózkiem wrota i wjechała na przestronne podwórze. Ta jego część, która przylegała do domu, była wyłożona kamiennymi płytami, a na ich granicy wznosiła się trzyłukowa, również kamienna arkada, jakby zastępująca werandę przed ścianą frontową. Ten dom z sześcioma oknami, usytuowanymi w dwóch rzędach nad płaskim dachem werandy, wyglądał na całkiem solidny.

Przykucnięty przy stercie złomu nastolatek wstał na widok Aggie i nieznajomej dziewczynki, rzucił na stertę coś, co mogło być kawałkiem rynn, i ruszył do nich, okrążając żelastwo oraz stos starych spodni.

- Kto to jest? Kto to? - spytał, nie odrywając od małej oczu. Ona też wpatrywała się w niego, zaskoczona jego dziwną sylwetką.

- Jak będziesz cierpliwy, to się dowiesz - odpowiedziała mu szorstko Aggie. - Najpierw posortuj te rzeczy. - Wskazała na stare ubrania na wózku.

- Już, zaraz. Czy ją też mam przydzielić do jakiejś kategorii? - zażartował.

- Zrób to dobrze, bo inaczej będę musiała zatrudnić kogoś innego... Sprzedałeś coś?

- Tak, tak. Za trzy szylingi... Rzeczy z kosza. I wpadł tu Arthur Keeley. Jutro przyjedzie po złom, ale wydaje mi się, że chce z tobą zamienić słowo. Zona mu nawiała. Nie wiesz, gdzie ona może być?

- Nie. A może ty wiesz? - odpowiedziała mu pytaniem i wyciągnęła rękę do dziewczynki.

- Już nastawiłem wodę w kociołku.

- To dobrze, bo inaczej dostałoby ci się.

Mała ruszyła za nią przez środkowy łuk do solidnych dębowych drzwi, które prowadziły do słabo oświetlonego pokoju - jego okno było usytuowane tuż nad dachem werandy. Wnętrze wypełniały stare ubrania. Jedne znajdowały się w koszach na bieliznę, inne wisiały na sznurach do suszenia prania lub na gwoździach wbitych w deski przymocowane do ścian jak boazeria. Ubrania nie cuchnęły tak jak te pozostawione na podwórzu, jednak w pokoju unosił się zapach zastarzałego potu.

Gdy przeszły stamtąd do kolejnego pomieszczenia, dziewczynka przystanęła przy drzwiach i zaczęła się z zaciekawieniem rozglądać. W kominku, do którego przylegał piekarnik, płonął ogień, a w schowku z boku kominka widoczny był duży czarny kociołek - coś w nim bulgotało. Uwagę małej przyciągnęła wysoka metalowa krata ochronna przed kominkiem, bo wyglądała tak, jakby nigdy nie czyszczono jej szmerglowym papierem. W rogu po prawej stronie kominka stała dwuosobowa ława ze schowkiem, a obok, przy przeciwległej ścianie, duża skórzana kanapa. Pośrodku pokoju znajdował się okrągły, nakryty ceratą stół, wokół niego zaś cztery krzesła o wysokich rzeźbionych oparciach. Przy ścianie na wprost kominka stał prosty kredens - czarny i błyszczący, jakby został polakierowany. Bez wątplenia pomieszczenie to służyło jako kuchnia, choć były w nim również meble odpowiednie do jadalni i do salonu. Po obu stronach wysokiego okna wisiały ciężkie brokatowe zasłony, które dawno temu straciły swój pierwotny kolor, ale widać było, że materiał jest pierwszej jakości. Nie zostały pośrodku przewiązane sznurami i nie przepuszczały światła, przez co widok nie był najlepszy, ale dziewczynka od razu spostrzegła widniejący za oknem skrawek wypalonej przez słońce trawy.

Spojrzała na tę pożółkłą trawę, jakby obudziła w niej jakieś wspomnienia, po czym odwróciła się do kobiety, która siedziała na kanapie i rozsznurowywała buty.

- Ma pani ogród.

- A to ci dopiero! - Aggie zerknęła w stronę okna. - Więc myślisz, że mam ogród? Kawalek trawnika? Otóż był czas, kiedy miałam. Oj, był, był. Zdejmij płaszcz i kapelusz. Zjadłabyś coś?

- Nie, dziękuję - odparła mała po chwili zastanowienia. - Ale... ale poproszę o coś do picia.

- Zaraz ci dam, jak tylko uwolnię stopy z tych butów i zrzucę z siebie trochę łachów.

Dziewczynka obserwowała, jak kobieta stojąc w pończochach na perskim dywanie - z pewnością kiedyś pięknym, jednak teraz tak wytartym, że miejscami był niemal dziurawy - zdejmuje kapelusz. Gdy Aggie rzuciła na kanapę kapelusz, żakiet i długą, pobrudzoną na dole błotem spódnicę oraz wystrzępioną obszerną bluzkę, oczom małej ukazał się widok tęgiej, bardzo tęgiej kobiety, ubranej w czystą szarą bluzkę w niebieskie paski i w długą szarą spódnicę.

- Och, jak dobrze... Kiedyś wyjdę z domu tylko w jednej bluzce i spódnicy. Oczywiście wszyscy się wystraszą, bo uznają, że nie mam nic na sobie. - Chwyciła kapelusz, żakiet, spódnicę, bluzkę i wrzuciła je za kanapę. - Do jutra, moje drogie. - Odwróciła się do dziewczynki. - A więc chce ci się pić. - Wzięła ją za rękę i wyprowadziła z pokoju do właściwej, dużej kuchni o kamiennej posadzce, a stamtąd do równie dużej spiżarni. Podniosła z marmurowej płytki miarkę do mleka, zdjęła drewnianą pokrywę z wielkiego glinianego garnka i nabrała z niego wody. - Napij się - powiedziała, wręczywszy dziewczynce miarkę.

- Wspaniała, zimna. - Mała uśmiechnęła się do Aggie.

- A jakżeby inaczej. I czysta. To pewne. Z dobrej studni. - Wzięła od dziewczynki miarkę, ponownie zaczerpnęła wody, napiła się, po czym zakryła garnek i powiesiła miarkę na gwoździu. Zdjęła z półki duży półmisek, powąchała jego zawartość i uśmiechnęła się do dziewczynki. - Nic się tu szybko nie zepsuje. W tej spiżarni jest jak w lodowni. - Zdjęła z półki następny, mniejszy półmisek i wręczyła go małej. - Trzymaj! Jest w nim masło. Jeszcze tylko potrzeba nam chleba i cebuli. Idziemy. - Popchnęła ją lekko kolanem.

Gdy wróciły do kuchni i położyły jedzenie na stole, Aggie wyszła do pokoju, w którym znajdowały się używane ubrania.

- Ben! - wrzasnęła, zatrzymując się w drzwiach wychodzących na podwórze. Po chwili zajęła miejsce przy stole i powiedziała do małej: - Usiądź.

Chłopca, bo za chłopca brała go dziewczynka, nie wiedząc, że to siedemnastolatek, nie trzeba było zapraszać do stołu.

- Jak ci na imię? - Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Millie. A tobie?

W reakcji na to całkiem zwyczajne pytanie roześmiał się rubasznie.

- Mam na imię Ben, a nazywam się Smith lub Jones albo Robinson. - Odwrócił się do Aggie. - Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy przedstawiłem się tak po raz pierwszy, prawda?

- Sam to wiesz najlepiej.

- Ale ty chyba też nie zapomniałaś? - Skinął głową, spoglądając na gospodynię. - Przedstawiłem się tak twojemu ojcu na podwórzu. - Podrapał się po łopatce. - Pamiętam, jakby to było wczoraj, a miałem wówczas siedem lat. Zaraz z rana dowiedziałem się, że zmarł Billy Steele, i od razu przyszedłem, by wynająć się do pracy na jego miejsce. „Jak ci na imię?”, spytał twój ojciec. Gdy powiedziałem, że Ben, spytał mnie również o nazwisko. „Smith, Jones, Robinson. Do wyboru”, odparłem. Wytarł mi ucho, ale nie przepędził... - Ben spojrzął na talerz stojący pośrodku stołu, leżały na nim dwie ugotowane golonki wieprzowe i boczek. Chwycił oburącz jedną z nich i zagłębił w niej zęby. Po chwili zwrócił się do dziewczynki: - A ty jak się nazywasz?

- Masz bardzo brudne ręce. Aggie roześmiała się.

Ben odłożył golonkę i spojrzął na swoje dłonie.

- Zgadza się, ale trochę brudu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Wiem to z własnego doświadczenia. Jak tu zamieszkaś, też będziesz miała brudne.

Aggie rzuciła ogryzaną golonkę na talerz.

- Kto powiedział, że tu zamieszka? Jutro wróci do domu. - ej matka zostanie zwolniona.

- Skąd zwolniona?

Gospodyni westchnęła ciężko i zerknęła na małą.

- Z tego miejsca, w którym spędzi dzisiejszą noc. Więcej żadnych pytań. I naprawdę masz brudne ręce, ubabrane po łokcie.

- A twoje są czyste?

- Ja mogę mieć brudne, jeśli tak mi się spodoba. To ja wydaję tu polecenia. Nie zapominaj o tym, choć wyrosłeś już z dziecinnych butów.

- Wyrosłem z dziecinnych butów? Nie wierzę własnym uszom, ale miło to usłyszeć po dziesięciu latach. A skoro tak, to czyżbyś uważała, że mam teraz większe stopy i dłuższe nogi?

Aggie w milczeniu przekroiła leżący na jej talerzu plaster boczku i palcami podniosła kęs do ust.

- No to jak się nazywasz? - zwróciła się do dziewczynki, gdy przełknęła odcięty kawałek.

- Forester. Pisze się: ef-o-er-e-es-te-e-er.

- O mój Boże! Trafił nam się ktoś wykształcony! - Ben kiwał głową, patrząc na Aggie. - A na oko to ona nie ma nawet sześciu lat.



- Skończyłam siedem - oświadczyła Millie. Aggie i Ben spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

- Naprawdę, skarbie? Ben ma rację. Nie wyglądasz na tyle - orzekła Aggie.

- Czy mogę prosić o widelec?

Gospodyni odwróciła wzrok, jakby starała się opanować.

- Ben, podaj jej. Widelce są w górnej szufladzie - poleciała, nadal patrząc w bok.

Nastolatek z wielką ceremonią położył sztuciec obok talerza dziewczynki.

- Bardzo proszę, szanowna pani. Czym jeszcze mogę służyć? - spytał nosowym głosem i uklonił się.

- Żartujesz sobie ze mnie, a ja zawsze jem widelcem... nożem i widelcem. To... brzydko jeść palcami. - Stropiona tym, co powiedziała, zerknęła na kobietę i nastolatka. - A przynajmniej dzieci nie powinny tego robić.

Ben wrócił na swoje miejsce.

- Pani Winkowski, to się nazywa dyplomatyczne załatwienie sprawy, prawda?

Aggie nie mogła mu odpowiedzieć, bo śmiała się do rozpuku.

Ben natychmiast do niej dołączył. Millie, patrząc na nich, sama uśmiechnęła się szeroko.

Nagle gospodyni wstała i wyszła z kuchni.

- Czy sprawiłam jej przykrość? - Dziewczynka spojrzała na Bena z niepokojem.

- Ależ skąd. Udało ci się zrobić coś całkiem przeciwnego. Od lat się tak nie śmiała... Od lat... Owszem, chichocze i uśmiecha się, ale żeby trzęsła się ze śmiechu... Masz ojca?

- Miałam. - Pokręciła głową.

- Czy... umarł?

- Chyba... tak. Mama tak mi powiedziała.

- Czyli nie wiesz, jak jest naprawdę?

- Nie ma go z nami od jakiegoś czasu.

- Od... kiedy?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Od tego roku... albo od poprzedniego. Zniknął, kiedy mieszkaliśmy w Durham.

- O! Mieszkałaś w Durham?! To szmat drogi stąd, prawda? Durham jest chyba blisko Szkocji?

- Och, nie. Blisko... Newcastle. To miasto - odparła po namyśle.

- Ach, tak. I twój tata... pracował w Durham?

- Chyba tak. I w Newcastle.

- Kim był?

- Był wysoki... - Pokręciła głową i roześmiała się. - Och, interesuje cię, gdzie pracował, a nie jak wyglądał... Wiem tylko tyle, że pracował w sklepie, w wielkim sklepie. Zawsze miał na sobie elegancki surdut i spodnie... w czarnym kolorze, a do tego nieskazitelny cylinder. Czasami... - przez chwilę wpatrywała się w wiszący w rogu kuchni obrazek - nosił laskę... Tamtego dnia kupił mi parasolkę. - Mrugała oczami, jakby usiłowała przywołać w pamięci odległe wspomnienia.

- Kiedy przeniosłaś się z mamą do Manchesteru?

Byli tak pochłonięci rozmową, że nie spostrzegli, kiedy Aggie wróciła do kuchni i usiadła na skórzanej kanapie.

- Przed Wielkanocą... w marcu. Tak, w marcu.

Ben oparł się na krześle i podniósł do ust ostatni kawałek boczkusa.

- Czy twoja mama pracowała?

- Tak, w fabryce guzików, ale mało zarabiała. Dlatego wypożyczyła maszynę do szycia i szyla koszule. Jednak nie dawała rady oddać tyle koszul dziennie, ile chciano, więc zaczęła pracować u kapelusznicy, w pokoju nad sklepem. Chodziłam tam z nią. Lubiłam to miejsce. Kobiety były dla mnie miłe i podobały mi się kolorowe materiały, ale... - Przez chwilę milczała. Spuściła wzrok i nerwowo poruszała dłońmi. - Ale nie potrafiłam siedzieć spokojnie przez cały dzień, do ósmej wieczorem. Raz w czasie obiadu potrąciłam kubek z piwem... Rozlało się na wstążki i na kapelusz. Właścicielka bardzo się rozgniewała. Powiedziała, żebym więcej nie przychodziła, więc mamusia musiała zrezygnować z tej pracy.

Aggie przysłuchiwała się opowieści, patrząc w ogień i kiwając głową. Nie dziwiła się, że w takiej sytuacji młoda kobieta skorzystała z ostatniej szansy zarabiania na życie, co zresztą skończyło się dziś aresztowaniem.

- Czy będziesz jeszcze jadła? - spytał małą Ben.

- Nie, dziękuję. Czy mogę pomóc pozmywać?

- A skąd wiesz, że będę zmywał? Wystarczy zdmuchnąć resztki z talerzy - zaczął się z nią przekomarzać.

- Znowu żartujesz sobie ze mnie. - Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Widzę, młoda damo, że znasz się na żartach. No dobrze, odnieś swój talerz do zlewu. Oczywiście nie zapomnij o... widelcu i nożu.

Gdy zniknęła w zmywalni, Ben podszedł do Aggie.

- Co z nią zrobisz? Jest mądra i bardzo ładna, prawda? Z pewnością pochodzi z przyzwoitej rodziny.

- Możliwe, ale jej matka robi takie rzeczy, że Millie chyba nie wyrośnie na przyzwoitą dziewczynę.

- Czy to zła kobieta?

- W przypadku tej młodej osoby zupełnie nie o to chodzi. Mała jest do niej bardzo podobna. Z tego, co powiedziała przed chwilą, wynika, że pani Forester raczej nie zarobi na życie zwykłą pracą. Może tylko tą, którą obecnie wykonuje, choć i tu coś spartaczyła. Musiała się wydać podejrzana policji i zaczęto ją śledzić albo ktoś na nią doniósł, gdyż posterunkowy zachowywał się tak, jakby wiedział, z kim ma do czynienia. Ona do niego podeszła, chyba nie zdając sobie sprawy z tego, co się święci, bo gdy chwilę z nim porozmawiała, zaczęła uciekać, zostawiając dziewczynkę na ulicy. Millie o mało na mnie nie wpadła. Matka krzyknęła za nią, by wróciła do domu, ale nie zdążyła dać jej klucza. Dlatego przyprowadziłam tu tę małą. Z jej paplaniny wynika, że miała wielu „wujków”.

- Wygląda na to, że ojciec Millie nawiał. Nie jest pewna, czy umarł, czy żyje. Powiedziała mi, że nosił surdut oraz spodnie w czarnym kolorze i że pracował w sklepie.

- Pewnie był nadzorcą w domu towarowym.

- Całkiem możliwe. A teraz sza! Mała wraca.

- Nie mogłam znaleźć wody, ale wytarłam talerz i sztućce ścierką.

- Sprytna z siebie dziewczyna - powiedział ze śmiechem Ben. - Czy chciałabyś tu być kimś w rodzaju pokojówki za funta tygodniowo i pensa za wdzięk?

- Otóż moja mama pracowała jako pokojówka u pewnej damy. - Millie odwróciła się do Aggie. - Prawda, że przyjdzie tu po mnie jutro rano? Prawda, że nie zostawi mnie samej? - Spuściła głowę. - Tęsknię za nią. Chcę, żeby ze mną była. Zawsze kładła mnie spać... i czytała mi do snu.

- Na pewno po ciebie przyjdzie. Może już chcesz się położyć? Łóżko w sypialni na górze jest bardzo wygodne, duże, z puchową pierzyną - odparła Aggie po chwili zadumy, uśmiechając się do małej.

- Boję się... być sama w ciemnym pokoju.

- Jeszcze długo się nie ściemni. A gdy tylko zapadnie zmrok, przyjdę do ciebie.

- Będzie pani ze mną spała?

- No, no... - Aggie zerknęła na Bena i pokręciła głową. - Oczywiście, jeśli panienka nie ma nic przeciwko temu.

- Och, nie. Chcę, żeby pani ze mną spała.

- To bardzo miło z twojej strony.

Aggie spojrzała na Bena, który pospiesznie zmierzał do drzwi prowadzących przez pokój przechodni na podwórze.

- No już, idziemy. - Lekko zniecierpliwiona niezdecydowaniem Millie ruszyła do drzwi wychodzących na korytarz.

Dziewczynka podreptała za nią.

Z korytarza przeszły do niewielkiego hallu, gdzie były schody.

- Czy drzazgi nie wbijają się pani w stopy? - zatroskała się Millie widząc, że gospodyni stąpa po drewnianych stopniach w samych pończochach.

- Nie ma obawy, złotko. Pełzałam po tych schodach przed czterdziestu ośmiu laty, kiedy jeszcze nie umiałam chodzić, a potem po nich biegałam, najczęściej boso, i nigdy nic mi się nie stało.

- To duży dom. - Dziewczynka zatrzymała się na piętrze i rozejrzała dookoła.

- Zgadza się.

- Jest tu mnóstwo drzwi.

- O tak, a za tymi znajduje się moja sypialnia. Wejdz do środka i już nie gadaj, tylko się rozbierz, a następnie połóż do łóżka, bo muszę wracać do swoich zajęć.

- Czy pani się na mnie gniewa? Aggie westchnęła i przymknęła powieki.

- Nic podobnego, ale, jak powiedziałam, czeka na mnie praca. Zdejmij więc ubranie i przestań trajkotać.

Podniesiony głos starszej kobiety sprawił, że natychmiast usiadła na krześle. Szybko zdjęła buty i szare pończochy.

- Czy mogę prosić o rozpięcie guzików?

Aggie rozpięła jej cztery guziki z tyłu sukienki i przyglądała się, jak mała zdejmuje dwie białe halki. Zwróciła uwagę, że zostały uszyte z dobrego materiału.

- W tym musisz spać, skoro nie masz nocnej bielizny - odezwała się, gdy Millie została w samej koszuli.

- Rzeczywiście. Nie pomyślałam.

- A teraz hop do łóżka!

- Powinam się pomodlić.

- O tak, tak... No to już.

Millie uklękła obok łóżka i oparła złożone ręce o krawędź wysokiego materaca.

- Boże, pobłogosław mamusi i tatusiowi, i miej ich w swojej opiece. Dzięki ci za dzisiejszy dzień i za dobro, którego doświadczyłam. Boże, pobłogosław także pani Melbum i tej dużej kobiecie... pani, która okazała

mi taką życzliwość. Proszę, spraw, by jutro przyszła tu po mnie mama. Amen.

- Kto to jest pani Melburn? - spytała Aggie, gdy mała podniosła się z klęczek.

- Żona pastora z Durham. Była dla nas bardzo dobra. Mieszkałyśmy u niej z mamą przez tydzień, po tym jak tata... - Zaczęła się zastanawiać nad odpowiednim słowem, jakby usiłowała pojąć coś, co się zdarzyło. - Po tym jak tata... umarł. I... odwiozła nas na stację kolejową. Mama dała jej słowo, że napisze, jak się urządziłyśmy.

- I napisała?

- Tak, a pani Melburn jej odpisała.

- No dobrze. Połóż się.

- Czy są tu pluskwy?

- Nie ma tu żadnych pluskiew! Czasami gdzieś w domu trafi się pchła, ale nigdy pluskwa! Marsz do łóżka!

Dziewczynka skuliła się i stała w milczeniu.

- Przepraszam, że tak się uniosłam. Nie bój się. Chodzi o to, że dbam o czystość w mojej sypialni. Na podwórzu jest jakieś robactwo i coś może się przedostać na parter, ale nie tutaj. W ubraniach i w pościeli też nie ma żadnych insektów. Gdybym coś znalazła, natychmiast bym się z tym rozprawiła. Możesz się położyć bez obaw, kochanie. - Podniosła Millie i posadziła ją na łóżku. - Prawda, że czyste i wygodne?

Millie wciąż drżała ze strachu.

- Bardzo czyste - szepnęła.

- Więc połóż się i śpij. Zostawię otwarte drzwi, a jeszcze długo się nie ściemni. Będę tu do ciebie zaglądała, a gdy zapadnie zmrok, zapalę lampę, choć pewnie przyjdę wkrótce i nie trzeba będzie jej zapalać. Nocnik jest pod łóżkiem, gdyby zachciało ci się siusiu. Poradzisz sobie sama?

- Na pewno. Dziękuję.

- No to przytul się do poduszki.

Aggie uśmiechnęła się i wyszła z sypialni.

- To maleństwo czeka ciężki los - mruknęła pod nosem. Schodziła ostrożnie po schodach, trzymając się poręczy.

W kuchni Ben właśnie wkładał do kominka stare puszki wypełnione miałem węglowym, zmieszany z ziemią.

- W końcu będziesz musiała kupić węgiel, bo inaczej dostaniesz hyzia z powodu tych puszek - powiedział z wyrzutem.

- A co mam z nimi zrobić?

- Dostałabyś za nie parę pensów.

- Przewożenie ich na wózku ręcznym nie jest warte paru pensów, a nikt ich stąd nie zabierze.

- Położyłaś ją? - Stał i otrząpał z miału dłonie.

- Dzięki Bogu. To straszna gaduła!

Aggie usiadła na kanapie, a Ben naprzeciwko niej, na ławie. Jego barczyste ramiona i duża głowa silnie kontrastowały z krótkimi nogami, które ledwie sięgały podłogi.

- Ta mała jest dobrze wychowana - zagadnął.

- Aż do przesady. Wyobraź sobie, że jej matka była pokojówką lady czy kimś w tym rodzaju... Ciekawe, co stało się z ojcem Millie? Założę się, że on żyje. Bardziej prawdopodobne od jego śmierci jest to, że od nich odszedł. Wygląda na to, że przez jakiś czas Foresterowie mieszkali w Durham, bo mała modliła się za panią Melburn, żonę tamtejszego pastora. Powiedziała mi, że ta kobieta okazała im pomoc po śmierci ojca, a od czasu ich przeprowadzki do Manchesteru utrzymuje z nimi kontakt listowny. - Aggie pochyliła się i pogroziła Benowi palcem. - Przypadkiem nie zapomnij pójść zaraz z rana na posterunek policji i dowiedzieć się od Fenwicka wszystkiego, co wiedzą na temat matki Millie. Tylko nie puść pary, że mała jest u nas. Powiedz jedynie, że interesuje cię, co przydarzyło się pani Forester.

- Och, Aggie, mówiąc tak, wystawię się na pośmiewisko. Ja z moim wyglądem mam spytać o młodą kobietę, która jest pewnie tak samo urodziwa jak jej córka? Miej litość...

- No dobrze. Skoro jesteś tak przeczulony na punkcie swoich przeklętych nóg, to powiedz posterunkowemu Fenwickowi, że przysłała cię Aggie. Dodaj, że poznałam panią Forester w czasie moich wędrówek z wózkiem po mieście. Słyszysz?

- Słyszę doskonale, choć czasami wolałbym nie słyszeć. Nie musisz stale przypominać mi o moim wyglądzie - odparł z goryczą.

- Częściej niż ja do ciebie sam masz do siebie pretensje o to, że przy byle okazji mówisz o swoim wzroście, a niekiedy nawet chęlpisz się, iż jesteś silniejszy od dwóch dryblasów razem wziętych. Może to i prawda, ale najpierw musisz ich dopaść, bo na razie jesteś mocny tylko w głbie. Zawsze to ty pierwszy zaczynasz mówić o swoim wyglądzie. - Gdy umilkła, w pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Nie mogąc jej znieść Aggie zerwała się z kanapy i ciężko usiadła obok Bena. Otoczyła go ramieniem. - No już dobrze, chłopcze. Znasz mnie i wiesz, jak ci współczuję z powodu twojej sylwetki, bo gdyby nie te nogi, byłbyś naprawdę przystojnym dryblasem. Ale i tak możesz się podobać. No i masz Annie.

- I co z tego, że mam? - Spojrzał Aggie w oczy. - Niewiele cię ona obchodzi, prawda? Dałaś to jasno do zrozumienia.

- Ponieważ uważam, że zasługujesz na kogoś lepszego, ot co. Mówiłam ci to wiele razy. Nie doceniasz siebie. Tylu mężczyzn, którzy mają niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a nie są tak urodziwi oraz dobrze zbudowani jak ty, ożeniło się z przyzwoitymi kobietami i założyło rodziny.

- Tych kilka centymetrów też się liczy, a ja mam sto pięćdziesiąt dwa i pół, choć nie wyglądałbym tak źle, gdybym był szczupły. Jednak z moim silnym torsem i dużą głową nie mogę się spodziewać, by jakaś ładna, miła dziewczyna zapragnęła, żebym został jej kochankiem, i zaczęła mnie ciągnąć do łóżka.

- Nie, żadna tego nie zrobi. - Aggie popchnęła go mocno, karcąc w ten sposób za dosadność. - Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to ty powinienes wykazać inicjatywę? A teraz idź do sklepu, kup butelkę dżinu i kwartę piwa.

- Wydajesz przyjęcie?

- Mogłabym, ale pewnie wyniosłbyś się wtedy z domu.

- Nie... A wracając do sprawy, to niech lepiej te wszystkie głupie suki nie narzucają mi się i nie ciągną mnie do łóżka, bo to strasznie nużące.

Aggie zepchnęła go kuksańcem z ławy.

- Mam wziąć pieniądze ze szkatułki?

- A gdzie indziej miałyby być?

Przesiadła się na kanapę i spoglądała na Bena, który podszedł do stojącej na kredensie szkatułki, wyjął srebrny krążek, zapiął surdut i włożył na bakier czapkę, po czym zasalutował. - Do usług szanownej pani.

Gdy wyszedł z pokoju, utkwiała wzrok w zamkniętych drzwiach. Pomyślała, że trudno byłoby jej przeżyć bez Bena te wszystkie lata. Tak jak i on dobrze pamiętała dzień, w którym zjawił się na podwórzu i buńczucznie oświadczył jej ojcu, że nazywa się Smith lub Jones albo Robinson - do wyboru. Powiedział, że ma siedem lub osiem lat, nie jest tego całkiem pewny. Był jak mnóstwo innych dzieci wymiecionych z domów wskutek głodu panującego w latach czterdziestych. Bez wątplenia urodził się w połowie lat trzydziestych, kiedy już wielu ludzi nie dojadło wskutek złej polityki rolnej. Po dwóch lub trzech latach pobytu w domu Winkowskich wyznał Aggie, że nie wie, gdzie się urodził i kim są jego rodzice. Pamiętał tylko okres spędzony w ochronce wraz z siedemnastoma innymi dziećmi. Uciekł stamtąd i pewnego dnia zjawił się na podwórzu domu Winkowskich. Aggie od razu zapalała do niego sympatią. On też, jak zauważyła, polubił ją

od pierwszej chwili - może dlatego że nakarmiła go rosołem na baraninie i chlebem. Nie skąpiła mu jedzenia. Zjadł wtedy na raz pół bochenka. I dała mu porządne ubranie, choć wyglądało trochę cudacznie.

Z powodu tak opiekuńczego stosunku Aggie do Bena jej ojciec robił sobie z niej żarty, gdy za dużo wypił. „Córko - mówił - masz od razu gotowego syna, prawda? Dlaczego nie kułaś żelaza, póki było gorące? Teraz już nie możesz mieć własnego dziecka”. Ile razy chciała krzyknąć mu w twarz: „To twoja wina, twoja i matki!”, ale gryzła się w język. Matka była strasznie leniwa. Całymi dniami wylegiwała się na kanapie, na której siedziała teraz Aggie, i mówiła, że nie ma siły wstać, ale szła do sypialni, by spełniać małżeńskie obowiązki, kiedy tylko przyszła jej na to ochota. Zresztą gdyby tego nie robiła, ojciec używałby życia z Alice Mulcahy. Kiedy nie pił, był najwspanialszym człowiekiem na świecie. To nie matka, lecz Aggie troszczyła się o niego i opiekowała się nim podczas choroby. Umarł w tym domu, w łóżku na górze, w którym się urodził, a przed nim urodził się i umarł jego ojciec.

W czasach kiedy żył dziadek Aggie, to był farmerski dom. Należąca do Winkowskich ziemia przynosiła obfite plony. W oborze były krowy, a w stajni konie. Tę farmę zakupił przed wielu laty pradziadek Aggie. Skąd ten emigrant z Polski wziął na to pieniądze, pozostało tajemnicą. Nie wyjawiał jej nawet własnemu synowi. Ojciec Aggie zapamiętał go jako surowego, pracowitego człowieka, którego jedyną przyjemność stanowiły wyścigi konne. To właśnie obstawianie koni na wyścigach stanowiło, jak przypuszczała Aggie, źródło dochodów pradziadka, ale i przyczynę późniejszej ruiny, bo na odziedziczonej po nim farmie ciążyły długi. Pod koniec życia dziadka został sprzedany żywy inwentarz i ziemia. Kupiła ją firma, która wybudowała The Courts - domy dla plebsu emigrującego do Manchesteru z głodującej Irlandii i dla chłopów z okolicznych wiosek. Jedni i drudzy napływali tu, licząc na pracę we wznoszonych wówczas fabrykach włókienniczych.

W tym okresie rodzina Winkowskich zaczęła handlować starzyzną. Wcześniej przez jakiś czas żyli ze sprzedaży węgla. Aggie dobrze pamiętała chwile, kiedy kończyły się zapasy. Matka nie wstawała wtedy z kanapy, bo nie była w stanie znieść widoku i krzyku tabunów kobiet oraz dzieci z wiadrami, a także gangu uliczników pozorujących bójki, by w powstałym zamieszaniu któryś mógł ukraść trochę węgla. Albowiem liczyło się tylko jego zdobycie, gdyż oznaczało ono, że będzie się jadło gorący posiłek. Aggie nie przypominała sobie, jak doszło do tego, że jej rodzina zajęła się handlem starzyzną, ale na zawsze zapamiętała, że przestała wtedy



uczęszczać trzy razy w tygodniu do płatnej szkoły. Jej edukacja ograniczyła się do nauki katechizmu podczas niedzielnych lekcji w podziemiach kościoła na Halton Street. Najpierw ojciec gromadził na podwórzu złom. Nie miała pojęcia, co sprawiło, że przemógł się i zaczął krążyć po ulicach z ręcznym wózkiem, bo to był dumny człowiek. Zabierał ją ze sobą, kazał jej pukać do drzwi domów i grzecznie pytać, czy nie ma tu jakichś zbędnych rzeczy. Na początku omijali The Courts i udawali się na przedmieścia do jednorodzinnych domów z ogrodami, ale nie zatrzymywali się przed tymi okazalszymi, bo ojciec uważał, że służący biorą tu wszystko, co jeszcze nadaje się do użytku, dla siebie. Dopiero później zorientował się, że w nich właśnie można dostać najwięcej, ponieważ właścicielki lubią być widziane przez innych, jak wręczają stare rzeczy. Znaczyło to bowiem, że stać je na kupienie nowych. W każdą sobotę podwórze domu Winkowskich zamieniało się w plac targowy przypominając uliczny jarmark. Na ziemi leżały stosy ubrań. Te najlepsze kładziono na wierzchu, chcąc przyciągnąć uwagę kupujących. Gdy padało, przenoszono wszystko pod arkadę. Jeśli kobiety chciały coś przymierzyć lub kupić jakąś rzecz spośród tych znajdujących się we frontowym pokoju, ojciec je tam prowadził.

Pomimo ciężkiej pracy, jego i córki, ledwie zarabiali na życie. Dopiero tuż przed śmiercią ojciec wyjawiał Aggie, że w podłodze pod swoim łóżkiem ukrył pieniądze. Zapewniał, że oszczędzał z myślą o swej jedynej córce. Gdy Aggie znalazła w schowku sześć zamiszowanych woreczków wypełnionych funtami, uwierzyła, że istotnie oszczędzał z myślą o niej. Po raz drugi w życiu rozplakała się wtedy ze wzruszenia. Ale w dniu pogrzebu ojca jego kapryśna przyjaciółka, Alice Mulcahy, rozkleiła się pod wpływem dżinu i wyaplała, że planowali wyjazd do Ameryki. Aggie ani przez chwilę nie wątpiła, że to prawda, bo ojciec należał do miękkich ludzi, ustepliwych i skłonnych do zaspokajania cudzych zachcianek. Jakby tego było mało, w tydzień po pogrzebie w domu zjawił się nieoczekiwany gość, chcąc się spotkać z panem Winkowski. Gdy Aggie powiedziała temu mężczyźnie, że ojciec nie żyje, oświadczył, iż pan Winkowski nosił się z zamiarem sprzedania domu. Przedstawił się jako pośrednik, który potrafi uzyskać dobrą cenę, zważywszy na fakt, jak mała jest to posesja. A na koniec powiedział: „Oczywiście w tej sytuacji pan Winkowski nie wyjedzie do Ameryki”. Po jego wyjściu Aggie siedziała przez chwilę w kuchni sparaliżowana gniewem, a gdy doszła do siebie, popędziła do sypialni ojca i wyrzuciła wszystkie jego rzeczy na podwórze, włącznie z paskiem do ostrzenia brzytwy, postanowiwszy sprzedać je podczas sobotniego targu. Dostała za nie trzykrotnie wyższą cenę, niż przeciętnie płacono za tego typu

rzeczy, i zdobyła nowych klientów, bo zawsze dbała o to, żeby ojciec miał dobre buty i porządne ubrania.

Minęło już dziesięć lat od jego śmierci. Gdy została sama, jeśli nie liczyć małego Bena, wyprawiała się po stare rzeczy niemal codziennie. Ale z upływem lat stała się słabsza i ostatnio robiła to tylko dwa razy w tygodniu. Głównie wybierała się na przedmieścia, odwiedzając te same domy nie częściej niż dwa razy w roku. Jeśli nie przechodziła przez The Courts, nie nosiła czarnego żakietu, czarnej spódnicy i czarnego kapelusza, bo na przedmieściach nie mogła wyglądać jak nędzarka. Dość wcześnie zorientowała się, że mieszkający w The Courts biedacy nie handlowaliby z nią, gdyby wiedzieli, że powodzi się jej lepiej niż im. Nawet jeśli potrafiliby w czymś pomóc, nie wyciągnęliby do człowieka ręki. Tacy byli. Dlatego przychodząc tu Aggie zawsze miała na sobie stary czarny żakiet z wielkimi kieszeniami. W jednej trzymała cukierki dla dzieci, a w drugiej drobne. Ale nieczęsto zdarzało się jej sięgać do tej z pieniędzmi. Za spódniczkę czy żakiecik dla dziewczynki musiała tu zapłacić pensa lub dwa, a i tak zwykle należało te rzeczy przerabiać. Aggie wcześniej odkryła, że dobre źródło używanych rzeczy stanowią wyprzedaże darów otrzymywanych na cele dobroczynne od bogatszych parafian przez poszczególne Kościoły. Damy organizujące te okazjonalne jarmarki sprzedawały jej za pięć szylingów tobole ubrań, które uważały za mało atrakcyjne - były to zwłaszcza rzeczy poplamione jedzeniem, jak często zdarzało się w przypadku surdutów należących do staruszków. Ale nie stanowiło to dla Aggie problemu, ponieważ Chińczyk Charlie potrafił tak doczyścić i odprasować pobrudzone rzeczy, że wyglądały prawie jak nowe, a za dobry płaszcz czy za męskie ubranie dostawała dwa szylingi. Toteż pod wyjmowaną deską w podłodze było teraz dużo więcej zamszowych woreczków. Aggie od dawna spała w łóżku, w którym umarł ojciec, i spodziewała się, że i ona kiedyś w tym łóżku umrze...

- W szynku „Pod Koroną” spawacz Billy nie dopuszcza nikogo do głosu, co znaczy, że wygrzmoci dziś wielu swoich kompanów i przepije całą wyplatę, nie dając żonie nawet pensa - Ben przerwał te rozmyślenia. - Wrzeszczał o wojnie z Rosją i że trzeba nasłać na tych cholernych Rosjan Gladstone'a. - Ben uśmiechnął się szeroko. - Słuchając go, człowiek się nieźle bawi.

Musieli go przytrzymać, bo chciał udusić Bobby'ego Cartera, kiedy ten przypomniał mu, że przecież każdy jest za wojną i że jeśli my nie damy Rosjanom w skórę, to kto to za nas zrobi. Aż nie chce się wierzyć, że taki odważny człowiek z tego Bobby'ego! Przeciwwstawił się Billy'emu, który jest

od niego dwa razy wyższy! - Ben postawił na stole butelkę i puszkę. - Chcesz najpierw dżinu?

- Tak. I pamiętaj, żeby kieliszek nie stał pusty. A co do Billy'ego Middletona, trzeba z nim zrobić porządek. Okaleczył swojego najstarszego syna, który nie ma jeszcze dziesięciu lat, a jego żona nie powiedziała mu słowa. Co za głupia suka! Widocznie będzie musiał to zrobić następnemu, żeby się ocknęła.

- To straszne... - Ben podał jej dżin w kieliszku do wina. - Ludzie uważają, że jest taki z powodu manii religijnej jego rodziców. Podobno trzymali go przywiązanego w piwnicy, głodzili i czytali mu Biblię jako pokarm duchowy. Gdy dorósł, odpłacał ojcu tym samym, a kiedy ten umarł, zaczął się wyżywać na żonie i dzieciach. - Ben usiadł na ławie, pociągnął łyk piwa z kieliszka i powiedział zamyślony: - Zwykle tak się dzieje, kiedy dzieciom każe się na ślepo przyjmować przekonania, wierzenia dorosłych. - Spojrzał w sufit. - Ciekawe, co z tej małej wyrośnie?

- Jedno wydaje mi się pewne. Będzie miała o wiele trudniejsze życie niż dotychczas.

- Co się z nią stanie, jeśli jej matka nadal będzie robiła to, co robi?

- Trafi do ochronki, bo gdzie indziej? Ale słyszałam, że jest tam teraz przepelnienie i przestali zbierać z ulic dzieci pozbawione opieki. Więc może oddadzą ją jakiejś rodzinie i będzie musiała zapracować na utrzymanie, pewnie jako goniec w którejś z fabryk.

- Szkoda małej. Nie chciałbym, żeby jej się to przydarzyło. - Ben utkwiał wzrok w kieliszku i dodał cicho: - Właśnie Annie zaczęła tak pracować jako siedmioletnia dziewczynka. - Ponownie spojrzął w sufit. - Spędzała w fabryce dwanaście godzin dziennie, a czasami czternaście. Od kiedy dzieci można zatrudniać na dziesięć godzin, jest trochę lepiej, ale niektórzy krwiopijcy wcale tego nie przestrzegają. Poza tym do dwunastu godzin wliczano przerwy w pracy, a teraz odlicza się od dziesięciu. To wbrew prawu, jednak jakoś wszystko uchodzi pracodawcom na sucho. Annie do dziesiątego roku życia nie miała butów.

- O Boże! Chcesz, żebym się rozczuliła do łez nad jej losem? Tak się składa, że ma już buty chyba od dwudziestu lat.

- Aggie, ty jesteś dziwnie rozdwojona. Czasami potrafisz być cierpka jak ocet. - Z gniewem odstawił na stół kieliszek z piwem.

- A co z moją drugą, lepszą połową?

- Teraz wątpię, czy w ogóle ją masz.

Przez chwilę w milczeniu przyglądała się, jak Ben nalewa dla niej piwo do kubka.

- Ty niewdzięczny czorcie - powiedziała w końcu z goryczą.  
 - Wiesz, że nie możesz mi tego zarzucać. To, że jestem tu w tej chwili, znaczy, że mówisz nieprawdę - odparował, podając jej kubek.

Spijała pianę, spoglądając na kominek.

- Nie musisz tu przy mnie tkwić - odezwała się, gdy podszedł do ławy, żeby usiąść. - Możesz wyjść do miasta, ale zamknij bramę na klucz, a jak będziesz wracał, nie hałasuj. Masz jutro naoliwić zamki, również w drzwiach do stajni i na strych. Skrzeczą jak sowy w stodole.

Uśmiechnął się do niej od ucha do ucha.

- Skrzeczą jak sowy w stodole? Gdybyśmy zamykali je na noc, to może by się tam zagnieździły... Sowy w stodole... Czy nie zaszkodzi ci ten alkohol?

- A czy kiedykolwiek mi zaszkodził?

- Och! - Zniecierpliwiony pokręcił głową. - Nikomu nie wolno się o ciebie niepokoić, prawda? Nie zniosłabyś cudzej troski. Wiesz, że stajesz się coraz gorsza, coraz bardziej zgorzkniała?

W pośpiechu wyszedł z kuchni.

- Coraz gorsza, coraz bardziej zgorzkniała - powtórzyła za nim.

Gdy zjawiała się w sypialni, właśnie zapadł zmrok, ale dziewczynka wciąż siedziała na łóżku. .

- Już dawno powinnaś spać.

- Czekałam... na panią. Robiło się coraz ciemniej...

- Bardzo długo było jasno. Połóż się.

Millie usłuchała i obserwowwała, jak ta wielka gruba kobieta rozbiera się do snu. Zwróciło jej uwagę, że w przeciwieństwie do mamy Aggie Winkowski nie nosi gorsetu, lecz tylko koszulę, a na niej sztywną halkę i dwie półhalki. Koszula, podobnie jak reszta bielizny, była biała. Wydawała się nieco przepecona. Wielka gruba kobieta rozprostowała ją, wciągnęła na nią przez głowę nocną koszulę, zdejmując tę spod spodu, usiadła na krawędzi łóżka, zdjęła pończochy i położyła się.

Gdy pod wpływem jej ciężaru poruszył się materac, Millie przysunęła się do niej.

- Jest pani bardzo duża - szepnęła.

- Zgadza się. A ty jesteś bardzo mała i strasznie gadatliwa. Śpij już.

Gdy mała przytuliła się do niej, Aggie westchnęła ciężko i odruchowo ją objęła. Zaciskała powieki, by powstrzymać łzy, bo po raz pierwszy od czasów dzieciństwa czuła przy sobie tak blisko ciało drugiego człowieka.

## ROZDZIAŁ 2

Ben wrócił z posterunku o ósmej. Aggie już zdążyła się ubrać, umyć i uczesać. Miała na sobie czystą szarą bluzkę w niebieskie paski. Właśnie skończyła jeść śniadanie: chleb z tłuszczem spod pieczeni i boczek.

- No i czego się dowiedziałeś? - spytała, gdy tylko Ben wszedł do kuchni.

- Będzie sądzona o dziesiątej.

- I to wszystko? Z kim rozmawiałeś?

- A czy mógłbym rozmawiać z kimś innym jak nie z twoim drogim posterunkowym Fenwickiem?

- Co jeszcze powiedział ci mój drogi posterunkowy Fenwick?

- Że nie jest sama. Wczoraj przyłapali ich dziewięć. Jednak o pani Forester Fenwick nic nie wie, bo to nie on przyprowadził ją do aresztu... Ładnie z jego strony. - Ben skrzywił się złośliwie. - Jego zdaniem matka Millie to początkująca prostytutka.

- To naprawdę już wszystko, co wiesz?

- Fenwick powiedział jeszcze, że jeśli jest nowa i próbowała zdobyć powodzenie w tej dzielnicy, to wkrótce inne prostytutki wydrapałyby jej oczy. Pamiętasz, jak niedawno poszarpały ubranie na jednej takiej, która weszła im w drogę? Pisali o tym w gazetach... To się zdarzyło w sobotni wieczór, kiedy klienci wyruszają na łowy. A pani Forester chyba nie zna się na tym fachu, skoro wychodzi na ulicę z córeczką...

- Pewnie uważała to za mniejsze zło niż pozostawianie Millie w domu Nelson Close nie znajdując się na spokojnym przedmieściu.

- Czy mała wciąż śpi?

- Gdy wychodziłam z sypialni, spała.

Usiadł przy stole, a ona podsunęła mu deskę z chlebem i naczyniem z tłuszczem.

- Masz ochotę na boczek?

- Jakoś nie chce mi się jeść.

- Nie jestem zdziwiona. Pewnie znowu wróciłeś na swój strych o pierwszej w nocy?

- Sprawdzasz mnie?

- Nie, tylko nie mogę się nadziwić, dlaczego wciąż nie przeniosłeś łóżka do swojej drogiej Annie. Na pewno zmieściłaby je w swoim pokoju.

- Właściwie mógłbym je tam przenieść. Od jakiegoś czasu myślę o tym. - Hardo spojrzął Aggie w oczy, lecz nagle zmienił temat i spytał z troską: - Co się stanie z tą małą, jeśli pani Forester nadal będzie prostytutką?

- Chyba już rozmawialiśmy o tym wczoraj? Zamierzam oddać Millie jej matce lub komukolwiek innemu, kto chciałby się nią zająć.

- Wybierasz się tam?

- To znaczy do sądu? Tak.

- Tak myślałem. A więc chodzi ci o to, żeby jak najszybciej pozbyć się Millie?

Oparła na stole duże dłonie o krótkich palcach i pochyliła się nad Benem.

- A jaki mam wybór? Wyobrażasz ją sobie w tym domu? Jeśli tak, to rozejrzyj się dokoła. Co jestem w stanie jej zapewnić? Jakie życie? - wyrzuciła z siebie gwałtownie.

- Może ją spotkać jeszcze gorszy los, o wiele gorszy. Chyba ja mam coś w tej sprawie do powiedzenia, prawda? - odparł spokojnie po chwili zadumy.

- Chłopiec to całkiem co innego. Na dodatek trafiłeś tu jako wychowanek ochronki. Teraz zaś chodzi o dziewczynkę, bystrą i pochodzącą z kulturalnego środowiska! Mogła nie chodzić do szkoły, ale już została czegoś nauczona i dobrze wychowana! Czy potrafisz ją sobie wyobrazić w takim otoczeniu?! Dość gadania na ten temat! - krzyknęła Aggie, przybrawszy sztywną pozę.

Umilkła na moment i wzruszyła ramionami. - Chyba masz rozmiękczony mózg... To wszystko z powodu książek, które czytasz. Pan Dickens cię omamił. Każę pomagać biednym. Mój Boże! Co on o tym wie? Dla mnie ten pisarz tylko się bogaci na opisywaniu ludzkiej nędzy.

- Nie zgadzam się z tobą... - Ben wstał z krzesła. - Ktoś powinien ją opisywać. O Boże! Tyle jej jest, a jakoś nikt poza wyjątkami specjalnie się nią nie przejmuje. Bogatsi wolą trzymać się od biedoty z daleka. Sam smród ich od niej odstręcza. Ten pisarz robi coś pożytecznego.

- Z pewnością znalazł w tobie obrońcę. A skoro już jesteśmy przy czytaniu, to uważaj, bo oślepniesz od tego drobnego druku.

- Aggie, zamknij się!

Ben odwrócił się, chcąc wyjść z kuchni, ale gospodyni zdążyła grzmotnąć go z całej siły w ramię.

- Nie waż się tak do mnie mówić, ty przemądrzały smarkaczu, bo inaczej zamknę ci drzwi przed nosem! Nie żartuję. Potrafię być twarda. Skoro nie mogę w moim własnym domu powiedzieć tego, co myślę, to do tego dojdzie. - Odwróciła się do kominka, bo Ben już wyszedł, i dodała: - Co w niego wstąpiło? Jeszcze nigdy tak się nie stawiał. Wszystko z powodu tej małej...

- Dzień dobry. Bez trudu trafiłam tu z sypialni. Nie ma tam wody, więc nie mogłam się umyć, choć jest dzban i miednica. I zapięłam tylko dwa guziki od sukienki. Nie mogę dosięgnąć do dwóch górnych. Czy mogę prosić o pomoc? - zaszcebiotała Millie.

- Jesteś głodna? - spytała Aggie, gdy zapięła jej guziki.

- Niespecjalnie, ale chciałabym prosić o coś do picia. I czy mogłabym się umyć? Powinnam to zrobić przed włożeniem sukienki. Ale gdy powiem mamusi, że dziś stało się inaczej niż zwykle, ona to zrozumie.

Gospodyni ponownie się jej przyjrzała. Millie miała siedem lat, a wczoraj wieczorem Ben przypomniał Aggie, że w tym wieku Annie zaczęła pracować w fabryce - jako goniec biegała boso od jednej maszyny tkackiej do drugiej. Millie miała delikatne stopki. Aggie zwróciła na to uwagę w sypialni. Jeśli mała będzie musiała pracować, stwardnieją jej jak podeszwy, na zawsze. Niech Bóg ma ją w swojej opiece!

- Z tyłu domu jest pompa. Poszukaj Bena na podwórzu. On cię tam zaprowadzi. Weź miednicę i każ mu nalać wody. Umyj się w zmywalni naczyń. Znajdziesz tam mydło i ręcznik.

- Dziękuję - odrzekła Millie po chwili milczenia. Zawahawszy się przez moment wypowiedziała, jak przystało na dobrze wychowane dziecko, kolejne uprzejme słowa: - Bardzo dobrze się wyspałam. Ma pani wygodne łóżko. Dziękuję za nocleg.

Nie wybiegła z pokoju jak typowe dziecko, lecz wyszła statecznym krokiem.

Po kilku minutach wróciła z Benem, który niósł miednicę z wodą.

- Jaka ta pompa śmieszna. Woda płynie i płynie, i strasznie bulgoce - powiedziała z uśmiechem Millie.

Aggie i Ben wymienili spojrzenia.

Gdy Ben ponownie zjawił się w kuchni, zaprowadziwszy małą do zmywalni, Aggie nalewała mleko do kubka.

- Tylko spójrz! Jest prawie przezroczyste! Wreszcie trzeba będzie zrobić z tym mleczarzem porządek. Znowu zostawił bańkę na deszczu. Tego już za wiele! Policzę się jutro z tym hultajem, choćbym musiała wstać o piątą. Postraszę go, że już od dawna wybieram się do władz ze skargą na niego. I teraz naprawdę pójdę! Bóg mi świadkiem. Gdyby ta krowa wiedziała, jak psują jej mleko, to kopnęłaby skopek i nie pozwoliła się wydoić!

- Och, Aggie! - Ben uśmiechnął się do niej szeroko, jednak zmienił temat. - Mam okazję kupić uszkodzone płyty kamienne za pięć szylingów, choć oczywiście oprócz tego trzeba będzie zapłacić za transport. Starczy ich na pokrycie całego podwórza. Już nie byłoby tu błota. Co ty na to?

- Zgadzam się, skoro tak ci ono przeszkadza... Tak, proszę pana, może pan je kupić, ale tylko za pięć szylingów. Ile razy musi przyjechać wóz?

- Trudno powiedzieć... - Ben wzruszył ramionami. - Dwa lub trzy razy. To ciężki ładunek, nawet dla konia, a biorąc pod uwagę odległość, transport zajmie pół dnia.

- Skoro... - Aggie podeszła do kominka i wstawiła do środka kociołek, opierając go na puszkach z palącym się miałem węglowym - przejmujesz obowiązki gospodarza, to sam wszystkiego dopilnuj.

- Przyjdzie taki dzień, w którym rzeczywiście komuś je przekażesz. Aggie... - Podeszedł do niej i spojrzał jej w oczy. - Strasznie polubiłem tę małą. Zatrzymaj ją tu, jeśli jej matka dostanie miesiąc odsiadki. Zatrzymaj...

Odsunęła się od niego gwałtownie.

- Nigdy w życiu. Nigdy... - Po chwili wahania dodała cichym głosem: - Co ja bym z nią zrobiła przez cały dzień? Miałabym ją zabierać ze sobą, wychodząc z domu po stare łachy? Ją, z jej wyglądem i manierami?! No i rozejrzyj się po tym domu... To obskurna nora.

- Aggie... - syknął. - Wcale by tak nie wyglądał, gdybyś od czasu do czasu podniosła z kanapy swój wielki tyłek i trochę posprzątała.

Wymierzyła mu taki policzek, że aż jęknął.

- Od lat nie robiłaś tu porządków. - Pocierał bolące miejsce. - Tak się oburzyłaś, bo to prawda. Zawsze podkreślasz, że mówisz ludziom prawdę w oczy, ale nie potrafisz wysłuchać, co ktoś ma do powiedzenia na twój temat... Zapomnijmy o tym zajściu, jednak więcej nie waż się mnie uderzyć, bo spaliłbym się ze wstydu, gdybym musiał ci oddać. Wiesz, że kiedyś poradziłem sobie z mężczyznami tak samo wysokimi jak ty, kiedy mnie zaczęli.

- Czy to mleko jest dla mnie?

Odwrócili się do dziewczynki. Aggie milczała, bo gniew odebrał jej głos.

- Dla ciebie, złotko. Napij się - odpowiedział Ben. Podeszedł do stołu. - Masz ochotę na chleb z tłuszczem?

- Poproszę.

- Jest jeszcze boczek. - Wskazał talerz, na którym leżało kilka plasterków.

- Nie, dziękuję. Raczej nie przepadam za tłustym jedzeniem. Ben odchrząknął i odwrócił głowę.

- Dziwne dziecko, ale czy i ja nie jestem dziwny? Po prostu będę musiał przyzwyczać się do jej zachowania - powiedział jakby do siebie.

Wyszedł z kuchni, a Millie utkwiała wzrok w milczącej Aggie. Czuła, że powinna zacząć rozmowę.



- Jaka dziś piękna pogoda. W pokoju obok jest mnóstwo ubrań... Dlaczego na podwórzu leży tyle różnych rzeczy? Czy pani ma sklep?

Aggie nie była w stanie prowadzić zwykłej pogawędki.

- Nie gadaj tyle, tylko jedz. Zaraz do ciebie przyjdę - wymówiła się i ruszyła ku drzwiom, które prowadziły do hallu.

Ben powiedział, że dom nie wyglądałby tak obskurnie, gdyby od czasu do czasu podniosła z kanapy swój wielki tyłek i posprzątała. Zatrzymała się w hallu, myśląc o tych słowach. Od bardzo dawna, a właściwie od dziecka, tak ciężko pracowała, że ostatnimi laty czuła się coraz bardziej zmęczona. Wyczerpywało ją samo popychanie wózka i chodzenie. Była taka gruba, taka niezdarna. Gdyby tylko tyle nie jadła... Ale z drugiej strony, dlaczego miałyby sobie odejmować od ust? Dlaczego? Dopiero teraz, gdy w domu zjawiała się ta dziewczynka, przyszło jej do głowy, że mogłaby schudnąć. Millie była tu od wczoraj, lecz Aggie wydawało się, że mała przebywa z nią i z Benem od lat - już zdążyli się z jej powodu pokłócić. A przecież Aggie nie miała nikogo oprócz Bena. Fałszywych przyjaciół nie wpuszczała do domu, podczas gdy ludzie, z którymi chętnie by się spotykała, nawet nie byli jej znajomymi. Miała tylko Bena, a uderzyła go. Postanowiła pozbyć się dziewczynki.

Stała wraz z Millie w obskurnej sali rozpraw, przyglądając się kolejno wywoływanym przez pisarza sądowego kobietom. W każdym przypadku oskarżenie brzmiało identycznie. Sędzia, słysząc, iż aresztowanej zarzuca się namawianie mężczyzn do nierządu, za co przewidziana jest grzywna w wysokości jednego funta lub miesiąc więzienia, nawet nie pofatygował się, by na nią spojrzeć. Znał te kobiety. Nie po raz pierwszy znajdowały się w sali rozpraw. Mogły nie mieć przy sobie nawet pensa, ale kara zawsze była uiszczana - przez Wielkiego Joego lub któregoś z jego kumpli.

Gdy stanęła przed nim jako ostatnia z oskarżonych, uniósł głowę i z zaskoczeniem stwierdził, że nigdy dotychczas nie widział tu tej kobiety.

- Przyjmowała mężczyzn w swoim domu i zaczepiała ich na ulicy. Aresztowali ją posterunkowi Walton i Makepeace...

Pisarz zakończył informacją, że oskarżona została przebadana w szpitalu przez doktora Brighta, w obecności posterunkowego Makepeace'a.

Aggie w zupełności wystarczało to, co już wiedziała o światku dziwek i alfonsów. Żyli z nierządu i jak wszyscy musieli dbać o swoje interesy. Tylko z prostytutką wśród dzieci nie mogła się nigdy pogodzić. Dużo słyszała na temat najstarszego zawodu świata, ale dziś po raz pierwszy w życiu była w sali rozpraw, w której kolejno oskarżono dziewięć prostytutek.

W pierwszej chwili dziewczynka nie rozpoznała stojącej bokiem matki. Dopiero gdy pisarz sądowy ogłosił, iż oskarżona musi zapłacić jednego funta lub spędzić miesiąc w więzieniu, i pani Forester odwróciła się do wypełniających wnętrza gapiów, Millie krzyknęła i ruszyła do niej. Jednak Aggie przytrzymała ją za rękę i przycisnęła do boku.

- Bądź cicho! Uspokój się! - syknęła.

- To mamusia. Co z nią...

- Zamknij buzię! Natychmiast!

Wyprowadziła małą do hallu, gdzie pod ścianą stały już rzędem wszystkie osądzone przed chwilą „zbrodniarki”. Zatrzymała się, bo jak sądziła, miały kolejno podchodzić do biurka w rogu hallu, by zapłacić grzywnę lub w przypadku braku pieniędzy z powrotem wrócić do cel. Nie zdziwiła się, słysząc, że większość kobiet śmieje się i żartuje, ponieważ od razu zauważyła dwóch stojących przy drzwiach mężczyzn. Jeden miał okrągłą głowę na krótkiej szyi i ramiona niemal tak samo barczyste jak Ben, ale w przeciwieństwie do Bena był bardzo wysoki. Już samym wzrostem wyróżniał się wśród innych mężczyzn. Nieczęsto zdarzało się spotkać takiego tura. Natomiast jego towarzysz wyglądał całkiem niepozornie, jednak ktoś, kto zna się na ludziach, stwierdziłby bez wahania, że to diabeł wcielony. Kobiety zachowywały się bez troski, bo wiedziały wcześniej niż Aggie, że ci dwaj już za nie zapłacili. Teraz musiały tylko złożyć podpisy na stosownych formularzach. Gdy już się podpisały, głównie krzyżykami, dołączyły do swoich alfonsów i zaczęły niewybrednie żartować ze stojących przy drzwiach policjantów.

Jako ostatnia w rzędzie podeszła do biurka matka Millie. Gdy tylko złożyła podpis, strażniczka popchnęła ją w stronę wewnętrznych drzwi, ale ona odwróciła się do córki i wyciągnęła do niej rękę. Mała bezskutecznie wrywała się z uścisku Aggie, chcąc podbiec do matki, którą strażniczka znowu popchnęła. Pani Forester ruszyła do wewnętrznych drzwi, odwracając głowę w stronę Millie.

Gdy tylko została wyprowadzona z hallu, wyższy z alfonsów wyszedł z sądu w towarzystwie prostytutek, natomiast jego towarzysz zwlekał przez chwilę, przyglądając się rozpaczającej dziewczynce.

- Przestań beczeć. Przestań... - Aggie bezskutecznie uspokajała ją, kiedy znalazły się na ulicy. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co robić.

- Czy mamusia popełniła jakiś niegodziwy czyn?

- Skądże znowu.

- To dlaczego ją zabrali? Co się stało? Nie... nie powinna mnie zostawiać. Przecież mnie kocha. Sama mi mówiła.

- Uspokój się! W tej chwili! Wytrzymaj oczy. - Aggie wyjęła z kieszeni, o dziwo czystą, choć męską chusteczkę do nosa i wręczyła ją Millie.

- Dokąd idziemy? Czy zostaję u pani? Aggie nie odpowiedziała.

Skრęcając w boczną uliczkę, omal nie wpadły na posterunkowego Fenwicka.

- Dzień dobry - pozdrowił Aggie.

- Zamknęli ją na miesiąc - przeszła od razu do rzeczy.

- Można się było tego spodziewać. Jeśli kobieta decyduje się to robić, powinna wiedzieć, co ją czeka.

- Naprawdę to robiła?

- W swoim mieszkaniu. Nie ma co do tego wątpliwości.

- Nelson Close jest daleko od centrum tej dzielnicy. Jak się o tyrrt dowiedzieliście?

Powiadomiła nas inna wścibska lokatorka tego domu. Chodziło nam o... - Zerknął na Millie. - Byłem zaskoczony, że jej matka to robi, bo wygląda na kogoś, kto potrafiłby zapracować 'na życie, wykonując jakieś przyzwoite zajęcie. Niestety, one - ponownie zerknął na Millie - stanowią ich kulę u nogi, jeśli matki nie zdołają znaleźć kogoś, komu mogłyby je wynająć na cały dzień lub na zawsze do pomocy w domu. Co zamierzasz z nią zrobić?

- Chyba będę ją niańczyła, dopóki jej matka nie wyjdzie na wolność - odparła prowokacyjnie Aggie, rozdrażniona słowem „wynająć”.

- To ładnie z twojej strony, bo tylko jeden Bóg wie, co by się z tą małą stało, gdyby została pozostawiona samej sobie. Pewnie Chudy... Boswell szybko zacząłby nią handlować.

- Był dziś w sądzie z Wielkim Joe.

- No cóż... Pilnują swojej własności. Wielkiego jakoś potrafię znieść, ale Chudego nie jestem w stanie.

- To dlaczego go nie przymkniecie?! - wybuchnęła Aggie.

- Och, Aggie, przymkniemy, ale to nie jest proste. Grube ryby, podejrzewane o korzystanie ze specyficznego rodzaju rozrywek, dostarczanych przez takich ludzi jak Boswell, oczywiście uchylają się od zeznań. I z braku dowodów łatwo można policji wykazać, że się pomyliła, że bezpodstawnie kogoś o coś posądza, że chodzi nie o prostytutki, lecz o czyjeś siostrzenice czy bratanice, o siostry, kuzynki, ciotki... Bóg mi świadkiem, ile się tego nasłuchałem. Ale nic nie trwa wiecznie. Trzeba nam tylko czasu. I to dzięki kobietom wiele się zmieni. Jestem tego pewny. Już teraz niektóre damy otwarcie występują przeciw ni rządowi. Wiesz co, Aggie? - Pochylił się w jej stronę, wyraźnie ożywiony. - Opryszkowie nawet ostrzegli mężów tych dam, że powinni je uciszyć, ale ci ostatni nic

nie wskórali. Jeden z nich powiedział mi nawet, że, do cholery... - posterunkowy uśmiechnął się szeroko - jego żona nie daje sobie zakneblować ust, choć próbował to zrobić.. Aggie, ty wiesz o tym najlepiej, że kobiety działają skutecznie, jeśli tylko potrafią właściwie spożytkować swoją energię. Sama stanowisz pod tym względem najlepszy przykład.

- Żartuje sobie pan ze mnie?

- Ależ skąd. Ani mi to w głowie. W tej dzielnicy strasznie dużo ludzi czuje przed tobą respekt. Woleliby się tobie nie narazić. Kilka razy pokazałaś, czym to grozi, prawda? - odparł z powagą. - A przy okazji... Dowiedziałas się o czymś, na co powinniśmy zareagować?

- Nie, o niczym poważnym nie słyszałam, ale miejcie oko na Billy'ego spawacza. Wygląda na to, że wkrótce całkiem straci rozum i na śmierć zakatuje swoją rodzinę. Jeśli do tego dojdzie, zanim cokolwiek zrobicie, to gazety oskarżą was o zaniedbywanie swoich obowiązków. Wczoraj wieczorem w szynku tak się pieklił, że pewnie gdy tylko wrócił do domu, stłukł dzieci na kwaśne jabłko. Ich matkę też, ale ona nigdy mu się nie przeciwstawi. Trzeba coś z tym zrobić. Wie pan, co myślę o ochronce, ale chyba tam byłoby tym dzieciom lepiej niż w domu.

- Dobrze, Aggie, zajrzę do Billy'ego i powiadomię ludzi z komitetu o tym, co on wyprawia.

- Zamiast ich powiadamiać, mógłby pan równie dobrze splunąć

- Pewnie masz rację, choć oni naprawdę robią wszystko co w ich mocy.

- Ale w przypadku Billy'ego Middletona tylko bezradnie rozkładają ręce.

- Aggie, dobrze wiesz, że nie tylko on bije dzieci i że wszyscy uważają to za zgodne z naszą chrześcijańską tradycją, skoro mamy powiedzenie, że różeczką Duch Święty dzieteczki bić każe... - Zawahał się i dodał szyderczym tonem: - Mówi się, że Pan Jezus kocha dzieci. I rzeczywiście wygląda na to, że tylko on naprawdę je kocha' ale chyba raczej nic dla nich nie robi, co się tyczy bicia. A poza tym niech tylko zbierze się razem kilku wygadanych księży, to zaraz namieszają ludziom w głowach, zamiast ratować ich dusze. - Westchnął. - No nie, z duchownymi nie jest tak źle, jak powiedziałem. Weźmy takiego pastora Wheatleya, z Dyke. Prowadzi bezpłatną szkołę. Nie bierze nawet pensa za tygodniową naukę, podczas gdy inni żądają dwóch, czterech czy nawet sześciu. Sześć pensów to nie jest żaden wymysł, tylko niezbity fakt, choć nie mieści się to ludziom w głowie. W każdym razie dzieci, które uczy pastor Wheadey, pół dnia pracują w fabrykach, a drugie pół spędzają w jego szkole. Aż trudno uwierzyć, jak inne są to dzieci w porównaniu z tymi, które się w ogóle nie uczą. Co

więcej, jego żona prowadzi szkołę wieczorową dla kobiet i ma coraz więcej chętnych.

- To rzeczywiście osiągnięcie, coś całkiem przeciwnego niż szkoła prowadzona przez żeński zakon pod wezwaniem Chrystusa Zbawiciela. Trzeba tam płacić za naukę szylinga tygodniowo i tylko Bóg jeden wie, ile ponadto zakonnice żądają za miejsce w internacie. Oczywiście te święte siostrzyczki nie przyjmują byle jakich dzieci. Od kiedy się o tym wszystkim dowiedziałam, brzydzę się nimi!

- Och, Aggie! - Fenwick roześmiał się. - Nie pomstuj tak na katolików, bo będą musiał cię przymknąć za urąganie mojej matce.

- Czyli jest pan posterunkowy katolikiem?

- Tak samo jak jestem grzeszny.

- Gdyby mi pan nie powiedział, że jest katolikiem, nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

- Aggie, powierzyłem ci swój najgłębszy sekret... Widzę, że mała bacznie mnie obserwuje, a dzieci mają długie uszy. - Uśmiechnął się do zapłakanej Millie. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Aggie się tobą zaopiekuje. Chętnie zabiorę cię w niedzielę do kościoła, jeśli oczywiście chciałabyś ze mną pójść.

- Nie pozwolę! Dopóki ja będę się nią zajmować, nie pójdzie na mszę katolicką. Miłego dnia, panie posterunkowy.

Aggie ruszyła do domu.

- Miłego dnia, Aggie. Dobry z ciebie człowiek, choć łatwo przychodzi ci oczernianie innych.

Już miała się odwrócić, żeby odwzajemnić złośliwość, ale rozmyśliła się. Mocniej ścisnęła Millie za rękę i przyspieszyła kroku.

A więc wzięła sobie kłopot na głowę. Boże drogi! Jak przez cały miesiąc poradzi sobie z tą delikatną, wychuchaną dziewczynką? Przez cały miesiąc...

Wiedziałem, że ją tu zatrzymasz - odezwał się na powitanie Ben.

- Czyli wiedziałeś więcej ode mnie, bo to była ostatnia rzecz na świecie, jaką zamierzałam zrobić. I uprzedzam, że to głównie ty musisz się nią zajmować, gdyż nie zniosę, jeśli przez cały dzień będzie mi się plątała pod nogami.

- Och, niech cię o to głowa nie boli. Zaopiekuje się nią. Czyli przed panią Forester miesiąc odsiadki?

- Tak. I jestem pewna przynajmniej tego, że mała szybciej przyzwyczai się do życia tutaj niż jej matka do więziennego reżimu. Boże miłosierny!

Po pięciu dniach Aggie miała Millie serdecznie dość. Dziewczynce nie zamykała się buzia. Bez przerwy było słycać jej nieskazitelną angielszczyznę. A jakie pytania zadawała! Poza tym na podwórzu robiła niepotrzebne zamieszanie, jednych ludzi denerwując, a innych śmiesząc. Kiedyś odradziła klientce kupno kilku rzeczy, mówiąc, że to ubranie jest zniszczone, a tamto brzydko pachnie. Tylko raz zrobiła coś pożytecznego, a mianowicie przyłapała dwie kobiety na kradzieży - chowały ubrania pod palta, nie zamierzając zapłacić. Bardzo z siebie zadowolona, zwłaszcza że dostała od Aggie pochwałę, wciąż o tym mówiła, czym doprowadzała swoją chlebodawczynię do szału.

- Ben, już dłużej nie potrafię z tą małą wytrzymać - oświadczyła Aggie, gdy weszli na chwilę do pokoju z ubraniami. - Przykro mi, chłopcze, ale weź funta i zanieś go na posterunek. Powinam była zrobić to od razu, to znaczy zapłacić grzywnę za matkę Millie, ale jakoś o tym nie pomyślałam. Skoro ci alfonsi mogli, to ja też mogłam. Jednak stało się, więc teraz idź do sierżanta i daj mu pieniądze. Niech ją wypuści z więzienia. Pewnie nastąpi to dopiero jutro, ale jeszcze jeden dzień jakoś wytrzymam.

Ben wziął podaną mu monetę, spiorunował Aggie spojrzeniem i natychmiast wyszedł z pokoju.

Gospodyni przez chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi, po czym usiadła na odwróconej skrzynce i spuściła głowę. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego to zrobiła. Czy dlatego że dziewczynka została tak dobrze wychowana, a przez to stale były widoczne niedostatki ogłady u Aggie? A może Aggie drażnił już sam melodyjny głos Millie, bo nie była do takiego głosu przyzwyczajona? Możliwe też, że niepospolita uroda dziewczynki raniła jej kobiecą dumę, nieustannie przypominając, jak wygląda ona sama, Aggie Winkowski. Prawdopodobnie też Aggie była już za stara na wychowywanie dziecka. Sama jego obecność mogła ją męczyć... Tak czy inaczej, czegoś się obawiała, choć nie potrafiła dociec czego.

Podniosła się wolno ze skrzynki i ruszyła do kuchni. Wiedziała jedno, a mianowicie to, że problem dziewczynki został rozwiązany. Dziś po raz ostatni będzie musiała dawać sobie z nią radę.

Millie myła okno. Nie sięgała ręką zbyt wysoko, ale ta część szyby, którą zdążyła wyszorować, lśniła czystością. Dzięki temu promienie słońca rozjaśniały kawałek nie zakrytej dywanem posadzki.

Mała uśmiechnęła się do gospodyni.

- Jeśli stanę na krześle, to dosięgnę do połowy szyby, więc będzie pani musiała wyszorować górną część. To okno jest strasznie brudne. Widocznie dawno nie było myte. Proszę spojrzeć, jak wygląda woda po dwukrotnym

przetarciu szyby. - Wskazała na małą miednicę. - I znowu zeszkrobywałam jedzenie ze stołu.

- Kto nauczył cię sprzątać?

- Oczywiście mamusia. Dbaliśmy o porządek w naszym domu. Tatuś lubił, żeby było czysto. I oboje myli się porządnie. Nawet jako mała dziewczynka krzątałam się z mamusią po domu i pomagałam jej sprzątać.

- A niby teraz to jesteś dużą dziewczyną?

- Nie, ale rosnę - odparła ze śmiechem Millie.

- Czy kiedykolwiek mieszkałaś w dużym domu?

- W takim dużym jak ten nigdy nie mieszkałam. W Durham mieliśmy trzy pokoje. I była na zewnątrz ubikacja. Dom otaczał mały ogród, w którym się bawiłam, zwłaszcza latem. A niedaleko płynęła rzeka. Bardzo mi się podobała. Tak samo jak katedra. Czy była pani w katedrze w Durham?

- Nie.

- Jest bardzo duża i bardzo piękna. Tuż obok niej przepływa ta rzeka. Z łódki można podziwiać kształt katedry. Pływałam łódką.

- Z pewnością byłaś tam szczęśliwa. Uśmiech zniknął z twarzy dziewczynki.

- O tak. Byłam - odpowiedziała nie jak dziecko, lecz jak osoba dorosła, która doświadczyła wiele złego.

- Myślę, że jeszcze będziesz, bo prawdopodobnie jutro znowu zamieszkaś z mamą.

- Och, pani Aggie! Naprawdę? - Millie podbiegła do niej i wzięła ją za ręce. - Dziękuję! Bardzo dziękuję! Od razu powiem mamie, jaka pani była dla mnie dobra. Polubi ją pani. Jest bardzo ładna. Ach, przecież pani ją widziała. Ale ostatnio... - dziewczynka zniżyła głos - była bardzo zmęczona, jak nigdy przedtem. W Durham chętnie ze mną tańczyła i zabierała mnie na długie spacery. Polubi ją pani...

- Na pewno polubię. - Aggie zmusiła się, by dodać: - Powiem jej, jak dobrze umiesz sprzątać i jak mi pomagałaś przez te wszystkie dni.

- Och, sprzątanie to nic trudnego. - Millie wróciła do okna. - Z przyjemnością robię różne rzeczy. Umiem gotować i piec. Ale u pani jeszcze tego nie robiłam.

- Tu... tu się zbyt często nie gotuje i nie piecze.

- Ale przecież ma pani piekarnik?

- Mam.

- Gdybym tu została dłużej, pokazałabym pani, jakie piękę placuszki. Szkoda, że już nie zdążę... Niektórzy ludzie mówią „placki”, a powinno się mówić „placuszki”, prawda?

- Pewnie tak, skoro ty tak twierdzisz. Aggie wyszła na podwórze.

- Ben ma rację. Będzie lepiej, jeśli całe podwórze zostanie pokryte płytami - powiedziała do siebie, spojrzawszy na leżące wprost na ziemi stopy ubrań i złomu. - Sprawdź, czy naoliwił zamek od drzwi do stajni.

Weszła do szopy. Panował tu wzorowy porządek, uderzający w porównaniu z wiecznym bałaganem w domu i na podwórzu. Na półkach leżały przeróżne narzędzia rolnicze, a na hakach wisiała uprząż: chomąta, uzdy, cugle i siodła. Niektóre części uprzęży już zeszywniały ze starości, ale inne wyglądały na nadające się do użytku. Wzięła z półki puszkę oliwy i udała się do starych zabudowań gospodarczych. Zatrzymała się przed dawną stajnią, która stała obok równie pustej stodoły, i sprawdziła zawiasy drzwi. Okazały się nie naoliwione. W stajni były schodki, wchodziło się nimi na strych zajmowany w dawnych czasach przez stajennego, a od wielu lat przez Bena. Aggie naoliwiła zawiasy i wgramoliła się na górę, chcąc się rozejrzeć po gospodarstwie Bena. Składało się na nie zbite z desek, starannie posłane łóżko, stare wyściełane krzesło o podartym pokryciu i kulawy stół na trzech nogach, obok którego stał kuchenny taboret. Brakującą nogę stołu zastępowała skrzynka, równocześnie spełniająca rolę półki. Znajdowało się na niej siedem zniszczonych książek, a w środku leżały stare gazety. Aggie zagłuszyła wyrzuty sumienia - dręczące ją, ilekroć oglądała to wnętrze - stwierdzeniem, że i tak mieszkanie Bena prezentuje się lepiej niż mnóstwo innych w mieście, a wielu ludzi byłoby szczęśliwych, mogąc tu żyć. Poza tym zbyt wąskie schody uniemożliwiały wniesienie na strych porządnego stołu.

Gdy wyszła z budynku, zobaczyła przy bramie swojego wychowanka.

- Przeprowadzałaś kontrolę?!

- Można to tak nazwać. Powinieneś wymienić stół albo przynajmniej dorobić do tego, który masz, brakującą nogę. No i mógłbyś położyć na łóżku puchowy materac. Na pewno w domu znajdzie się coś porządnego.

- Wolę twarde siennik. Spanie na nim traktuję jako pokutę za grzechy.

- Nie bądź taki dowcipny. Co załatwiłeś? Sięgnął do kieszeni i wyjął monetę.

- Już wyszła z więzienia. Powiedzieli mi, że w tym samym dniu, w którym odbyła się rozprawa. Nie mogłem od nich wyciągnąć, kto zapłacił za nią grzywnę, ale stary Alex, sprzątac, szepnął mi dyskretnie na korytarzu, że zrobił to Boswell, czyli Chudy.

- Boże jedyny! To niemożliwe!

- Boże jedyny! To możliwe! I wystarczy, żeby zobaczył gdzieś Millie... - Ben nerwowo potrząsnął głową - a będzie miał i matkę, i córkę. To pewne.



- Pani Forester wcale nie musi być teraz u niego. Mógł zapłacić za nią grzywnę, ale to nie znaczy...

- Aggie, nie pleć głupstw. Gdyby nie była u Boswella, to zjawiłaby się tu natychmiast po opuszczeniu więzienia. Powiedziałaś mi, że widziała cię z Millie w sali rozpraw. Nie ma w tej dzielnicy, a chyba nawet w całym Manchesterze drugiej Aggie Winkowski. Łatwo dowiedziałyby się, gdzie mieszkasz.

- Co my teraz zrobimy? - spytała bezradnie Aggie.

- Jeśli chodzi o mnie, to na samą myśl, że Millie mogłaby wpaść w ręce tego typa, robi mi słabo - odparł, celowo podkreślając, że mówi tylko we własnym imieniu.

Aggie ruszyła do domu, a on za nią.

- Po południu wezmę wózek i przejdę się po mieście. Skoro Boswell został jej alfonsem, to pewnie będzie spacerowała po The Strand - obwieściła Aggie swoją decyzję, gdy stanęli przed drzwiami.

- Och, wątpię, czy ją tam spotkasz. To zbyt dobre miejsce dla początkujących prostytutek.

Błyskawicznie odwróciła się do niego.

- Ona nie jest początkująca, skoro Millie miała różnych „wujków”. Teraz wydaje mi się, że zabierała ją ze sobą na wabika - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Aggie, nie było takiej potrzeby. Przecież już o tym rozmawialiśmy. Zabierała ją, bo nie mogła zostawić jej samej w domu... Jeśli ktoś doniesie władzom miasta, że pani Forester ma córkę, to zjawią się tu jacyś urzędnicy i dobroczyńcy, żeby zabrać małą do ochronki.

- Jestem zmuszona okłamać Millie, że jej matka gdzieś wyjechała.

Ruszyła do przechodniego pokoju, a Ben został na podwórzu. Gdy weszła do kuchni, dziewczynka stała na krześle, starając się umyć okno tak wysoko, jak wysoko sięgała ręką.

- Zejdz stamtąd, zejdz natychmiast, bo spadniesz i skręcisz sobie kark! - krzyknęła Aggie.

- Nie spadnę. Stoję pewnie. Aggie przymknęła oczy.

- Zejdz... z tego... krzesła - powtórzyła stanowczo. Słyszając ten apodyktyczny ton, Millie nie stawiała już oporu.

- Ja... ja tylko chciałam pani pomóc - wyjąkała, stając przed Aggie.

- Wiem o tym, kochanie, ale wołałabym, żebyś na chwilę usiadła - uspokajała ją odetchnąwszy głęboko.

Wzięła Millie za rękę i zaprowadziła do ławy. Gdy usiadły, zerknęła na tę maleńką osóbkę o owalnej twarzy, okolonej długimi złocistymi włosami,

i o błyszczących szarych oczach, w których malowała się taka ufność. Przypomniała sobie, jak triumfalnie w budynku sądu Chudy patrzył na tę śliczną dziewczynkę. Zapewne tak właśnie patrzyłby na nią, gdyby udało mu się ją zdobyć. Dobrze wiedział, ile mógłby na niej zarobić, bez względu na to, czy wysłałby ją na ulicę bądź sprzedał załodze jakiegoś statku, czy też trzymał w swojej „ochronce”.

- Pani Aggie, czy przyjdzie tu dziś po mnie mamusia? - odezwała się Millie, jakby wyczuła, jaki będzie temat rozmowy.

- Tak mi przykro, kochanie, ale musiała... wyjechać na kilka dni - odparła Aggie jak najdelikatniej, zdumiona, że to bezpośrednie pytanie, bo takie pytania zwykle zadawała Millie, po raz pierwszy jej nie rozzłościło.

- Dokąd?

- Do Durham - kłamała dalej, starając się jakoś wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

- Nie... nie mogła tam pojechać. Powiedziała, że do końca życia jej noga tam nie postanie.

- Ale pojechała. - Aggie wstała z ławy.

- Dlaczego... dlaczego nie przyszła tu po mnie i nie zabrała mnie ze sobą? Nigdy dotychczas nie zostawiała mnie samej...

Aggie ruszyła do stołu, bo dzięki temu mogła uniknąć spojrzenia małej.

- Bardzo się... spieszyła. Coś ją przynagliło - odpowiedziała, przesuwając dłoń po ceracie, jakby czekała na następne pytanie, a gdy zapadło milczenie, odwróciła się do Millie.

Dziewczynka siedziała z pochyloną głową, a po jej policzkach płynęły łzy.

Aggie z powrotem usiadła na ławie.

- Och, nie płacz, nie płacz. Jesteś już dużą dziewczynką. Dorośli mają swoje sprawy. Nie zawsze są w stanie wyjaśnić je dzieciom - przemówiła do Millie łagodnie i przytuliła ją do siebie.

Gdy mała objęła ją w pasie i oparła głowę na jej piersiach, jak wtedy gdy spała w tym domu po raz pierwszy, wzruszenie ścisnęło Aggie za gardło. Odczuwała przyjemność, której towarzyszył ból i irytacja, bo życie pozbawiło ją radości macierzyństwa, a w roli zastępczej matki miała występować przez krótki czas. Była wewnętrznie rozdarta. Chciała, by ta nowa sytuacja trwała jak najdłużej, a zarazem życzyła sobie, by Millie odeszła z tego domu jak najprędzej.

Słyszając, że Ben otwiera drzwi, odsunęła się od małej, ale nie na tyle szybko, by nie zdążył zobaczyć, jak ją przytula. Jednak nie powiedział na ten temat ani słowa.

- Aggie, na podwórzu czeka na ciebie twój przyjaciel. Chce ci coś powiedzieć. Wpadł na chwilę w czasie obchodu swojego rejonu.

- Już idę. - Mijając Bena przy drzwiach, powiedziała cicho: - Zostań z nią, ale trzymaj język za zębami, bo mógłbyś chlapanąć coś, co nie zgadzałoby się z moją wersją wydarzeń.

Na podwórzu posterunkowy Fenwick wpatrywał się w stos starych puszek.

- Tanio sprzedają: dwadzieścia sztuk za pensa - odezwała się, widząc, co pochłania jego uwagę.

- Zachodzę w głowę, po co je tu gromadzisz? Kto je kupuje? - spytał, jakby nie wierzył, że to możliwe.

- Na wszystko znajdują się chętni. Zwykle te puszki kupuje się po to, by je przetopić na użyteczny metal, ale mnie też się na coś przydają. Wypełniam je miałem węglowym zmieszonym z ziemią. To najtańszy opał. I świetnie trzymają ciepło.

- Mam w to uwierzyć?

- To prawda.

- Nie było mnie w Manchesterze przez kilka ostatnich dni. Umarł mój ojciec.

- Och... Tak mi przykro... Dobrze ze sobą żyliście?

- Bardzo dobrze. To był wspaniały człowiek.

- Mieszkał w tych stronach?

- Nie. W Newcastle.

- W Newcastle...

- Tam się urodziłem i wychowałem. Mieszkałbym tam do dziś, ale coś mnie napadło i przyjechałem do Manchesteru, no i ożeniłem się z dziewczyną stąd, która nie chciała zostawiać matki samej. Kobiety są nieznośnie uparte, prawda, Aggie?

Nie zareagowała na żartobliwą zaczepkę, lecz wpatrywała się w niego w napięciu.

- Odwiedziłbym cię wcześniej, jednak tego samego dnia, w którym rozmawialiśmy po raz ostatni, dostałem wiadomość o ojcu, więc od razu pojechałem do Newcastle. Ale przedtem zdążyłem zamienić kilka słów z panią Forester, gdy czekała na przeniesienie do innej celi. Błagała mnie, żebym ci to doręczył... - wyjął z kieszeni klucz - i przekazał jej prośbę o opiekę nad córką w ciągu tego miesiąca. - Podał Aggie klucz. - Jak widać, chce, żebyś przeniosła tu rzecz z ich mieszkania.

Aggie wpatrywała się w niewielki klucz.

- Nie powinnam się pakować w tę kabałę. Jakie życie czeka tu tę dziewczynkę?

- Jest tyle gorszych miejsc i niepowołanych rąk, w które mogłaby trafić. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. A swoją drogą łatwo pozbędziesz się tej małej, jeśli władze miasta zostaną o wszystkim powiadomione. Po prostu ktoś z urzędu zgłosi się tu po nią.

- Też mi pociecha! - obruszyła się, lecz zaraz spytała rzeczowo: - A co by było, gdybym nie zechciała się jej pozbyć?

Wypowiedziała to pytanie, zanim zdążyła pomyśleć, co ono oznacza, i teraz żałowała, że tak się jej wymknęło.

- Bez problemu mogłabyś zatrzymać ją u siebie. Musiałabyś tylko podpisać stosowny papier, a ja zgłosiłbym się jako osoba polecająca. Zresztą jestem pewny, że znajdzie się wielu innych, którzy chętnie za ciebie poręczą.

- A gdzie pan będzie ich szukał? - spytała z ironią. - Kto by zechciał poręczyć za handlarzkę starzyzną mieszkającą w takiej norze! Gdyby ludzi o to poprosić, na pewno byłiby oburzeni. Każdy powiedziałby: „Co?! Ona ma się zajmować dzieckiem, a na dodatek takim dzieckiem?!” - Potrząsnęła głową. - Takim wygadany i dobrze wychowanym, że jest to aż nie do zniesienia.

Posterunkowy roześmiał się.

- Zawsze możesz się czegoś od niej nauczyć - skomentował.

- Wiem już wszystko, co powinnam wiedzieć... Dziękuję za życzliwość.

- Zawsze do usług. - Spojrzał na stos puszek. - Koniecznie muszę powiedzieć mojej żonie o tym, jak produkujesz tani, dobry opał. Przyślę ją tu. Niech kupi trochę puszek. Zaoszczędzimy pieniądze... Jednak nie, bo jestem pewny, że zapach tej mieszanki, gdy spala się w piecu, mógłby skrócić mi życie! Aggie, zjrzyj do ciebie niebawem... Dopilnuj, żeby tu wszystko było w porządku.

- Rozejrzał się po podwórzu. - Żadnego handlu kradzionymi rzeczami, żadnego przestępstwa. Sądzę, że do czwartku będziesz czysta jak łąza - zająrtował i uśmiechnięty wyszedł za bramę.

Aggie wpatrywała się w klucz.

- Czyżby ten mały przedmiot już przesądził o wszystkim? - powiedziała do siebie, odwróciła się w stronę domu i krzyknęła:

- Ben! - A gdy na podwórzu wraz z Benem zjawiła się Millie, poleciała: - Wróć do domu i włóż płaszcz i kapelusz. Idziemy na spacer.

- Na spacer?

- Przecież słyszałaś. - Zniecierpliwiona Aggie podniosła głos.

- Twoja mama przekazała mi klucz od waszego mieszkania. Pójdziemy tam po wasze rzeczy.

- O? Jak dobrze. Powinam zmienić halkę i...

- Nie marudź, tylko idź po płaszcz i kapelusz. Millie ruszyła pędem do drzwi.

- A więc posterunkowy przyniósł klucz. W jaki sposób wszedł w jego posiadanie?

- Rozmawiał z panią Forester, gdy czekała na odprowadzenie do innej celi. Pewnie było to tuż przed tym, jak Boswell wrócił do sądu, żeby zapłacić grzywnę... Wyprowadź wózek ze stodoły. Muszę przewieźć rzeczy z mieszkania tej kobiety.

Udała się do pokoju z używanymi ubraniami, gdzie włożyła brązowy słomkowy kapelusz i ciemnoszary płaszcz, który okazał się zbyt szczupły, by mogła go zapiąć.

- Ładnie wyglądasz! Dość elegancko - orzekł na jej widok stojący obok wózka Ben, gdy pojawiła się na podwórzu.

- Powiadasz, że dość elegancko... Gdzie jest mała? - Aggie odwróciła się w stronę drzwi. - Tylko nie mów mi, że znowu myje twarz!

- Jest na podwórzu. - Ben przywołał Millie gestem dłoni.

- Och, wygląda pani inaczej niż zwykle! Ładny kapelusz - skomplementowała ją dziewczynka.

- Dziękuję. - To, że mała lubi mówić ludziom miłe rzeczy, też Aggie drażniło. - Idziemy.

- Przyjemnego spaceru - pożegnał je Ben.

Gospodyni spojrzała na niego krzywo i zaczęła popychać wózek.

- Pani Aggie, naprawdę zbiera pani po domach stare ubrania?

- Naprawdę. Do czego zmierzasz? - przezornie uprzedziła kolejne pytania.

- Do niczego. Zdaniem mamusi każda uczciwa praca, nawet ta najgorsza, może stanowić powód do dumy.

Boże miłosierny! Tak potrafiła mówić do córki kobieta, która została prostytutką i zamieszkała w domu publicznym, gdzie najprawdopodobniej zostanie do końca życia, jeśli ze względu na jej urodę Chudy nie pomyśli o pracy dla niej na jakimś statku.

- Czy będzie pani krzyczała na ulicy, że zbiera pani stare ubrania?

- Nie będę. Przestań wreszcie gadać.

- Nie trafiłabym stąd do domu. Aggie milczała.

- Och! Wiem, gdzie jesteśmy! - krzyknęła Millie, gdy doszły w pobliże Nelson Close.

- A więc prowadź do waszego domu.

- To nie jest dom. O ile pamiętam, mówiłam pani, że mieszkamy w suterenie. Musimy teraz skręcić.

Millie zatrzymała się przed jedną z ruder. Po prawej stronie schodów była żelazna furтка.

- Tędy! Po stopniach w dół! - poinformowała w podnieceniu. Aggie rzuciła okiem na wąską uliczkę, wyjęła z wózka łańcuch z kłódką i przyczepiła nim koło do żelaznego słupka.

- Dlaczego pani to robi?

- Na wypadek gdyby komuś przyszła ochota zabrać ten wózek.

- Nie można uciekać, ciągnąc taki wózek.

- Kiedyś już się to zdarzyło.

- Naprawdę?

- Naprawdę! Ruszaj po schodach, bo muszę sprawdzić, czy się na nich zmieszczę.

To były wąskie kamienne schodki, ale Aggie zeszła po nich bez trudu i przekreśliła klucz w zamku.

Gdy w ślad za małą weszła do mieszkania, osłupiała, bo znalazła się w piwnicznej izbie o kamiennych ścianach i kamiennej podłodze. Panowało tu przenikliwe zimno. Zbita z desek przegroda rozdzielała pomieszczenie na dwie części. W tej od strony drzwi stał mały stół z dwoma krzesłami i żelazny przedmiot, który wyglądał na piecyk naftowy, a w tej za przegroda znajdowało się wąskie żelazne łóżko, przykryte kołdrą - patchworkiem, oraz wielki kufer i kosz z łyka lipowego. Na kołkach przymocowanych do rozdzielającej wewnątrz ścianki wisiały ubrania.

- To nie jest zbyt... przyjemne mieszkanie. Zawsze w nim zimno, ale... ale mamusia mówiła, że dopóki będzie tu czysto, jakoś da się wytrzymać, a poza tym wkrótce się stąd wyprowadzimy... - odezwała się Millie, gdy Aggie zaczęła zdejmować z kołków ubrania. - To mieszkanie jest zupełnie inne od domu, który mieliśmy w Durham. Pokoje były takie przytulne... Tęsknię za nimi... Tęsknię za Durham. Ja... Ja... - Zaczęła płakać.

- Och, tylko nie to. Nie czas na łzy. Uspokój się! No już... Ja pozdejmuję ubrania z kołków i położę je na łóżku, a ty wszystko ładnie poskładasz. Potem zapakujemy je do wózka. Zabierzemy też kufer i kosz.

- Dlaczego? Przecież mamusia tu wróci.

- Rób, co ci każe! Twoja mamusia przekazała mi przez kogoś prośbę, żeby zabrać stąd wszystkie wasze rzeczy. Rozumiesz? A ty zostaniesz u mnie, to znaczy... dopóki ona się po ciebie nie zgłosi albo nie zostanie to załatwione inaczej.

- Gdzie naprawdę ona jest?
- Przecież ci powiedziałam, że musiała wyjechać do Durham.
- Nie... wierzę pani.

Aggie powiedziała później Benowi, że zdumiała ją bystrość umysłu Millie i wydawało się jej, iż ma do czynienia nie z siedmiolatka, lecz z siedemnastolatką.

- Nie wierzysz mi? W porządku. To zostań tu i sama troszcz się o siebie, dopóki twoja matka nie wróci.

- Nie... mogę tu zostać... sama. Boję się... Jestem na to za mała.

- Rzeczywiście jesteś mała, co się tyczy twojego wzrostu i wieku, ale mówisz i myślisz, jakbyś była dorosła. Posłuchaj... Szkoda czasu na takie rozmowy. Jeśli nie posładasz ubrań, wrzucę je do wózka jak stare rzeczy, które dostają od ludzi. Wszystko zależy od ciebie.

Gdy zdjęła z przegrody wiszące na kołkach ubrania, otworzyła kufer. Był wypełniony po brzegi damskimi i dziecięcymi strojami. Przeszukała dłonią dno, spodziewając się, że jest tam ukryta szkatułka, i wymacała jakiś skórzany przedmiot. Gdy go wyjęła, okazało się, że to teczuszka na papier.

- To jest mamusi! Ona trzyma w tym listy! - krzyknęła mała.

- Z pewnością! - wybuchnęła Aggie. Pomyślała, że mogłaby się z nich dowiedzieć czegoś więcej o życiu pani Forester. - Posłuchaj, muszę opróżnić kufer i kosz, bo inaczej nie dam rady ich wynieść. Porozdzielałam rzeczy na mniejsze kupki i zwiążę każdą sznurkiem. Będiesz odbierała je ode mnie na schodach i wkładała do wózka.

Po upływie pół godziny w wózku spoczywały ubrania, pościel, kufer i kosz. Aggie zamknęła drzwi. Nie wiedziała, co zrobić z kluczem. Pani Forester bez wątpienia zapłaciła czynsz z góry za miesiąc, a właściciel domu był zapewne jedyną odwiedzającą ją osobą jeśli oczywiście nie liczyć „wujków” Millie, którzy musieli mieć straszną chętkę na jej matkę, skoro przychodzili do tej nory. Aggie zastanawiała się nad tym, co robiła dziewczynka, kiedy pani Forester przyjmowała klienta. Prawdopodobnie Millie, tak samo jak mnóstwo innych dzieci, po prostu zatykała sobie uszy, nie rozumiejąc, co się dzieje. Z drugiej strony nieletnie córki prostytutek na ogół były tak zdemoralizowane, że wiele z nich z niecierpliwością wyczekiwało dnia, w którym mogłyby zacząć robić to samo co ich matki. Jednak Millie do nich nie należała. Była taka niewinna i subtelna... Aggie natychmiast udzieliła sobie reprimendy za tę chwilę słabości. Położyła klucz na parapecie wąskiego okna i ruszyła po schodkach. Otworzyła kłódkę od łańcucha przyczepiającego koło wózka do słupka i odeszła, Millie pomagała jej pchać wózek.

Co zamierzasz z nimi zrobić? - Ben z niedowierzaniem kręcił głową. - Nic z tego nie rozumiem. To drogie ubrania i zupełnie nie zniszczone, a niektóre rzeczy pani Forester są w najlepszym gatunku.

- To prawda, ale teraz bardziej obchodzą mnie listy. Są bardzo zagadkowe... - mówią coś o jej sytuacji, a zarazem prawie nic nie można się z nich dowiedzieć. Ta pani Melburn, żona pastora... wydaje się bardzo o nią zatroskana... Z tego kawałka wynika, że wydarzyło się coś, co skłoniło panią Forester do wyjazdu z Durham. - Podniosła jedną z leżących na stole kartek i zaczęła czytać: - „Przykro mi, że odczułaś zawód w związku z tym, iż twoja przyjaciółka wyjechała z miasta, nie podając ci nowego adresu. Potrafię zrozumieć twoje rozgoryczenie, skoro oczekiwałaś, że u ciebie zamieszka. Ale człowiek to istota nieodgadniona, choć jest możliwe, że twoja przyjaciółka wyjechała z powodu postępuku jej męża”. - Aggie spojrzała na Bena. - Między wierszami można wyczytać, że mąż „tej przyjaciółki” nie chciał dopuścić, by się o czymś dowiedziała. A ty jak uważasz?

- Tak samo jak ty.

- Posłuchaj jeszcze, co jest w innym liście. „Często myślę o tobie i o szczęśliwych chwilach, jakie spędziłyśmy w The Hall. W ogóle nie myślałyśmy wtedy o czymś takim jak tragedia czy zdrada”. I przeczytam ci ten kawałek: „Moja droga, martwię się o ciebie. Powinnaś tu wrócić. Proszę cię, nie zrób czegoś niemądrego, czego później musiałabyś się wstydić i żałować. Zresztą to do ciebie niepodobne. Wróc tu. Ludzie szybko o wszystkim zapomną, bo mają krótką pamięć. John też tak uważa. Ściskam cię. Twoja Jessie”. Ben, co o tym sądzisz? W każdym razie mnie się wydaje, że któreś z nich, pani Forester lub jej mąż, zrobiło coś niewłaściwego. Bardziej prawdopodobne jest, że to on, bo Millie mówi tak o jego śmierci, jakby miała na myśli coś innego. Być może nigdy nie dowiemy się całej prawdy, ale jednego jestem pewna: mała coś ukrywa. Patrzy tak dziwnie, kiedy ją przycisnąć do muru. Na przykład dziś po południu, gdy spytałam, dlaczego matka nie przechowuje żadnych listów od ojca, odpowiedziała, że nie wie, ale miała taką minę, jakby nie chciała czegoś zdradzić. I znowu płakała w sypialni.

- Jeśli ktoś powiadomi władze, że pani Forester żyje z nierządu, to do końca życia pozbawiają praw rodzicielskich. Czy wtedy zgodzisz się wychowywać Millie i podpiszesz papier? - zmienił temat Ben.

Aggie pozbierała listy ze stołu, schowała je do skórzanej teczuski i wstała.



- Mam wiele dni na podjęcie decyzji. Zresztą nikt nie wie, co jeszcze może się zdarzyć do czasu, kiedy będę musiała coś postanowić. Napiszę do żony pastora z Durham, bo chciałabym się dowiedzieć, co ma do powiedzenia na temat całej sprawy.

Istotnie czwartego dnia po tej rozmowie coś się zdarzyło. Od rana padał deszcz i niewybrukowane podwórza, drogi oraz place tonęły w błocie. To był dzień, w którym Aggie zawsze wyprawiała się po stare ubrania na przedmieścia Manchesteru. Gdy jednak wyjrzała przez okno, postanowiła nie wystawiać nosa z domu.

- Jak to dobrze, że nie muszę wychodzić - powiedziała bardziej do siebie niż do Millie.

Rzeczywiście nie musiała wychodzić po stare ubrania ani tego dnia, ani kiedykolwiek indziej. Gdyby jednak przestała handlować starzyzną, nie miałyby co ze sobą zrobić, bo z pewnością nie zamierzała spędzić reszty życia tylko na słuchaniu szczebiotu Mistrzyni Poprawności, jak w myślach nazywała Millie.

Spojrzała na dziewczynkę, która siedziała na ławie, przytulając ślicznie ubraną lalkę o porcelanowej głowie i szyi. Korpus lalki był uszyty z materiału i wypchany pakułami, a nogi zostały zrobione z drewna. Zginały się w kostkach i w kolanach. Millie powiedziała kiedyś Aggie, że gdy mieszkała z matką na Nelson Close, to ilekroć wychodziła z domu, kładła spać tę lalkę do kosza z lipowego łyka. Aggie była na siebie zła, że spytała, jak lalka ma na imię, ponieważ dowiedziała się, że Wiktoria, oczywiście na cześć królowej. A ponadto usłyszała, że królowa Wiktoria i książę Albert są wspaniali. W porę ugryzła się w język, bo inaczej powiedziałyby Millie, żeby więcej nie wspominała przy niej o królowej Wiktorii, która wcale nie jest wspaniała, skoro zezwala na zatrudnianie dzieci w fabrykach przez dwanaście godzin dziennie.

Dziewczynka kołysała przytuloną do piersi lalkę jak matka usypiająca dziecko. Aggie pomyślała, że gdyby powiedziała Millie, że pani Forester nie żyje, mała najprawdopodobniej potraktowałaby tę wiadomość identycznie jak wcześniejszą informację o śmierci ojca, czyli uznałaby, że z matką stało się to samo co z nim. Aggie wciąż nie wiedziała, jak jej wyjaśnić zniknięcie pani Forester, ale wieczorem wszystko wyjaśniło się samo.

Była siódma, gdy siedząc w kuchni usłyszała, że Ben wchodzi do przechowalni starych ubrań. Nie zjawił się od razu w kuchni, więc zajrzała do pokoju przechodniego. Ben właśnie rzucił na podłogę przemoczony worek, którym osłaniał od deszczu głowę oraz ramiona, i zaczął zdejmować buty.

- Jesteś przemoczony do nitki.
- Czy to dziwne? Padało na mnie tak samo jak na wszystkich innych.
- Zdejmij spodnie.
- Nie ma takiej potrzeby... Czy Millie już śpi?
- Nie. Wejź dalej i zamknij drzwi na podwórze. Wytarł twarz i szyję kawałkiem podartego ręcznika.
- Życie podjęło za ciebie decyzję - powiedział zagadkowo.
- Co masz na myśli?
- Pani Forester się powiesiła.

Aggie osłupiała. Spoglądała na Bena w milczeniu, ale po chwili ruszyła, wymachując rękami, w stronę odwróconej do góry dnem skrzynki, żeby usiąść.

- O mój Boże! To niemożliwe!
- To chyba najlepszy sposób na skrócenie sobie życia.
- Przestań wygadywać takie rzeczy! Jak to się stało?
- Tak samo jak zawsze. Założyła sobie sznur na szyję.
- Jeśli nadal będzie dowcipkował na taki temat, to ja tobie założę sznur na szyję.
- Aggie, nie miałem zamiaru żartować. Tak mi się tylko powiedziało. Oczywiście bardzo mi żal tej kobiety. Ona już nic nie czuje... I nie powiesiła się na sznurze, ale na wyzywających pończochach.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem. I udałoby się Chudemu zatuszować sprawę, tak samo jak wiele poprzednich samobójstw, do jakich doszło w jego burdelu, czyli ukryć gdzieś zwłoki lub wrzucić je do kanału, ale dziewczyna, która pierwsza zobaczyła panią Forester martwą, dostała histerii i wybiegła na ulicę. Krzyczała w kółko: „Powiesiła się! Powiesiła się!”, jakby postradała zmysły, tak że zwróciła na siebie uwagę policjantów, którzy zabrali ciało pani Forester do kostnicy w przytułku. Oczywiście matka Millie jako samobójczyni zostanie pochowana w zbiorowym grobie i żaden duchowny nie odprawi nad nim modłów za spokój jej duszy...

Powiem ci coś więcej. Otóż gdy dziś rano policjanci ponownie przyszli do burdelu, zobaczyli puste ściany. Dosłownie wszystko stamtąd zniknęło. Oczywiście nocne wyprowadzki z domów publicznych, kiedy zniknęło z nich wszystko, i ludzie, i rzeczy, zdarzały się już przedtem, ale to był jeden z większych burdeli. Podobno prostytutki przyjmowały klientów w dziesięciu czy nawet w kilkunastu pokojach. Boswell znowu wyjdzie z kłopotu obronną ręką. Nie musi się niczego obawiać. Rzecz jasna, dobrze wiedział, że gdyby dziś rano policjanci aresztowali go w tym domu i udowodnili mu,

iż zmuszał panią Forester do nierządu na miejscu lub sprzedał ją w tym celu na jakiś statek, to nie uniknąłby kary... Ludzie mówią, że on kolekcjonuje nie tylko młode kobiety i małe dziewczynki, lecz także cenne meble i zagraniczną porcelanę - głównie chińską. Trzeba przyznać, że ma dobry gust...

Mój Boże! Kiedy pomyślę, co pani Forester musiała przeżyć, zanim targnęła się na swoje życie, robi mi się niedobrze... Rozmawiałem dziś z jednym z wykidajłów pracujących w burdelu Wielkiego Joe. Otóż on twierdzi, że pani Forester jakoś się dowiedziała, iż zostanie wysłana na statek, i popełniła samobójstwo, zanim zdążyli się zorientować w sytuacji i podać jej narkotyk. Mój rozmówca był zadowolony, że Chudy zniknął z tej dzielnicy, bo podobno psuł Wielkiemu Joe opinię, gdyż ten nigdy nie zmuszał do prostytucji dzieci. - Ben potrząsnął głową.

- Aggie, nie uwierzysz, ale ten wykidajło mówił tak o Wielkim, jakby to był dobry i uczciwy człowiek. Niesamowite, co?

- Starczy tego gadania. Gęba ci się nie zamyka, zupełnie jak tej małej. Chodź do kuchni i ogrzej się.

- Nie jest mi zimno... Czy zatrzymasz tu Millie, jeśli urzędnicy się na to zgodzą?

- Nie cierpię urzędników i tych ich papierów, które podsuwają człowiekowi do podpisania - odparła wymijająco po chwili wahania.

- To zrozumiałe. Ale lepiej nie zwlekaj z pójściem do urzędu, żeby sami nie musieli cię szukać i nie zarzucili ci ukrywania dziecka. Twój przyjaciel z pewnością wystawi ci pochlebny opinię.

- Z pewnością! - powtórzyła za nim rozdrażniona. - W tej dzielnicy, tak jak wszędzie indziej są i źli, i dobrzy policjanci, a posterunkowy Fenwick należy do tych drugich. Zawsze był dla mnie życzliwy.

- Przecież ty też coś dla niego robisz. Mówisz mu o różnych sprawach. Głównie dzieją się tuż pod jego nosem, lecz on widzi tylko las, a nie poszczególne drzewa. Naprawdę odpłacasz mu za tę życzliwość.

- Jakie to dziwne... - Uśmiechnęła się. - Mówisz mi, że Annie to dobry człowiek, i na pewno tak jest, ale ja jej nie znoszę. Ja też ci mówię, że posterunkowy Fenwick to dobry człowiek, i wierzysz mi, jednak nie znosisz go tak samo jak ja Annie. Dziwne, prawda?

- Zgadza się. - Ben już miał dodać, że w obu przypadkach są powody do niechęci, ale rozmyślił się i zmienił temat. - Idę do Millie... Została nowym członkiem rodziny! Chyba mogę ją traktować jak młodszą siostrę?

- Nie możesz, bo nie jestem ani twoją ani jej matką. Właśnie otwierał drzwi do kuchni, ale odwrócił się i spojrzął na nią zaczepnie.

- Aggie, i z tego powodu należy ci się współczucie - powiedział sztywno.  
Te słowa dotknęły ją do żywego, bo trafiły w najczulszy punkt.

RS

## Część druga

### OPIEKUNKA DO DZIECI

#### ROZDZIAŁ 1

Nie martw się, Chłopczyño, wkrótce będziesz w domu i napijesz się herbaty. Potrafię zrobić herbatę i co tam jeszcze - przemawiała Millie do kucyka, głaszcząc go po pysku.

Przed dwoma laty nie powiedziałyby „co tam jeszcze”, tylko „inne rzeczy”. Jednak od chwili kiedy dowiedziała się, że jej matka umarła z powodu nagłej gorączki i że ona, córka, nie zobaczy zwłok, bo mogłyby się zarazić nieznaną chorobą, wiele się zmieniło. Przestała rozpaczać dopiero wtedy, gdy pozwolono jej uklęknąć przy nie poświęconym grobie i odmówić modlitwę. Stwarzała wrażenie pogodzonej z tym, że matka zniknęła z jej życia i że ona, Millie Forester, została oddana pod opiekę wysokiej otyłej kobiety, która na przemian strofowała ją i pieściła. Tylko mieszkający z Aggie Winkowski Ben niezmiennie był dla Millie serdeczny.

Dziewczynka najchętniej przebywałaby przez cały dzień w domu, pomagając w gospodarstwie, ale za namową opiekunki i Bena zaczęła chodzić do szkoły. Udawała się tam codziennie rano. Nie była to szkoła założona przez władze miasta, w której opłata wynosiła trzy pensy tygodniowo, czy szkoła prowadzona przez Kościół anglikański, za dwa pensy, lecz ta najtańsza, za pensa, kierowana przez metodystów. Gdy Millie zaczęła narzekać, że nauczyciele uczą tam tylko abecadła i rachunków, a większość czasu uczniowie spędzają na śpiewaniu pieśni religijnych i słuchaniu fragmentów Biblii, Ben powiedział coś, co ją zdumiało, a mianowicie z ironią poradził jej, by przeniosła się do szkoły bezpłatnej dla najbiedniejszych dzieci, bo wtedy nie będzie miała czasu na narzekanie, zmuszona drapać się bez przerwy z powodu pcheł i wszy. Teraz już wiedziała, że mówił prawdę, i było jej żal uczniów szkoły bezpłatnej, zwłaszcza że chodziło tam najwięcej dzieci w porównaniu z innymi szkołami. Z czasem zrozumiała też, dlaczego wielu dorosłych uczęszcza wieczorami właśnie do tej szkoły.

W ciągu dwóch minionych lat Millie dowiedziała się mnóstwo różnych rzeczy, a od jakiegoś czasu była zadowolona ze swojego życia, bo polubiła Aggie i jej dom. Oczywiście opiekunka wciąż ją strofowała, ale wyglądało na to, że i pani Winkowski potrafi się czegoś nauczyć. Zaczęła się liczyć ze zdaniem Bena, który powiedział jej, że najwyższy czas, by przestała krzyzczyć i gderać na Millie. Poza tym Aggie już nie wyprawiała się po stare

ubrania z ręcznym wózkiem, bo kupiła kucyka i wóz. Postarała się także o narzutę na kanapę oraz o dywaniki na podłogę w hallu i na schody. Ben zaś pokrył kamiennymi płytami całe podwórze i pomalował frontową ścianę domu i drzwi budynków gospodarczych. Stodołę zamieniono na magazyn starych ubrań, a pokój, w którym dotychczas je gromadzono, został wytapetowany i umeblowany starymi meblami. Millie uśmiechnęła się na myśl o tym, jak opiekunka narzekała na wszystkie zmiany, choć sama je wprowadziła. Zaraz jednak poczuła przyływ smutku, bo właśnie wtedy, gdy odbywały się te zmiany, pani Winkowski ją uderzyła, a na dodatek tak mocno, że dziewczynka upadła. Millie została w ten sposób ukarana za to, że nazwała panią Nelson cholerną krową a przecież powtórzyła to tylko za swoją opiekunką. Dzięki Bogu Aggie okazała skruchę i chcąc jakoś naprawić błąd, zabrała Millie do miasta, by kupić dziewczynie nowy kapelusz. Pozwalała jej wkładać go tylko w niedzielę: W dni powszednie zaś kazała nosić czepkę i chować pod nim włosy. Millie lubiła chodzić w czepku, tak samo jak w sięgającym jej do kostek szarym płaszczu, bo wyglądała w tym stroju inaczej niż zwykle. Nie czuła się w nim jak Millie Forester, której rodzice umarli i która nie miała na świecie nikogo bliskiego oprócz tej tęgiej kobiety oraz nastolatka o krótkich nogach, lecz jak księżniczka w przebraniu, przebywająca wśród prostych ludzi i okazująca im życzliwość. Myślała tak o sobie głównie przed zaśnięciem, bo w ciągu dnia nawet nie miała na to czasu.

Millie była zadowolona, że pani Winkowski nie chodzi już po stare ubrania do The Courts, lecz że mieszkające tam dzieci przynoszą je w zamian za cukierki. Odpowiadało jej także to, iż handel odbywa się nie na podwórzu, ale w stodole oraz że Aggie dostaje teraz większość używanych rzeczy od ludzi mieszkających w zasobniej szych domach i w lepszych dzielnicach. Dziewczynka czuła, że handel rozwija się pomyślnie. Ben nazywał to zagospodarowywaniem nowego obszaru możliwości, natomiast jej bardziej podobało się określenie „poszerzanie pola działania”. Znała je z podręcznika zawierającego zbiór wyrażen i zwrotów. Wydawało się jej, że ma ono coś wspólnego z Bogiem, jak wszystkie czytane przez ludzi książki. Sądziła też, że wszyscy ludzie się modlą, oczywiście z wyjątkiem dzieci uczęszczających do szkoły bezpłatnej i tych z The Courts, których było strasznie dużo. Jednak w pewnym momencie zorientowała się, że ani Aggie, ani Ben i jego narzeczona, Annie, nie odmawiają modlitw. Millie, w przeciwieństwie do swojej opiekunki, lubiła Annie. Nurtowało ją pytanie, dlaczego pani Winkowski nie darzy tej młodej kobiety sympatią. W końcu doszła do wniosku, że być może dlatego, iż Annie jest chuda i raczej

brzydka. Ale narzeczona Bena odznaczała się miłym usposobieniem i pogodą ducha. Kiedy ostatnim razem Ben zabrał do niej Millie, jak zwykle w tajemnicy przed Aggie, młoda kobieta tańczyła, wystukując rytm chodakami, do melodii granej przez nastolatka na fujarce. Millie podobała się jego gra. Ben i Annie lubili się nawzajem, ale ona była od niego starsza. Miała dwadzieścia cztery lata. Ta kobieta wydawała się Millie bardzo stara. Annie pracowała w fabryce za osiem szylingów tygodniowo. Millie też już zarabiała. Towarzyszyła pani Winkowski podczas wypraw po używane ubrania. Opiekunka nazywała ją swoją pomocnicą i dawała jej szylinga tygodniowo za pilnowanie kucyka, wozu i przewożonej na nim odzieży. Zwłaszcza dzieci mogły ukraść jakieś ubrania, gdyby nikt nie czuwał przy wozie i kucyku.

W tej chwili Aggie była na podwórzu jednego z zasobniejszych domów, w którym służąca zawsze odkładała dla niej stare ubrania, nigdy nie żądając za nie więcej niż szylinga. Głównie były to stroje po dwóch córkach gospodarzy, rówieśnicach Millie, dzięki czemu dziewczynka mogła liczyć na ładne sukienki - lecz tylko wtedy, jak żartowała Aggie, gdy miała czysty nos. A Millie zawsze miała czysty nos.

Odwróciła się od kucyka i spojrzała na boczną bramę. Ogrodzenia wszystkich domów na tej ulicy miały boczne bramy. Z miejsca, w którym Millie stała, nie było widać dużego domu z czerwonej cegły, z drzwiami od frontu i z tyłu, bo zasłaniały go drzewa. Millie bardzo chciała mieć taki dom i pocieszała się, że może w przyszłości będzie ją na to stać. A gdyby okazało się, że tak, nakłoniłaby panią Winkowski do przeniesienia się tam wraz z nią, choć pewnie opiekunka zgodziłaby się na przeprowadzkę tylko wtedy, gdyby już nie miała siły handlować starzyzną.

Nagle parsknięcie kucyka wyrwało Millie z marzeń. Odwróciła się w stronę drogi i zeszywniała na widok zmierzającego ku niej szybkim krokiem mężczyzny. Uśmiechał się, ale ona popędziła do bocznej bramy i wysadzaną krzewami alejką wbiegła na podwórze.

Pani Winkowski stała przy drzwiach domu i wręczała coś służącej.

- Pani Aggie! Ten mężczyzna! Ten mężczyzna! Stoi... na ulicy! - krzyknęła.

Opiekunka natychmiast podniosła z ziemi wiklinowy kosz z ubraniami, skinęła głową służącej i mamrocząc słowa pożegnania, w pośpiechu ruszyła do kucyka i wozu.

- Nikogo tu nie ma - orzekła, rozejrzawszy się po ulicy.

- Pani Aggie, był tu. Był... To ten sam, który... który kiedyś zdjął mi czepkę z głowy, a wcześniej spytał mnie, czy... czy nie miałabym ochoty wybrać się z nim na targ. Był wtedy w towarzystwie jakiejś damy.

- Wsiadaj.

Millie przytrzymała się poręczy wokół siedzenia, oparła stopę na stopniu i niemal wskoczyła na wóz.

Aggie nie powiedziała jak wcześniej, gdy śledził je ten mężczyzna: „To przekracza wszelkie granice. Następnym razem usiądę z tyłu, a ty będziesz powozić, żeby go zwabić”, lecz szarpnęła za cugle i zmusiła kucyka do kłusu.

Po dwudziestu minutach wjechała na podwórze domu. I ona, i Millie przez całą drogę milczały. Obie zdawały sobie sprawę, że sytuacja jest poważna, choć dziewczynka nie wiedziała, o co konkretnie chodzi.

- Wejść do domu - powiedziała Aggie Benowi, gdy podszedł do wozu, by pomóc im wysiąść.

- O? - Spojrzał na nią zdziwiony, lecz nie ruszył od razu do drzwi, tylko wziął Millie za rękę, bo chciała zeskoczyć ze stopnia. Kiedy stanęła na ziemi, zerknął na wyładowany starzyzną wóz. - Wygląda na to, że miałyście udany dzień. Co się stało?

- Ten mężczyzna... ten, którego się kiedyś przestraszyłam, szedł do mnie, gdy czekałam przed domem. Uśmiechał się, ale ja wbiegłam na podwórze i powiedziałam o nim pani Aggie.

Ledwie skończyła, Ben ruszył pospiesznie do kuchni. Aggie już zdjęła palto oraz kapelusz i siedziała na ławie.

- Coś trzeba z tym zrobić - powiedziała do wchodzącego Bena, ale gdy zobaczyła z tyłu za nim Millie, skinęła na nią. - Rozbierz się i przygotuj tacę z jedzeniem. - Widząc, że dziewczynka się waha, warknęła: - No już! Żeby nie musiała dwa razy powtarzać.

Urażona Millie natychmiast skierowała się do drzwi.

- Przybiegła do mnie na podwórze biała jak kreda. Przeczuwa, że on chce ją porwać. Coś trzeba z tym zrobić. Nie jestem w stanie bardziej jej pilnować, w dzień i w nocy. Stała sama obok wozu niecałe pięć minut. Och, nie, tylko nie to... - Potrząsnęła głową. - Służąca już miała przygotowany dla mnie tobołek. Spakowała dużo rzeczy... ubrania po starszym panu, któremu się zmarło, i sukienki po dziewczynkach. Dałam jej za to wszystko dwa i pół szylinga. Była zadowolona. Nawet nie zdążyła powiedzieć słowa, gdy Millie wbiegła na podwórze. - Aggie westchnęła ciężko. - Ben, co ja mam zrobić?

Stał naprzeciwko niej, zaciskając dłoń na obramowaniu kominka.



- Nie powinna tu mieszkać. Już ci to mówiłem. Wcześniej czy później on lub któryś z jego wrednych kumpli wykradnie ją stąd. A swoją drogą wciąż się zastanawiam, jak się dowiedział, że to córka pani Forester. Niech Bóg ma Millie w opiece! Wszystko na to wskazuje, że mała bardzo mu odpowiada w roli, jaką jej wyznaczył, ale ona jest przecież córką prostytutki i mordercy.

- Żona pastora nie napisała, że ojciec Millie kogoś zamordował, tylko że spowodował czyjąś śmierć.

- Nie zostaje się skazanym na dwanaście lat więzienia za złamanie komuś szczęki czy podbicie oka. To dziwne, że nie odpisała ci na list, w którym pytałaś, co konkretnie zrobił, że dostał tak wysoki wyrok. I chyba nie zapomniałaś, że w tym liście spytałaś ją także o to, czy nie zechciałaby się zaopiekować Millie. No i proszę, żona pastora nie zechciała. Najwidoczniej jej religia chrześcijańska nie nakazuje robić takich rzeczy.

- Niech ją piekło pochłonie! - Aggie uderzyła pięścią w ławę i dodała z oburzeniem: - Gdyby była prawdziwą przyjaciółką matki Millie, nie musiałabym dziś borykać się z tym łajdakiem.

- Poślij małą do szkoły z internatem.

- A jaką mam gwarancję, że on jej stamtąd nie wykradnie? Mógłby odpowiednio ubrać jedną ze swoich dziwek i posłać ją tam jako damę, która przysłała w odwiedziny do Millie.

- Przecież nie musi się dowiedzieć, gdzie mała jest. Gdyby na przykład była to szkoła prowadzona przez zakonnice...

- Przez zakonnice? - Aggie wstała z ławy. - Nigdy. Dziwię się, że wyskoczyłeś z tym pomysłem.

- Sądziłem, że chciałabyś tak samo jak twój przyjaciel Fenwick należeć do ich „famili”.

- On nie należy do ich „famili”, a w każdym razie nie w tym sensie, o jaki ci chodzi. To człowiek zasługujący na poważanie. Wśród nich też są tacy ludzie.

- Niemniej jednak katolik to katolik. Dziwię się, że dostał pracę w policji, nie ukrywając swojego wyznania. Sama wiesz, co wszyscy o nich myślą.

- Wiem także, co myślą o protestantach, baptystach, metodystach, abstynentach i im podobnych, którzy uwielbiają prawić innym morały, ale nie wiedziałam, że ty również do nich należysz.

- Ja? Znasz mnie i wiesz, że należę do tych, którzy świecą Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Za pensa oddałbym temu ostatniemu duszę.

- Och, przestań dowcipkować, tylko poważnie się zastanów, co robić.

- Mówię całkiem serio, że powinnaś ją dokądś wyprawić, jeśli nie chcesz, by skończyła tam gdzie jej matka. Najlepsze miejsce dla Millie to szkoła z internatem, a najbliższą taką szkołę prowadzą zakonnice... Nie miej takiej oburzonej miny... Spytałaś mnie o radę, więc mówię to, co myślę. Pamiętasz, że sprawdziłem wszystkie szkoły - poczynając od bezpłatnej, a kończąc na tej, w której płaci się za tydzień cztery pensy. Nie tylko przyjrzałem się dzieciom, ale i podsłuchałem matki rozmawiające w hallu z nauczycielami o zaginięciu ich córeczek po wyjściu do szkoły. Porywani są również chłopcy. To granda, ale, jak wiesz, dzieci znikają od lat. Jednak dotychczas klasa średnia i wyższa zdawały się tego nie zauważać. Dopiero ostatnio niektóre damy próbują jakoś temu zaradzić. Z tego, co ludzie mówią wynika, że nawet nie warto powiadamiać o zaginięciu dziecka policji. Tylko parlament mógłby coś z tym zrobić, uchwalając jakąś surową ustawę, która zdołałaby położyć temu kres... - Zaczepnął powietrza. - Chciałbym zobaczyć tych wszystkich łotrów, którzy porywają dzieci, na szubienicach. - Poruszył się nerwowo. - Aggie, posłuchaj mojej rady i oddaj Millie do szkoły z internatem.

- Do jakiej szkoły z internatem? - Millie weszła z tacą. Postawiła ją na stole i spojrzała zdziwiona na Aggie i Bena. - O czym wy mówicie?

- Chodź tu, skarbie. - Aggie wskazała na kanapę. Gdy Millie usiadła, zajęła miejsce obok niej i wzięła ją za rękę. - Boisz się tego mężczyzny, prawda?

Dziewczynka spuściła głowę.

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Spojrzała na Aggie. - Bo... - zastanawiała się przez chwilę - nie podoba mi się jego twarz i... sposób, w jaki trzymał mnie za rękę, gdy po raz pierwszy do mnie podszedł. A wtedy gdy mnie zaczepił, będąc w towarzystwie jakiejś damy... Nie, to nie była dama, bo wyrażała się pospolicie. Nazwała mnie złotkiem... Powiedziałam mu, że zacznę krzyczeć. Gdy nadeszli jacyś ludzie, puścił mnie, a ja uciekłam. Nie... nie wiem... przeniosła spojrzenie na Bena - dlaczego się go boję. Po prostu się boję. Ani on, ani ta kobieta nie wyglądali na... całkiem zwyczajnych, ale nie wiem... - Pokręciła głową. - Nie podoba mi się, a zwłaszcza on. Ma wstrętną twarz i sztuczny uśmiech.

- Kochanie, skończyłaś już dziewięć lat i jesteś mądrą dziewczynką, więc będę rozmawiała z tobą otwarcie. To zły człowiek, bardzo zły. Gdyby nie on, twoja matka żyłaby nadal.

- Ale przecież powiedziała mi pani, że umarła, bo dostała wysokiej gorączki...

- Tak, lecz zachorowała z jego powodu.

- W jaki sposób można z czyjegoś powodu dostać gorączki?

- Obawiam się, że jesteś za mała, by to zrozumieć. Gdy... gdy będziesz starsza, wszystko... wszystko ci wyjaśnię. A teraz chciałabym wiedzieć, czy poza tym, że ten mężczyzna zapraszał cię na targ, proponował ci coś jeszcze?

- Nie. Natomiast ta kobieta chciała mnie zabrać do sklepu, żeby mi pokazać, jak wyglądają nowe sukienki. Powiedziała, że są zupełnie inne niż te... - Millie spuściła wzrok - śmierzące szmaty z wozu. - Umilkła, a ponieważ zapanowała niezręczna cisza, sama ją po chwili przerwała. - A ten mężczyzna nazwał mnie bardzo dziwnie. Zachowałam to dla siebie, bo też odnosi się do starych ubrań.

- Nie krępuj się - zachęciła ją Aggie.

- Nazwał mnie nimfą w łachmanach. Powiedział na powitanie: „Witaj, nimfo w łachmanach”.

- Nimfą?

Aggie spojrzała na Bena, a Ben na Millie. Najwyraźniej nie znali tego słowa.

- Nimfy to postacie z baśni - wyjaśniła Millie. - Opowiada o nich jedna z moich ksiązek. Żyją w lasach i tańczą wokół muchomorów.

Aggie i Ben niemal równocześnie zaczerpnęli powietrza.

- Dziecino, słuchaj mnie uważnie. - Opiekunka ponownie wzięła ją za rękę. - Ten mężczyzna poluje na sposobność zabrania cię od nas. To istny diabeł, a my nie jesteśmy w stanie pilnować cię przez cały czas. Ben odprowadza cię do szkoły i przyprowadza z niej do domu, lecz są chwile, kiedy nie ma z tobą nikogo, a źli ludzie są bardzo przebiegli. Jeśli dziś, gdy ten mężczyzna podchodził do ciebie, nie zostawiłabyś kucyka i nie przybiegła do mnie na podwórze, już by tu ciebie nie było. Więc co nam pozostaje? Chcę dla ciebie jak najlepiej. W pewnym sensie należysz teraz do mnie i do Bena. I ja, i on... - zawahała się, bo jakoś nie potrafiła się zdobyć na wypowiedzenie słów: „kochamy cię” - troszczymy się o ciebie. Nie chcemy, by przydarzyło ci się coś złego, więc pomyśleliśmy, że przez jakiś czas powinnaś chodzić do takiej szkoły, z której nie wraca się po lekcjach do domu, lecz nocuje w internacie. Tam ten mężczyzna cię nie znajdzie.

- Och, pani Aggie! Nie chcę chodzić do takiej szkoły. Dlaczego nie pójdzie pani na policję?

Gospodyni spojrzała bezradnie na Bena. Przykucnęła obok Millie.

- Ten mężczyzna jeszcze nic ci... nie zrobił, nie da się udowodnić, że usiłował cię porwać, więc nie można mu wytoczyć procesu. Posterunkowy, który jest przyjacielem Aggie, wie, że ten mężczyzna cię śledzi, ale policja nie ma przeciwko łobuzowi żadnych dowodów, choć od lat stara się je zdobyć w różnych sprawach. Trzeba przyłapać tego drania na gorącym uczynku. Rozumiesz?

- Tak... - Skinęła głową. - Och, Ben... Nie chcę odchodzić, to znaczy... - Umilkła na chwilę. - Nie chcę opuszczać tego domu, bo... jest mi bardzo drogi... Czy nie dbam o porządek? - Spojrzała na Aggie, ale opiekunka odwróciła głowę, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem.

- Aggie to docenia - odpowiedział Millie Ben. - Jest tu teraz jak w pałacu. - Uśmiechnął się do niej serdecznie. - Nigdy przedtem nie było w tym domu tak czysto. Potrafisz wspaniale pracować i pieczesz najlepsze na świecie bułeczki z rodzynkami. Och, skarbie. - Poglaskał ją po policzku. - Będzie nam ciebie brakowało, ale spędzisz tu każde święto, no i letnie wakacje. Prawda, Aggie, że w tej szkole są letnie wakacje?

Gospodyni bąknęła coś pod nosem i w pośpiechu wstała z kanapy.

- Wszystko jasne, więc siadajmy do stołu. Od śniadania nie miałam nic w ustach - dyplomatycznie zmieniła temat.

- Nie uwierzę! - powiedział ze śmiechem Ben. - A ty, Millie? Dziewczynka siedziała z pochyloną głową. Nie miała ochoty na żarty.

Ben poglaskał ją po włosach.

- Wszystko będzie dobrze. Przekonasz się. No i, jak to ludzie określają, zdobędziesz wykształcenie. Będiesz mogła patrzeć na nas z góry.

- Nigdy. - Uniosła głowę. Z jej oczu płynęły łzy. - Nigdy nie będę patrzyła z góry ani na ciebie, ani na panią Aggie!

- Wiem, moja droga. Akurat tego jestem pewny. A teraz usiądź przy stole. Ja też jestem głodny jak wilk. Najpierw spałaszujemy flaczki, a potem napijemy się herbaty. Bardzo lubię flaczki. A ty?

- Ja nie za bardzo.

- Nie wydziwiał! Przynieś je ze spiżarni! - popędził ją. Gdy zniknęła za drzwiami, podszedł do Aggie, która stała odwrócona do kominka, i poklepał ją po ramieniu.

- Podjęłaś najlepszą z możliwych decyzję. Wykształcenie, jakie Millie zdobędzie w tej szkole, pozwoli jej na powrót stać się tym, kim była, zanim się tu znalazła. A wiesz, dlaczego tak uważam? - Pochylił się i szepnął jej do ucha: - Absolutnie nie przestała mówić o „popisach cholernej starej

krowy", a kiedyś słyszałem, jak nazwała Chłopczynę cholernym głupim osłem, gdy kopnął wiadro z paszą.

- Niemożliwe! - Aggie odwróciła się do niego.

- To prawda.

- Zatem... - spojrzała na niego z powagą - może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Módl się o to, żebym miała rację.

- Aggie, chyba dostałaś hyzia. Przecież Bóg nie ma dla nas czasu. Jest zajęty patrzeniem na ręce ludziom z Armii Zbawienia. Na jego pomoc można czekać z taką samą nadzieją jak na nawóz od konia na biegunach.

Popchnęła go na ławę.

Gdy Millie weszła z powrotem do kuchni, siedzieli na ławie, śmiejąc się w kułak. Ta kobieta i ten mężczyzna to byli najdrożsi jej ludzie, a niebawem miała się z nimi rozstać. Poczula ucisk w gardle, jak wtedy gdy przed zaśnięciem przywoływała w pamięci zacierające się wspomnienia odległej przeszłości, w której były chwile szczęścia, ale i rozpacz. Wytężyła umysł, usiłując połączyć je w jakąś zrozumiałą całość, lecz, niestety, przychodzące jej do głowy myśli nie tłumaczyły niczego. Wtedy zaczynała płakać. Nie tłumiała łkania, bo pani Winkowski chrapała zbyt głośno, by te odgłosy mogły ją obudzić.

Gdy z gardła Millie wyrwał się szloch, Aggie i Ben natychmiast spoważniali. Wybiegła z pokoju tak szybko, że nie zdążyli nic powiedzieć.

- Pozwól się jej wypłakać! - Aggie powstrzymała Bena, który chciał pobiec za dziewczynką. - To rozstanie będzie ją kosztowało jeszcze więcej niż poprzednie.

## ROZDZIAŁ 2

Klasztor zgromadzenia zakonnego pod wezwaniem Chrystusa Zbawiciela znajdował się w Benton Fields - lepszej dzielnicy miasta. Aggie przechodziła tędy wiele razy, więc wiedziała, że otaczający posesję kamienny mur jest u góry zabezpieczony tłuczonym szkłem, a podwójna drewniana brama należy do solidnych. Chcąc się dostać do środka, trzeba było pociągnąć za sznur poruszający duży metalowy dzwonek, umieszczony z boku bramy. Aggie właśnie to zrobiła i po chwili po raz pierwszy w życiu zobaczyła w oddali budynek klasztoru. Przyszła tu wraz z Millie. Otworzyła im zakonnica tak szczelnie okryta habitem, że widać było tylko jej oczy, nos i usta. Gdy zarygłowała bramę, natychmiast wsunęła dłonie do rękawów i poprowadziła kobietę z dzieckiem żwirową alejką, która wiodła przez wypiełgnowany, pokrywający cały dziedziniec trawnik. Liczba okien w ścianie frontowej świadczyła o tym, że budynek jest dość pojemny, bo na parterze i na piętrze było ich w sumie dwanaście, a na poddaszu jeszcze więcej, tyle że mniejszych.

Zakonnica w milczeniu otworzyła szerokie dębowe drzwi i wprowadziła Aggie i Millie do hallu o kamiennej posadzce. Stała tu wielka figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku, a ponad nią na ścianie wisiał równie wielki krucyfiks. Głowa przybitego do krzyża Chrystusa była pochylona pod takim kątem, że wydawało się, iż Ukrzyżowany spogląda na siebie samego jako na dziecko w ramionach matki. Poza tym w hallu znajdowało się wiele drzwi.

Zakonnica podeszła do jednych z nich, zapukała, a gdy usłyszała: „Proszę”, otworzyła i stanęła w progu.

- Wielebna matko, przyszła pani Winkowski - powiedziała cichym głosem.

Aggie oderwała oczy od krucyfiks i spojrzała na zakonnice - jej uwagę przyciągnął dźwięk własnego nazwiska, które tak rzadko słyszała. Spodziewała się, że siostra odwróci w jej stronę głowę, jednak ta spowita w czerń mniszka nadal stała nieruchomo w progu, przymknawszy powieki, jakby była zawstydzona. Za moment skinęła głową przełożonej, delikatnie zamknęła drzwi i ruszyła do innych drzwi.

Aggie weszła wraz z Millie do gabinetu matki przełożonej.

- Pani Winkowski, proszę usiąść.

Posterunkowy Fenwick powiedział Aggie, że matka przełożona to na wpół cudzoziemka, chyba Francuzka po ojcu lub matce, ale mimo to miła i bardzo świątobliwa.

Aggie opadła na drewniane krzesło i przyciągnęła do siebie Millie.

- Miło mi panią poznać, pani Winkowski - zaczęła z uśmiechem siedząca za biurkiem zakonnica. - Jak rozumiem, chce pani oddać wychowankę pod naszą opiekę...

Aggie zwróciła uwagę, że nie powiedziała „pod moją opiekę”.

- A to znaczy, że Bóg też będzie się nią opiekował. Ile ma lat? - Zerknęła na leżącą na biurku kartkę. - Ach, dziesięć... Prawda, Millie?

- Tak, niedawno skończyłam dziesięć lat.

- Masz dobrą czystą wymowę - orzekła, jakby nieco tym zaskoczona. - Cieszę się, bo to znaczy, że nauka nie powinna ci sprawiać kłopotów. Do jakiej szkoły chodziłaś? Czy do niedzielnej, prowadzonej przez Kościół anglikański?

- Tak, ale nie tylko. - Skinęła głową. - Oprócz tego pani Aggie... - zerknęła na opiekunkę - posyłała mnie do szkoły, w której opłata wynosi pensa za tydzień.

- Do tej prowadzonej przez metodystów lub anglikanów? Bo chyba nie była to szkoła katolicka?

- Nie była katolicka, proszę pani. Prowadzą ją metodyści.

- Rozumiem. - Matka przełożona spojrzała na Aggie. - Zatem ona nie ma pojęcia o religii?

- Nie powiedziałabym tego, proszę pani. Zarówno metodyści, jak anglikanie głoszą Ewangelię.

- Oczywiście, ale mnie chodzi o religię katolicką.

- Nie, nie ma pojęcia. A czy powinna? To znaczy, chciałam powiedzieć, czy mogła się z nią zapoznać? Bo, o ile wiem, jej rodzice nie byli katolikami.

- Jak rozumiem, opiekuje się nią pani od dwóch lat?

- Tak.

- Jestem pewna, że to bardzo posłuszna dziewczynka... Matka przełożona zwróciła uśmiechniętą twarz ku Millie, ale miała nie odwzajemniła uśmiechu, tylko wpatrywała się w nią z powagą swymi niezwykle szarymi oczami. Zresztą nie tylko oczy miała niezwykle. Na własne nieszczęście była piękną dziewczynką, zbyt piękną. Matka przełożona wiedziała już o jej nieprzeciętnej urodzie od księdza Dolana i od posterunkowego Fenwicka. Jednak uważała, że w tym miejscu Millie Forester będzie bezpieczna, że nie spotka jej tu żadna niegodziwość. Spojrzała na Aggie.

- Pani Winkowski, wreszcie pani odetchnie, bo dziewczynka będzie tu dobrze chroniona. Nie musi się pani obawiać, że zetknie się z jakimiś niepożądanymi ludźmi. Myślę, że zgodzi się pani ze mną, iż dla jej dobra w

ogóle nie powinna opuszczać tego miejsca. Mogłaby pani przychodzić tu raz w miesiącu na godzinę. Jak sądzę, zgodzi się pani ze mną, że to roztropna rada?

Mówiła tak, jakby w ogóle nie liczyła się z uczuciami Millie.

- Raz w miesiącu na godzinę? To straszne. Obiecała mi pani, że będę spędzała w domu wszystkie święta i przerwę w nauce...

- Dziewczynka spoglądała na Aggie pytająco.

- Skarbie, będziesz spędzała w domu święta i wakacje. Będziesz - zapewniła ją opiekunka i oznajmiła matce przełożonej:

- Trzy razy w roku Millie musi być w domu, bo inaczej nie zdecyduję się jej tu zostawić.

- Ale wtedy pani będzie ponosiła za nią odpowiedzialność. Ja chcę tylko panią zapewnić, że tu gwarantujemy jej pełne bezpieczeństwo. I oczywiście będzie miała właściwe koleżanki.

- Nie wątpię, ale proszę mnie zrozumieć - odparła nieustępliwie Aggie. - Chciałabym widywać Millie przynajmniej raz na dwa tygodnie, choćby tylko przez godzinę, i uważam, że powinna tak jak inne dziewczynki spędzać święta i wakacje w domu.

- Jeśli tak pani sobie życzy - odezwała się matka przełożona po długiej chwili milczenia.

- Tak, proszę pani, bo to ja będę płaciła czesne, prawda? Chyba zgodzi się pani ze mną, że szesnaście pensów tygodniowo to dużo?

Matka Francis przyglądała się badawczo tej otylej i niezbyt schludnej kobiecie. Oto co wynikało z zadawania się z plebsem. Nielatwo było pamiętać, że stworzył tych ludzi ten sam Bóg i że domagał się, by traktować ich wyrozumiale. Przełożona modliła się w myślach o to, by potrafiła okazać tej kobiecie sympatię i życzliwość.

- Nie mam co do tego wątpliwości, że dla pani to duża suma, ale dobre wykształcenie kosztuje. Poza tym dziewczynkę trzeba wyżywić i wyposażyć w szkolny uniform z kapturem oraz w nocną bieliznę... Pani Winkowski, czy pani chodziła do szkoły? - zakończyła raczej mało delikatnie, jakby Bóg nie pomógł jej wyzbyć się do końca protekcyjnego tonu wobec prostej kobiety i właściwie zareagować na odpowiedź, którą usłyszała.

- Chodziłam do szkoły, proszę pani, od piątego do dziesiątego roku życia, codziennie. I od dzieciństwa umiem czytać. Znam na pamięć katechizm, a także duże kawałki Biblii. Być może jestem w błędzie, ale wydaje mi się, że pani jej nie przeczytała.



- Obawiam się, że rzeczywiście jest pani w błędzie, przynajmniej co się tyczy niektórych spraw - odparła sztywno przełożona. - A co do Biblii, to powinni ją czytać tylko ci, którzy potrafią zrozumieć różne rzeczy, bo są tam fragmenty mogące być mylnie zinterpretowane przez osoby nie dość inteligentne czy wykształcone.

- To znaczy nie należy dopuścić, by ludzie zbyt dużo wiedzieli o swojej ułomnej naturze, prawda? I o tym, że ci, których nazywamy świętymi, wcale nie byli ponad ludzką miarę... Ta dziewczynka... - Aggie zmieniła temat w stosownym momencie, więc matka przełożona nie musiała jej przerywać - już przeczytała

Biblię od deski do deski, tak jak wiele innych książek. Ludzie są bardzo różni... - Nie potrafiła się opanować i dodała: - Zdumiewające, że wśród tych niewykształconych zdarzają się osoby, które naprawdę dużo wiedzą i rozumieją. Zdumiewające.

Matka przełożona uznała, że pora skończyć tę rozmowę, i wstała z krzesła.

- Pani Winkowski, może pani bez najmniejszych obaw powierzyć nam swoją wychowankę. Poza tym jestem przekonana, że będę miała dla pani pomyślnie wiadomości, gdy przyjdzie tu pani w odwiedziny do Millie za... dwa tygodnie, powiedzmy o trzeciej po południu. Odpowiada to pani?

- Tak - potwierdziła Aggie, która również wstała z krzesła i odwróciła się do Millie.

Gdy zobaczyła wyraz jej twarzy, była bliska złamania postanowienia i zabrania dziewczynki do domu. Jednak w ostatniej chwili doszedł w niej do głosu rozsądek, więc pochyliła się i na pożegnanie wzięła małą w ramiona. Czując, jak rozpaczliwie Millie się do niej przytula, z najwyższym wysiłkiem powstrzymała łzy. Szeptem, który zdradzał wielkie wzruszenie, powiedziała:

- Wszystko będzie dobrze. A jeśli ci się tu... nie spodoba pomyślimy o innym miejscu. Wystarczy, że mi powiesz. Słyszysz? Absolutnie wystarczy.

Pochyliła się jeszcze bardziej i pocałowała Millie w policzek, a ona objęła ją za szyję i odwzajemniła pocałunek. Aggie po raz pierwszy dała w ten sposób wyraz łączącym ją z dziewczynką uczuciom.

A ponieważ coraz trudniej przychodziło jej zapanować nad wzruszeniem, odsunęła Millie i pospiesznie wyszła z gabinetu matki przełożonej, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Gdyby matka przełożona nie wyszła szybko z za biurka i nie wzięła Millie za rękę, dziewczynka wybiegłaby za opiekunką.

- Wszystko będzie dobrze. Usiądź. Pani Winkowski jest zdenerwowana. Wydaje mi się, że bardzo ciebie lubi. A ty ją lubisz? - Potrząsnęła dzwonkiem.

- Lubię? - powtórzyła za nią dziewczynka. Po jej policzkach płynęły łzy.  
- Ja ją... kocham. Ją i Bena.

- Bena? Kto to jest?  
- To młody mężczyzna, który u niej mieszka. Zaopiekowała się nim, gdy był małym chłopcem.

- Aha... Pani Winkowski to dobry człowiek.

- I wspaniale wygląda.

Ta niedomyta, otyła kobieta wspaniale wygląda? Zakonnice zdumiał bezkrytyczny stosunek Millie do opiekunki. Już raczej zgodziłyby się z tym, że Aggie Winkowski jest inteligentna, choć nie bardziej niż wielu innych przedstawicieli biedoty, z którymi matka przełożona zetknęła się do tej pory. Może jednak nie należało zaliczać Aggie Winkowski do biedoty, skoro było ją stać na zapłacenie czesnego w tej szkole? Widocznie handel starzyzną to zyskowny interes... Ale Millie, będąc podopieczną handlarzki starzyzną, absolutnie nie wyglądała na dziecko plebejskie. Jej akcent i zachowanie świadczyły o tym, że pochodzi z kulturalnego środowiska. Zakonnica postanowiła dowiedzieć się o malej czegoś więcej, niż był w stanie powiedzieć jej ksiądz Dolan, który wiedział tylko tyle, że matka Millie umarła tuż po przyjeździe do Manchesteru z powodu nagłej gorączki. Z kolei pastora Dolana poinformował o tym posterunkowy Fenwick. Zatem najwidoczniej ojciec Millie również nie żyje i nie ma ona żadnych krewnych.

Zakonnica ponownie potrząsnęła dzwonkiem, tym razem bardziej natarczywie.

- Wielebna matko, pani Winkowski była tak roztrzęsiona, że zamiast alejką szła przez trawnik. Musiałam ją zaprowadzić do bramy - odparła ze skrucą zakonnica, wreszcie się zjawiwszy.

- Nic się nie stało, siostró Aloysius. - Co teraz robi klasa siostry?

- Uczą się szyć, wielebna matko.

- Nasza rodzina powiększyła się o nową osobę... o Millie Forester. Nie pomyliłam się? - Zerknęła na dziewczynkę.

- Nie. Tak się nazywam... Millie Forester.

Siostra Aloysius była zaskoczona, jak wcześniej matka Francis, sposobem wystawiania się nowej uczennicy. Ale jej zaskoczenie okazało się jeszcze większe, gdy wyciągnęła rękę do dziewczynki, ta zaś zignorowała ten gest i pierwsza ruszyła do drzwi.

- Najpierw musisz spytać matkę przełożoną, czy możesz wyjść. Powinnaś powiedzieć: „Matko przełożona, czy mogę wyjść?” - zatrzymała Millie.

- Po co? Przecież wiadomo, że mam wyjść...

Siostry wymieniły spojrzenia i matka Francis skinęła głową, dając znak zakonnicy, że może opuścić gabinet wraz z tym opornym dzieckiem.

Jeśli uważały, że Millie zachowuje się dziwnie, to dla niej ich zachowanie i sposób, w jaki została wprowadzona do społeczności klasztornej oraz przedstawiona nowym szkolnym koleżankom, były jeszcze bardziej dziwne.

RS

## ROZDZIAŁ 3

W ciągu pierwszego tygodnia pobytu w klasztorze wszystko było dla Millie odpychające. W prowadzonej przez zakonnice szkole uczyło się wraz z nią osiemnaście dziewczynek - od szóstego do dwunastego roku życia. Spały w dwu salach, podzielonych drewnianymi ściankami na przegrody, w każdej mieściło się wąskie żelazne łóżko i komódka. Przegrody były tak ciasne, że nawet nie starczało miejsca na krzesło.

Pierwszego dnia pobytu w klasztorze Millie została poinformowana, jak należy się przebierać do snu i w jakiej pozycji spać. Siostra Mary dopilnowała tego. Kazała jej rozebrać się do naga, ale nie patrzeć na swoje ciało, i wciągnąć przez głowę długą nocną koszulę z perkalu, następnie zaś położyć się na łóżku na plecach i wyprostować nogi oraz ręce. A gdy Millie oświadczyła, że nigdy dotychczas nie zasypiała w takiej pozycji, i usiłowała zademonstrować swoją ulubioną, przekręciwszy się na bok i podciągnawszy kolana, została w nie uderzona przez siostrę Mary kantem dłoni tak mocno, że krzyknęła z bólu. Osłupiała z powodu takiego potraktowania i przyrzekła sobie, że jutro rano stąd ucieknie. Nie obchodziło jej, że poza klaszturem nie może się czuć bezpieczna z powodu śledzącego ją mężczyzny o diabelskim charakterze i fałszywym uśmiechu. Postanowiła sama pójść na policję i powiedzieć o jego zamiarach. Wiedziała, że nie zaśnie. Była nie tylko zdenerwowana, ale i głodna. O piątej dostała straszny podwieczorek: dwie kromki chleba ze smalcem oraz kawałek suchego ciasta i kubek mleka. Później nie dawano tu już nic do jedzenia. Przed pójściem do łóżka - dopiero o wpół do ósmej - można było tylko napić się wody, no i należało długo modlić się na klęczkach w kaplicy. To było nie do wytrzymania... Wiedziała, że nie zaśnie... Jednak zasnęła.

Rano obudził ją przerażający dźwięk dzwonka tuż przy jej głowie i krzyk: „Wstawać! Wstawać!”

Siedziała oszołomiona na brzegu łóżka, gdy dyskretnie zajrzała do niej dziewczynka z sąsiedniej przegrody.

- Rusz się z tego łóżka, bo cię oskalpują - ostrzegła.
- Słucham? - spytała na wpół przytomna Millie.
- Pospiesz się! Włóż bieliznę, a zamiast sukienki narzuć na siebie płaszcz. - Dziewczynka wskazała hak na drewnianej ścianie. - Idziemy się umyć.

Millie nie pospieszyła się, choć dokuczało jej zimno, więc była ostatnia w szeregu uczennic schodzących po kamiennych schodach z sypialni na poddaszu do sali na pierwszym piętrze.

W umywalni podłogę przykrywało linoleum, a przy długiej ścianie znajdowały się przegrody, podobne do tych w sypialni. Przy przeciwległej ścianie stały zaś wąskie ławki, a na nich miednice z zimną wodą, obok których leżały kostki niebieskawego mydła. Nad miednicami wisiały na hakach szorstkie ręczniki.

Wszystkie dziewczynki z wyjątkiem Millie od razu zniknęły za drzwiami przegród i do jej uszu zaczęły dochodzić wstydlive odgłosy. A gdy z jednej z nich wyszła uczennica, która w sypialni kazała się jej pospieszyć, spojrziała na Millie pytająco i wskazała jej pustą przegrodę.

- Nie chcesz skorzystać? - szepnęła.

Millie bardzo chciała, jednak nie wyobrażała sobie, że może to robić w obecności koleżanek. Wprawdzie ubikacje były wyposażone w drzwi, ale jak zdążyła zauważyć, nie zamykały się od wewnątrz. Mimo to w końcu ruszyła do nie używanej jeszcze przez nikogo przegrody.

Gdy wyszła, zewsząd dochodził plusk wody w miednicach i parskanie. Skierowała się do miednicy stojącej w rogu i umyła ręce oraz twarz.

Znowu jako ostatnia dołączyła do dziewczynek biegnących po schodach do sypialni, by włożyć sukienki.

Ledwie znalazła się w swojej przegrodzie, w oddali rozległ się dźwięk dzwonnka.

- Musisz teraz stanąć w szeregu! - Dziewczynka z sąsiedniej przegrody chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą. Gdy stanęły w rzędzie, spytała szeptem: - Jak masz na imię?

- Millie.

- Ja mam na imię Annabel, a nazywam się Kirkley. Trzymaj się mnie. Uważaj natomiast na Mabel Nostil. To ta na końcu, z czarnymi włosami. Podlizuje się siostrze. Ile masz lat?

- Dziesięć - mruknęła Millie.

- A ja prawie jedenaście.

- Cisza! Ruszamy! - ryknęła siostra. Miała silny irlandzki akcent.

Millie знаła już ten głos. Słyszała go wczoraj, gdy zakonnica czytała im jakąś książkę. Dziewczynka niewiele zrozumiała, bo nie mogła się skupić.

W hallu grupa Millie spotkała się z grupą młodszych uczennic. Ustawiły się w dwuszereg i złożwszy ręce do modlitwy, wolno przeszły przez korytarz do kaplicy.

Kaplica była duża. Przy ścianie na wprost drzwi znajdował się ołtarz. Po jego prawej stronie stały drewniane rzeźby wyobrażające Świętą Rodzinę, a po lewej gipsowa figura jakiegoś świętego w brązowym habicie. Annabel

powiedziała później Millie, że dziewczynki mówią na niego pan Billy Brązowy.

Millie myślała, że modlitwy nigdy się nie skończą. Nie były odmawiane w żadnych konkretnych intencjach. Kolana odrętwiały jej od długiego klęczenia, a powtarzane monotonnymi głosami słowa: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...” i „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...” działały na nią usypiająco. Niewiele zdołała zapamiętać z tej drugiej modlitwy, bo dziewczynki mruzczały ją pod nosem. Już zapadała w drzemkę, gdy nagle uczennice i siostry wstały i zaczęły się żegnać, powtarzając: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Często rozmyślała o Duchu Świętym, a teraz zastanawiała się, czy mają z nim jakiś związek powieści pana Dickensa, które bardzo się jej podobały.

Była zaskoczona, że po tak długich modłach w kaplicy jeszcze należało odmówić przed śniadaniem modlitwę dziękczynną: „Boże, pobłogosław nas i te dary, które nam tak hojnie zsyłasz. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”.

Ben znał wiele modlitw dziękczynnych do odmawiania przed posiłkami, które, w przeciwieństwie do tej, były zabawne.

Millie usiadła przed miską wypełnioną po brzegi grubymi płatkami owsianymi. Zaraz podeszła siostra i wlała do nich kapkę mleka. Okazało się, że nie są posłodzone, lecz posolone. Obok położyła kromkę chleba, wzdłuż której leżała połówka kiełbasy. Tylko ta kiełbasa Millie smakowała, bo herbata okazała się straszną luną,

Po śniadaniu znowu rozległy się słowa modlitwy: „Dzięki Ci, Panie, za te hojne dary. Ufamy, że zapracujemy dziś na nie. Amen”.

Gdy odeszły od stołu i z powrotem ruszyły na pierwsze piętro, było dwadzieścia po ósmej. Millie trzymała się Annabel, która powiedziała jej, że teraz posprzątaję ubikacje. Znaczyło to, że każda wyniesie wiadro ze swoimi nieczystościami na dziedziniec, a przelawszy zawartość do któregoś z większych wiader, stojących przy murze obok bocznej bramy, umyje to wiadro pod pompą i wstawi je z powrotem do przegrody.

Gdy czynność ta została wykonana, Millie musiała się rozstać z Annabel i poczekać na decyzję sióstr, do której klasy ma dołączyć.

Wkrótce znalazła się pod czujnym okiem siostry Mary, wysokiej i grubej zakonnicy, która poprzedniego wieczora w sypialni uderzyła ją kantem dłoni w kolana. Ta surowa wychowawczyni uczyła podstaw języka angielskiego i arytmetyki. Lekcję zaczynała oczywiście od modlitwy. W ciągu dwóch godzin spędzonych pod kuratelą siostry Mary Millie

przekonała się, że zakonnica wymierza kary nie tylko dłonią, ale i liniałem, który po uderzeniu odskakuje od palców uczennicy, jakby był z gumy.

- Proszę mnie nie bić! Nie zrobiłam nic złego! Dobrze zsumowałam liczby! - krzyknęła, gdy po raz pierwszy poczuła na palcach liniał.

Zakonnica wytrzeszczyła oczy ze zdumienia i zamierzyła się ponownie, tym razem trafiając Millie w nadgarstek. Gdy dziewczynka wstała, chcąc wybiec z sali, popchnęła ją na krzesło z takim impetem, że Millie omal nie upadła na podłogę.

- Czy teraz już się rozumiemy, panienko? - syknęła, pochylając się nad nią i wyszczerzając krzywe zęby. - Dobrze zsumowałaś liczby, ale masz pisać drukowanymi literami. Dociera to do ciebie? Masz pisać drukowanymi literami. Gdy dorośniesz, będziesz mogła się popisywać swoim charakterem pisma. Dociera?

Millie nie pojmowała tego idiotycznego żądania, ale uświadomiła sobie, że nienawidzi tej kobiety. Pomyślała, że nawet mężczyzna, który chce ją porwać, nie może być tak podły jak ta brzydka zakonnica.

O wpół do jedenastej miejsce siostry Mary zajęła siostra Monica. Jej rola sprowadzała się do uczenia dziewczynek wybranych przypowieści i prawd wiary z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, co Millie uznała za nową formę modlitwy. Tej zakonnicy dziewczynka również nie polubiła z powodu jej sarkazmu. Gdy bowiem siostra Monica usłyszała odpowiedź Millie na zadane pytanie, zaczęła sobie żartować z jej poprawnego akcentu. Jednak nie doczekała się ze strony prowokowanej uczennicy reakcji, bo Millie, wzburzona i zbita z tropu zachowaniem siostry Mary, wciąż je rozpamiętywała.

Po upływie pół godziny siostra Monica opuściła klasę i weszła trzecia nauczycielka - siostra Aloysius. Ta mała kobieta też była Irlandką, ale miała łagodny głos i miły wyraz twarzy. Uczyła szycia i śpiewu i właśnie przyszła pora na lekcję śpiewu. Zakonnica pisała na tablicy słowa pieśni, oczywiście drukowanymi literami, po czym uderzała o biurko dziwnym małym instrumentem, co stanowiło sygnał do rozpoczęcia nauki słów i melodii. Ta półgodzinna lekcja pomogła Millie odzyskać spokój. Gdy rozległ się dzwonek, śpiew momentalnie ustał. Siostra Aloysius odmówiła z uczennicami modlitwę.

O dwunastej nastąpiła dziesięciominutowa przerwa, w czasie której należało skorzystać z ubikacji i umyć ręce.

Na obiad podano całkiem smaczną grochówkę na wieprzowinie i mięsny pudding z plasterkiem mięsa, dwoma średnimi kartoflami oraz łyżką

gotowanej marchewki. Na talerz nałożono najwięcej puddingu, ale wraz z dodatkami również Millie smakował.

Po obiedzie uczennice zostały wyprowadzone do ogrodu z tyłu budynku, gdzie tak jak od frontu był wypielegnowany trawnik, przecięty żwirową alejką. Mogły nią spacerować lub grać na niej w piłkę, lecz nie wolno im było stać w miejscu i rozmawiać.

Popołudniowe lekcje rozpoczęły się o pierwszej od modlitw, które dziewczynki odmawiały aż przez kwadrans pod czujnym okiem siostry Mary. Jednak po ich zakończeniu wyszła z sali, a jej miejsce zajęła siostra Benedicta, która uczyła geografii. Słuchając jej, można było pomyśleć, że na świecie istnieje tylko jeden kraj, a mianowicie Irlandia. Na szczęście miała łagodny głos i Millie jakoś ją znosiła. Dziewczynki nazywały tę siostrę Śmierdzielem, gdyż do jej obowiązków należało opróżnianie dołu kloaczego, o czym później powiedziała Millie Annabel. Siostra Benedicta utrzymywała, że ta praca to rodzaj pokuty za grzechy. Ale ponieważ w klasztorze zawsze przypadała jej najczarniejsza robota, więc uczennice przyjmowały to wyjaśnienie sceptycznie. Musiałyby bowiem uznać ją za straszną grzesznicę.

Niebawem Millie dowiedziała się, że dziewczynki, które chcą się uczyć gotowania i pieczenia, mogą dwa razy w tygodniu pomagać w kuchni. Jej jednak nie dano swobody wyboru, tylko o trzeciej, gdy skończyła się lekcja geografii, po prostu posłano ją tam wraz z pięcioma innymi koleżankami. W kuchni królowała siostra Cecilia. Była obdarzona miłym usposobieniem i robiła znakomite wypieki. To dzięki niej Millie odstąpiła od planu ucieczki z klasztoru, zniechęcona do obsesyjnie modlących się i ograniczonych kobiet. Nie zaliczała do tego grona tylko matki przełożonej i oczywiście siostry Cecilii, która powiedziała jej, że w życiu można się obyć bez znajomości sztuki pisania, czytania i rachowania, bez umiejętności szycia i śpiewania czy bez wiedzy geograficznej, a nawet bez wiary w dobrego Boga - co mówiąc, mrugnęła do Millie okiem - ale nie można się obyć bez jedzenia i osób znajdujących się na kuchni.

Po pierwszych odwiedzinach u Millie Aggie była zbita z tropu.

- Nie wiem, co robić - zwierzyła się Benowi. - Ona nienawidzi tego klasztoru. Jak zrozumiałam, ma tam tylko jedną przyjaciółkę, choć jeśli to prawdziwa przyjaciółka, powinna jej w zupełności wystarczyć. Poza tym Millie nie cierpi siostry Mary. Powiedziała mi, że najchętniej by ją udusiła. Tak się wyraziła... Pokazała mi siniaki na rękach, które ma po tym, jak ta suka uderzyła ją liniałem, już pierwszego dnia.



- To dlaczego Millie stamtąd nie zabierzesz? Mogłabyś się rozejrzeć za inną, bardziej przyjemną szkołą. Ale to przecież twój przyjaciel polecił ci te zakonnice, prawda?

- Raczej nie zapominać, że gorąco mi doradzałeś, bym ją umieściła w tym klasztorze.

- Nie zapominam, lecz chyba nie należy pozwolić, żeby Millie była bita.

- Tam nikt nie odważa się śmiać, ale ja nie wytrzymałam. W czasie odwiedzin, które odbywają się w hallu, jedna z sióstr ani na chwilę nie spuszczała nas z oka, a gdy ruszyliśmy do drzwi, chcąc pójść na spacer do ogrodu, powiedziała mi, że nie wolno. Oświadczyłam, że ktokolwiek wydał takie zarządzenie, powinien osobiście mi je powtórzyć, i nie bacząc na jej reakcję, wyprowadziłam Millie na dwór. Na spacerze dowiedziałam się o siostrze Mary i o siniakach. Millie próbowała mnie pocieszyć słowami: „Pani Aggie, proszę się tym nie martwić. Jak będę odchodziła z tej szkoły, postawię się i co najmniej kopnę siostrę Mary w obie łydki. Zobacz pani”. Właśnie wtedy się roześmiałam. Jestem pewna, że to zrobi.

Ben zaczął chichotać.

- Wprost trudno uwierzyć, że to jest ta sama grzeczna dziewczynka co przed kilku laty. Stała się bardziej bojowa, prawda? Pamiętam, jak na początku doprowadzała cię do szału tym swoim nienagannym zachowaniem i nieskazitelną angielszczyzną. Tej drugiej nie zatraciła, ale grzeczności nieco jej ubyło...

I właśnie wtedy, kiedy oni tak sobie o niej rozmawiali, Millie stała w gabinecie matki przełożonej, wysłuchując jej pouczenia na temat grzeczności.

- Zachowałeś się niestosownie wobec siostry Mary, gdy wychłostała cię za to, że zabrałaś swoją opiekunkę na spacer do ogrodu. Ponadto siostra Mary skarżyła się, że jesteś niezdyscyplinowana... Musisz się nauczyć posłuszeństwa wobec woli bożej, bo wszyscy ludzie powinni się jej podporządkować. Całkiem możliwe, że to z woli bożej mamy cię tu chronić przed złem, uczyć i wychowywać. Nie chcę więcej słyszeć skarg, że byłaś niegrzeczna wobec którejś z sióstr. I jeszcze jedno... - Uniosła dłoń i tonem nie znoszącym sprzeciwu oświadczyła: - Nie próbuj... nie próbuj przedstawiać mi swojej wersji, jeśli chodzi o incydent z siostrą Mary. Zapamiętaj też sobie raz na zawsze, że wolno ci odzywać się tylko wtedy, gdy zostaniesz zapytana, jeśli nie masz jakiegoś poważnego problemu. Możesz odejść.

W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy Millie jeszcze wiele razy była wzywana do gabinetu matki przełożonej, zawsze z powodu skargi siostry

Mary. Pomiedzy zakonnicą i wychowanką toczyła się otwarta wojna. Pozostałe uczennice były tego świadome i codziennie oczekiwały nowych potyczek. W tej nieustannej walce to oczywiście Millie otrzymywała cios za ciosem, ale choć nie zdawała sobie z tego sprawy, jej utarczki z siostrą Mary stanowiły świetną szkołę charakteru. Poza tym przykrości osładzała jej pogłębiająca się przyjaźń z Annabel. Co więcej, dzięki tej dziewczynce przekonała się, że na świecie część ludzi żyje w sposób, jaki jej odpowiada i jaki mgliście pamiętała z dzieciństwa. Podczas pierwszych letnich wakacji odwiedziła bowiem dom Kirkleyów.

Annabel tyle opowiadała rodzicom o ślicznej koleżance z długimi złocistymi włosami, a zwłaszcza o tym, jak dzielnie stawia ona czoło prowokacjom siostry Mary, że postanowili zaprosić Millie na podwieczorek.

Pan Kirkley był dyrektorem fabryki włókienniczej Crane'a-Bouldera, zaliczanej do tych postępowych, ponieważ obowiązywał tu dziesięciogodzinny dzień pracy, a w soboty pięciogodzinny. Tak się złożyło, że w porze podwieczorku był w domu. Zdumiał się na widok Aggie Winkowski w roli opiekunki nowej przyjaciółki córki, bo jak wszyscy w Manchesterze znał z widzenia tę wysoką i otyłą handlarkę starzyzną, gdyż od niepamiętnych czasów chodziła po mieście z ręcznym wózkiem, który przed kilku laty zamieniła na wóz zaprzężony w kucyka. Wiedział, że handlarka pochodzi z bogatej i szanowanej rodziny farmerskiej, choć teraz trudno było w to uwierzyć. Uważał, że fakt, iż to Aggie łachmaniarka, bo tak ją powszechnie nazywano, opiekuje się Millie, stanowi źródło problemów dziewczynki w szkole, gdyż zakonnice wydawały się bardzo czułe na to, z jakich rodzin pochodzą uczennice. Jego zdaniem należało jakoś Millie pomóc. Szybko oczarowała zarówno jego, jak i panią Kirkley, toteż żadne z nich nie dziwiło się, że Annabel tak ją polubiła. Millie okazała się nie tylko śliczna, zgodnie z tym co twierdziła ich córka, ale i bardzo dobrze ułożona. Jej sposób wystawiania się nie pozostawiał nic do życzenia. Od Annabel wiedzieli, że rodzice Millie nie żyją ale mimo to dziwili się, iż dziewczynka, najwyraźniej pochodząca z dobrego domu, została oddana pod opiekę handlarki starzyzną. Kirkley postanowił zasięgnąć języka, dlaczego tak się stało, i dowiedział się, że po tym jak pani Forester popełniła samobójstwo, Aggie Winkowski przygarnęła jej córkę, dzięki czemu uratowała małą przed koniecznością zamieszkania w ochronce lub u obcych ludzi, u których musiałaby ciężko pracować w zamian za utrzymanie. To ostatecznie upewniło Kirkleyów, że handlarką powodowała szlachetność. Ponownie zaprosili podopieczną Aggie Winkowski na podwieczorek. I tym razem oni i ich dzieci - oprócz Annabel mieli dwunastoletniego syna i

pięcioletnią córkę - uroczo spędzili czas w towarzystwie Millie, która, jak się okazało, odznaczała się również talentem aktorskim, ponieważ wspaniale parodiowała zakonnice ze szkoły przyklasztornej, a zwłaszcza siostrę Mary.

Tylko z powodu przyjaźni z Annabel i akceptacji ze strony rodziny Kirkleyów Millie nadal chodziła do znieawidzonej szkoły. Śmiała się tam tylko siostra Cecilia, oczywiście wyłącznie w kuchni, a siostra Aloysius czasami dyskretnie się uśmiechała. Niestety, pobyt dziewczynki w zgromadzeniu zakonnym skończył się nieodwołalnie w ostatni piątek stycznia 1858 roku na skutek dramatycznego zajścia.

Ranek był bardzo mroźny. Wodę w miednicach pokrywała warstwa lodu. Chcąc się umyć, dziewczynki musiały ją rozkruszyć, a jedząc śniadanie drżały z zimna, ponieważ kominek nie ogrzewał całej jadalni. Od początku lekcji siostra Mary biła je bez umiaru liniałem, tak że co chwila rozlegały się jęki i łkania. Kazała im pisemnie odpowiedzieć na dwa pytania: Co dwunastoletni Jezus robił w Świątyni jerozolimskiej po święcie Paschy i jak zareagowali na to jego rodzice, gdy go tam znaleźli? Odpowiedzi nie nastęrczały Millie trudności, bo uważnie słuchała wcześniej opowiedzianego przez siostrę zdarzenia. Opisała je zgodnie z Pismem Świętym, ale przedstawiła tak, jakby działo się współcześnie - w Manchesterze, w dzielnicy Benton Fields. Na swoje nieszczęście przez nieuwagę miejscem wydarzeń uczyniła kościół pod wezwaniem Świętego Jerzego, a to była świątynia anglikanów. Gdy dyżurna uczennica pozbierała wypracowania i położyła je na niewielkim stole, który zastępował nauczycielskie biurko, dziewczynki zaczęły bezwiednie mruzczyć pod nosem Zdrowaś Mario, z lękiem czekając na oceny i kary. Millie już się przyzwyczaiła do nieustannego odmawiania modlitw, które sprawiało, że w klasztorze nie było chwili ciszy i sposobności wytchnienia.

Nagle siostra walnęła pięścią w kartki z wypracowaniami i dziewczynki natychmiast umilkły.

- Idiotka! Idiotka! Tylko zmarnowała dobry papier! Chodź tu do mnie! Ty! - ryknęła.

Nawet jeśli nie wskazałaby Millie palcem, uczennice i tak by wiedziały, że to ją wywołuje na środek klasy.

Gdy tylko dziewczynka stanęła obok jej stolika, rzuciła jej w twarz kartkę z wypracowaniem.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?! - wrzasnęła. - Tylko zmarnowałaś dobry papier! To jest śmieć! Śmieć! A ty chciałaś pokazać, że jesteś inteligentna! Śmieć! I te włosy! - Szarpnęła ją za jeden z dwóch długich

warkoczy. - Nie powiedziałam ci wczoraj, co o nich myślę?! Masz mieć jeden mocno spleciony warkocz pośrodku pleców, a nie dwa luźne! Nie ruszaj się! Odwróć się! Odwróć! - Odwróciła ją do siebie plecami, chwytając za ramiona, zanim Millie sama zdążyła wykonać jej polecenie.

Przytrzymała ją jedną ręką, a drugą zerwała z warkoczy kokardy i brutalnie rozdzieliła splecione pasma. Gdy rozczochrane włosy bezładnie opadły na ramiona Millie, natychmiast zaczęła je zaplatać w jeden warkocz, szarpiąc z sadystyczną przyjemnością. Kiedy warkocz był gotowy, związała go wstążką kilkanaście centymetrów od dołu, przytrzymała jedną ręką, a drugą sięgnęła do szuflady pod blatem stołu, z której wyjęła wielkie nożyce. W jednej chwili skróciła Millie włosy o jakieś dziesięć centymetrów. Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie i wyrwała się jej, a pozostałe uczennice zatchnęły się, jak na komendę, wciągającym do płuc powietrzem.

- Jak pani śmiała?! Jak pani śmiała?! - wyrzuciła z siebie wzburzona Millie i kopnęła ją w łydkę, zgodnie z tym, co sobie kiedyś przyrzekła.

Siostra Mary wrzasnęła jak rozjuszona bestia i chwyciła Millie za warkocz.

- Obetnę ci te włosy do gołej skóry! Jesteś grzeszna! Zepsuta!

Obserwując szamotaninę zakonnicy z wychowanką, dziewczynki zaczęły krzyżeć. W skrytości podziwiała Millie, a nawet jej zazdrościły, że nie boi się strasznej siostry Mary.

- Jesteś diablicą! Diablicą! Musisz się wypowiadać! - wrzasnęła znowu zakonnica, usiłując obciąć wyrwijającej się podopiecznej kolejny kawałek warkocza, który właśnie udało się jej chwycić.

Millie rzuciła się z całym impetem do przodu, a oswobodziwszy się dzięki temu, natychmiast odwróciła się do siostry Mary i chwyciła ją za nadgarstki.

- Nie pozwolę obciąć sobie włosów! Nie pozwolę! - krzyknęła, usiłując zachować równowagę, bo zakonnica rzucała nią na wszystkie strony.

Gdy rozwarte nożyce znalazły się na wysokości twarzy dziewczynki, puściła jeden z nadgarstków rozjuszonyj kobiety i błyskawicznie wyrwała jej z dłoni niebezpieczne narzędzie. Niewiele myśląc, wbiła ostry koniec w rękę prześladowczyni.

Rozlegające się w sali wrzaski najwyraźniej dotarły na korytarz, bo do środka wbiegła siostra Monica, a za nią siostra Aloysius - w samą porę, by zdążyć odciągnąć od Millie siostrę Mary, która chwyciła ją za gardło, jakby zamierzała udusić.

Zbite w gromadkę uczennice krzyczały histerycznie, a siostra Mary wymachiwała rękami, usiłując się wyrwać trzymającym ją zakonnicom.

- Zawołaj wielbną matkę! - poleciła siostra Aloysius jednej ze starszych uczennic. - I wyprowadź dziewczynki! Wychodźcie! Szybko!

Wszystkie z wyjątkiem Millie rzuciły się do drzwi. Ona oparła się o ścianę i stała tak, usiłując złapać oddech.

- Zabiję ją! Zabiję! Zasłużyła sobie na śmierć! Jest grzeszna! Grzeszna! - rozdarła się siostra Mary, ale gdy spostrzegła na swojej dłoni krew, umilkła i znieruchomiała. Niestety, tylko na moment, bo spojrzawszy na zakonnice, znowu wrzasnęła: - Zraniła mnie do krwi! Do krwi! To diablica!

- Uspokój się, moja droga. - Siostra Aloysius wycierała jej rękę chusteczką. - Wszystko w porządku. Zaraz będzie tu matka. Uspokój się. Uspokój.

- Właśnie, że się nie uspokoję! Należy trzymać tę małą diabolicę pod kluczem! Jest grzeszna! Zepsuta! I trzeba jej obciąć włosy do samej skóry! Zrobię to! Na pewno! To wcielona diablica! Od urodzenia! Ksiądz Dolan wszystko o niej powiedział wielbnej matce! Ona pochodzi z mętów społecznych! Jej matka to ulicznica! Słyszałam, jak ksiądz Dolan o tym mówił! Ona pochodzi od... Lucyfera! Pytałam o nią Pana Boga! Przykazał mi obciąć jej te włosy do samej skóry! Powiedział mi, że te włosy to źródło jej próżności! Jej pychy! Trzeba ją ich pozbawić!

Do klasy weszła matka przełożona. Z pewnością słyszała na korytarzu wrzask siostry Mary.

- Zabierzcie ją stąd - powiedziała spokojnie.

- Ależ, matko... - zaprotestowała siostra Mary.

- Wykonajcie polecenie. - Spojrzała zimno na siostrę Monice. Gdy siostra Mary zaczęła wymachiwać rękami, nie pozwalając się wyprowadzić, matka Francis wymierzyła jej taki policzek, że rozhisteryzowana zakonnica zatoczyła się pod ścianę i znieruchomiała z otwartymi ustami.

- Zabierzcie ją stąd - powtórzyła matka przełożona.

Teraz już siostra Mary nie stawiała oporu, lecz jak dziecko pozwoliła się zaprowadzić do swojej celi.

Siostra Francis odwróciła się od drzwi i spojrzała na Millie. Miała taką minę, jakby dopiero w tej chwili zauważyła tę niepokorną uczennicę.

- Nie ruszaj się stąd - powiedziała i wyszła z klasy.

Millie nie miała pojęcia, jak długo stała pod ścianą. Nie dawały jej spokoju słowa, które wykrzyczała siostra Mary. Czy ona, Millie Forester, jest diabolicą? Czy jej matka także była? I co zakonnica miała na myśli, gdy powiedziała, że pani Forester to ulicznica? Millie już gdzieś słyszała to określenie i wiedziała, że odnosi się ono do czegoś złego. Czy zatem ona,

Millie Forester, jest diablicą, czy nie jest? I czy jej matka również była diablicą, czy nie? Jakże tęskniła za panią Aggie...

- Och, siostró... - westchnęła w poczuciu ulgi na widok wchodzącej do klasy siostry Cecilii.

- Chodź, moje dziecko...

Zakonnica wzięła ją za rękę i zaprowadziła do przegrody w sypialni. Ale nie od razu zaczęła pakować rzeczy Millie, tylko usiadła na łóżku i przyciągnęła ją do siebie.

- To smutny dzień, bardzo smutny... - powiedziała cicho i pochyliwszy głowę, dodała niemal szeptem: - Jednak o nic cię nie oskarżam. Naprawdę. To dziwne, ale niektórzy ludzie nie mogą znieść widoku piękna. Jeszcze nieraz się o tym przekonasz. Omija ich radość i nawet nie zdają sobie z tego sprawy... Biedna siostra Mary nie zna uczucia radości, dlatego powinnaś jej wybaczyć... - Zakonnica spojrzała w bok i wyszeptała: - To sam Bóg pociąga nas ku sobie, a jeśli nie odpowiadamy na tę łaskę, zaczyna nas wzywać bardziej stanowczo. Słyszymy go w naszych myślach, jak mówi: „Pójdź do mnie, moje dziecko. Jestem twoim Stwórcą. Pozwól się prowadzić przez życie”. Jednak kiedy człowiek całkowicie odda się w Jego służbę, On staje się dziwnie odległy i przez cały czas trzeba się usilnie starać, by nie stracić z Nim kontaktu. Kiedyś powiedział do mnie w myślach: „Cecilio, otrzymałaś dar kochania piękna i dar gotowania. Czego więcej mogłabyś pragnąć?” - Zakonnica spojrzała na Millie. - A jednak człowiek zawsze pragnie więcej, niż otrzymał. I chciałby, by Bóg objawił mu swoją twarz... Wierzę, że dostąpię tej łaski, że taka będzie boska wola. - Dotknęła policzka Millie. - Mówię dziwne rzeczy, prawda? Z pewnością tego nie rozumiesz, ale wierzę, że mimo to będziesz pamiętała moje słowa do końca życia, bo jesteś dostatecznie duża, by rozumieć przynajmniej moje intencje...

Strzeż się diabła, którego ludzie sami stwarzają... Rozumiesz, co mam na myśli? Strzeż się diabła, którego ludzie sami stwarzają...

Nie rozumiała, ale postanowiła zapamiętać te słowa, choć przeszkadzał jej w tym zamęt, jaki wciąż miała w głowie. Powtarzając w myślach: „Strzeż się diabła, którego ludzie sami stwarzają”, zobaczyła oczyma wyobraźni mężczyznę, który ją śledził, zanim schroniła się w tej szkole.

- A teraz spakujemy twoje rzeczy, żebyśmy były gotowe, gdy zjawi się tu twoja opiekunka. Ktoś już po nią poszedł.

- Wracam... wracam do domu? - Millie odsunęła się od łóżka, jakby wstąpiło w nią nowe życie.

- Tak, moja droga. To postanowione. Ja osobiście bardzo tego żałuję, bo masz zadatki na wspaniałą kucharkę. Nie zapomnisz, czego cię nauczyłam?

- Nie zapomnę, siostrze, bo uwielbiam gotować. Nigdy nie zapomnę ani nauk siostry, ani samej siostry.

Millie chciała się do niej przytulić, ale zakonnica delikatnie odsunęła ją od siebie.

- Wiem, co czujesz... Czuję to samo, ale... - siostra Cecilia zniżyła głos do szeptu - ale musimy zachować powściągliwość... - Gdy spakowała rzeczy Millie do kosza z pokrywą i związała go rzemykiem, dodała: - Czekać tu, moje dziecko, dopóki ktoś po ciebie nie przyjdzie... - Poglaskała ją po policzku. - Będę się za ciebie modliła i nigdy o tobie nie zapomnę.

- Och, siostrze, tak mi żal, tak mi żal... To znaczy nie żal mi opuszczać tej szkoły i tego miejsca, ale bardzo będzie mi brakowało siostry. Tak bardzo chciałabym jeszcze siostrę zobaczyć... To niemożliwe, prawda?

- Niestety, moje dziecko, ale na zawsze pozostaniesz w mojej pamięci. A ty nie zapomnisz tego, co ci powiedziałam, prawda? Strzeż się diabła, którego ludzie sami stwarzają.

- Siostrze, na pewno będę się strzec.

- Do widzenia. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Millie usiadła na łóżku, spuściła głowę i rozplakała się. Czekać na panią Aggie, powtarzała w myślach przestrożę zakonnicy. Była pewna, że nie zapomni jej do końca życia, tak samo jak siostry Cecylii.

## ROZDZIAŁ 4

Po trzech miesiącach od powrotu do domu ze szkoły prowadzonej przez zakonnice Millie dostała list od Annabel. To był jej pierwszy kontakt z przyjaciółką od dnia, w którym musiała opuścić klasztor, poniżona i upokorzona. Ale od chwili, kiedy zjawiła się w domu, zapanowała tu bardziej radosna niż dotychczas atmosfera i zrobiło się przyjemniej, bo dbała o porządek i wspaniale gotowała. Nauczyła się od siostry Cecilii przyrządzania różnych potraw, w tym tak pracobłonych jak mięsny pudding, gulasz z jagnięciny z jarzynami, soczewicą i kluseczkami czy paszteciki z kruchego ciasta na smalcu lub łożu. Od czasu jej powrotu ze szkoły Aggie i Ben nie tylko lepiej jedli i mieszkali w bardziej przytulnym domu, ale i czuli się szczęśliwsi. A jednak stale byli podszyty lękiem i czujni. Nigdy nie zostawiali Millie samej. Jeśli wychodziła do miasta, co robiła rzadko, towarzyszyła jej Aggie lub Ben i zawsze któreś z nich zostawało z nią w domu. Choć nie powiedzieli wprost, że strzegą jej jak oka w głowie, doskonale zdawała sobie z tego sprawę i czasami czuła się tak samo osaczona jak w znieawidzonej szkole przyklasztornej.

I oto nadszedł list od Annabel. Millie przeczytała go Aggie i Benowi.

Droga Millie!

Moja mama serdecznie zaprasza Cię na podwieczorek w sobotę o godzinie czwartej. Chciałaby także porozmawiać z Twoją opiekunką o czymś, co mogłoby okazać się dla ciebie korzystne.

Bardzo za Tobą tęsknią. Ja też już nie chodzą do szkoły przyklasztornej, tylko do normalnej. Mam ci tyle do powiedzenia! Z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie.

Twoja Annabel

Przeczytawszy list, spojrzała pytająco na Aggie i Bena.

- Chciałaby porozmawiać o czymś, co mogłoby okazać się dla ciebie korzystne - opiekunka przytoczyła zdanie z listu. - Ciekawe, co się za tym kryje?

- Może rodzice Annabel chcą cię adoptować? - Ben uśmiechnął się do Millie.

- Nie mogą, bo już zostałam adoptowana. - Millie uśmiechnęła się do Aggie.

- Dziś jest czwartek, więc nie pozostaje nam nic innego, jak poczekać do soboty - stwierdziła rzeczowo opiekunka. Spojrzała na dziewczynkę. - Czy chciałabyś znowu chodzić do szkoły?



- Wydaje mi się, że chodzenie do normalnej szkoły sprawiałoby mi dużą przyjemność, tak jak sprawiało mi ją kiedyś, zanim poszłam do przyklasztornej - odparła ostrożnie. - Tak... - Skinęła głową. - Chyba chciałabym nadal chodzić do szkoły.

- Po co? - spytał Ben.

- Bo jeszcze wiele mogłabym się nauczyć.

- Nie sędzę. Migiem czytasz gazetę od deski do deski, piszesz j poprawniej niż ci wszyscy ważniacy i niewiele osób wysławia się j lepiej od ciebie... Przynajmniej wtedy, gdy nie używasz brzydkich słów... - Ben uśmiechnął się złośliwie, wyraźnie się z nią drocząc j - jak na przykład wczoraj.

- Nie używam brzydkich słów, nie przeklinam. To znaczy... - Pokręciła głową i spojrzała na Aggie. - Gdyby pani nie używała tych słów tak często, nie powtarzałabym ich za panią.

- O jakie słowa ci chodzi?

- O „cholere” i „psiakrew”.

- Wcale nie używam ich zbyt często. Ben i Millie roześmiali się.

- Oj, kobieto, sama wiesz najlepiej. - Ben wstał z krzesła. - A skoro wybierasz się na podwieczorek do ludzi z wyższych sfer, wyszoruj się i ubierz porządnie.

- W tym liście nie ma słowa o tym, że mam być na podwieczorku.

- Jeśli się okaże, że nie jest pani zaproszona, to od razu wrócę z panią do domu - oświadczyła z naciskiem Millie. - Ale proszę, niech pani posłucha rady Bena i włoży coś ładnego. Odłożyłam tę suknię z zadrukowanego perkalu, bo będzie w niej pani dobrze. Jest niczego sobie. A w tym tygodniu dostała pani od kogoś gustowną pelerynę.

- Uspokójcie się! - Aggie zerwała się z krzesła. - Może jeszcze mnie rozbierzecie i zaczniecie szorować szczotką ryżową?!

- To niezły pomysł. - Ben z udawaną powagą skinął głową do Millie.

- Zgadzam się. Ale użyjemy zimnej wody oraz miotły do zamiatania podwórza - odpowiedziała mu z równie poważną miną.

- Tego już za wiele! Słyszycie?! Przestańcie!

Gdy Aggie odwróciła się na pięcie z energią młodej szczupłej osoby, co przy jej tuszy wydawało się niewiarygodne, i pospiesznie ruszyła do drzwi, Millie pobiegła za nią.

- Przepraszam. Zachowałam się nieładnie - zaczęła, zatrzymując opiekunkę i obejmując ją w pasie. - Ale ja tylko chciałam być dowcipna tak jak Ben. Zawsze jest pani... idealnie czysta, o czym ja wiem najlepiej, śpiąc

z panią w jednym łóżku. Bardzo przepraszam. Kocham panią. Bardzo kocham.

- Dobrze, dobrze. Przestań wreszcie trajkotać i zostaw mnie w spokoju. - Aggie odsunęła od siebie jej ręce i spojrzała w bok. Stwierdziwszy, że Ben niepostrzeżenie wymknął się z kuchni, dodała: - Chodź ze mną. - Ruszyła do kominka, a Millie za nią. Gdy przystały, Aggie utkwiała w niej wzrok i oświadczyła: - Nigdy nie baw się cudzym kosztem. Ben może to robić, bo... jest mężczyzną. Im to uchodzi, ale nie kobietom czy dziewczętom. One mogą się bawić tylko własnym kosztem. Z siebie wolno żartować... to znaczy umniejszać siebie, ale innych nie należy. Rozumiesz?

- Tak, pani Aggie. Nigdy więcej tego nie zrobię.

- Otóż... - Aggie pokręciła głową. - Możesz sobie dowcipkować ile wlezie, byle nie w taki sposób, by ktoś poczuł się dotknięty. Co innego wtedy, gdy jakiś człowiek zachował się wobec ciebie źle i zasłużył sobie na złośliwy żart. Ale po co ja tak biadolę, kiedy czas ucieka... Zdaje się, że miałaś coś robić? O ile pamiętam, chcesz upiec placek z jabłkami... A wiesz, co jeszcze możesz upiec, ale w sobotę? Bułeczki z rodzynkami... jako gościniec na ten podwieczorek. Wręczysz je mamie Annabel.

Najwyższym wysiłkiem woli Millie powstrzymała się od wygłoszenia opinii, że nie powinna piec bułeczek, zwłaszcza że Kirkleyowie mają kucharkę. Oczywiście nie chciała ponownie urazić tej drogiej jej sercu, życzliwej kobiety. Z tego samego powodu stłumiła w sobie chęć powiedzenia jej, że ona, Aggie Winkowski, nie wie, jak należy się zachować, przychodząc z wizytą do takich ludzi, bo nie zna obowiązujących w wyższych sferach manier towarzyskich. I Millie zdała sobie sprawę, że musi upiec w sobotę bułeczki z rodzynkami i wręczyć je pani Kirkley.

Służąca, która otworzyła im drzwi, nie mogła oderwać oczu od wysokiej grubej kobiety w kremowym kapeluszu, przybranym różami upiętymi z materiału, i w pelerynie, pod którą było widać niebieską suknię. Jeszcze nigdy nie widziała tak wystrojonej Aggie Winkowski. Już miała powiedzieć, że powiadomi panią o przybyciu gości, gdy z impetem zbiegła po schodach Annabel.

- Och, Millie! Jak miło znowu cię zobaczyć! - krzyknęła i byłaby rzuciła się dziewczynce w ramiona, gdyby w porę nie spostrzegła barwnego talerza, nakrytego serwetką.

- Upiekłam... dla was bułeczki z rodzynkami. - Millie uśmiechała się do niej serdecznie.

- To prezent dla twojej mamy - uzupełniła Aggie z równie serdecznym uśmiechem.

- Z pewnością będzie nimi zachwycona. A oto i ona... Mamusiu, Millie przyniosła ci prezent, bułeczki z rodzynkami. Mówiłam ci, że ona piecze wspaniałe ciasta.

Ta pochwała talentu kulinarnego Millie, z jaką pospieszyła Annabel, chcąc uprzedzić matkę, że otrzyma dziwny upominek, musiała się okazać dla pani Kirkley bardzo wymowna, bo szybko powitała Aggie skinieniem głowy oraz uśmiechem i odwróciła się do Millie, a ta wręczyła jej bułeczki.

- Och, bardzo dziękuję. Jestem pewna, że są wspaniałe. Koniecznie musimy ich skosztować do herbaty. Jessie... - Odwróciła się do służącej i podała jej talerz. - Postaw go na stole.

Służąca odbierała go w taki sposób, jakby był gorący. Pani Kirkley zaprowadziła gości do salonu i wskazała im krzesła.

Gdy już wszyscy usiedli, utkwiała wzrok w Millie.

- Jak to miło znowu cię zobaczyć! Tak się cieszę! Co u ciebie słyszę?

- Wszystko w porządku, proszę pani.

- Chodzisz do jakiejś szkoły?

- Jeszcze nie, ale... - zerknęła na Aggie - myślimy o tym.

- Och, to trochę szkoda, przynajmniej z naszego punktu widzenia, bo propozycja, jaką złożyliśmy w liście napisanym przez Annabel, dotyczyła pracy dla Millie. - Spuściła głowę, ale po chwili skierowała wzrok na Aggie i ciągnęła dalej: - Moja kuzynka poszukuje opiekunki do sześciorga swoich dzieci. To wspaniała, dająca satysfakcję praca dla każdej dziewczynki w wieku Millie. Mężem mojej kuzynki jest zarządca posiadłości pana Crane'a-Bouldera, właściciela fabryki. - Jakby tłumacząc, dlaczego jej kuzynka poślubiła kogoś, kto jest tylko zarządcą cudzej posiadłości, dodała: - Była bardzo młoda, gdy za niego wyszła, ale on pochodzi z dobrej rodziny, jest dalekim krewnym pana Crane'a-Bouldera. Jednak... będąc najmłodszym synem miał, rzecz jasna, gorszą pozycję od braci. - Gestykulowała i kiwała głową, jakby rozmawiała z przyjaciółką, dla której jest oczywiste, że mimo wszystko to małżeństwo w żadnym wypadku nie jest dla kuzynki pani Kirkley czymś poniżającym. - Mieszkają w posiadłości pana Crane'a-Bouldera, ale nie w żadnej stróżówce, tylko w bardzo ładnym, dużym domu. Musi być taki, prawda, skoro mają sześcioro dzieci? - Uśmiechnęła się jeszcze promiennie niż przed chwilą. - Jestem pewna, że to interesująca dla pani propozycja. Jeśli chciałaby pani zastanowić się nad nią - nadal zwracała się tylko do Aggie, jakby w ogóle nie brała pod uwagę zdania Millie - to poproszę moją kuzynkę, żeby na tydzień lub dwa wstrzymała się z zatrudnieniem kogoś innego. Nie wątpię, że Millie chętnie ją odwiedzi, żeby porozmawiać. Mój mąż zawiezie ją tam z prawdziwą przyjemnością.

Nie dodała, że natychmiast zawióźlby tam każdego, byle tylko nie musiał zbyt długo i często gościć w swym domu dzieci Rose - do czasu aż znajdzie ona taką opiekunkę, która potrafi zapanować nad tą niesforną gromadką i nad samą Rose oraz jej domem. Kiedy pod koniec ubiegłego roku przebywało tu troje najstarszych, pan Kirkley był bliski rozstroju nerwowego. Winił za wszystko Rose. Williamowi niczego nie zarzucał. Z całą pewnością nie miałyby nic przeciwko temu, by to Millie została zatrudniona w charakterze opiekunki dzieci kuzynostwa. Pani Kirkley też uważała, że dziewczynka nadaje się do tej roli. Nie skończyła jeszcze dwunastu lat, więc potrafiłaby się bawić z rozbrykaną gromadką, a skoro jest nad wiek inteligentna, świetnie da sobie radę.

- Zatem musi pani mieć czas do zastanowienia - powtórzyła, przerywając milczenie, jakie zapadło po jej monologu, i po raz kolejny uśmiechnęła się do Aggie Winkowski.

- Jestem przekonana, proszę pani, że znajdzie się mnóstwo dziewcząt chętnych do wzięcia tej posady. Ludzie szukają pracy - usłyszała w odpowiedzi.

- Zgadza się, pani Winkowski, ale moja kuzynka jest bardzo wymagająca. Już miała kilka opiekunek. Z pewnością pani wie, że większość dziewcząt chętnych do takiej pracy nie potrafi pisać i czytać. Poza tym na ogół cechuje je tępota umysłowa, więc nie radzą sobie z dziećmi, które szybko uczą się je wykorzystywać, bo dzieci są z natury przebiegłe. Dlatego, gdy myślałam o kimś, kto spełnia tak wysokie wymagania, przyszła mi do głowy Millie i postanowiłam spotkać się z panią w tej sprawie. Oczywiście moja propozycja jest aktualna, jeśli nie zamierza pani posyłać już Millie do szkoły. Pragnę panią zapewnić, że Millie nauczyłaby się bardzo wiele od mojej kuzynki i od jej męża, nie mówiąc już o rodzinie Crane'ów-Boulderów, która mieszka w posiadłości. Oni są bardzo liberalni. Ach... - Zerknęła na stojącą w drzwiach służącą. - Stół został nakryty do podwieczorku. Czy mogę prosić?

Zjadły go w jadalni tylko we czwórkę. Pani Kirkley zachwyciła się smakiem upieczonych przez Millie bułeczek z rodzynkami, ale gdy Annabel spytała, czy może zjeść drugą, nie otrzymała pozwolenia.

- Och, Annabel! Co za maniery! - wykrzyknęła jej matka. Gdy zaś cała czwórka wypijała herbatę, powiedziała do córki: - Pójdźcie z Millie pobawić się do ogrodu, dobrze?

- Oczywiście, mamusi - podchwyciła dziewczynka i odwróciła się do przyjaciółki.

Kiedy w pośpiechu wyszły z jadalni, Aggie pomyślała, że pani Kirkley zamierza przeprowadzić z nią poufną rozmowę, i nie pomyliła się.

- Pani Winkowski, z kilku powodów zaproponowałam pani, by Millie wzięła tę pracę - zaczęła bez żadnych wstępów, gdy tylko zostały same. - Dziewczynki lubią się sobie zwierzać i Millie powiedziała Annabel, dlaczego została posłana do szkoły w klasztorze. Sądzę, że musiała się czuć bardzo samotna, będąc pod opieką sióstr. Otóż wiem od córki, że pani podopieczna znalazła się tam dzięki pani trosce, ponieważ bała się mężczyzny, który starał się ją... to trzeba nazwać po imieniu, uprowadzić. Nie ma co wnikać w kierujące nim pobudki. Millie wie, podobnie jak pani, że jej uroda przyciąga uwagę. Już tylko z powodu jej pięknych włosów o rzadko spotykanej barwie trudno od niej oderwać oczy. Zresztą chyba nie muszę się nad tym rozwodzić, bo czy jej wygląd nie mówi sam za siebie?

- Mówi, proszę pani. Jednak uważam, że niebezpieczeństwo minęło. Od ponad roku nie ma śladu pobytu tego mężczyzny w Manchesterze. Prawdopodobnie wyjechał.

- Ach, tak. - Pani Kirkley uniosła brwi. - Ale nie ma pani pewności, choć oczywiście wie pani lepiej niż ja, co myśleć o całej sprawie. Ja tylko zasugerowałam pewną możliwość. A przy okazji... Czy dużo pani wie o matce Millie?

- Nie, proszę pani. Wiem tylko tyle, że nie żyje i że była pokojówką lady.

- Doprawdy? Pracowała u lady? Ach, tak... Czyli dziewczynka chyba jej zawdzięcza wszystkie swe przymioty... A może ma je po ojcu? Czy pani wie coś na jego temat?

- Tylko tyle, że nie żyje i że należał do kulturalnego środowiska.

- Och, och... - Pani Kirkley usiadła sztywno na krześle. - Tak się cieszę, że mogliśmy przez chwilę porozmawiać. To miło, że Annabel i Millie są przyjaciółkami. Moja córka stale pamięta o pani wychowance. - Umilkła, lecz pomyślała w duchu: Dzięki Bogu, Annabel chodzi do szkoły i wkrótce ta znajomość się skończy, bo jej kontynuowanie prowadziłoby do sytuacji, które nie mają prawa się zdarzyć.

Aggie pierwsza wstała z krzesła.

- Dziękuję pani za gościnność i za życzliwość dla Millie. Zastanowię się nad pani propozycją i poradzę się Bena, mojego pomocnika i współpracownika. Bardzo troszczy się o małą od chwili, kiedy zabrałam ją do siebie. To mądry człowiek, udziela dobrych rad... Musimy już iść.

- Oczywiście. Zawołam dziewczynki.

Annabel wzięła Millie za rękę, jakby chciała odprowadzić ją do bramy, ale pani Kirkley dyplomatycznie kazała zostać córce w domu - może

dlatego że przezorna matka zobaczyła przez otwarte drzwi stojący przed bramą wóz do przewożenia starych ubrań, do którego był zaprzężony kucyk. Na wozie siedział młody mężczyzna, zapewne ów wspomniany przez panią Winkowski Ben. Był przyzwoicie ubrany, świetnie zbudowany i wyglądał na wysokiego, ale przecież pani Kirkley nie widziała jego krótkich nóg.

Na widok Aggie i Millie zeskoczył z wozu i pomógł im wsiąść, po czym zajął swoje miejsce, chwycił za cugle i udali się do domu.

Wkrótce usiedli za stołem w kuchni i Aggie przedstawiła Benowi powód zaproszenia jej i Millie na podwieczorek do matki Annabel.

- Zaniemówiłeś? - popędziła go, bo nie kwapił się z wygłoszeniem zdania na temat propozycji pani Kirkley.

- Aggie, najważniejsza jest twoja opinia, ale skoro chcesz poznać moją... Uważam, że nie zaszkodzi spróbować. Millie mogłaby zatrudnić się u tych państwa na jakiś czas i przekonać się, czy jej to odpowiada. Kilkanaście kilometrów stąd... dogłądanie sześciorga dzieci, z których najstarsze ma dziesięć lat... - Odwrócił się do dziewczynki. - Odpowiadałoby ci to?

- Nie miałabym nic przeciwko takiej pracy, przynajmniej przez jakiś czas. Chodzi o to, że być może nie mogłabym zajmować się tymi dziećmi zbyt długo, bo niewykluczone, że znowu zacznę chodzić do szkoły. - Uśmiechnęła się do Aggie i Bena. - Ale zanim to nastąpi, pewnie warto byłoby spróbować. Annabel powiedziała mi, że dostawałabym za tydzień półtora szylinga i miałabym pół dnia wychodnego w tygodniu, a raz w miesiącu cały dzień. - Millie skrzywiła się. - Annabel uważa, że to bardzo dobre warunki.

- Tak, jeśli wziąć pod uwagę, że ci zatrudnieni w najbogatszych domach muszą się zgodzić na pół dnia wychodnego tylko raz w miesiącu, a służący, którzy pochodzą z ochronek i przytułków, nie mają nawet tego. Pewnie zanim coś postanowisz, chciałabyś poznać tych ludzi i zobaczyć ich dom? To jedyny sposób, żeby podjąć decyzję. Ale czy pomyślałaś, co ja bez ciebie zrobię, jeśli tam zostaniesz? Ten dom znowu zamieni się w norę i nie będzie wspaniałych ciast i potraw - zakończyła półzartem Aggie.

- Och, pani Aggie... - Millie dotknęła jej opartego na blacie, pulchnego przedramienia. - Przecież nie odejdę stąd na zawsze. Zgodnie z tym, co zaproponowałam, mogłabym znowu chodzić do normalnej szkoły... Dlaczego by nie? Jestem już duża i sama potrafię się obronić... - Spuściła głowę, nie wytrzymując spojrzeń Aggie i Bena, i dodała cichym głosem: - To, co powiedziałam na końcu, nie było najmądrzejsze... Ale z domu kuzynki pani Kirkley moglibyście odebrać mnie w każdej chwili, tak jak ze szkoły przyklasztornej. - Spojrzała na Bena.

- Jeśli o mnie chodzi, na pewno - potwierdził bez wahania. - Jednak uważam, że dla własnego dobra powinnaś stąd zniknąć przynajmniej na rok. Ona też w głębi serca czuje to samo. - Wskazał na Aggie. - I obiecuję ci, że nie dopuszczę, by w czasie twojej nieobecności ten dom znowu zamienił się w norę. Ja będę sprzątał. Gdyby tylko pozwoliła mi... - ponownie wskazał na Aggie - sprowadzić tu Annie, dom lśniłby czystością... - Umilkł pod karcącym spojrzeniem gospodyni, ale uśmiechnął się od ucha do ucha.

Gdy Aggie wyszła do zmywalni, wziął Millie za rękę i spojrzał jej w oczy. Zawsze działał na nią uspokajająco. Ona też zdawała sobie z tego sprawę. Kochała go tak samo, jak kochała Aggie. Gdy teraz o tym pomyślała, pogłaskała go zawsze nieskazitelnie czystą dłońią po policzku.

- Och, najdroższa Millie - westchnął.

W jego głosie była taka tkliwość, że miała ochotę rzucić mu się w ramiona, ale powstrzymała się, wiedząc, że nie spodobałoby się to Aggie, gdyby wróciwszy ze zmywalni zastała ich przytulonych. Opiekunka nie lubiła okazywania uczuć, czego Millie żałowała, ponieważ według niej zwłaszcza miłość absolutnie domaga się uzewnętrznienia.

## ROZDZIAŁ 5

Aggie i Ben jeszcze wieczorem zastanawiali się, czy rzeczywiście Millie powinna przyjąć ofertę pani Kirkley. Ostatecznie uznali, że tak, a rano przekonali się, iż mieli rację.

Gdy o siódmej, kiedy Ben otwierał bramę, wbiegła na podwórze pani Waltoh i spytała, czy poprzedniego dnia nie widział gdzieś Berty, miał nawet poczucie, że to sam Bóg podszeptał matce Annabel, by zaproponowała Millie pracę opiekunki do dzieci.

- Betty? Nie, nie widziałem jej. A dlaczego pani pyta? Czyżby zaginęła?

Kobieta rozglądała się po podwórzu, jakby oczekiwała, że lada moment z którychś drzwi lub zza hałdy śmieci wyłoni się jej córka.

- Zaginęła? - powtórzyła za nim jak echo. - Mój mąż twierdzi, że kiedyś musiało do tego dojść, bo za bardzo o nią dbałam... za często myłam jej te cholerne włosy, tępiłam wszy i cackałam się z cerą by nie miała pryszczycy, zamiast zająć się swoją robotą. Oświadczył, że to moja wina, a ja przecież robiłam wszystko dla dobra Betty... - Wyciągnęła rękę i dodała załamującym się głosem: - Ben, tylko nie mów mi, że została uprowadzona. Zawsze się tego bałam, bo ona nigdy mnie nie słuchała. Ile razy pozwoliłam jej wyjść z domu, kręciła się po rynku. A to urodziwa dziewczyna, prawda?

- Prawda, pani Walton. - Skwapliwie potaknął głową. - Od jak dawna nie ma jej w domu?

- Zniknęła wieczorem. Jak zwykle miała czekać na ojca przed szynkiem, ale jej tam nie było. - Pani Walton znowu wyciągnęła rękę dramatycznym gestem. - Mój mąż lubi codziennie tam zaglądać w drodze z fabryki do domu. Mówi, że ma sucho w gardle albo że mu się zatkało. Ale jeśli Berty stoi pod szynkiem, to jej ojciec tam nie wchodzi, tylko wraca z nią do domu. Z powodu jej zniknięcia dostał szału i od rana dobija się do wszystkich drzwi na Foley Street. Ale gdyby nawet była w którymś z tych domów, to przecież by mu o tym nie powiedzieli, prawda? Obwinia o wszystko mnie, dlatego że dbałam o jej wygląd. Berty to najstarsza córka, jego pupilka. Chłopcy o wiele mniej go obchodzą. Ben, co ja mam robić?

- Zgłosiła pani na policji jej zaginięcie?

- Tak, ale czy oni kiwną palcem? Mój mąż ma rację, kiedy mówi, że połowa posterunkowych jest opłacana przez alfonsów z Foley Street. To podejrzane, że ci łajdacy jeszcze nigdy nie odnaleźli zaginionego dziecka i że trzymają się z dala od świecących gołymi tyłkami obdartusów, co gnieżdżą się w tej dzielnicy. Wolą przymykać oczy na to, że porywa się stąd dzieci... O Boże! Ben, jeśli Berty przydarzyło się coś najgorszego, to jej



ojciec straci rozum i wykończy któregoś z alfonsów, za co go powieszają albo skazają na roboty w Australii. A właśnie jakoś stanęliśmy na nogi. Trzech najstarszych chłopców poszło do pracy, a i on przynosi coś do domu, przynajmniej tyle, ile mu zostanie z piątkowej wypłaty po odwiedzeniu szynku. Ale jakoś daję sobie z nim radę. Wiesz przecież, że chodzę tam w każdy piątek i rozstawiam tych wszystkich pijaków po kątach... - Przerwała na widok stojącej w drzwiach domu Millie. Przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w nią i załamała ręce. - Mój Boże! To jakiś cud, że udaje się jej uniknąć porwania... - Zaczęła błagać Bena: - Rozejrzyj się po mieście za Berty. Ludzie mówią, choć może to nieprawda, że twoja Annie ma kuzynkę, która bardzo źle się prowadzi i całkiem przyjemnie sobie żyje. Może przez nią mógłbyś się czegoś dowiedzieć? Ben?

- Postaram się, pani Walton. Zaraz wybiorę się do miasta. Gdy tylko... sprawdzę wszystkie miejsca, przyjdę do pani. To jest Booth Court, prawda?

- Tak. Numer mieszkania pięćdziesiąt sześć, trzecie piętro. Do widzenia. Dziękuję. - Znowu zerknęła na Millie i odeszła w pośpiechu.

- Czy pani Walton przydarzyło się coś złego? - spytała dziewczynka, która w jednej chwili znalazła się przy Benie, jakby wyczuła, że kogoś spotkało nieszczęście.

- Tak - potwierdził, patrząc jej w oczy. - Zaginęła jej córeczka. Znasz Berty. Jest bardzo żywa. Zawsze było jej wszędzie pełno, gdy zjawiała się na podwórzu.

Millie bez słowa ruszyła do domu, a Ben za nią. W drzwiach do kuchni spotkali Aggie. Miała zaspane oczy, ale wyglądała na całkiem przytomną.

- Co się stało? - powitała ich pytaniem.

- Zaginęła Berty Walton - poinformował lakonicznie Ben, ale w skrytości ducha pomyślał: Ten mężczyzna znowu dał o sobie znać i uprawia swój proceder coraz bliżej tego domu. Nie doczekawszy się komentarza ani ze strony Aggie, ani ze strony Millie, rzucił jakby od niechcienia, chcąc je nieco uspokoić: - Berty to straszny włóczykij. Musi zajrzeć w każdy kąt. Prawdopodobnie zbyt długo była wczoraj na dworze i boi się wrócić do domu, bo jeśli Walton miałyby w czubie, dobrze poczułaby na tyłku kłamię od jego pasa. Gdyby nawet był sparaliżowany albo gdyby to ona spotkała go pijanego i przyprowadziła do domu, nic by nie pomogło...

- Tak, tak - potaknęła Aggie. - Ale nie czas na rozmowy. Pora zjeść śniadanie. Czeka was długa podróż. Najwyższy czas zająć się tym co najważniejsze... Benie Smith lub Jones albo Robinson, wyelegantuj się, bo zaraz pojedziesz na spotkanie z ludźmi z wyższych sfer.

Minął i długie prawie na kilometr The Courts, a następnie monotonne szeregi domów odwróconych do siebie tyłem - wcale nie bardziej zadbanych czy zadowolających pod względem sanitarnym od tych z The Courts. Gdy skręcili i przejechali przez rynek przez centrum handlowe, wyrosły przed nimi kościoły, kaplice i inne budynki należące do rozmaitych wspólnot wyznaniowych, ostro rywalizujących między sobą, lecz z równym zapałem zwalczających niezliczone w mieście szynki. Ówczesne odrodzenie religijne i zaangażowanie królowej Wiktorii w dzieło moralnej odnowy społeczeństwa podsycały wiarę członków wspólnot w możliwość zawrócenia grzeszników ze złej drogi i uchronienia ich od piekła. Za przybytkami Boga znajdowały się, jak okiem sięgnąć, fabryki włókiennicze - ponure, odpychające twierdze przemysłu, w wielu przypadkach otoczone slumsami, które powstały tu wraz z nimi. Następnie sceneria zmieniła się tak bardzo, jakby została wytyczona granica pomiędzy tym miejscem a przedmieściem zabudowanym domkami przedstawicieli najwyższej warstwy klasy pracującej, czyli rzemieślników, drobnych urzędników i nadzorców z domów towarowych. Schody przed frontowymi malowanymi drzwiami były tu czyste, a w oknach wisiały koronkowe zasłony. Nieletnie służące szorowały stopnie schodów i polewały wodą chodniki przed małymi ogrodami. Im dalej od przedmieścia, tym ogrody stawały się rozleglejsze, a domy większe i bardziej okazałe. Od ozdobnych bram z kutego żelaza prowadziły do nich drogi dojazdowe.

- Przygotuj się na zginanie kolan i trzymanie języka za zębami. Lepiej się w niego ugryźć, niż coś chlapanąć - przestrzegł Millie Ben, uśmiechając się szeroko.

- Chyba nie będę miała wyboru, prawda? Czy nigdy nie znajdowałeś się w przymusowej sytuacji?

- Ja? - Ben buńczucznie wypiął klatkę piersiową. - Nigdy! Należę do tych ludzi, których nazwałaś kiedyś wolnymi jak duchy. Jestem jak wiatr, niczym nie ograniczony.

- Ale podporządkowujesz się pani Aggie i obowiązkom, jakie ci wyznaczyła.

- Panienko, nie pozwalaj sobie za dużo, choć masz rację. Otóż j ani mnie, ani tobie nie wolno nigdy zapominać, że gdyby nie pani Aggie i jej handel starzyzną nie wiadomo, co by się z nami stało. Po śmierci jej ojca z łatwością mogła się mnie pozbyć i wziąć sobie do pomocy kogoś... bardziej atrakcyjnego ode mnie.

- Ben, ty jesteś bardzo atrakcyjny. Bardzo. - Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów i utwierdziła się w swoim przekonaniu. Nigdy jeszcze nie

był tak odziany jak tego dnia. Miał na sobie ubranie po zmarłym starszku, które Aggie dostała od służącej w jednym z zamożniejszych domów na przedmieściu. Chińczyk Charlie dopasował je do sylwetki Bena i odświeżył. W tym ubraniu Ben był... Nie mogła znaleźć właściwego określenia, bo nie chciała użyć słowa „przystojny”. Ale Ben miał naprawdę urodziwą twarz, bujne ciemne włosy i wspaniały tors. Gdyby tylko jego nogi były dłuższe, nie można by mu nic zarzucić. Gdyby zaś nie odznaczał się tak barczystymi ramionami, wyglądałby zgrabniej... Miał ładny timbre głosu, choć nie zawsze mówił poprawnie. Wszystko, z wyjątkiem nieproporcjonalnej z powodu krótkich nóg sylwetki, mogło się w nim podobać. I Millie się podobało. Spontanicznie wzięła go za rękę i wyznała: - Jeśli przyjmę tę pracę, będę tęskniła za tobą jak w szkole przyklasztornej.

Zatrzymał kucyka i spojrzał na dłoń Millie spoczywającą na jego dłoni.

- Ja też będę. Dom przypomina grób, kiedy ciebie nie ma. Jednak bez względu na to jak... - Przerwał i dodał bardziej stanowczym tonem: - Musisz na jakiś czas przyjąć tę pracę. Rozumiesz, o co chodzi, prawda?

- Tak, ale nie daje mi spokoju pytanie, dlaczego... dlaczego on?...

- Wiesz to tak samo dobrze jak ja! - krzyknął poirytowany i zdumiony jej pytaniem. Spojrzał w bok, w obawie, że ktoś mógł usłyszeć jego podniesiony głos. Znajdowali się na wprost podwójnej bramy z kutego żelaza, którą wieńczył wzór układający się w nazwę „The Grange”. Ben instynktownie zniżył głos i powtórzył: - Wiesz to tak samo dobrze jak ja. Nie ma potrzeby o tym rozmawiać.

- Jest - syknęła.

Westchnął ciężko, bezradny wobec jej nieustępliwości.

- Skoro tak chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to powiem ci, że twoja uroda przyciąga uwagę niepożądanych ludzi. Jednak nie oczekuj ode mnie słowa więcej na ten temat. A teraz wysiadamy, bo to ten dom.

Gdy po chwili zadzwonił przymocowanym do bramy dzwonkiem i rozległ się głośny dźwięk, ze stróżówki wyszedł mężczyzna i spojrzał na nich badawczo.

- W jakiej sprawie przychodzicie? - spytał.

- Ona... Panna Forester jest oczekiwana przez panią Quinton.

- Aha... - Mężczyzna pokiwał głową i zerknął na Millie. - To następna brama. Ich dom jest w połowie drogi dojazdowej do pałacu. - Zerknął na wóz i kucyka i dodał miłym głosem: - Możecie tam wjechać.

- Do widzenia - pożegnał go Ben.

- Dziękujemy - zawtórowała mu Millie. Uśmiechnęli się do stróża i odwrócili do wozu i kucyka.

- Ja będę powoził, a ty idź. Może trzeba będzie otworzyć bramę...  
Uprzejmy człowiek, co?

- Tak.

- To może wróżyć pomyślność, jak w powieściach - zażartował. Millie wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę jesteś dowcipny - orzekła, gdy usadowił się na wozie.

- Nie tylko ty czytasz książki. Gdybym zechciał, pokonałbym cię w tym bez trudu, ale mam jeszcze czas. Jak będziesz starsza i zaczniesz czytać książki dla dorosłych, urządzimy sobie zawody. - Lekko uderzył kucyka cugłami.

- Ben, dlaczego nie chodzisz do szkoły? - Millie, która szła obok Chłopczyny, nagle się odwróciła.

- Słucham?! Co ty wygadujesz? Taki „staruszek” jak ja?

- Wielu dorosłych chodzi do szkół wieczorowych, także ci, którzy w ciągu dnia pracują. Ksiądz Dolan prowadzi jedną z takich szkół.

- Co?! Ja miałbym się zadawać z katolikami? Chcesz, żebym mu wbił w rękę nożyczki? Och, przepraszam... Naprawdę przepraszam.

- Nie czuję się urażona. - Chwyliła kucyka za uzdę i zatrzymała, bo właśnie znaleźli się na wysokości bramy, która była otwarta. - Nigdy nie żałowałam tego, co zrobiłam siostrze Mary, ani przez chwilę nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia, bo to straszna kobieta. Była okrutna również w stosunku do innych dziewczynek... A wracając do sprawy. Nie tylko katolicy prowadzą szkoły wieczorowe. Możesz się zapisać do tej kierowanej przez pastora Kinga, protestanta.

- Wszyscy oni to nawiedzeni kaznodzieje... Usuń się z drogi, żebym mógł skręcić, jeśli nie zamierzasz prowadzić Chłopczyny...

Posuwali się krótką aleją, po obu stronach obsadzoną krzewami, prowadziła na niewielki, porośnięty trawą plac. Stał przy nim zwrócony frontem do bramy dom. W porównaniu z tymi mijanymi po drodze był mały - jednopiętrowy - choć półkoliste okno w dachu, nad drzwiami, świadczyło o tym, że na strychu też są pokoje.

Ledwie Ben zdążył zsiąść z wozu, gdy zza domu wybiegła gromadka dzieciaków i zatrzymała się w odległości kilku metrów od niego i Millie. Było ich pięcioro: trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Najwyższa w całej grupce panienka wyglądała na niewiele młodszą od Millie.

- Jakie krótkie nogi! - krzyknął starszy z chłopców na widok Bena i zaczął uciekać, a za nim wszyscy pozostali, wrzeszcząc jak opętani, bo mały człowieczek zrobił zamaszty krok w ich kierunku.

- Ale potrafią was dogonić! - rzucił za nimi ze śmiechem. W drzwiach ukazała się młoda kobieta.

- Dzieci! Betty! Paddy! Daisy! Chodźcie tu natychmiast! - zawołała podniesionym głosem, ale nikt jej nie posłuchał.

Gromadka zatrzymała się za rogiem domu i z tej bezpiecznej odległości obserwowała młodego krótkonogiego mężczyznę i dziewczynkę o złocistych włosach, którzy zmierzali do drzwi.

- Ach, jesteście. Dzień dobry. Proszę wejść.

Millie od razu spostrzegła, że pani Quinton jest nerwową a pierwsze wrażenie, że to stosunkowo młoda osoba, potwierdziło się. Matka sześciorga dzieci miała rozczochrane włosy, a na sukni fartuch. Nie wyglądała na damę, która zatrudnia opiekunkę do dzieci. Absolutnie nie przypominała matki Annabel.

- Proszę za mną. - Z niewielkiego hallu wprowadziła ich do przestronnej kuchni, w której dominował prostokątny stół, z licznymi taboretami pod blatem, i piec z piekarnikiem po jednej stronie i zbiornikiem na wodę po drugiej, taki sam jak ten znany Millie z kuchni w klasztorze. - Siadajcie... O mój Boże... - Wysunęła spod stołu dwa taborety, a gdy Millie i Ben usiedli, spojrzała na nich trochę bezradnie, ale uśmiechnęła się. - Już poznaliście moje dzieci, z wyjątkiem tego najmłodszego, niestety, nie od najlepszej strony. Pewnie pomyśleliście, że są niesforne, ale tak naprawdę nie należą do tych niegrzecznych, tylko do bardzo żywych.

Millie uśmiechnęła się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech.

- Muszę być z tobą... szczerza. Potrzebuję kogoś, kto potrafi je... krótko trzymać, to znaczy, będzie umiał sobie z nimi radzić. I chcę, byś wiedziała, że w tym roku miałam już dwie opiekunki do dzieci. Jeśli nie powiedziałabym ci o tym teraz, to pewnie wkrótce i tak byś się dowiedziała od kogoś ze służby pałacowej. Nie chciałabym, żebyś zaczęła tu pracować, mając... Jak to powiedzieć? - Uśmiechnęła się. - Fałszywy obraz sytuacji. Rozumiesz?

- Oczywiście, proszę pani. Poza tym zajmowałam się już dziećmi... w szkole przyklasztornej. Do obowiązków starszych uczennic należała opieka nad dwiema lub trzema młodszymi dziewczynkami. Trzeba było dopilnować, żeby się porządnie umyły, ubrały... Więc oczywiście robiłam to, zanim stamtąd odeszłam.

- Byłaś w szkole przyklasztornej? A tak, tak... - Pani Quinton przymknęła powieki, jakby przypominała sobie, co na temat Millie powiedziała jej kuzynka Kirkley.

Oczywiście matka Annabel przezornie pominęła historię z siostrą Mary i obcinaniem włosów, bo informacja, że Millie kopnęła zakonnice w łydke i wbiła jej w rękę nożyce, za co została usunięta ze szkoły, skutecznie zniechęciłaby każdą troskliwą matkę do zatrudnienia kogoś takiego w roli opiekunki do dzieci.

- Czy moja kuzynka powiedziała ci, na jakich warunkach możesz tu zostać zatrudniona? - spytała pani Quinton po chwili milczenia.

- Tak - potwierdziła Millie, choć lekko się zawahała.

- I odpowiadają ci?

- Tak. Dziękuję.

- Zatem kiedy chciałabyś zacząć?

Dziewczynka odwróciła się do Bena, który wzruszył ramionami.

- To zależy tylko od ciebie. Odpowiadałoby ci, gdybym przywiózł cię tu jutro?

- Tak, świetnie. - Spojrzała na panią Quinton. - Zaczną od jutra.

- Czy... chciałabyś teraz poznać dzieci? Oczywiście już je widziałas, ale mogłabym je tu zawołać i...

Millie wstała z krzesła, bo zrobiło się jej żal tej udreżonej kobiety, która już wkrótce miała być jej chlebodawczynią.

- Proszę się nie fatygować. Przedstawimy się sobie jutro. Jestem pewna, że bardzo szybko je poznam, a one mnie - oświadczyła.

- Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli nastąpi to jutro. Aha... Czy moja kuzynka powiedziała ci, że poza opieką nad dziećmi będziesz miała jeszcze inne obowiązki? Codziennie rano przychodzi tu na dwie godziny dziewczyna, która wykonuje najcięższe prace. Toteż czasami jest mi potrzebna pomoc w kuchni i...

- Z przyjemnością pani pomogę, zawsze kiedy tylko będę w stanie.

- Ona wspaniale gotuje - wtrącił się do rozmowy Ben. Rose Quinton spojrzała na dziwnego mężczyznę i pomyślała to co wszyscy: Jaka szkoda, że ma takie krótkie nogi. Gdyby nie to, byłby przystojny.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona. Ben z przekonaniem potaknął głową.

- Proszę mi wierzyć, bo lubię dobrze zjeść. Nikt nie gotuje tak smacznie jak ona.

Rose Quinton znowu uśmiechnęła się do Millie.

- To wprost nieocenione... Zatem zjawisz się tu jutro rano... o tej samej porze co dziś?

- Tak, proszę pani.

Rose Quinton milczała, jakby nie była pewna, co powinna teraz zrobić. Po chwili wahania szybko wyprowadziła ich na dwór.

Czwórka dzieci stała przy kucyku, a najstarszy chłopiec siedział na wozie.

- O mój Boże! Ten chłopiec... Przepraszam.

- Absolutnie nie ma za co, proszę pani - uspokajała ją Millie. - To dobry znak, jeśli dzieci lubią zwierzęta i potrafią się z nimi bawić. Miłego dnia.

- Miłego dnia.

Millie nie była pewna, czy powinna dygnąć, ale w końcu z tego zrezygnowała i zachowała się w sposób, który wkrótce miał przysporzyć jej kłopotów.

- Do widzenia pani.

- Do widzenia... Jak masz na imię?

- Millie, proszę pani.

- Millie? Zatem do widzenia, Millie.

- Do widzenia pani - powtórzyła dziewczynka i ruszyła za Benem do wozu. Nawet nie skinęła głową.

Dzieci natychmiast się rozbiegły, ale zaraz zebrały się w gromadkę, jakby zamierzały zaatakować. Gdy jednak Millie, która już usiadła na wozie, pomachała im na pożegnanie, rozchichotały się i też jej pomachały.

Millie uznała to za kolejny dobry znak, a Rose Quinten przyjęła zmianę zachowania dzieci z wyraźną ulgą.

- W pewnej chwili poczułam się tak, jakby tę dziewczynkę zesłał nam sam Bóg - zwierzyła się wieczorem mężowi w sypialni. - Dziwne, prawda?

- Oj dziwne. Wprost nie mogę się doczekać zstąpienia tu jutro z nieba tego anioła. Naprawdę - zażartował William Quinten.

## ROZDZIAŁ 6

Od czasu gdy Millie zamieszkała w domu Quintonów, który nazywano małym dworkiem, upłynęło już pół roku i to był najszcześniejszy okres w jej życiu. Wciąż tęskniła za tymi kilkoma godzinami w tygodniu i kilkunastoma w miesiącu, kiedy spotykała się z Aggie i z Benem, jednak zawsze chętnie wracała do małego dworku. Czuła się tu jak w prawdziwym domu i nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek chciała stąd odejść. Ale pierwszy tydzień pobytu był dla niej bardzo trudny. Państwo Quintonowie jadali posiłki w małej jadalni, a ona razem z ich dziećmi w kuchni. Od razu starała się je utemperować, by wiedziały, że nie mogą jej wchodzić na głowę. Gdy drugiego dnia podczas obiadu dziewięcioletnia Daisy ochlapała jej twarz gorącą zupą, ku wielkiej ucieście pozostałej czwórki, Millie wzięła z pomocniczego stołu dużą łyżkę do nakładania potraw i zrobiła dziewczynce to samo. Daisy zaczęła piszczeć, ale pozostali wstrzymali z wrazenia oddech.

- Poskarżę mamie! - krzyknęła zdumiona Daisy.

- Proszę bardzo - zachęciła ją Millie.

Gdy jednak dziewczynka zaczęła wstawać od stołu, powstrzymał ją Paddy.

- Nie rób tego przy tacie, bo dostaniesz karę. Poczekaj, aż wyjdzie - przestrzegł siostrę.

Otóż to najpierw Millie „dostała karę”, to znaczy została zamknięta przez dzieci w jej sypialni na strychu. Wchodziło się tam po drabinie, podnosząc klapę w suficie, która nie wiedzieć czemu była zamykana od zewnątrz. Gdy pierwszego dnia wieczorem Millie udała się na spoczynek, piątka łobuziaków natychmiast ją zaryglowała. Toteż o wpół do siódmej rano, kiedy jeszcze wszyscy byli w łóżkach, dziewczynka, rzecz jasna, nie mogła zejść na dół. Jednak wbrew oczekiwaniom dzieci nie bębniła pięścią w klapę i nie wrzeszczała jak opętana, tylko z powrotem położyła się na pryczy, czekając, co się wydarzy. Nie musiała zresztą długo czekać, bo gdy o siódmej pan Quinton zszedł do jadalni na śniadanie i zobaczył pusty stół, pospiesznie udał się do małżeńskiej sypialni i powiedział o tym żonie.

- Pewnie wyniosła się stąd po cichu. A już myślałam, że jest inna niż nasze dotychczasowe opiekunki do dzieci i że sobie z nimi poradzi... Ale może zasnęła. Wejdz na strych i sprawdź.

William odryglował klapę i zajrzał do pokoju. W słabym świetle niemal wypalanej świecy zobaczył, że Millie siedzi w ubraniu na pryczy.

Uśmiechnęła się do niego.



- Te małe diablęta znowu nabroili! - skomentował, odwzajemniając uśmiech.

- Zdaję sobie sprawę, że nie dostał pan śniadania, ale zrobię je panu migiem - zobowiązała się, ostatecznie rozpraszając jego obawy.

Gdy ona krzątała się po kuchni, William zajął do dzieci w ich połączonych sypialniach. Troje najstarszych, które spały w jednym pokoju, było dziwnie rozbudzonych. Najwyraźniej wciąż czekały na odgłosy walenia pięścią w klapę i na krzyki, które jakoś długo się nie rozlegały. Ojciec wytargał Paddy'ego za uszy i potrząsnął Daisy oraz Berty, oświadczając, że świetnie wiedzą, za co ta kara, po czym przeszedł do pokoju dwojga młodszych - sześciolatniego Roberta i czterolatniej Florrie, których obudził klapsami.

- Ostrzegalem was - wskazał dłonią kolejno Betty, Daisy i Paddy'ego - co się stanie, jeśli stracimy kolejną opiekunkę, prawda? Skończy się nauka. Wy, panienki, będziecie pracowały w pałacowej kuchni. Jest tam już dziewczynka w waszym wieku, która przez cały boży dzień wynosi wiadra z pomyjami. A ty, Paddy, zostaniesz chłopcem stajennym. To nie są puste słowa. -

Uniósł groźnie rękę. - Tym razem naprawdę do tego dojdzie. Millie to porządna, inteligentna dziewczyna. Wszystko na to wskazuje, że potrafi was nauczyć tyle samo, ile nauczylibyście się w szkole, bo sama chodziła do dobrej szkoły. Dlatego ostrzegam was po raz ostatni. Rozumiesz? - Spojrzał na syna. - Paddy?!

- Tak, ojczu.

- Chcesz być stajennym?

- Nie... nie, ojczu. Interesują mnie... maszyny. Wymyślanie maszyn. Wiesz o tym.

- Owszem, wiem. Ale jeśli mnie nie posłuchacie, spotka was to, o czym mówię. Robert... To odnosi się również do ciebie, bo i ty skończysz jako stajenny. Chłopcy w twoim wieku też już czyszczą konie...

Pan Quinton odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Reprimenda poskutkowało, ale przez kilka dni dzieci były na Millie obrażone. Lody zostały przełamane dopiero wtedy, gdy niesforna piątka zorientowała się, że opiekunka posiada dar opowiadania, a do tego jeszcze potrafi się z nimi bawić. Szybko zjednała sobie sympatię Patricka, bo pochwaliła go za grę na fujarce i prawdopodobnie była pierwszą osobą która to zrobiła.

Rezerwa w stosunku do niej ze strony całej gromadki zniknęła ostatecznie, gdy pewnego słonecznego popołudnia zatańczyła im na polanie

w pobliskim lesie irlandzką gigę. Millie nauczył tego tańca Ben, a jego, dawno temu, Annie. Patrick miał niezły słuch muzyczny, więc szybko zaczął grać na fujarce nuconą mu przez Millie melodię, toteż dziewczynka zaczęła uczyć wszystkie dzieci tańczyć gigę. Śmiali się przy tym do rozpuku, przyciągając uwagę dwóch młodych jeźdźców, którzy akurat tamtędy przejeżdżali.

Młodzińcy zsiadli z koni i zza drzew ze zdumieniem obserwowali, jak pięcioro zwykle rozbrykanych dzieci Quintonów tańczy dziwny taniec wokół dziewczynki, której nigdy wcześniej nie widzieli. Miała długie złociste włosy, związane tylko na karku kokardą które poruszały się w rytm tańca. Nie nawykli do widoku rozpuszczonych włosów, więc sądzili, że pod wpływem skocznego tańca rozplótł się jej koczek.

Millie dowiedziała się od Jane Fathers, która zajmowała najniższą pozycję w hierarchii pałacowej służby, gdyż do jej obowiązków należało wynoszenie z domu pomyj i nieczystości, że to synowie Raymonda Crane'a-Bouldera. Jane Fathers odbierała od pokojówek porcelanowe nocniki oraz kubelki z brudną wodą i przelewała ich zawartość do metalowych wiader, które dźwigała wspólnie z pucybutem, Kenem Atkinsem, do dołu kloacznego, sto metrów od rezydencji, na końcu warzywnika. Las, w którym Millie bawiła się z dziećmi Quintonów, zaczynał się niedaleko od tego miejsca i czasami służąca zaszywała się w leśną gęstwinę, kładła na trawie i marzyła o lepszym losie. Gdyby się podlizywała pani Potter, kucharce, mogłaby zostać pomywaczką, bo wystarczyłoby, żeby ta poprosiła o to panią Roper, klucznicę. Podczas jednego z tych kradzionych odpoczynków poznała Millie i od tego momentu zaczęła jej opowiadać o mieszkańcach „The Grange”.

Najważniejszy był oczywiście ojciec pana Raymonda, właściciel, jak utrzymywała służąca, dwu fabryk włókienniczych, który niemal nie wychodził ze swego apartamentu, bo był otyły i chory na podagrę. To pan Raymond bywał w tych fabrykach i prowadził interesy. Jane twierdziła, że gdyby Millie przypadkiem zobaczyła na terenie posiadłości przystojnego, wysokiego i szczupłego mężczyznę w średnim wieku, bez trudu domyśliłaby się, że to on. Zdaniem służącej był statecznym człowiekiem, natomiast jego żona miała słaby punkt, to znaczy - jak szeptem Jane wyjawiała Millie - lubiła zaglądać do kieliszka i czasami kończyło się to istnym piekłem. Fio Yarrow, druga w hierarchii pokojówka, oraz Jessie Kitson, jej pomocnica, dużo wiedziały na ten temat i opowiadały, co dzieje się w rezydencji, gdy pani domu za dużo wypije. Mówiły, że wtedy czują się tak, jakby były w szynku Ridleya w sobotę wieczorem. Państwo

Crane'owie-Boulderowie mieli dwóch synów: piętnastoletniego Davida i czternastoletniego Randolpha. Młodzieńcy byli bardzo rozbrykani i aroganccy wobec służby. Kiedyś kopniakami przewrócili stojące obok Jane wiadro z nieczystościami, które wylały się jej na nogi.

Millie dowiedziała się również, że im wyższą ktoś zajmuje pozycję w hierarchii służących, tym gorzej traktuje tych stojących niżej, choć zdarzają się wyjątki. Na przykład Winters, pokojowy pana Raymonda, w ogóle nie zauważał tych na niższych stanowiskach, podobnie jak panna McNeil, pokojówka pani domu. Taki sam był pod tym względem majordomus. Strasznie się puszył, w przeciwieństwie do Boswella, pierwszego lokaja, który nawet potrafił zażartować. Za to John Tester, drugi lokaj, zawsze był sztywny niczym posterunkowy. Jane poinformowała Millie, że w kuchni pracują cztery służące, a trzy następne, których nie wymieniła wcześniej, w pokojach. Z kolei w obejściu i w ogrodzie Crane'owie-Boulderowie zatrudniali po czterech służących.

Na początku Millie mieszały się funkcje, imiona i nazwiska wymienianych przez Jane służących, ale słuchając jej co najmniej dwa razy w tygodniu, po jakimś czasie wszystko dobrze zapamiętała. Nie wiedziała tylko, jak w środku wygląda dom Crane'ów-Boulderów, bo nie wiedziała tego sama Jane. Ta jedenastolatka pracowała u nich od ósmego roku życia, ale poza pomieszczeniami gospodarczymi i izbą czeladną nie wolno jej było nigdzie wchodzić, nawet do głównego hallu. Rocznią zapłatę - pięćdziesiąt dwa szylingi - odbierała wraz z kobietami i dziewczętami zatrudnionymi w kuchni od majordomusa, który przekazywał im pieniądze, siedząc za stołem w jadalni dla służby. Ale Jane żyła nadzieją, że w tym roku już na pewno zobaczy, jak wygląda dom w środku, bo miały się odbyć huczne urodziny brata pani domu, prawdopodobnie przyrodniego - służąca nie była tego pewna. Mówiło się nawet, że zostanie wydane przyjęcie dla służby. Jane żyła tym przyszłym wydarzeniem, jakby była to jej jedyna radość.

Millie było jej naprawdę żal.

- Została wzięta z ochronki, podobnie jak pucybut - powiedziała do Aggie podczas krótkich cotygodniowych odwiedzin w domu, gdy usiadły na kanapie. - Dlatego wszyscy traktują ich oboje jak trędowatych. Jane jest wdzięczna za każde życzliwe słowo i cieszy się z powodu nadchodzących urodzin przyrodniego brata pani domu, ale z tego, co wiem, one odbędą się dopiero w przyszłym roku... Jakie to smutne. Tak mi żal tej dziewczyny.

- Millie oparła głowę na ramieniu swej opiekunki i westchnęła.

- Ja miałam więcej szczęścia niż Jane.

- Skarbie, ja też miałam szczęście, że cię spotkałam - wyznała Aggie, zwykle tak niechętnie okazująca uczucia, przytulając Millie. Jednak po chwili odsunęła ją od siebie, spojrzała jej w oczy i spytała: - Nie wiesz, co Ben przede mną ukrywa?

- Nie wiem. A o co chodzi?

- Właśnie ciebie o to pytam, bo o czymś z tobą rozmawia, przywożąc cię tu i odwożąc do Quintonów. Nie zwierzał ci się?

- Z czego?

- Dokąd chodzi dwa razy w tygodniu wystrojony w to porządne ubranie? Po zawiezieniu ciebie po raz pierwszy do „The Grange” nie nosił go przez jakiś czas, choć ubierał się przyzwoicie, jak to podkreślasz. Zresztą zawsze tak było. Nawet kiedy udaje się w odwiedziny do Annie, jest wyelegantowany, ale nie w tym rzecz. Za każdym razem kiedy wieczorem wkłada to ubranie i wychodzi z domu, nie skręca w ulicę prowadzącą do mieszkania Annie, tylko kieruje się do miasta. Nie wiem, dokąd się udaje. Czy nic ci nie mówił?

- Nie, pani Aggie, ale musi chodzić o jakieś szczególne miejsce, skoro wkłada to ubranie.

- Tak też uważam, moje dziecko. Gdy go spytałam żartem: „Czyżbyś dał kosza swojej wieloletniej przyjaciółce i znalazł sobie jakieś bóstwo?”, wiesz, co mi odpowiedział? „Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak się stało. Na świecie zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy”. A po chwili oświadczył niby to uroczystym głosem: „Pani Winkowski, po raz pierwszy prawidłowo określiła pani związek łączący mnie obecnie z panną Annie Blackett”. O mały włos nie rzuciłam w niego garnkiem z gulaszem.

- Ben, dokąd chodzisz dwa razy w tygodniu w swoim nowym ubraniu? - spytała go otwarcie Millie, gdy odwoził ją do Quintonów, ponieważ była tym tak samo zaintrygowana jak Aggie.

- A więc powiedziała ci? Zresztą spodziewałem się tego. Ale jeśli dowiesz się ode mnie, to w najbliższą niedzielę ona dowie się od ciebie, prawda?

- Skoro sobie nie życzysz, nic jej nie powiem. Ben... Znasz mnie. Spojrzał na nią przenikliwie.

- Ale jeśli się dowiesz, o co chodzi, będziesz się ze mnie śmiała, albo gorzej.

- Śmieję się tylko z tego, co jest śmieszne. Czy to, co robisz dwa razy w tygodniu wieczorem, jest śmieszne?

- Według mnie nie jest. Chodzi o coś, co chciałem robić od dawna, ale jakoś nie miałem odwagi. Gdy jednak pomyślałem, że ty, mała

dziewczynka, wiesz tyle różnych rzeczy, a ja, młody mężczyzna, starszy od ciebie o dziesięć lat, tak niewiele, przełamałem się. Chcę przez to powiedzieć, że wprawdzie mój umysł stale pracuje na wysokich obrotach, jednak nie wzbogaca się o nową wiedzę i nie rozwija, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Więc pomyślałem sobie, że skoro tylu mądrzejszych ode mnie ludzi rozpoczyna naukę w późnym wieku, to ja też mogę. I zapisałem się do szkoły wieczorowej.

- Och, Ben! Tak się cieszę! Jak mogłeś się obawiać, że będę się z ciebie śmiała? Poza tym bardzo przesadzasz, mówiąc, że wiem od ciebie więcej. Zawsze uważałam cię za mądrego człowieka.

- Mnie... za mądrego?

- Tak, tak. Potrafisz bardzo trafnie oceniać ludzi i sytuacje, niemniej to bardzo dobrze, że zacząłeś chodzić do tej szkoły. Czego cię tam uczą?

- No więc... - Ściągnął cugle. - Wio, Chłopczyno! - Popędzając kucyka, wyraźnie się zastanawiał. - Pierwsza lekcja wydała mi się głupia, bo nauczyciel czytał nam fragmenty z różnych książek i pytał nas o opinie. Oczywiście nie tylko ja nie potrafiłem nic powiedzieć na temat działalności związków obrońców praw biednych przed powołaniem Rady Obrońców Praw Biednych. Ty też byś nic nie powiedziała. Ale jak to skomentował jeden bystry strojniś, im mniej człowiek wie o przytułkach, tym jest szczęśliwszy. Dodał jeszcze, że zaczął chodzić do tej szkoły, by było mu łatwiej zdobyć lepiej płatną pracę, a dzięki temu mógł w przyszłości trzymać się jak najdalej od przytułków. Wszyscy się roześmiali, włącznie z nauczycielem. To pomogło przełamać początkową sztywność. Kiedy nauczyciel przeszedł do ustawy o ochronie zdrowia z 1848 roku, byłem bliski zabrania głosu. Miałem ochotę powiedzieć, że ci, którzy zajmują się sprawdzaniem, czy ustawa jest przestrzegana, musieli przeoczyć The Courts, bo szczury mają tam większą przestrzeń życiową niż stłoczeni jak w mrowisku ludzie. Ale mniejsza z tym, jak jest naprawdę, bo rozmowa na lekcji o takich sprawach uczy myśleć i poszerza horyzonty. Byłem wstrząśnięty, kiedy nauczyciel powiedział, że wybudowano całkiem przyzwoite domki dla rodzin robotniczych, ale ludzie nie chcą się do nich wprowadzić, przyzwyczajeni do gromadnego życia w zawieszonych norach. Jeden ze słuchaczy nie wytrzymał i wyskoczył na niego z gębą ale on kazał mu udać się na Boston Lane i naocznie się przekonać, że to prawda. Poszedłem tam i okazało się, że jest tak, jak mówił nauczyciel. To małe, lecz porządne ceglane domki, ale połowa z nich wciąż stoi pusta. Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczył na własne oczy.

- Ben, te lekcje wyglądają na bardzo interesujące. Szkoda, że nie mogę w nich uczestniczyć.

- Och, Millie, jest dla ciebie o wiele lepiej, że zajmujesz się tymi rozrabiakami, jak posterunkowy Fenwick nazywa dzieci Quintonów... Jedna z lekcji była poświęcona prawom dzieci. Według ustawy z 1842 roku nie wolno zatrudniać dzieci poniżej dziesiątego roku życia, ale połowa mieszkańców kraju ostro się temu przeciwstawiła, a zwłaszcza farmerzy. Nawet rodzice małych dzieci występowali przeciwko takiemu prawu, bo dzięki pracy nawet tych najmłodszych łatwiej wyżywić rodzinę. A dla farmerów i fabrykantów małe dzieci to najtańsza siła robocza. Oczywiście wiem o tym od dawna, ale jeśli na lekcjach nauczyciel czyta ustawę, która czegoś zabrania, a zarazem nie jest przestrzegana, to człowiek zaczyna się zastanawiać nad przyczynami i staje się bardziej myślący... Zatem już wiesz, Millie Forester, co robię dwa razy w tygodniu wieczorem, mając na sobie swoje najlepsze ubranie... Chodzę do szkoły... i staram się jak najwięcej czytać, jeśli tylko mam czas.

- Ben, jestem z ciebie dumna. Naprawdę.

- Wszystko na to wskazuje, że tylko ty jedna - mruknął w odpowiedzi.

- Nie bądź osłem. - Potrząsnęła go za ramię. - Nie ja jedna. Pani Aggie cię kocha.

Spodziewała się, że zaprzeczy lub zachowa się buńczucznie, co przychodziło mu z łatwością ale milczał.

- Tak - powtórzyła. - Ani ja, ani ona nie potrafiłybyśmy cię nie kochać.

- Wio! - popędził konia.

Wiadomość o tym, że Ben chodzi do szkoły, nawet jeśli były to zaledwie cztery godziny tygodniowo, obudziła w Millie uśpioną tęsknotę za kontynuowaniem nauki. Oczywiście, póki co nie istniała taka możliwość, a poza tym Millie lubiła zajmować się dziećmi Quintonów i pomagać ich matce w prowadzeniu domu. Od pewnego czasu to głównie Millie gotowała. Miała świadomość, że jest doceniana i traktowana nie jak służąca. Kiedy w niedzielę Quintonowie jedli wraz z dziećmi lunch w jadalni, nie kazali jej pilnować rozbrykanej piątki. Traktowali ją niemal jak członka rodziny, podczas gdy Nellie Fuller, córce pałacowego stangreta, która codziennie rano wykonywała przez dwie godziny najcięższe prace, nie okazywali żadnych względów. Pani Quinton wprawdzie nigdy na Nellie nie krzyczała, ale też nigdy niczym jej nie poczęstowała, a zapłatę oddawała stangretowi. Millie było żal tej dziewczynki tak samo jak Jane Fathers. Czasami wciskała jej do ręki bułeczkę z rodzynkami, którą sama dostawała na drugie

śniadanie. Nellie zawsze skwapliwie przyjmowała ten przysmak i zjadała go w milczeniu.

Pewnego ranka, gdy Millie odprowadzała dzieci do odległej o półtora kilometra szkoły parafialnej, przyszedł jej do głowy pewien pomysł i wieczorem ze zręcznością dyplomaty przedstawiła go pani Cminton, zwłaszcza że ta stworzyła ku temu okazję.

- Millie, jestem zachwycona tą szkołą. Dzieci stale robią postępy w nauce. To, że czytasz im przed snem, okazuje się bardzo pomocne. Sama mogłabyś być nauczycielką.

- Mam wielką nadzieję, proszę pani, że kiedyś nią zostanę - powiedziała coś, co nagle przyszło jej do głowy. - Zanim zaczęłam się zajmować państwa dziećmi, zamierałam wrócić do szkoły i nadal tego chcę.

- Och, Millie! Nie możesz tak po prostu zostawić moich dzieci! One cię kochają. Naprawdę. Potrafisz się nimi opiekować jak nikt inny. Mówiąc szczerze, słuchają się ciebie bardziej niż mnie. Och, Millie! Chyba nie zamierzasz nas opuścić?

- Ale ja naprawdę chcę wrócić do szkoły... to znaczy do dziennej szkoły, na przedpołudniowe lekcje.

- Och, Millie, myślałam, że zostaniesz u nas, dopóki dzieci nie podrosną. Jesteś tak bardzo nam pomocna. Bardzo to oboje z mężem doceniamy. Jeśli odejdziesz, pan Cniinton będzie strasznie zawiedziony.

- Ale ja nie chcę odejść jutro.

- Jednaknosisz się z zamiarem odejścia...

- Tak, ale... jest wyjście z tej sytuacji, jeśli... jeśli pani uważa, że dzieci naprawdę chcą, bym została.

- Tak! Słucham! Jakie wyjście masz na myśli?

- Otóż zostałabym u państwa, gdybym mogła uczyć się razem z dziećmi na lekcje, dwa lub trzy razy w tygodniu... tylko przed południem.

- Oczywiście, Millie - po chwili namysłu odparła z entuzjazmem Rose Quinton. - To dobry pomysł. Koniecznie muszę o tym porozmawiać z panem Quintonem, a on przedstawi naszą prośbę pani Wilkins, nauczycielce. Jestem pewna, że będzie miała w tobie dobrą pomocnicę, zwłaszcza przy najmłodszych uczniach. Tak, tak. Porozmawiam o tym z panem Quintonem, jak tylko wróci do domu. To jest wyjście z sytuacji. Dzieci wpadną w zachwyt, ale chyba nie będą chciały cię wykorzystywać? Nie pozwolisz im, prawda?

Pokiwała głową, jakby była pewna twierdzącej odpowiedzi Millie, i wyszła z kuchni, wzdychając z ulgą.

Millie zaczęła chodzić z dziećmi do szkoły i wszystko toczyło się gładko. Quintonowie tak ją polubili, że jej trzynaste urodziny zostały uczczone podwieczorkiem urządzone przez nich dla niej w jadalni. Przez następne miesiące dziewczynka czuła się tak, jakby życie było usłane różami. Niestety, przyjęcie dla służby, wydane w „The Grange” z okazji urodzin przyrodniego brata pani domu, Bernarda Thompsona, wszystko zrujnowało.

RS



## ROZDZIAŁ 7

Podniecenie, jakie panowało w „The Grange” w ciągu tygodnia poprzedzającego dwa przyjęcia - dla gości państwa i dla służby - wydawane z okazji urodzin przyrodniego brata pani Crane-Boulder, udzieliło się także mieszkańcom małego dworku, a zwłaszcza Millie. Od pani Quinton dowiedziała się, że została zaproszona na to drugie, które miało się odbyć następnego dnia po głównym przyjęciu - jak powiedziała jej Jane - w wielkim pokoju wypoczynkowym rezydencji Crane'ów-Boulderów.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Aggie właśnie dostała od którejś z zamożnych ofiarodawczyń suknię z tafty na jedwabnej niebieskiej podszewce. Na zewnętrznej stronie materiał był w różnych miejscach wyblakły, ale od wewnątrz wyglądał idealnie, podobnie jak podszewka. Aggie zaniósła suknię do Chińczyka Charliego i poprosiła, by jego żona odwróciła taftę na drugą stronę i uszyła z niej suknię dla Millie. Chinka, z wielką zręcznością przerabiająca ubrania, zaproponowała, by była to suknia w chińskim stylu, na co Aggie się zgodziła.

Millie przeżywała to, iż zaprezentuje się w rezydencji właścicieli w wytwornej sukni, równie silnie jak samo zaproszenie na przyjęcie. Odczuwała treść na myśl, że zobaczy tyle nowych twarzy. Oprócz Jane znała tylko stangreta i Kena Atkinsa, pucybuta, który czasami towarzyszył małej służącej, gdy przekradała się do lasu, by porozmawiać z Millie. Nigdy się nie odzywał i dziewczynka nie wiedziała, po co właściwie Ken przychodzi do niej wraz z Jane, ale zbytnio się nad tym nie zastanawiała, bo lubiła ich oboje. Oprócz nich, stangreta i jednego z ogrodników, którego czasami widywała na terenie posesji, nie znała nikogo spośród osób pracujących w rezydencji i żadnego z członków rodziny Crane'ów-Boulderów. Mały dworku był tak odseparowany od domu właścicieli, jakby znajdował się w innej części miasta. Służący mieli zakaz korzystania z tej drogi dojazdowej, która przebiegała obok domku zarządcy majątku.

Przyjęcie dla służby zaplanowano na najbliższy wtorek, a właśnie była sobota - dzień wolny od lekcji. W sobotę po południu Millie zawsze bawiła się z dziećmi, w domu lub na dworze. Było pogodnie, lecz zimno, więc poszli do lasu, gdzie biegali lub podrygiwali w rytm wygrywanych przez Patricka na fujarce melodii, formując taneczny korowód, co chwila wyłaniający się z lasu i z powrotem mknący wśród drzew. Na czele korowodu posuwała się tuż za grajkami Millie, która uwielbiała tańczyć, więc uszczęśliwiona była jak dziecko taką zabawą.

Gdy wesoła gromadka po raz kolejny wynurzyła się z lasu, wszyscy zatrzymali się nagle jak wryci na widok wysokiej damy i towarzyszącego jej dżentelmena. Millie nie wiedziała, że to państwo Crane'owie-Boulderowie, bo nigdy ich dotychczas nie widziała, ale zachowanie Berty nie pozostawiało żadnych wątpliwości, z kim mają do czynienia.

- Wielmożny panie... wielmożna pani, bawiliśmy się - odezwała się najstarsza córka Quintonów, przestępując z nogi na nogę i z pokorą zginając kolana.

- Sama widzę, dziecko, że przebraliście miarę - powiedziała na to silnym wysokim głosem Berenice Crane-Boulder, co kontrastowało z jej szczupłą sylwetką. - Ta dziewczyna... - Wskazała dłonią Millie i przez chwilę spoglądała na nią wyniośle, po czym zwróciła się do Betty: - Kto to jest?

- Jestem opiekunką dzieci państwa Quintonów i pomocnicą pani Quinton, proszę pani - odpowiedziała Millie, nie dopuszczając Betty do głosu.

Zachowanie dziewczynki i zdradzający pewność siebie ton jej głosu tak zdumiały panią Crane-Boulder, że na chwilę zaniemówiła.

- Odzywaj się tylko wtedy, gdy zostaniesz o coś spytana! wrzasnęła, jak tylko doszła do siebie. - Twoje wychowanie pozostawia wiele do życzenia. - Odwróciła się do Betty. - Przekaż matce, że chcę jutro widzieć o dziesiątej rano w moim gabinecie.

- Berenice... - zaczął Raymond Crane-Boulder, jakby starał się uspokoić.

- Chłopcze! - Spoglądała na Patricka, udając, że nie słyszy głosu męża. - Biegnij do stajni i powiedz służącym, że koło od powozu wymaga naprawy. Już cię tu nie ma!

Millie obserwowała zmierzającą w kierunku rezydencji panią Crane-Boulder, której sute halki tak szeleściły, jakby szła po suchych liściach. Wyobraziła sobie, że dama zaraz wzbije się w powietrze niczym ptak, bo zdobiące kapelusz pióra sterczały na plecach tej oschłej kobiety jak skrzydła.

- Zabawa to dobra rzecz - odezwał się do Betty wysoki Raymond Crane-Boulder, głaszcząc ją po głowie. - Nikt nie jest na nią zbyt dorosły.

- Dziękuję, proszę pana - odparła z uśmiechem dziewczynka, ale nie kryła zaskoczenia. - Dziękuję, proszę pana... - Powtarzając te słowa, zgięła w ukłonie kolana.

Po chwili mężczyzna odwrócił się od niej i podszedł do Millie.

- Lubisz tańczyć, prawda? - zagadnął.

- Tak, sir.

- Ile masz lat?

- Skończyłam trzynaście, sir.

- Trzynaście... Przyjemnie mieć trzynaście lat. Tańczyłaś tak energicznie, że aż zsunął ci się na kark czepek. - Włożył jej z powrotem na głowę maleńkie sztywne nakrycie. - Masz piękne włosy.

Gdy dotknął jej policzka, odchyliła się odrobinę do tyłu i spojrzała do góry. Zwróciła uwagę na miły wyraz szczupłej twarzy Raymonda Crane'a-Bouldera, na jego piwne oczy i długi, wąski nos. Górna warga ust też była wąska, ale dolna lekko zaokrąglona. Gdy uśmiechnął się szeroko, zobaczyła piękne zęby.

Nagle nastąpiło małe zamieszanie, bo pulchnej Florrie zaplątały się nogi i klapnęła na trawę.

- O Boże - jęknęła zawstydzona.

Pozostałe dzieci zaczęły chichotać.

- Chyba jest zmęczona - powiedział do Millie pan Raymond. Millie w milczeniu podniosła Florrie, skinęła głową właścicielowi i ruszyła z powrotem do lasu.

Dzieci Quintonów uklonili się Crane'owi-Boulderowi i pobiegły za nią.

Wracając do domu, z ożywieniem rozmawiały o spotkaniu z panem i panią.

Gdy tylko przekroczyły próg, Daisy ruszyła pędem do salonu, gdzie na kanapie siedziała Rose, a przy stole William, który akurat pisał cotygodniowe sprawozdanie ze swojej pracy jako zarządcy majątku.

- Spotkaliśmy pana i panią! Pan poprawił Millie czepek! - krzyknęła w podnieceniu.

Ojciec przestał pisać i spojrzał pytająco na pozostałe dzieci, które właśnie weszły do salonu.

- Co ty mówisz, drogie dziecko?

- Spotkaliśmy pana i panią - powtórzyła Betty to, co odrobinę wcześniej oznajmiła jej siostra. - Pani była rozgniewana... Mamusiu, kazała ci przyjść jutro do jej gabinetu o dziesiątej rano.

Państwo Quintonowie wymienili spojrzenia.

- Gdzie ich spotkaliście? - spytał William.

- Na drodze.

- Na naszej drodze? - Wstał z krzesła.

- Tak. Zepsuł im się powóz - najwidoczniej bliżej naszej bramy. Pani nakrzyczała na Millie, ale pan był miły. Poprawił naszej opiekunce czepek i pogłaskał ją po policzku.

Rose natychmiast podniosła się z kanapy.

- Poprawił jej czepek? Dlaczego?

- Tańczyliśmy w lesie i najwidoczniej z powodu podskoków wysunęły się jej z włosów szpilki. A kiedy włosy opadły na kark, pociągnęły za sobą czepek. Pan poprawił jej czepek i pogłaskał ją po policzku. Rozmawiał z nią.

Rodzice ponownie wymienili spojrzenia.

- Zbyt ochoczo podskakujecie i tańczycie w lesie, zwłaszcza Betty i Daisy. Spalę ci tę fujarkę, Paddy. A Millie powinna wykazywać więcej rozsądku - orzekł William stanowczym tonem.

- Jeśli to zrobisz, tato, wystrugam sobie nową. Taggard pokazał mi, jak się to robi - odparował syn.

Ojciec z desperacją rozłożył ręce.

- No i proszę, czego się doczekałem? - Zerknął na żonę. - Kobieto, jak ty wychowujesz te dzieci, skoro mój syn ośmiela się mi sprzeciwiać, a moje córki tańczą w lesie jak jakieś zepsute dziewczęta? Robert! Przestań się uśmiechać, bo zaraz ci się odechce.

Gdy Robert zaczął energicznie pocierać sobie twarz dłonią zaciskając przy tym usta, pozostałe dzieci wybuchnęły śmiechem.

- Wynoście się stąd! Wszyscy! Precz z moich oczu! - krzyknął William.

Gdy cała gromadka wraz z Millie opuściła salon, państwo Quintonowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Nie mieści mi się to w głowie - stwierdził ogólnikowo William.

- Pewnie wszystko przez to, że to przerażająca kobieta - skomentowała równie ogólnikowo Rose.

Aggie i Ben spoglądali w milczeniu na stojącą przed nimi smukłą osobkę, ubraną w mieniącą się suknię z niebieskiej tafty. Suknia sięgała czarnych skórzanych pantofelków, miała małą stójkę i szarfę w pasie oraz bardzo szerokie rękawy. Gdy Millie uniosła ręce, przekonała się, że w miejscu mankietów rękawy są przyszyte do sukni.

- Czy kiedykolwiek widziałeś taki piękny strój? - zagadnęła Aggie Bena.

- Powiem tylko, że żona Charliego świetnie się spisała.

- To wprost nie do uwierzenia, ale masz rację! Gdy tylko zobaczyłam tę suknię, jeszcze przed przeróbką wiedziałam, że da się z niej uszyć coś ładnego, jednak nawet na myśl mi nie przyszło, że można z tej tafty wyczarować takie чудо.

- Ale to ważne, Aggie, kto mają na sobie. Tylko spójrz.

- Och... - Gospodyni ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową. - W takiej sukni każda dziewczyna wyglądałaby ładnie. - Jednak spoglądając na

Millie, uśmiechnęła się z zadowoleniem i dodała: - Ale musisz upiąć włosy, nie możesz mieć ich rozpuszczonych tak jak teraz.

- Pani Quinton powiedziała, że upnie je w koczek na karku.

- Ta pani Quinton sprawia wrażenie miłej kobiety - orzekła Aggie.

- Ona jest miła, pani Aggie. Bardzo miła - odparła z naciskiem dziewczynka. - I jest młoda... To znaczy chciałam powiedzieć, że mając sześcioro dzieci, wciąż jest w pewnym sensie młoda, choć skończyła dwadzieścia dziewięć lat.

- Dwadzieścia dziewięć? - powtórzył Ben, po czym spojrzał porozumiewawczo na Aggie i dodał z powagą: - Czyli stoi nad grobem.

- Ben! Och, ty! Przecież wiesz, co chciałam przez to powiedzieć - broniła się Millie. Poglądziła dół sukni. - Nigdy wcześniej nie widziałam tak pięknego stroju. Dziękuję, pani Aggie. Bardzo dziękuję.

Kiedy chciała objąć opiekunkę, ta ją powstrzymała.

- Uważaj! Zona Charliego wyprasowała ją na mokro. I słono kazała sobie za wszystko zapłacić: dwa i pół szylinga. Więc nie pobrudź tej sukni.

- Och... - Millie wzięła Aggie za ręce. - Jeszcze raz dziękuję. Jest pani wspaniała i nie może mi pani zabronić wyrazić mojej wdzięczności... Kiedyś opowiedziałam o pani dzieciom Quintonów. Jeśli wieczorem przed zaśnięciem coś im opowiadam, leżą cicho jak trawie. Byłam w połowie opowieści, kiedy do sypialni weszła pani Quinton. Jak sądzę, zaintrygowała ją panująca w niej cisza. Usiadła na łóżku Berty i bez słowa wysłuchiwała tego, co miałam do powiedzenia. A gdy schodziłyśmy na dół po schodach, powiedziała: „To historia pani Winkowski, prawda? Piękna historia”.

- O Boże! - wybuchnęła Aggie, na powrót stając się po swojemu szorstka. Spojrzała na Bena. - Słyszałeś coś podobnego?! Ciekawa jestem, o czym opowie im następnym razem? Zobaczysz, że kiedyś zaczną wygłaszać po kaplicach takie same bajki jak ci wszyscy kaznodzieje. Będzie wychwalała Boga, a równocześnie trzaskała głową jednego dziecka o głowę drugiego.

Aggie wyszła z kuchni, a Ben chichotał.

- W żaden sposób nie pozwoli sobie podziękować, prawda? Nie lubi tego - orzekła ze smutkiem Millie.

- To nie tak. - Ben położył jej rękę na ramieniu, ale niemal w tej samej chwili ją cofnął. - Och, co ja robię! Nie powinienem cię dotykać, gdy masz na sobie tę suknię. A co do zachowania Aggie... Broni się swoją szorstkością przed wzruszeniem. Nie mogła tu zostać dłużej, bo nie potrafiłaby powstrzymać łez. Czy nie dostrzegasz tego, moja droga, że

jestes dla niej wszystkim? Słońcem, które rozjaśnia dzień, i księżycem, co rozjaśnia noc?

- Ładne porównanie - pochwaliła go rozpromieniona. - Skąd je znasz? Przeczytałeś w jakiejś książce?

- Ależ nie! Samo przyszło mi do głowy.

- Naprawdę? Wszystkim... Słońcem, które rozjaśnia dzień, i księżycem, co rozjaśnia noc... Jakie to wymowne... Ben, czy nadal chodzenie do szkoły wieczorowej sprawia ci przyjemność?

- O tak. Lubię lekcje i biorę w nich udział. Większość uczniów wciąż boi się otworzyć usta, w obawie, że zostaną wyrzuceni, jeśli powiedzą coś głupiego. Mówię im, że to niemożliwe, a poza tym są jeszcze inne szkoły. Zaczęło skutkować. Jednak moim zdaniem nauczyciele uczą nas zbyt jednostronnie. Zadają nam za mało prac pisemnych. Czytają nam na lekcjach różne fragmenty albo my czytamy, lecz mnie to nie wystarcza... W tym tygodniu nauczyciel cofnął się do ustawy z 1847 roku, regulującej handel pszenicą. Mówił, jak to najwięksi hodowcy i handlarze zostali zrujnowani, gdy cena ziarna spadła w ciągu kilku miesięcy o ponad połowę. Oczywiście biedacy na tym skorzystali, ale większość współczuła hurtownikom i pośrednikom, bo ponieśli wielkie straty. Powiedziałem, że niewiele to zmieniło, że trwało to niedługo, gdyż potem szybko zaczął się okres rozkwitu gospodarczego. Chodziło mi o to, że kończą się lata pięćdziesiąte, a byt prostych ludzi nie polepszył się w znaczący sposób. Bo na przykład iluż ludzi gorączka złota wypędziła do Kalifornii i Australii? Czy jednak ktoś słyszał, żeby któryś dorobił się fortuny? Wiadomo tylko, że bardzo wielu poszukiwaczy złota straciło życie, na przykład brat Billa Watsona. A rodzina dowiedziała się o tym dopiero w dziewięć miesięcy po jego śmierci. Węszę oszustwo w tej całej gadaninie o tym, jaki to zapanował dobrobyt, bo jeśli nawet wielu ludziom zaczęło się powodzić lepiej, to wciąż o wiele więcej umiera w nędzy i poniżeniu. Bochenek chleba kosztuje siedem pensów! Z tego powodu w Irlandii ludzie nadal będą mrzeć z głodu jak muchy. Och! Co to za miejsce do życia... Inny nauczyciel powiedział, że rozkwit gospodarczy nastąpił we wszystkich północnych hrabstwach, w Szkocji i nawet w Walii. Wiesz co, Millie... - Usiadł ciężko na ławie. - W czasie lekcji czuję się tak, jakbym nagle znalazł się w innym świecie. Czasami uczy nas nauczycielka. Tak, kobiety też są nauczycielkami. Ona ma na mnie nieco hipnotyczny wpływ. Wtedy uważam, że wszystko zmienia się na lepsze i że tak być musi. Jednak gdy potem, wracając do domu, przechodzę przez The Courts, zadaję sobie pytanie: „Co się z tobą dzieje, Benie Smith lub Jones albo Robinson?” I odpowiadam sobie, że

mieszkańcy tego osiedla nic nie mają z rzeczonego rozkwitu. Wiesz, kogo winię za bezprzykładny brud, jaki panuje w The Courts? Irlandczyków. Zdaniem nauczycielki ich nędza to skutek ciemnoty oraz wyznawanej przez nich religii. Powiedziała, że jeśli według nas Irlandczycy żyją tu w slumsach, to są one niczym w porównaniu z tymi, które istnieją w Belfaście czy w jakimkolwiek innym irlandzkim mieście. Oświadczyłem na to, żeby mimo wszystko wybrała się do Belling Court, niecałe pięć minut drogi od miejsca, gdzie mieszkam, bo Irlandczycy żyją tam na gnoju razem ze swoimi świniami. W jednej z suterren mieszka aż czternaście osób, które trzymają jeszcze świnie. W dodatku godzą się pracować prawie za darmo, a w związku z tym żaden Anglik nie może liczyć na przyzwoitą płacę, prawda? Och, Millie... - Potrząsnął głową. - Chyba wolałbym o tym nie wiedzieć.

- Co ty wygadujesz? - Roześmiała się. - To dobrze, że chodzisz do szkoły. Poza tym mówisz mi o rzeczach, o których w inny sposób bym się nie dowiedziała. Ja też chciałabym uczestniczyć w takich lekcjach.

- Najpierw musisz podrosnąć.

- Bez przerwy rosnę - oświadczyła z urazą. - Niedługo skończę czternaście lat.

- Niedługo. Wychodzę do miasta, bo jestem zdenerwowany.

- Mogę wyjść z tobą?

- Nie wtedy gdy jestem zdenerwowany. Poza tym lepiej zdejmij tę suknię, jeśli chcesz, żeby ładnie wyglądała na przyjęciu.

- W niedzielę zawsze jesteś zdenerwowany. Dokąd idziesz?

- Och, w różne miejsca, pogadać z ludźmi. To zadziwiające, jak w niedzielę zmieniają się wszystkie miejsca i spotykający się w nich ludzie. Nawet inaczej mówią i inne niż zwykle sprawy poruszają. A jeśli w niedzielę człowiek wychodzi z domu zdenerwowany, może się wiele dowiedzieć.

Zasalutował jej i wyszedł, ale ledwie zamknęły się za nim drzwi, w kuchni zjawiła się Aggie.

- Jeśli nie chcesz, by ta suknia się pogniotła i ubrudziła na dole, powinnaś ją zdjąć. Jak pewnie zauważyłaś, moja panno, ta podłoga nie jest tak czysta jak wtedy, gdy mieszkaliśmy w tym domu.

- Mogę ją umyć.

- Nie będziesz robiła takich rzeczy. To mój obowiązek. Zdejmij zaraz tę suknię... A dokąd to wybrał się jego lordowska mość? Zresztą czy muszę cię o to pytać? Jak zwykle w niedzielę jest „zdenerwowany”, no i udaje strasznie dorosłego.

- Pani Aggie, Ben to porządny człowiek. Dobrze pani o tym wie.

- Czy sama mam ci zdjąć tę suknię?

Millie pospiesznie wyszła do sypialni, gdzie przebrała się w odświętny strój i ostrożnie zawinęła w papier piękną suknię z tafty, by była gotowa, kiedy ona, Millie, zechce ją zabrać, wracając do domu Quintonów, który tak lubiła.

- Usiądź na chwilę i opowiedz mi o rodzinie, która wydaje przyjęcie. Jak to się stało, że właściciel posiadłości poprawił ci czepek? - odezwała się Aggie, gdy tylko Millie wróciła do kuchni.

- Ben pani powiedział?

- Pomyśl trochę, skoro masz głowę na karku. Od kogo innego mogłabym się o tym dowiedzieć?

- Jeśli powtórzył pani dokładnie moją opowieść, a pewnie tak zrobił, to nie mam nic do dodania. Pan Raymond poprawił mi czepek, pogłaskał po policzku i uśmiechnął się do mnie.

- Jaki on jest?

- Jest wysoki, ma miły wyraz twarzy i wygląda na życzliwego człowieka. Za to jego żona jest trochę przerażająca. Słyszałam, że zagląda do kieliszka.

- Ja też z umiarem zaglądam.

- O ile się orientuję, ona nie wie, co to umiar. Z tego co wiem od Jane, która pilnie nastawia uszu na prowadzone w kuchni rozmowy, w rezydencji dochodzi czasami do karczemnych awantur.

- I właśnie do takiego domu wybierasz się we wtorek wieczorem?

- Tak, pani Winkowski, i cieszę się z tego. Aggie utkwiała wzrok w kominku.

- Oddalasz się od tego miejsca, od tej dzielnicy - powiedziała cicho. - Tak samo jak on.

- Co pani przez to rozumie? Proszę na mnie spojrzeć. - Wzięła Aggie za rękę. - Nigdy się od pani nie oddalę. Wie pani o tym. A co się tyczy Bena, to jest pani wobec niego niesprawiedliwa.

Aggie westchnęła ciężko.

- Jakiś czas temu dowiedziałam się o czymś, co utrzymywaliście przede mną w tajemnicy. Postanowiłam odkryć wasz sekret i znalazłam na to sposób. I co się okazało? Że Ben chodzi do szkoły. W jego wieku!

- Myślałam, że będzie pani z niego dumna.

- Moje dziecko, nie mam nic przeciwko wykształceniu, jeśli rzeczywiście na coś się ono komuś przydaje, na przykład pomaga zarobić na życie. Gdy jednak niczemu nie służy, to na co ono komu potrzebne? Tylko mąci w głowie i nigdy nie przynosi zadowolenia, ponieważ im więcej człowiek wie,



tym lepiej zdaje sobie sprawę, jak w rzeczywistości jego wiedza jest ograniczona, więc wciąż się w coś zagłębia. A z tego nie może wynikać nic dobrego, bo to Bóg sprawia, że rodzimy się w określonych miejscach i musimy wykonywać określone zajęcia, najlepiej jak potrafimy. I nie należy mówić Bogu, że nie lubi się swojej pracy, że jest się stworzonym do czegoś lepszego, bo w głębi ducha wcale się w to nie wierzy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Millie rozumiała, ale to, co powiedziała Aggie, było dla niej przygnębiające.

- Więc nie podobają się pani ludzie, którzy awansowali, zerwali z tym, co dotychczas robili?

- Nie, jeśli są stworzeni do tego, by robić coś, co robili dotychczas... Weźmy takiego Fenwicka. Od lat był odpowiedzialny za tę dzielnicę jako zwykły posterunkowy, a teraz został sierżantem. Gdy go spytałam, jak się czuje na nowym stanowisku, odpowiedział mi szczerze, że sam jeszcze nie wie. Ale coś stracił, bo jego nowa praca jest zupełnie inna od poprzedniej. Ma mnóstwo papierkowej roboty, co zmusza go do przesiadywania na posterunku, podczas gdy wcześniej znał osobiście prawie wszystkich ludzi w The Courts, a jako Irlandczyk i katolik pomagał tyle, ile tylko mógł, zwłaszcza dzieciom. Tyłu bezdomnym dzieciom znalazł kąć do mieszkania... Teraz, wraz z awansem, stracił z ludźmi kontakt, a pomyśleć, że kiedyś prawie codziennie przechodził obok bramy tego domu. Jeśli nie wchodził na podwórze, to zawsze uprzejmie się kłaniał, również na ulicy, gdy pchałam wózek. Robił rzeczy, których nie podjąłby się żaden przeciętny policjant, a jako sierżant musi wypełniać różne druki. Powiedział mi także, że zajmuje się tym, co ty nazywasz studiowaniem. Spytałam go, co studiuje, a on na to, że różne przepisy i ustawy. Roześmiał się, gdy mu poradziłam, żeby lepiej nie pokazywał się w The Courts, jeśli ma zamiar egzekwować te przepisy i ustawy, bo wybiją mu je z głowy. Nie, nie jestem za wykształceniem.

- To dlaczego kazała mi pani chodzić do szkoły? Wysłała mnie pani do klasztoru, a potem do państwa Quintonow...

- Z tobą to całkiem inna historia. Był powód, żeby to zrobić. Chodziło o wybór mniejszego zła, nieporównanie mniejszego. Wiesz, o czym mówię.

Millie odsunęła się, oparła głowę na kanapie i spojrzała przenikliwie na otyłą kobietę.

- Pani Winkowski, jest pani skomplikowaną osobą - orzekła.

- Tak uważasz?

- Tak. I kocham panią. Och, wiem, że pomyśli pani, iż chcę się przypocholebić. Jednak mimo to powtórzę, że kocham panią.

- Szybko pochyliła się i pocałowała ją w policzek. - A gdybym nie miała innych powodów, by żywić wobec pani takie uczucie, to pokochałabym panią choćby za tę piękną suknię. - Wyprostowała się z dumą. - Kiedy zjawię się w niej we wtorek wieczorem w „The Grange”, służba i właściciele posesji zrobią takie oczy.

Aggie nie roześmiała się, lecz pozostała poważna i milcząca. Nie chciała wypowiedzieć na głos swoich myśli, gdyż obawiała się, że wzbudzą one w Millie lęk i poczucie niepewności. Albowiem w duchu pani Winkowski powtarzała: Strasznie żałuję, że wybierasz się na to przyjęcie, kochanie. Strasznie żałuję.

RS

## ROZDZIAŁ 8

Baw się dobrze - powiedział William Quinten, uśmiechając się do Millie, gdy podeszli do tylnych drzwi rezydencji. Otworzył je, a widząc wahanie dziewczynki, dodał: - Wejdz, bo zaczną bez ciebie.

Przeszła przez przedpokój pełen butów, oświetlony dwiema lampami, w których płonęły świece. Latarnie wisiały po obu stronach drzwi prowadzących do zmywalni, oświetlonej w ten sam sposób. Dziewczynka przemierzała to drugie pomieszczenie wolno, zdumiona jego wielkością oraz liczbą kadzi z wodą i metalowych miednic, które stały pod ścianą na długiej ławie. Gdy znalazła się w kuchni, przystanąła, chcąc się rozejrzeć, bo nawet sobie nie wyobrażała, że kuchnia może tak wyglądać. Po obu stronach wielkiego pieca znajdowały się piekarniki. Wisiał nad nim nadziany na szpikulec różna kawał mięsa, które akurat obracał Ken Atkins. Chłopiec wyglądał czysto i schludnie.

- Właśnie tu wszedłem, żeby je obrócić - odezwał się, spoglądając na Millie przez ramię. - Wszyscy są w jadalni. Chodź. - Odsunął się od pieca i wyciągnął do dziewczynki rękę, ale obejrawszy Millie od stóp do głów, zastygł w bezruchu. Wprawdzie miała na sobie brązowy płaszcz, lecz był rozpięty, dzięki czemu Ken zobaczył przód niebieskiej sukni z tafty. Natychmiast orzekł z zachwytem: - Jest śliczna. Lepiej od razu zostaw płaszcz w hallu. - Zaprowadziwszy tam Millie, kazał jej przerzucić płaszcz przez oparcie krzesła, a gdy to zrobiła i zobaczył całą suknię, otworzył usta ze zdziwienia, po czym wykrzyknął: - O mój Boże! Naprawdę jest śliczna! - Jeszcze przez chwilę spoglądał na Millie z podziwem, po czym z niechęcią ruszył do jadalni, jakby nie mógł się nacieszyć widokiem sukni.

Millie podążała za nim przez korytarz, z którego końca dobiegał gwar rozmów i śmiech.

Gdy weszła za Kenem do jadalni, głosy gwałtownie ucichły, a oczy wszystkich skierowały się na nią. Poczowała się bardzo niepewnie, bo od razu zrozumiała, że popełniła błąd, wkładając tę suknię, ponieważ wszyscy służący mieli na sobie służbowe uniformy.

Ktoś zaczął się śmiać, ale natychmiast został uciszony.

- Carter! Spokój! - rozległ się czyjś głos i z krzesła podniosła się kobieta. Wskazała Millie stojący w rogu jadalni stół zbity z desek, przy którym na ławie siedziały Amy Carter, pomoc kuchenna, i Jane Fathers.

Ken Atkins nie czekał na Millie, tylko pospiesznie podszedł do stołu i przycupnął na ławie.

- Siadaj - ponagliła Millie ta sama kobieta, czyli pani Roper, klucznica, widząc, że dziewczynka się waha.

- Bardzo przepraszam, ale o ile dobrze zrozumiałam, to miało być przyjęcie - oświadczyła z naciskiem Millie, nie spiesząc się z wykonaniem polecenia.

- To jest przyjęcie, tyle że my wiemy, jak należy się ubierać na przyjęcia! Siadaj!

Gdy Millie podążała do stołu, zastanawiała się, jak do tego doszło, że ma na sobie tę wytworną suknię. Pani Quinton powinna wiedzieć, że służący będą ubrani w służbowe uniformy. Prawdopodobnie wiedziała i zamierzała mnie powstrzymać przed włożeniem tej sukni, ale pan Quinton jej nie pozwolił, pomyślała Millie. Powiedział przecież przy mnie: „Rose, ona idzie na przyjęcie, a ta suknia to istne cacko. Niech ją włoży”. A po chwili dodał coś, czego Millie nie rozumiała. „Oni wszyscy lubią doznawać wstrząsów. I gdyby nie jedna rzecz, byłbym zadowolony z wywołanego efektu”. Nie wiedziała, jaką rzecz miał na myśli, ale przynajmniej przekonała się, że istotnie służący Crane'ów-Boulderów lubią doznawać „wstrząsów”.

Gdy na powrót rozległ się gwar rozmów i śmiech, Jane Father pomiędzy jednym kęsem a drugim wtajemniczała Millie w panującą wśród służących hierarchię. Na szczycie piramidy znajdowali się: panna McNeil - pokojówka pani domu, pan Winters - lokaj pana domu, i pan Carlin - majordomus. Sama ich obecność na tym towarzyskim spotkaniu była dla małej służącej wielkim świętem. Nawet gdyby znajdowała się tu królowa Wiktoria, wraz z księciem Albertem, Jane nie patrzyłaby na nich z większym podziwem niż na tę trójkę.

Potrawy podawały trzy pokojówki, którym towarzyszył John Tester - drugi lokaj. Dowcipkował i śmiał się, zwłaszcza gdy podchodzili do panny Forester.

- Co wielmożna pani sobie życzy: wołowinę czy indyka?! - wrzasnęła, kłaniając się w pas. - Jestem do pani usług!

- Życzę sobie grzecznej obsługi, jeśli byłby pan tak uprzejmy - odparła hardo.

Lokaj osłupiał, a w jadalni dla służby po raz drugi zaległa cisza, bo ta dzierlatka, ubrana jak chińska dama w suknię z mieniącą się tafty, miała czelność zwrócić mu uwagę. Spojrzał wymownie na klucznicę i majordomusa.

Gdyby jednak ci dwoje udzielili odważnej panience reprimendy, popsułaby się atmosfera, a pierwszy lokaj, David Boswell, nie chciał do tego dopuścić.

- Widzę, że zabawa trwa w najlepsze - odezwał się, rozładowując w ten sposób napięcie. - A pan jak uważa, panie Carlin?

- Dobrze to ująłeś, chłopie! - podchwycił skwapliwie majordomus, uważając za swój obowiązek podtrzymywanie dobrego nastroju biesiadników.

Odpowiedziały mu śmiechy i żarciki.

- Millie, nie powinnaś tak odpowiadać. Nikt tego nie robi. Co cię napadło? - szepnęła stropiona Jane, pochyliwszy głowę.

Millie nie wiedziała, „co ją napadło”, za to znakomicie wiedziała, że nie zależy jej na tym towarzystwie i że nie będzie się tu dobrze bawiła. Teraz uważała swoją tu obecność za nieporozumienie. Ponownie zaczęła winić za wszystko panią Quinton. Jej chlebodawczyni powinna ją uprzedzić, co to za ludzie, a nie narażać na pośmiewisko. Bo przecież Millie wcale nie czuła się od tych ludzi gorsza, przeciwnie, uważała, że jest lepsza. Nie lubiła się wywyższać, ale teraz miała poczucie, że nie mogą się z nią równać. Bo ile osób spośród zebranych w tej sali ukończyło jakąś szkołę? Ile potrafiło się podpisać? Naprawdę nieliczni. A wreszcie, ile miałoby odwagę podjąć naukę, jak to uczynił Ben, w szkole wieczorowej? Nikt. Taka decyzja ich przerażała, bo wyszłoby na jaw, jak są ciemni. Postanowiła wymknąć się stąd cichaczem, gdy tylko skończy się ta kolacja.

Właśnie się skończyła. Wzniesiono toast za pomyślność pana Thompsona i służący zaczęli przechodzić do pokoju wypoczynkowego, gdzie już czekało dwóch skrzypków i jeden flecista.

Millie uznała, że to najlepsza okazja, by wyjść z przyjęcia. Jednak nieoczekiwanie zatrzymał ją mężczyzna, który wcześniej potraktował wyrozumiale jej opryskliwość w stosunku do drugiego lokaja. Otóż majordomus Carlin zwrócił uwagę, że nie wstała wraz z pozostałymi od stołu, i podszedł do niej, jakby wyczuł jej zamiary. Wziął ją za rękę.

- Skarbie, nigdy nie wstydź się tego, że ładnie wyglądasz - przemówił łagodnie. - Możliwe, że ta suknia nie jest stosowna na taką okazję, ale robi wrażenie. Jeszcze jakie... Zatem chodź ze mną i baw się dobrze.

Przeprowadził ją przez labirynt korytarzy do dwóch tworzących amfiladę pokoi. Dzieląca je ruchoma drewniana ścianka była teraz rozsunięta. Gdy tam weszli, większość uczestników przyjęcia już siedziała pod ścianami, a miejsca przed podium dla muzykantów przy jednej z krótszych ścian zajmowała rodzina Crane'ów-Boulderów: pan Raymond, pani Berenice i ich dwaj synowie - szesnastoletni David oraz piętnastoletni Randolph, a także Bernard Thompson, bohater dzisiejszej uroczystości.

Choć Millie weszła do sali tanecznej jako jedna z ostatnich, jej pojawienie się w żadnym wypadku nie umknęło uwagi właścicieli rezydencji. Pani Berenice przyjrzała się dziewczynce, mrużąc oczy, jakby z wysiłkiem skupiała wzrok, po czym odwróciła się do przyrodniego brata i powiedziała mu coś, co sprawiło, że oboje się roześmiali. Również synowie pani domu zaczęli chichotać. Pan Raymond próbował ich uciszyć, lecz i on wpatrywał się w dziewczynkę, tyle że z podziwem, bo skojarzyła mu się ze śliczną figurynką z chińskiej porcelany.

- Mój Boże! - wymamrotał, nie potrafiąc ukryć zachwytu.

- Dlaczego ona się tak wystroiła? Czyżby myślała, że to bal maskowy? - skomentował bełkotliwym głosem David.

Matka uderzyła go lekko w ramię.

- Pozwalam ci poprosić ją do tańca.

- Co?! Ja miałbym z nią tańczyć? Och, mamó, nie wygłupiaj się.

Berenice odwróciła się do przyrodniego brata.

- Najlepiej zrobisz, jeśli wstaniesz i podziękujesz im za przybycie, żeby już mogli zacząć się bawić.

- To należy do Raymonda - odparł.

- Nie - sprzeciwił się Crane-Boulder. - To są twoje urodziny, więc racz wreszcie wstać.

Młody mężczyzna niechętnie podniósł się z krzesła, uciszył gestem dłoni zebranych i zaczął przemawiać trochę niepewnie.

- Dziękuję wszystkim zebranych za okazaną mi uprzejmość, za życzenia urodzinowe i, szczególnie gorąco, za to wspaniałe siodło, które otrzymałem od was w prezencie. Jak już zapewne zdążyliście się zorientować, nie jestem wielkim mówcą, zatem poproszę muzyków, by zaczęli grać, i zaczniemy tańczyć. - Skinął na stojących na podium grajków i ciężko usiadł na krześle.

Zespół zagrał skoczną polkę, ale nikt nie ruszył w tany. Dopiero gdy lokaj pana Raymonda poprosił do tańca pokojówkę pani Berenice, pozostali wylegli na parkiet i zewsząd rozległy się przytupywania.

- Dokąd idziesz? - spytał Raymond Berenice, która właśnie podniosła się z krzesła.

- A jak myślisz? - Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i odwróciła się do starszego syna. - Davidzie, idziesz ze mną?

- Oczywiście, mamó. Oczywiście. - Rozchichotany szesnastolatek stanął niepewnie z powodu nadmiaru wypitego do obiadu wina i pociągnął za rękę brata.

- Czy nie możemy wyjść wszyscy? - mruknął Bernard Thompson, gdy cała trójka zniknęła w bocznych drzwiach po prawej stronie.

- Oczywiście, że nie - zaprotestował Raymond. - Ale to cała ona. Chyba widziałeś w ciągu tych kilku dni, jak się zachowuje, prawda? Coraz gorzej... Praktycznie nie trzeźwieje. I demoralizuje naszych synów. Jak to dobrze, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżają do szkoły.

Bernard Thompson wpatrywał się w to miejsce sali tanecznej, gdzie obok trzech starszych par siedziały dwie nastolatki i chłopiec w ich wieku. Nagle wstał i uśmiechnięty ruszył do nich.

- Dlaczego nie tańczysz? - spytał Kena Atkinsa.

- Nie umiem, sir - odparł chłopiec, podniósłszy się z krzesła.

- Ale siedząc, nigdy się nie nauczysz. Poproś ją... - Wziął za rękę Jane Fathers, a gdy dziewczyna wstała, pociągnął ją w kierunku Kena. - W tym tańcu wystarczy trochę poskakać.

Jane i Ken wzięli się za ręce i zaczęli chichotać, a pary tańczące w pobliżu zawtórowały im śmiechem. To zaś dodało im odwagi, więc zaraz wmieszali się w zgromadzony na parkiecie tłumek.

- Czy panienka tańczy? - zwrócił się Bernard Thompson do zjawiskowej, smukłej osóбки, wyzbywszy się wcześniejszego protekcyjnego tonu.

- Tak, sir. Tańczę... to, co lubię - odparła rezolutnie Millie. Zachowanie tej dziewczyny zaskoczyło go tak samo jak jej wygląd. Była inna niż zebrani tu służący. Zastanawiał się, dlaczego się tak ubrała.

- Jak panienka się nazywa?

- Millicent Forester, sir.

- Zatem panno Forester, czy mogę prosić do tańca?

Millie śmiało - a jak mówiono później w izbie czeladnej, bezwstydnie - wstała z krzesła i podała mu rękę. Gdy zaś objął ją w tali, bez wahania położyła drugą rękę na jego ramieniu.

Dobrze im się tańczyło, bo Bernard Thompson nie należał do wysokich mężczyzn. Jeśli Ben miał niewiele więcej ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, to ten młodzieniec był od niego wyższy tylko o jakieś piętnaście centymetrów. Poza rym, choć Millie nigdy wcześniej nie tańczyła tej skocznej polki, krok okazał się łatwy.

Gdy Bernard Thompson spojrzał jej w oczy, roześmiała się.

- Jesteś lekka jak nimfa - po chwili obdarzył ją komplementem.

Natychmiast spoważniała, ponieważ przypomniało jej to mężczyznę, który przed kilku laty nazwał ją nimfą w łachmanach. Jednak spojrzenie Bernarda Thompsona nie zdradzało żadnego diabolicznego zepsucia. Nie należał do przystojnych mężczyzn, ale prezentował się dobrze. Jako przyrodni brat pani domu zupełnie nie był do niej podobny, również pod względem zachowania.

Gdy taniec zakończył się rześzystymi oklaskami, Bernard Thompson odprowadził Millie na miejsce.

- Dziękuję bardzo, panno Forester. Jeśli można, zamawiam sobie jeszcze jeden taniec, nieco później - powiedział z ukłonem, gdy usiadła.

W odpowiedzi Millie tylko skinęła głową.

- Fantastyczny taniec! - krzyknęła, opadając na krzesło, Jane.

- Jak było? To znaczy, jak ci się z nim tańczyło?

- Tak samo jak tobie z Kenem - odparła Millie wymijająco. Ken wybuchnął śmiechem.

- Deptałem jej po palcach i tak wywijiałem nogami, że kopałem po łydkach McTaggarta. - Pochylił się nad Millie i szepnął: - Zawsze o tym marzyłem.

Dziewczęta roześmiały się.

Gdy ucichła muzyka, w sali tanecznej zapanował gwar.

Dopiero teraz Millie uderzyło, że większość służących jest po trzydziestce, a niektórzy przekroczyli już, jak Aggie Winkowski, pięćdziesiątkę. Nawet pokojówki wyglądały na dojrzałe kobiety. Tylko ona, Jane i Ken byli młodzi.

Nagle majordomus wstał z krzesła i gwar natychmiast ucichł.

- Panie i panowie, czy mogę prosić o ustawienie się do kadryła?

Wśród śmiechów i przepychanek uformowały się cztery pary, które utworzyły kwadrat.

Widząc, że reszta towarzystwa nie kwapi się do wyjścia na parkiet, Bernard Thompson i Raymond Crane-Boulder podnieśli się z krzesel. Pierwszy poprosił do tańca Sarah Cross - główną pokojówkę, a drugi podszedł do Millie.

- Czy uczynisz mi ten zaszczyt, moja droga?

O ile bez wahania przyjęła wcześniej zaproszenie Bernarda Thompsona, o tyle teraz spoglądała badawczo na wysokiego mężczyznę, nie ruszając się z miejsca.

- No chodź - powiedział ze śmiechem, wyciągając do niej rękę.

Pozwoliła się zaprowadzić do miejsca, w którym stały tylko dwie pary.

Crane-Boulder rozejrzał się po służących, a po chwili utkwiał wzrok w ogrodniku.

- Benson, chodź tu. Tylko mi nie mów, że jesteś za stary na tańce. Pani Benson, niech pani go popędzi! - krzyknął.

Dzięki temu, iż zwił na parkiet ogrodnika i jego żonę, rozładował napięcie, jakie zapanowało w sali po tym, jak zaprosił do tańca tę „dzierlatkę”, tę „obcą”, tę „nieodpowiednio ubraną osobkę”.



- Nie znam kroku - wymamrotała Millie, gdy usłyszała skoczną melodię.
- Słucham? - spytał Crane-Boulder, pochylając głowę.
- Nie znam kroku - powiedziała głośniej.
- Nie przejmuj się. Zaraz cię wszystkiego nauczę!

Okrzyknął ją i odwrócił, a następnie powtórzył te dwie czynności. I tak było przez pięć kolejnych figur. Oczywiście także każdy z trzech pozostałych mężczyzn okręcał Millie, odwracał ją i przytrzymywał. Jednak Crane-Boulder chwycił ją pod pachy i unosił.

Gdy kadryl dobiegł końca, tancerze ciężko dyszeli, ale wyglądali na zadowolonych.

Millie nie została odprowadzona na miejsce, ponieważ w chwili kiedy umilkły instrumenty, jej ostatni partner, Fred Bateholm, odwrócił się od niej i dołączył do swojej żony. Sama więc dotarła tam, gdzie siedzieli jej towarzysze: Jane i Ken.

- Ojejku! Ale pan Crane-Boulder wspaniale tańczy, prawda? I unosił cię... Czy wiesz... - Jane ściszyła głos - że było widać twoją niebieską halkę i białe pończochy... aż po łydki...

Millie nie słuchała paplaniny Jane, bo obserwowała stojącą w drzwiach panią Crane-Boulder. Już w czasie tańca ją zauważyła. Berenice patrzyła na nią. Gdy po chwili wyszła z sali tanecznej, Millie pomyślała, że u tej kobiety nie popracowałaby zbyt długo... W ogóle by nie popracowała, ani u niej, ani u kogoś podobnego do niej.

Gdy majordomus zapowiadał kolejną polkę, w sali zjawiała się druga w hierarchii pokojówka - Flo Yarrow. Po chwili wahania ruszyła przez pusty parkiet do miejsca, gdzie siedziała trójka najmłodszych uczestników zabawy.

Pochyliła się nad Jane.

- Pani życzy sobie, żebyś przyszła do gabinetu... - skinęła na Millie - razem z nią.

- Pani życzy sobie, żebym przyszła do gabinetu? Po co? - zdziwiła się Jane.

- A skąd mogę wiedzieć? To wszystko, co mi powiedziała.

- Ale... ale, panno Yarrow. Nie wiem, gdzie jest gabinet.

- Chodźcie ze mną.

Jane natychmiast wstała z krzesła, w przeciwieństwie do Millie, która wyraźnie się wahała.

- Z jakiego powodu ona chce mnie widzieć? - spytała pokojówkę.

- Najlepiej będzie, jeśli panienka sama ją o to spyta - odparła z nie ukrywanym sarkazmem Flo Yarrow, po czym obojętnym już tonem dodała:

- No chodź już. - Gdy opuściły salę taneczną wskazała szeroki korytarz. - To ostatnie drzwi po prawej stronie. Poczekajcie, dopóki nie poproszą was do środka.

Ruszyły do gabinetu, a ona odprowadzała je wzrokiem. Zagryzła wargi i przekrzywiła głowę, jakby się nad czymś zastanawiała. Po chwili odwróciła się na pięcie i weszła do sali tanecznej. Poszukała wzrokiem pana Wintersa, lokaja Raymonda Crane'a-Bouldera. Lokaj znowu tańczył z panną McNeil. Stała więc z boku, czekając, aż ucichnie muzyka.

Dziewczęta zatrzymały się przed drzwiami do gabinetu.

- Jak myślisz, dlaczego ona chce nas widzieć? Obserwowała, jak tańczyłaś. Pewnie wzywa nas dlatego, że pokazałaś łydki - szepnęła Jane.

- Nie bądź niemądra. A gdyby nawet tak było, to po co wzywałyby ciebie?

Jane niepewnie uniosła rękę, chcąc zapukać, gdy za drzwiami rozległy się salwy śmiechu. Spojrzała porozumiewawczo na Millie i opuściła rękę. Wówczas Millie zapukała dwukrotnie.

- Proszę wejść - rozległ się po chwili głos Berenice Crane-Boulder.

Gdy znalazły się w środku, Millie zwróciła uwagę, że pokój wygląda bardziej na bibliotekę niż na gabinet, ponieważ wszystkie ściany zasłaniały półki z książkami. W niektórych miejscach woluminy rozdzielały srebrne puchary i tarcze herbowe. W tym gabinecie-bibliotece krzesła były wyściełane brązową skórą.

Berenice i David siedzieli przy kominku, w którym buzował ogień, a Randolph opierał się na krześle brata. Na stoliku obok stały dwie karafki i trzy kieliszki. Millie bez trudu spostrzegła, że obaj synowie państwa Crane-Boulder są bardzo pijani.

- Podejdźcie tu! - rozkazała władcym głosem Berenice Crane-Boulder.

Jane natychmiast ruszyła do przodu, Millie zaś została przy drzwiach. Dziwne, ale w tym momencie zobaczyła oczyma wyobraźni siostrę Cecilie, gdy ta mówiła jej: „Strzeż się diabła, którego ludzie sami stwarzają”.

- Czego pani ode mnie chce? - usłyszała swój głos, który nagle stał się piskliwy.

- Podejź tu, a zaraz się dowiesz! - wrzasnęła Berenice i zerwała się z krzesła. Widząc, że dziewczyna nadal stoi, niemal jednym susem pokonała dzielącą ją od niej odległość. Chwyciła Millie za ramię, pociągnęła ją w stronę synów i oświadczyła: - Jesteś stworzona do tego, by kusić swymi wdziękami mężczyzn, więc chcę się przekonać, czy nas nie rozczarujesz.

Millie wyszarpnęła się z uścisku i odskoczyła do tyłu.

Rozjuszona kobieta nie przewróciła się na podłogę tylko dlatego, że wpadła na długi dębowy stół, który stał pośrodku pokoju.

- No ruszcie się! - krzyknęła do synów. - Davey, do dzieła! Pokaż starszym, jak się to robi! Pokaż! Randy, bierz to małe nic! - Wskazała na Jane.

- Słucham?! Ją? Mamo, co ty pleciesz? - Młodszy syn wybuchnął śmiechem. - To przecież chamka, która opróżnia wiadra z nieczystościami. Nie chcę jej.

- Chłopcze, na pierwszy raz każda jest dobra. Każda. - Słyszac krzyk pod ścianą, odwróciła się. To starszy syn bronił się przed ciosami wymierzonymi przez opiekunkę dzieci Quintonów. Chcąc mu dodać animuszu, krzyknęła: - Rozbierz ją! Rozbierz!

Millie błyskawicznie zdjęła z półki gruby tom w skórzanej oprawie i rzuciła w nastolatka, który pod wpływem uderzenia przestał się głupkowato śmiać, jakby nagle otrzeźwiał.

- Ty suko! - ryknął i chwycił ją za kołnierz, rozrywając suknię i halkę.

- Ty bydlaku, zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła przeraźliwie i kopnęła go kolanem w przyrodzenie.

- Ty cholerna kocico! - wrzasnął porażony bólem i rzucił się na nią, okładając pięściami i szarpiąc na niej ubranie.

Gdy powalił ją na podłogę, krzyczała tak, że nie docierał do jej uszu ani kobiecy śmiech, ani trzask otwieranych drzwi.

Raymond Crane-Boulder i Bernard Thompson zatrzymali się w proggu oniemiałi, jakby nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Gdy pan domu odzyskał zdolność reakcji, popchnął żonę, która stała obok leżącego na Millie starszego syna, z taką siłą, że poleciała pod ścianę. Gdyby nie podtrzymał jej młodszy syn, upadłaby na podłogę. Następnie Crane-Boulder z furią ściągnął Davida z Millie, chwycił go za krawat i trzasnął pięścią w twarz. Wrzask syna jeszcze bardziej go rozjuszył, bo zerwał wiszący nad kominkiem, wraz z trofeami myśliwskimi, harap i uderzył Davida w głowę.

- Ty smarkaty świntuchu! Zachowujesz się jak męt społeczny! Gdy zamachnął się harapem po raz czwarty, Bernard Thompson chwycił go za ramię i odciągnął od Davida.

- Starczy już! Starczy! - powstrzymywał go.

- Ty hipokryto! Nie potrafisz znieść, że zachowują się naturalnie?! Ty cholerny hipokryto! - wrzasnęła na Raymonda Berenice.

- Mamo, proszę cię! Nie mów nic! Bądź cicho! - mitygował ją młodszy syn.

Crane-Boulder wyrwał się z uścisku Bernarda, podszedł do kulącego się Randolpha, chwycił go i popchnął w stronę starszego brata.

- Wyoście się stąd! Ty również! - Spojrzał na zastygłą w bezruchu Jane.

Gdy tylko za służącą i synami zamknęły się drzwi, błyskawicznie znalazł się przy żonie. Spoglądając w zięjące nienawiścią oczy Berenice, trzasnął ją harapem w twarz.

- Ty diabelska, pijana dziwko! Nie nadajesz się do życia. Słyszysz? Nie nadajesz się do życia. Przyglądałaś się, jak twój rodzony syn...

Zacisnął na moment powieki, po czym spojrzął na żonę, opuszczając rękę, w której trzymał harap.

Berenice stała sztywno jak manekin. Nawet nie dotknęła bolącego miejsca na twarzy. Tylko jej oczy zdradzały wściekłość i zawziętość.

- Wykończę cię. Wykończę powoli. Obiecuję ci to, ty nienormalny typie, ty świni - zagroziła i wyszła z biblioteki pewnym krokiem, jakby nie była pijana i nie czuła bólu.

Raymond stał przez chwilę z pochyloną głową niczym pokonany przeciwnik, po czym nagle ocknął się i błyskawicznie ruszył do Bernarda Thompsona, który klęczał, trzymając w ramionach oszołomioną Millie.

- Czy z nią wszystko... w porządku? - zapytał wstrząśnięty.

- Nie wiem - odparł szorstko szwagier. Wstał z klęczek, podnosząc dziewczynę i prowadząc ją do jednego ze skórzanych foteli. Posadził ją zakrył suknią jej odsłonięte piersi i spoglądając z wyrzutem na pana domu, dodał: - Wiem natomiast, że nie rozpoznaję już w Berenice mojej dawnej siostry. I oczywiście nie mogę ci pogratulować synów, skoro nawet nie masz wpływu na to, ile piją zważywszy na to, w jakim są wieku.

- Wypowiadasz się w sprawie, o której nie masz pojęcia - odburknął przez zaciśnięte zęby Crane-Boulder. - Poza tym nie życzę sobie z twojej strony żadnej krytyki w moim własnym domu.

- Raymondzie, racz pamiętać, że wciąż jest to dom twojego ojca. Zastanawia mnie, czy on, przesiadując w swojej kryjówce piętro wyżej, zdaje sobie sprawę, co tu się dzieje. Ciekawe, co powiedziałby temu biednemu dziecku, gdyby okazało się, że... - Zawahał się. - Nie mam pojęcia, czy twojemu synowi udało się ją zgwałcić, ale widać jak na dłoni, że bardzo się o to starał.

- To prawda, jednak dobrze wiesz, kto go do tego nakłonił. Tak czy owak usuń się. Zaprowadzę ją do Quintonów.

- Nie, Raymondzie. Już wywołałeś wśród służących plotki sposobem, w jaki z nią tańczyłeś, odsłaniając bez potrzeby jej nogi. Nie zachowywałeś się tak w stosunku do innych kobiet. Proszę cię... - uniósł rękę - nic już nie

mów, bo i mnie zmusisz do powiedzenia czegoś, czego obaj możemy potem żałować. Teraz jedynie chcę cię poinformować, że zamierzam korzystać z waszej gościnności jeszcze tylko przez dzisiejszą noc.

- To mnie zadowala. - Crane-Boulder odsunął się od niego i utkwiał spojrzenie w Millie.

Pod wpływem szamotaniny z Davidem splecione w koczek włosy rozplotły się i teraz jasne pasmo opadało na częściowo obnażone ramię. Dziewczyna dyszała ciężko, tak że pod podartym materiałem widać było jej drobne, falujące piersi.

Pan domu zagryzł wargi i gwałtownie wyszedł z pokoju.

- Nic ci nie jest. Nic ci nie jest - zaczął przemawiać do Millie uspokajająco Bernard Thompson.

Z trudem uniosła powieki. Od jakiegoś czasu była świadomą obecności w bibliotece tych dwóch mężczyzn, choć czuła się otumaniona. Ucieszyło ją, że pan domu wyszedł, bo Thompsona się nie obawiała. Wydawał się jej inny niż rodzina Crane'ow-Boulderów. Spojrzała na niego i gdy po raz drugi przemówił do niej uspokajająco, poczuła łzy na rozpalonych policzkach.

- Och, dziecino, dziecino... Wszystko w porządku. Zaraz wrócisz do domu. Wytrę ci twarz. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i przesunął ją po powiekach i policzkach Millie. - Już nie płacz. Czy masz żakiet?

Chciała powiedzieć, że na dole jest jej płaszcz, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- Nie przejmuj się tym. To drobiazg. Poszukam którejś ze służących. Tylko nie płacz.

Gdy została sama w bibliotece, utkwiała wzrok w półkach z książkami po przeciwnej stronie.

- Ben, chcę wrócić do domu. - Westchnęła, pomyślawszy o nim bezwiednie, pewnie z powodu znajdującego się tu bogatego księgozbioru, bo ten młody człowiek niewątpliwie poczułby się tu jak w raju.

Nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego na wpeł leży w fotelu w tym pokoju i pęka jej z bólu głowa. Najwidoczniej upadła i uderzyła się o podłogę. Ale dlaczego się przewróciła? Czyżby z powodu wyczerpania tańcem? Przecież nie tańczyła zbyt długo... Z jakiego więc powodu znalazła się teraz w tym gabinecie? Nagle przypomniała sobie wszystko z taką jasnością, że dech jej zaparło.

- Och, nie! Tylko nie to! Nie! - powtarzała przerażona. Młody Crane-Boulder zniszczył jej suknię, tę śliczną suknię, której uszycie kosztowało panią Aggie tyle pieniędzy. Millie przyrzekła sobie, że już nigdy jej nie włoży. O nie! Nawet gdyby suknia została naprawiona. Po prostu nie

mogłaby. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu. Gdyby tylko ktoś tu przyszedł i zechciał ją odprowadzić.

- Wszystko w porządku. Zaraz będziesz w domu.

Spojrzała w stronę drzwi. Do gabinetu wszedł sympatyczniejszy od Raymonda Crane'a-Bouldera Bernard Thompson, najmilszy dla niej człowiek w tym pałacu. Tuż za nim podążał mężczyzna, który niósł jej płaszcz.

- Winters, muszę ją zanieść do domu. Nie wiem, czy starczy mi na to sił, więc pójdziesz ze mną.

- Ona nie będzie w stanie iść, sir?

- Przecież ci powiedziałem, że straciła przytomność. Podejrzewam lekki wstrząs mózgu. Teraz ją podniosę, a ty włożysz jej płaszcz.

Stała, opierając czoło na ramieniu podtrzymującego ją Bernarda Thompsona, a służący wkładał jej płaszcz. Potem przyrodni brat pani Crane-Boulder wziął ją na ręce. Tak się cieszyła, że nazajutrz rano obudzi się w domu i pójdzie do kuchni, by zrobić śniadanie dla Aggie i Bena. Tak się cieszyła...

Bernard Thompson dzielnie niósł ją do domu Quintonów, a George Winters podtrzymywał jej bezwładne nogi.

- Jeśli do rana nie dojdzie do siebie, powinniście wezwać lekarza - oznajmił zdumionym i przestraszonym Quintonom przyrodni brat pani Crane-Boulder, kładąc Millie na kanapie w ich salonie.

- Co się, u licha, stało?! W jakim stanie jest jej suknia?! - zażądał wyjaśnień William.

- Pozwól ze mną na chwilę - powiedział na to Bernard. W hallu poinformował go, co zaszło.

- Na miłość boską! Tylko patrzeć, jak ta kobieta dopuści się morderstwa! - krzyknął oburzony Quinton, ale zaraz dodał przeproszająco: - Przykro mi, Bernardzie, ale jakoś wyleciało mi z głowy, że to twoja przyrodnia siostra.

- Muszę ci wyznać, Williamie, że szczerze tego żałuję, nawet jeśli to tylko siostra przyrodnia. Tak czy owak jutro rano stąd wyjeżdżam.

- A ja myślałem, że zostaniesz do końca wakacji...

- Nie mogę. Panująca w pałacu atmosfera jest dla mnie nie do zniesienia.

- Starszemu panu będzie przykro.

- Nie sądzę, żeby ostatnio zanadto go obchodziło, kto tu bywa, a kto nie.

- Wracasz do domu?

Bernard Thompson roześmiał się.

- Ależ skąd. Trzecia żona mojego ojca spodziewa się dziecka. Rodzaj pokrewieństwa, jaki połączy mnie z tą nie narodzoną jeszcze istotą

oczywiście znowu uwzględni słowo „przyrodni” lub „przyrodnia”. Zamierzam wrócić do Oxfordu. Mam tam wielu przyjaciół, a poza tym wcześniej zabiorę się do nauki... - Umilkł na chwilę. - Jesteś zadowolony z pracy tutaj?

- Tak. Na ogół jestem. Oczywiście wiem, że nigdy bym jej nie dostał, gdyby starszy pan nie znał mojego dziadka i ojca. Tak czy inaczej cieszę się, że w ogóle mam jakąś przyzwoitą pracę, pochodzę przecież z rodziny, w której było dziesięcioro dzieci.

- Zawsze uważałem, że zasługujesz na coś lepszego, ale skoro jesteś zadowolony... - Bernard Thompson zerknął na drzwi do salonu. - To biedne dziecko... Wątpię, byś mógł ją nadal zatrudnić.

- Na pewno nie będę mógł.

- Jaka ona śliczna. Nie wiem, czy widziałem kiedykolwiek równie urodziwą dziewczynę. Wywołała w pałacu nie lada poruszenie. Żebyś ty widział te urażone, kwaśne miny... Zastanawiające, że ludzie tak nienawidzą piękna. Wyróżniała się tam jak księżniczka wśród gawiedzi.

- Nie tylko to jest zastanawiające, również to, że choć ona nie pochodzi z gawiedzi, ale żyje wśród gawiedzi. Wychowuje ją handlarka starzyzną.

- Niemożliwe!

- Ależ tak. To stara, otyła kobieta, która sama wygląda jak używany łach. Prowadzi swój własny pchli targ, jak nazywają go ludzie, na podwórzu domu, na peryferiach The Courts. Wszyscy w mieście wiedzą o tym targu i znają ją samą. Nazywają ją Aggie łachmaniarką. Przez cała lata woziła używane rzeczy, które dawali jej ludzie, na ręcznym wózku. Z tego, co wiem, Millie pomagała jej popychać ten wózek. Od jakiegoś czasu wzbogaciła się o kucyka i wóz, którym odwozi stąd Millie do domu w dni wolne od pracy dziwnie wyglądający młody mężczyzna. To znaczy chodzi o to, że jego wzrost niewiele przekracza półtora metra. Gdyby jednak miał dłuższe nogi, należałby do dobrze zbudowanych i zarazem przystojnych mężczyzn. Z tego, co wiem, wynika, że on też został przed laty przygarnięty przez Aggie łachmaniarkę.

- To wprost nie do uwierzenia... bo ta dziewczyna sprawia wrażenie... wykształconej. Tak, to właściwe słowo. Jej język jest zupełnie inny niż służących z pałacu - powiedział zdumiony Bernard Thompson.

- Istotnie zdobyła trochę wiedzy. Najpierw chodziła do płatnej szkoły, a potem przez jakiś czas była w przyklasztornej szkole z internatem. Nie uwierzysz, ale wymusiła na nas, żebyśmy ją posyłali do szkoły razem z naszymi dziećmi. Posunęła się do małego szantażu. Powiedziała, że jeśli się na to nie zgodzimy, to zrezygnuje z pracy, a do tego nie mogliśmy dopuścić,

bo cała nasza szóstka szaleje za nią. Boże... - William złapał się za głowę. - Co my bez niej zrobimy?... Dopiero przy niej nasze dzieci nauczyły się grzeczności i posłuszeństwa. Millie potrafi dawać sobie z nimi radę, a one ją kochają. Boże! Boże! Dlaczego musiało się to stać? Jak myślisz? - Zniżył głos. - Czy on jej to zrobił? - Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Usłyszałem jej krzyk. Berenice kazała pokojówce Yarrow przyprowadzić dziewczynki do gabinetu, a ta, czując, co się święci, powiadomiła Wintersa. On zaś powiedział o wszystkim Raymondowi, z którym akurat rozmawiałem. Oto cała historia... Jeszcze raz spojrzę na tę dziewczynę i pójdę.

Bernard Thompson wszedł na chwilę do salonu.

Millie zapamiętała jego zatroskaną twarz i słowa: „Wszystko będzie dobrze”.

RS



## ROZDZIAŁ 9

Po trzech dniach od pamiętnego przyjęcia William Quinton odwiózł Millie do domu swoją dwukółką. Był piątek, więc po podwórzu nie kręcili się żadni kupujący. Tylko Ben rozmawiał z jakimś mężczyzną, który właśnie dostarczył metalowy złom, a Aggie stała w otwartych drzwiach stodoły, pilnując, by dwie klientki przeszukujące stos ubrań nie ukryły czegoś pod żakietami. Ostatnio ktoś ukradł jej kilka porządnych ubrań i podejrzewała o to jedną z tych kobiet.

Gdy spostrzegła dobrze ubranego mężczyznę, który pomagał Millie wysiąść z dwukółki, natychmiast rzuciła się w ich stronę, podobnie jak Ben.

- O co chodzi? Co się stało? - spytali niemal równocześnie.

- Och, pani Aggie... - zaczęła Millie słabym głosem, wyciągając do obojga ręce. - Wróciłam do domu. Na dobre. - Odwróciła się do mężczyzny, który ją przywiózł. - To pan Quinton. Był dla mnie bardzo życzliwy, tak samo jak pani Quinton. Muszę... usiąść. Wciąż trochę kręci mi się w głowie.

Ben i Aggie, zdumieni jej wyznaniem, wzięli ją pod ręce i ruszyli do domu. William Quinton pospieszył za nimi. Nie krył zaskoczenia widokiem dziwnej zbieraniny mebli w pokoju, przez który przeszli, jak również widokiem tych zgromadzonych w następnym pokoju, w którym się zatrzymali i który spełniał równocześnie funkcję salonu, jadalni i kuchni.

- Co to wszystko znaczy? Czy ona jest chora? Ktoś jej coś zrobił? - zapytała od Quintona wyjaśnienie wysoka i gruba Aggie Winkowski, ledwie znaleźli się w środku.

- Przewróciła się i miała lekki wstrząs mózgu, ale już nic jej nie jest. Zapewniam panią. Poza tym bardzo się cieszy, że wróciła do domu. Za to moja rodzina doznała dotkliwej straty, bo Millie wniosła do naszego domu porządek i radość. Zawdzięczamy jej wiele wspaniałych chwil. Dzieci ją pokochały, a żona bardzo sobie ceniła jej rozmaite umiejętności.

- Mogłabym się założyć, że tak było. - Aggie skłoniła głowę, nie wiedząc, jak rozumieć jego komplementy pod adresem dziewczynki, skoro ta została odprawiona.

- Czy zechce pan usiąść? A może napiłby się pan czegoś? - zaproponował Ben.

- Nie. Dziękuję. Bardzo się... spieszę. - Uśmiechnął się do niskiego mężczyzny. - Czekam na mnie praca. Jak pan wie, jestem zarządcą posiadłości pana Crane'a-Bouldera. - Spojrzał na Aggie. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdybym mógł od czasu do czasu przywieźć tu któreś z dzieci, by spotkało się z Millie. Wszystkie byłyby zachwycone taką możliwością.

Aggie poprawiła bluzkę na obwisłych piersiach i zerknęła na Bena, jakby chciała powstrzymać go przed demonstracją niezadowolenia.

- Jeśli tylko pan sobie tego życzy, będą tu mile widziane - zapewniła Quintona. - Dziękuję, że odwiózł ją pan do domu.

Quinton podszedł do Millie i wziął ją za rękę.

- Wkrótce cię odwiedzimy. Przywiozę najstarsze dziewczynki i Patricka. Jeśli im to przyrzeknę, to przez jakiś czas będą się zachowywali znośnie. - Lekko się skrzywił.

- Dziękuję, panie Quinton - odezwała się Millie. - Chciałabym je znowu zobaczyć. Proszę im przekazać moje najszczerze pozdrowienia... - Uśmiechnęła się blado. - I proszę powiedzieć Paddy'emu, by nie przestawał grać na fujarce.

- Na pewno o tym nie zapomnę. - Odwrócił się i spojrzał na Aggie, a następnie na Bena. - Zatem do widzenia.

- Do widzenia panu - pożegnała go gospodyni.

- Odprowadzę pana - oświadczył niski mężczyzna i ruszył za nim do drzwi, a gdy znaleźli się na podwórzu, spytał: - Co naprawdę się stało, sir?

Quinton streścił mu przebieg zdarzeń, do jakich doszło przed trzema dniami w rezydencji Crane'ów-Boulderów.

- Z tego, co sam wiem i co powiedział mi Bernard... to znaczy pan Thompson... wynika, że do niczego nie doszło. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Rozumiem - burknął Ben. - Boże wszechmogący! Syn właścicieli usiłował ją... Boże wszechmogący!

- Obaj chłopcy byli bardzo pijani i obawiam się, że wszystko stało się z inicjatywy ich matki. Niestety, to nałogowa alkoholiczka. Proszę mi wierzyć, że nikt bardziej niż ja i moja żona nie żałuje, iż do czegoś takiego doszło, bo bardzo polubiliśmy Millie, a nasze dzieci ją uwielbiają. Potrafiła się z nimi bawić, jakby sama była dzieckiem, a równocześnie była w stanie wygzekwować od nich obowiązki niczym osoba dorosła. Tak. - Potaknął sobie głową. - Pod pewnymi względami naprawdę przypominała osobę dorosłą... Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie, panie... Przepraszam, ale nie wiem, jak pan się nazywa. Millie często o panu opowiadała, jednak zawsze używała tylko pańskiego imienia.

- Nazywam się Smith.

- Aha, Smith. Chyba wolalbyśmy używać pańskiego imienia.

- Nazywam się Smith - powtórzył Ben, jakby bronił się przed nagle nieco protekcyjnym potraktowaniem go przez Quintona.

- Zatem do widzenia, panie Smith - pożegnał go sztywno dotychczasowy pracodawca Millie, po czym wsiadł do dwukółki i odjechał.

Ben wszedł do domu, ale na chwilę zatrzymał się w pokoju przechodnim. Zacisnął dłoń na oparciu starej kanapy, pochylił głowę i stał tak przez chwilę.

Gdy wszedł do kuchni, Millie piła herbatę.

Jej spojrzenie świadczyło o tym, że na niego czekała.

- Och, Ben... Tak się cieszę, że znowu cię widzę. Właśnie powiedziałam pani Aggie, że już nigdy... nie chciałabym opuszczać tego domu, was opuszczać... Już nigdy...

- To akurat bardzo nam odpowiada, ale jak naprawdę się czujesz? - zaczął się dopytywać.

- Nie najgorzej. Tylko przez cały czas boli mnie głowa. Lekarz powiedział, że ból przejdzie, jeśli przez tydzień poleżę w łóżku. - Nagle spuściła głowę i wyznała cichym głosem: - Pani Aggie, suknia jest kompletnie zniszczona.

Opiekunka objęła ją i przytuliła.

- A kto zwracałby sobie głowę suknią? - zaczęła uspokajać Millie, zamiast, wbrew swoim zwyczajom, dać upust złości. - Znajdzie się następna. Nie masz innych zmartwień? Zapomnij o niej. Ale czy mogłabyś nam powiedzieć, co naprawdę się stało? To znaczy...

Millie spojrzała na nią i na Bena, który przykucnął obok krzesła.

- Nie powinnam... była wkładać tej sukni - odparła po chwili wahania, t-Ale... chodziło o przyjęcie. Jednak wszyscy mieli na sobie uniformy...

- Naprawdę? - Ben uniósł głowę. - Na przyjęcie włożyli uniformy?

- Tak. Oczywiście wszyscy służący... - Zagryzła na moment wargi. - Chyba za bardzo się wyróżniałam. Pan Thompson, którego pierwsze urodzinowe przyjęcie odbyło się w poniedziałek... skończył dwadzieścia jeden lat... Zaprosił mnie do tańca. Zatańczyliśmy polkę. Był... był dla mnie bardzo miły... - Znowu zagryzła wargi. - To przyrodni brat pani domu, ale ani trochę nie jest do niej podobny. Później... pan domu poprosił mnie do kadryla.

- Pan domu cię poprosił? - spytała z niedowierzaniem Aggie. Uniósła głowę i powtórzyła: - Pan domu cię poprosił?

- Tak... To znaczy nie poprosił, ile wziął mnie do tańca... Odwracał mnie w kadrylu do siebie. Nie wiedziałam, że było widać moją halkę i pończochy, ale później Jane powiedziała mi o tym. Jane to ta, która wykonuje w rezydencji najczarniejszą robotę i która strasznie ekscytowała się przyjęciem, na długo zanim do niego doszło... Opowiadałam wam o niej.

Dowiedziałam się też od niej, gdy wczoraj przyszła mnie odwiedzić u państwa Quintonów, że pani Berenice obserwowała mnie, stojąc w drzwiach, jak tańczyłam z panem Raymondem. Zaraz potem przysłała po mnie i po Jane pokojówkę, która kazała nam pójść do gabinetu państwa... - Millie nerwowo odrzuciła głowę do tyłu i oparła ją o kanapę.

- Wszystko w porządku - odezwał się Ben. - Jeśli nie chcesz, nie musisz opowiadać dalszego ciągu. Nic się nie stanie.

Jednak Millie powiedziała im nieskładnie wszystko, co zapamiętała.

Gdy skończyła, przez chwilę wpatrywali się w nią w osłupieniu.

- I ten pan Thompson zaniósł cię do domu? - Aggie przerwała w końcu milczenie, powtarzając ostatnie zdanie z opowieści Millie.

- Tak. Pomagał mu w tym lokaj, pan Winters... Dzięki nim znalazłam się w domu, to znaczy u państwa Quintonów. A rano przyszedł pan Thompson, żeby spytać, jak się czuję. Właśnie wyjeżdżał. Jane powiedziała mi, że wszyscy byli tym bardzo poruszeni, bo miał spędzić u państwa Crane'ów-Boulderów całe wakacje. - Uniosła głowę i oświadczyła: - Och, nie jesteście w stanie zrozumieć, jak to cudownie znaleźć się z powrotem w domu. Pani Aggie, czy mogę się na chwilę położyć?

- Na chwilę? Masz się rozebrać i położyć do łóżka na kilka dni, zgodnie z tym, co kazał lekarz. I poproszę starego Partridge'a, żeby cię zbadał - oznajmiła stanowczym tonem opiekunka.

- Och, pani Aggie, wizyta lekarza jest naprawdę zbędna - zaprotestowała Millie.

- Ja wiem lepiej, co jest zbędne, a co nie, moje dziecko. Poza tym stary Partridge na pewno chciałby przestąpić próg tego domu, bo nie był tu od bardzo dawna. Ostami rachunek płaciłam mu szesnaście lat temu, kiedy zachorował mój ojciec. Ten medyk zażądał dwa szylingi za wizytę. Powiedziałam mu, że to rozbój w biały dzień. - Uśmiechnęła się ciepło i delikatnie podniosła Millie z krzesła. - Chodź, dziecino... Chodź...

Wieczorem po kolacji, gdy Millie już spała, a brama była zamknięta, Aggie i Ben siedzieli w kuchni. Ona popijała dżin z kieliszka, on zaś piwo z kubka. Od jakiegoś czasu spoglądali na siebie w milczeniu, rozmyślając o ostatnich wydarzeniach.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała cicho Aggie, przerywając w końcu milczenie. - Ja myślę o tym samym. Wybraliśmy najlepsze naszym zdaniem rozwiązanie problemu bezpieczeństwa Millie, to znaczy umieściliśmy ją u obcych ludzi, by nikt nie wykradł jej z tego domu i nie zmusił do wiadomych postępów, a tymczasem znalazła się tam w strasznym niebezpieczeństwie za sprawą tej podłej kobiety. Aż strach

pomyśleć, co ten łajdak by jej zrobił, gdyby pan domu i jego szwagier nie zjawili się w porę w gabinecie...

- O tak. Rzeczywiście myślimy o tym samym. Na szczęście Millie jest już w domu i nigdzie stąd nie odejdzie. A w miarę moich możliwości nie spuszczę jej z oka.

- Też mi rozwiązanie! Przez jak długi czas możesz nie spuszczać jej z oka? Ona dorasta. Zamażpójście to rzeczywiście rozwiązanie problemu Millie. Stanowi jedyną gwarancję...

- Zamażpójście?! - przerwał jej Ben, wstając z ławy. - Kobieto, przecież ona ma dopiero trzynaście lat!

- Niebawem skończy czternaście i jest bardzo rozwinięta jak na swój wiek - odparła spokojnie Aggie, nie dając się sprowokować.

- Zgadza się, ale chcesz ją wydać za męża po to, by się stąd wyprowadziła.

- Nie zamierzam tego robić teraz, tylko za jakieś dwa lata, chyba że będzie gotowa wyjść za męża wcześniej.

- Kobieto, co w ciebie wstąpiło? Chcesz pozbyć się stąd Millie?

Siedząca na brzegu kanapy Aggie zaczęła się nerwowo kołysać.

- Tak, chcę pozbyć się stąd Millie, ponieważ szczęście, jakiego w życiu zaznałam, zawdzięczam tylko jej - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Chcę pozbyć się jej stąd również dlatego, że ją kocham i że nie znam spokoju, dopóki ona nie wyjdzie za męża. Małżeństwo to jedyna dla niej gwarancja bezpieczeństwa. Z pewnością chcę pozbyć się stąd Millie.

Ben wciąż stał przyczajony niczym gotowe do skoku zwierzę.

- A gdzie proponujesz szukać jej męża? - spytał zaczepnie, pochyliwszy się do przodu. - W The Courts? Choć może spodziewasz się, że przyjedzie tu ktoś, kogo poznała w rezydencji Crane'ów-Boulderów, by cię poprosić o jej rękę? To znaczy pan Thompson, który zaniósł ją z pałacu do domu Quintonów? Wypytywałaś ją o niego, prawda? Ciekawe, kogo masz na myśli?

- Nikogo z The Courts i żadnego panicza - odparła opanowanym tonem, choć wciąż wierciła się na kanapie. - Tylko kogoś wykształconego, jak na przykład ci nauczyciele, którzy uczą cię w szkole wieczorowej.

- Aha... Wszędzie masz swoich szpiegów, prawda?

- Nie mam nigdzie żadnych szpiegów. Zresztą wcale ich nie potrzebuję. Mam tylko oczy i uszy otwarte, a dzięki mojej pracy wiem wszystko. Brat Rosie Dillon, mojej starej klientki, jest dozorcą w tej... Jak ona się nazywa? Państwowej szkole, która prowadzi kursy wieczorowe dla dorosłych. Otóż Rosie Dillon szepnęła mi przy jakiejś okazji, że dowiedziała się, iż zaczął uczyć na te kursy. Oczywiście kiedyś pewnie sam byś mi o tym

powiedział. Tak czy inaczej wiem, że Millie nadal będzie chciała się kształcić i że byłoby dla niej bezpiecznie, gdyby chodziła razem z tobą do szkoły wieczorowej. Nigdy nic nie wiadomo... Może pozna tam kogoś odpowiedniego na męża - nie wśród uczniów, co to, to nie, lecz wśród nauczycieli. A poza tym z jej zdolnościami sama mogłaby zostać nauczycielką.

- Niewiele czasu zajęło ci wymyślenie tego planu.

- Zgodnie z przysłowiem, że potrzeba jest matką wynalazków. Chodzi jeszcze o to, że... - zdjęła z półki kieliszek z dżinem i pociągnęła łyce - chciałabym, by Millie jakoś urządziła sobie życie, zanim udam się w ostatnią podróż. Bo gdy ja odejdę, co się z nią stanie? Ty pewnie wkrótce powiesz mi, że żenisz się z Annie i wyprowadzasz się do niej.

- Co ty powiedziałaś?

- To, co słyszałeś. I dodam, że wcale nie jest na to za wcześnie, zważywszy na to, ile to już lat trzymacie się razem.

Ben podszedł do kanapy i pochylił się nad Aggie.

- Nie zamierzam ożenić się z Annie, zapamiętaj to sobie. Ona o tym wie. Nigdy nie robiłem jej takich nadziei. Tylko tobie wciąż nie mogę wbić do głowy, że z Annie łączy mnie wyłącznie przyjaźń - oświadczył spokojnie, lecz stanowczo. - Jest dobrą kumpelką i fajnie się z nią gada. Poza tym zwróciła na mnie uwagę... to znaczy jako dziewczyna, podczas gdy wszystkie inne nawet na mnie nie spojrzały. Aggie? Ile miałem lat, kiedy zjawiłem się na podwórzu waszego domu? Siedem, prawda? A ona miała dwanaście. Była ode mnie dużo starsza, a jednak potraktowała mnie życzliwie. Przytłaczała ją wtedy taka sama jak mnie samotność i poczucie opuszczenia przez wszystkich. Gadałem jak najęty tylko po to, żeby to ukryć. Zanim zjawiłem się na podwórzu tego domu, znałem ją już od ponad roku. Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale gdyby nie udzielała mi w tamtych czasach schronienia, zamarzyłbym na śmierć. Mieszkała w jednym pokoju z chorą matką, która od lat leżała w łóżku, spuchnięta jak balon. Oczywiście matka zostawała sama, gdy Annie była w fabryce. Pamiętam, że codziennie wieczorem dostawała laudanum, by mogła wytrzymać ból. Kiedy Annie kładła się do łóżka, wpuszczała mnie do mieszkania i pozwalała spać na macie koło pieca. Dzięki temu przetrwałem dwie zimy. A po śmierci matki pozwalała mi tak spać co noc i korzystałem z tego, dopóki twój ojciec nie przyjął mnie do pracy i nie zaoferował noclegu na strychu nad stajnią. To po dziś dzień jest mój pierwszy własny kąt w życiu. - Widząc, że Aggie chce coś powiedzieć, uniósł rękę i nie dopuścił gospodyni do głosu. - Skoro już zacząłem tę opowieść, to niech ją skończę. Owszem, później były chwile,

kiedy ja i Annie w wiadomy sposób pomagaliśmy sobie nawzajem znosić naszą samotność, ale kiedyś powiedziałem jej, że w ogóle nie zamierzam zakładać rodziny, i bez trudu mnie zrozumiała. Zresztą ona wciąż jest taka chuda, że nie ma na co spojrzeć, choć z drugiej strony od kilku lat bardziej dba o swoje stroje, no i nie zmarnowała szansy wyprowadzenia się z The Courts. Zamieszkała w tym nowym osiedlu. Szybko domyśliłem się, z jakiego powodu. Otóż zależy jej na pewnym mężczyźnie, który się do niej zaleca. To dużo starszy od niej wdowiec, od wielu lat pracuje w tej samej fabryce. Bardzo się cieszę, że zaczęło się jej lepiej wieść.

- Nie do wiary! Ale skoro sytuacja tak się przedstawia, to dlaczego wciąż chodzisz do Annie?

- Po prostu dlatego, że się przyjaźnimy, co od dawna usiłuję ci wbić do głowy. Gramy w karty, gawędzimy, komentujemy różne plotki i sensacje, a ona zna ich mnóstwo, bo jak wiesz, jej kuzynka jest najbardziej znaną w mieście ulicznicą. Czasami ta kuzynka wpada do Annie i opowiada takie historie, że pękamy ze śmiechu... Oczywiście nie zawsze opowiada wesołe kawałki, bo nieraz zdarzają się rzeczy, zdolne przyprowadzić o ucisk w dołku nawet ją, Nellie Pratt. Należałoby zrobić z tym porządek... Tak czy inaczej wszystko ci wyjaśniłem i nie powinnaś już wtykać nosa w moje sprawy. A co do twojego - nauczyciel powiedziałby - zgonu... i losu Millie... Jeśli nawet ty odejdziesz, to przecież ja zostanę jako jej opiekun, aż do mojej własnej śmierci. Oczywiście nie znam wyroków boskich i wiem, że mogę umrzeć w każdej chwili, ale z drugiej strony jest całkiem możliwe, że trochę jeszcze żyję, skoro skończyłem dopiero dwadzieścia trzy lata.

Aggie znowu poruszyła się gwałtownie i usiadła na brzegu kanapy.

- Wymyśliłeś sobie, że gdy Millie dorośnie, to będzie tu mieszkała pod twoją... jak to nazwać?, kuratelą?! - wybuchnęła, przysuwając twarz do twarzy Bena. - Z jej urodą, która zacznie przyciągać mężczyzn jak światło ómy? Och, Ben, zachowuj się, jak przystało na człowieka, który już przekroczył dwudziestkę. I coś jeszcze ci powiem... - Uderzyła się w piersi. - Naprawdę zależy mi na tym, by Millie wyprowadziła się z tego domu, i przysięgam, że dopilnuję, byś i ty to zrobił, bo przy niej zapominasz o swoich krótkich nogach. Przejrzałam twoje zamiary. Wiem, dlaczego zacząłeś chodzić do szkoły i kupiłeś sobie nowy płaszcz i cylinder. Niestety, najwyższy cylinder nie doda ci ani milimetra wzrostu, a najelegantszy płaszcz nie poprawi twojej sylwetki. Panie Benie Smith, niech pan wbije to sobie do głowy.

Przez chwilę nie potrafił wydobyć z siebie słowa, tylko poruszał grdyką.

- Aggie... - zaczął spokojnie, gdy napięcie mięśni ustąpiło. - Na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem, bo dzięki tobie jestem tym, kim jestem. I nigdy w ciągu tych wszystkich lat ani przez chwilę nie życzyłem ci nic złego, przeciwnie, pragnąłem, żebyś była szczęśliwa. Jednak teraz mógłbym cię uderzyć, ale nie dlatego że starałaś się czytać w moich myślach, tylko dlatego że pozbawiłaś mnie tym, co powiedziałaś, poczucia męskiej godności.

Obrzucił ją równie nieustępliwym jak ona jego spojrzeniem, co nigdy dotychczas nie zdarzyło się w ich kontaktach, i wyszedł z kuchni.

RS



## Część trzecia KUCHARKA I WŁAŚCICIELKA PIEKARNI

### ROZDZIAŁ 1

W dniu powrotu do domu od Quintonów Millie uświadomiła sobie, że zmieniło się jej podejście do własnej przyszłości, choć zarazem nie chciała, by kiedykolwiek los znowu oddzielił ją od Aggie i Bena. Dni upływały jej na gotowaniu i sprzątananiu, lecz pragnęła robić coś więcej. Nawet to, że trzy razy w tygodniu chodziła z Benem do szkoły wieczorowej, nie uwalniało jej od udreki zastanawiania się nad własną przyszłością. Bo nie dawało jej spokoju pytanie o to, z czego będzie żyła. Najpierw przyszło jej do głowy, że mogłaby się zatrudnić u jakichś bogatych ludzi jako kucharka, ale po przeżyciach w „The Grange” szybko tę myśl porzuciła, ponieważ praca służącej zaczęła budzić w niej strach. Jednak z drugiej strony uważała, że posiada tylko zdolności kulinarne. Ale gdy zwierzyła się z tego Aggie, ta zwróciła uwagę również na jej elokwencję i zasugerowała, by Millie została nauczycielką. Dziewczyna wprawdzie odparła, że nauczanie dzieci wymaga odpowiedniego wykształcenia, lecz zarazem czasami odkrywała, iż wie więcej niż pani Sponge, nauczycielka ze szkoły wieczorowej. Z kolei w żadnym wypadku jej wiedza nie dorównywała tej, jaką posiadał pan Sponge. Nie tylko wspaniale znał historię, której uczył w szkole wieczorowej, ale i mówił rzeczy zapadające głęboko w pamięć. Twierdził na przykład, że każdy problem da się rozwiązać, a w tym celu wystarczy tylko skupić się porządnie i znaleźć cząstkowe rozwiązania - używając do tego celu talii kart - następnie zaś sprawdzić, czy któreś z nich nie stanowi rozwiązania całego problemu.

Millie wzięła sobie tę radę do serca i rozłożyła na stole karty, z których każda oznaczała jakąś jej umiejętność. Otóż szybko upewniła się, że najlepiej potrafi piec i gotować, a zwłaszcza robić mięsne paszteciki, placuszki i bułeczki z rodzynkami oraz bardzo pożywny gulasz. Okazało się też, że z powodzeniem mogłaby prowadzić sklep z wyrobami kulinarnymi. Jednak nie w pełni przekonana do tego pomysłu z powrotem odwróciła kartę i sięgnęła po następną. Ta z kolei mówiła, że dotychczasowe życie Millie ma wiele wspólnego z prowadzeniem sklepu, co nie było niczym dziwnym, skoro od lat Aggie handlowała na podwórzu starzyzną.

Nagle oczyma wyobraźni dziewczyna zobaczyła to podwórze idealnie czystym i z otwartą bramą przez którą wchodzi klienci zmierzający do długiej ławy zastawionej mięsnymi pasztecikami, placuszkami i bułeczkami z rodzynkami. Oprócz zapełnionych nimi tac na ławie stały również duże

garnek z gorącym gulaszem. Ona zaś, Millie Forester, sprzedawałaby te przygotowane przez siebie przysmaki. Nagle przyszło jej do głowy pytanie o klientów i niemal natychmiastowa odpowiedź, że byłiby nimi pracownicy fabryk. Większość z tych, którzy pracowali w zakładach Freemana, przechodziła dwa razy dziennie koło domu Aggie, bo mieszkali w The Courts. Również w ciągu dnia mijało bramę wiele osób, choć głównie były to brudne, obszarpane dzieci oraz równie brudni i cuchnący dżinem dorośli. Ich wstrętny zapach czuło się nawet na podwórzu.

Mimo różnych zastrzeżeń i wątpliwości Millie zaaprobowwała pomysł prowadzenia bufetu. Była bardzo przywiązana do Aggie i Bena, lecz przecież liczyła się z tym, że kiedyś opiekunka umrze, a jej pomocnik ożeni się z Annie. Z drugiej strony, choć lubiła tę miłą młodą kobietę, to nie potrafiła jej sobie wyobrazić w roli żony Bena. Po głębszym zastanowieniu doszła nawet do wniosku, że taki mężczyzna jak Ben nie mógłby się ożenić z kobietą pokroju Annie. Bo o czym by z nią rozmawiał? Annie nie potrafiła podtrzymywać konwersacji. Owszem, z uwagą słuchała tego, co mówili inni, jednak sama raczej nie zabierała głosu w żadnej sprawie, a w każdym razie nie robiła tego w obecności Millie.

Któregoś dnia wieczorem Millie przedstawiła pomysł prowadzenia bufetu Aggie i Benowi. Uraczyła ich na kolację kotletami z mielonego króliczego mięsa, których nie usmażyła, jak czyniła to dotychczas, razem z pokrojonymi w plastry ziemniakami, lecz upiekła w piekarniku z jabłkami, podlewając gęstym sosem, a z wierzchu dobrze rumieniąc. Wykorzystała przepis podany w „Sunday”. Любиła ten magazyn, bo publikował ciekawe, barwne opowiadania, i wolała go od „The Band Of Hope” czy „The Good Words Magazine”, choć również i te czytała, co tydzień życzliwie ofiarowywane jej przez panią Sponge.

Aggie i Ben bardzo chwalili te kotlety i przy stole panowała miła atmosfera.

Gdy skończyli jeść i usiedli przy kominku, Millie wyjawiała im swój plan. To była prawdziwa bomba.

- Chcesz, żebym skasowała handel starzyzną? - spytała Aggie, kiedy już ochłonęła z wrażenia.

- Co też pani opowiada? - odparła z powagą dziewczyna. - Ale z drugiej strony sama pani przyznaje, że wyprawy po używane rzeczy coraz bardziej panią męczą. Poza tym, jak odkryliśmy, Chłopczyzna jest dwa razy starszy, niż pani powiedziano, gdy go pani kupowała. - Spojrzała na Bena. - Nie siedź tak i nie gap się, tylko powiedz, co sądzisz o moim pomysle. Podoba ci się?

- To całkiem do rzeczy pomysł, bo ty jesteś urodzoną kucharką. Bez względu na to, co będziesz w życiu robiła, pozostaniesz nią na zawsze. I potrafię sobie wyobrazić ławę ze sprzedawanymi wyrobami kulinarnymi na uprzątniętym podwórzu. Jednak tak samo jak Aggie spytam, co ja będę robił i z czego mam żyć, jeśli zlikwidujemy handel starzyzną, a ty zaczniesz prowadzić sklep branży spożywczej? Chcesz mi płacić osiem szylingów tygodniowo?

- To nie ja będę ci płaciła, tylko pani Aggie. - Odwróciła się do opiekunki. - I wszystko na to wskazuje, że nie osiem, tylko szesnaście. Pamiętasz, że w sklepie, który mijamy po drodze do szkoły, pasztecik kosztuje dwa i pół pensa?

- Oczywiście odpowiada mi ta podwyżka, jeśli tylko jest możliwa, ale chciałbym znać swoją rolę w tej nowej spółce, chciałbym wiedzieć, czym będę się zajmował.

- Z pewnością nie sądzisz, że dam radę robić wszystko sama, prawda? Myślę, że cały mój czas pochłonie gotowanie i pieczenie, nawet jeśli pani Aggie będzie mi pomagała. Toteż ktoś musi sprzedawać w naszym... - roześmiała się - sklepie.

- Jakoś nie widzę się w tej roli. Co to, to nie! - Zmarszczył nos.

- Trudno. Wobec tego będę piekła i gotowała w nocy... No nie... Wieczorem. A w ciągu dnia stanę za ławą.

Aggie i Ben spoglądali na nią z zaskoczeniem.

- Mój Boże! Ona wszystko dokładnie przemyślała. Wprost nie mogę w to uwierzyć - orzekła Aggie. - Odkąd pamiętam, podwórze tego domu było zarzucone najrozmaitszymi rupieciami, a teraz Millie proponuje, by pachniało pasztecikami, bułeczkami i innymi smakołykami. - Odwróciła się do wychowanki. Ale powiedz mi, moja panno, ile zdołasz ich upiec naraz? - Wskazała kciukiem okrągły piekarnik.

- Dwadzieścia jeden, to jest dwanaście sztuk na górnej blasze oraz dziewięć na dolnej. A jeśli będę miała przygotowany farsz, to ich zrobienie zajmie mi tylko pół godziny. Poza tym wieczorem mogę piec co najmniej czterokrotnie. Oczywiście ktoś musi palić w piecu i robić zakupy... - Spojrzała na Bena, a następnie na Aggie. - Stale będę potrzebowała dużo tłuszczu, mąki, mięsa, rodzyneków i innych produktów. Przyszło mi też do głowy, żeby gotować grochówkę. Kiedyś pokazała mi pani na targu stragan, w którym sprzedają puree z grochu.

Usłyszawszy tę ostatnią deklarację, Ben wybuchnął śmiechem, a Aggie kosztowało wiele wysiłku, by zachować kamienną twarz.

- Rozbawiłaś go - stwierdziła dyplomatycznie.

- A panią nie? - spytała cicho Millie.

- Och, skarbie, chodzi o to, że jakoś nie mogę sobie tego wszystkiego wyobrazić - odparła łagodnie opiekunka. - W domu zapanuje straszny rozgardiasz, a poza tym, czy pomyślałaś o pogodzie? Jeśli będzie zimno lub deszczowo, nie da się przecież handlować.

- Oczywiście, że pomyślałam. W razie złej pogody ławę można postawić pod arkadą lub w posprzątaney stodole. Posprzątanie stodoły jest całkiem łatwe.

Aggie zerknęła na Bena, który aż popłakał się ze śmiechu i, wyczerpany, na wpół leżał na ławie.

- Dziewczyno, czy w ogóle pomyślałaś o tym, że nie będziesz tu mieszkała przez całe życie? Wkrótce skończysz szesnaście lat i może wyjdiesz za mąż. Kto wie? - zwróciła się do Millie z autentyczną tym razem powagą.

Usłyszawszy te słowa, Ben również spowaźniał i zerwał się z ławy, tak że Aggie i Millie wzdrygnęły się.

- Przestań opowiadać jej takie rzeczy! - krzyknął gniewnie na gospodynię. - Po co, u licha, sugerujesz, że z chwilą ukończenia szesnastu lat dziewczyna koniecznie musi wyjść za mąż?! Millie wyjdzie za mąż, gdy do tego dojrzeje i sama będzie wiedziała najlepiej, czy spotkała właściwą osobę, a zatem, że nadszedł właściwy moment! Kobieto, wbij to sobie do głowy!

Po tych słowach natychmiast wyszedł z pokoju. Millie była strasznie zmieszana.

- Ale się uniósł, prawda? - skomentowała ze spokojem Aggie i wróciła do tematu. - Wiesz, moje dziecko, że powiedziałam prawdę. Gdy dziewczyna kończy szesnaście lat, a nawet wcześniej, zaczyna myśleć o małżeństwie. A przy okazji... Kiedy ostatnio był tu pan Thompson?

- Przed trzema miesiącami.

- O tak, tak. Ty na pewno pamiętasz takie rzeczy. I była to jego trzecia wizyta, prawda?

Millie wstała z kanapy i spojrzała na szeroką pomarszczoną twarz opiekunki.

- Pani Aggie, ja nie biorę go pod uwagę. Absolutnie nie biorę - zaprotestowała cichym głosem. - Po prostu... po prostu miły z niego człowiek. To džentelmen, ktoś z wyższych sfer, a poza tym... Czy zapomniała pani, z kim jest spokrewniony? Z tą straszną... straszną kobietą.

- Ależ ona jest tylko jego przyrodnią siostrą.

- Pani Aggie, proszę już nigdy nie myśleć o nim jako o kimś dla mnie ważnym. Jeśli on rzeczywiście wyobraża sobie, że ja... to już nie potrafię z nim normalnie rozmawiać. Poza tym zgadzam się z Benem, że dziewczyna wcale nie musi wychodzić za mąż, ukończywszy szesnaście lat. Nigdy dotychczas nie myślałam o małżeństwie. To znaczy myślałam i postanowiłam jeszcze przez wiele lat być panną. A jeśli kiedyś zdecyduje się kogoś poślubić, to musi to być ktoś, przy kim nie będę się czuła skrępowana, na pewno nie mężczyzna pokroju pana Thompsona... - Po chwili wahania dodała już normalnym głosem: - Nie polubiłabym stylu życia ludzi z klasy społecznej, do której on należy, a jego rodzina nigdy nie zaakceptowałaby kogoś... takiego jak ja. Dobrze o tym wiem. O tak. Gdyby pani mogła posłuchać, co na ten temat mówił w szkole pan Sponge... A ponieważ mówił prawdę, otrzymał zakaz nauczania Słusznie stwierdził, że nas, przedstawiciele klasy pracującej, dzieli od klasy średniej i wyższej przepaść nie do przebycia. Zresztą oni mają w pogardzie nie tylko nas, lecz także rzemieślników i drobnych handlarzy. Nawet ich uważają za męty społeczne. Wie pani co? Jeśli na stacji kolejowej znajduje się ktoś z wyższych sfer, to ludziom z klasy pracującej nie wolno wejść na peron, dopóki nie przyjedzie pociąg, żeby nie psuli państwu dobrego samopoczucia. Dopiero wtedy mogą się tam zjawić i wsiąść do wagonów trzeciej klasy, gdzie niemal przez całą podróż stoją w tłoku. Och, pani Aggie!

I pani myślała, że Bernard Thompson...

Nie dokończywszy, Millie odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

- Pożyjemy, zobaczymy... Mam tylko nadzieję, że będę żyła dostatecznie długo - powiedziała Aggie, jakby miała przed oczyma rozmówcę, i skwapliwie potaknęła głową.

## ROZDZIAŁ 2

Minęło dziewięć miesięcy od zgłoszenia przez Millie pomysłu sprzedaży własnych wyrobów kulinarnych. Proponowała klientom paszteciki po dwa lub cztery pensy za sztukę, zwykły trójkątny placuszek za pół pensa, a ten z rodzynkami za jednego pensa, tak samo jak solidną chochlę zupy na baraninie czy grochówki. W soboty Millie sprzedawała ponadto bułeczki z rodzynkami i równie pulchne bułeczki kanapkowe - także licząc jednego pensa za sztukę.

Była tak zajęta, że, niestety, musiała zrezygnować z nauki w szkole wieczorowej. Z kolei Ben, choć nie wywierała na niego najmniejszego nacisku, poświęcał jej cały swój wolny czas. Nie chciał tylko robić jednego, a mianowicie chodzić wraz z nią do prowadzonej w niedzielę przez metodystów szkoły dla dorosłych. Oświadczył, że nic nie zmusi go do przebywania wśród elokwentnych kaznodziejów.

Pomimo różnych ograniczeń, jakie nakładały na Millie nowe obowiązki, miała wielką satysfakcję z wykonywanej pracy, a w każdym razie na ogół sprawiała takie wrażenie. Aggie również była bardzo zadowolona z prowadzenia wspólnie z Millie i Benem nowego interesu, zwłaszcza w piątki i w soboty wieczorem, gdy obliczała tygodniowy zysk. Millie stale musiała jej przypominać o koszcie produktów zużywanych na wyroby kulinarne i o wypłacie ośmiu szylingów dla Bena oraz pięciu dla niej, Millie.

- Panno przemądrzalska, jak myślisz, ile dziś utargowałaś? - odezwała się opiekunka, przeliczywszy pieniądze.

- Jeśli da mi pani chwilę czasu, zaraz powiem, ale na pewno zysk jest mniejszy, niż pani sądzi.

- Mamy tu siedem funtów i cztery szylingi. Zatem, ile dziś zarobiliśmy?

- To pani, droga Aggie, zarobiła jednego funta, siedemnaście szylingów i dwa pensy.

- Jeśli wypłacę sobie pensję, powiedzmy dziesięć szylingów, to zostaje jeden funt, siedem szylingów i dwa pensy zysku. To nie jest źle. A jaki mamy tygodniowy zysk?

Millie zaczęła pospiesznie pisać kolumny cyfr na tabliczce łupkowej, na której prowadziła rachunki.

- No więc w tym tygodniu na czysto zarobiliśmy cztery funty, osiemnaście szylingów i sześć pensów - odparła po dłuższej chwili.

- To nie jest źle - powtórzyła Aggie. - Tyle mogłabym zarobić na sprzedaży starych ubrań w ciągu trzech tygodni. Odkryliśmy małą żyłę

złota, prawda? - Wzięła Millie za rękę. - Ale nie możesz już dłużej tego robić, dziewczyno. Jesteś na nogach od świtu do nocy. Masz chwilę wytchnienia tylko wtedy, gdy uda się nam, tak jak dziś, szybko wszystko sprzedać. I nie trać więcej czasu na gadanie, że trzeba kupić szerszy ruszt i dobudować drugi piekarnik, bo masz tylko jedną parę rąk, bez względu na to, jak ci pomagamy. Ostatecznie to ty musisz własnoręcznie przygotować wszystko do upieczenia czy ugotowania, a jesteś chuda jak szczapa, zamiast się tu i ówdzie zaokrąglić. Nie podoba mi się, że jesteś taka płaska.

- Wcale nie jestem płaska.

- Jeśli nawet masz rację, to muszę stwierdzić, że dobrze ukrywasz swoje kształty pod ubraniem. Nie, moja miła, nie widzę cię już dłużej w podwójnej roli kucharki i sprzedawczyni. Za dwa tygodnie skończysz szesnaście lat. To ważne wydarzenie, bo osiągniesz pełnoletność. Absolutnie nie mogę być zachwycona tym, co robisz. Niebawem staniesz się kobietą... - Zadzwoił dzwonek i Aggie z gniewem odwróciła się do drzwi. - Czy ten ktoś nie zauważył, że nasz sklep jest już zamknięty? Bóg jeden raczy wiedzieć, po co ten człowiek dzwoni.

- Przecież zakazała pani klientom wchodzić bez uprzedzenia na podwórze po zamknięciu sklepu, jeśli brama jest otwarta, bo praktycznie bez pukania pchali się do kuchni - odparła ze śmiechem Millie. - Pani Aggie, pójdę zobaczyć, kto to jest.

- W żadnym wypadku. Usiądziesz i odpoczniesz, skoro bez przerwy jesteś na nogach. Im częściej i dłużej będziesz siedziała, tym większa jest szansa, że trochę się zaokrąglisz. Tylko spójrz na mnie.

Aggie roześmiała się, rozbawiona tym żartem z samej siebie, i wyszła z kuchni.

Millie oparła się na krzesło i przymknęła powieki. Naprawdę była zmęczona, opiekunka miała rację. Poza tym rzeczywiście za dwa tygodnie skończy szesnaście lat, przeobrażając się z tą chwilą z dziewczyny w kobietę, jak sugerowała Aggie. Jednak Millie czuła, że to już się stało, bo kiedy właściwie dziewczyna zamienia się w kobietę? Czy nie wtedy, gdy leżąc wieczorem w łóżku, myśli, jak cudownie byłoby, gdyby... Oczywiście Millie miała dość rozsądku, by wraz z nadejściem świtu rozstać się z wszelkimi mrzonkami i powiedzieć sobie: „Nie trać głowy”, „Bądź rozsądna”.

Na widok wchodzącego do kuchni wraz z Aggie mężczyzny miała poczucie, że nagle znalazła się w świecie myśli, które opanowywały jej umysł przed zaśnięciem. Bo to właśnie ten mężczyzna był obiektem jej bezgłośnych westchnień, a teraz stał przy drzwiach i uśmiechał się do niej.

Wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło.

Bernard Thompson błyskawicznie podszedł do stołu i postawił je na miejscu.

- Przepraszam. Obudziłem cię z drzemki?

- Jest zmęczona, sir. Nie ma chwili odpoczynku. Sprzedaż wyrobów kulinarnych to jej pomysł, ale to bardzo wyczerpująca praca - odpowiedziała mu pospiesznie Aggie.

- Pani Aggie, proszę nie mówić takich niemądrych rzeczy. - Millie wskazała ławę i spojrzała na Bernarda Thompsona. - Usiądzie pan?

- Na chwilę, jeśli jednak sprawiam kłopot, to nie zostanę.

- Ależ nie sprawia pan żadnego kłopotu. Absolutnie nie, sir - wmieszała się ponownie do rozmowy Aggie. - Czy mogę poczęstować pana czymś mocniejszym?

- Nie, dziękuję. Jestem po kolacji, którą pozwoliłem sobie zakropić. Wie pani, co mam na myśli?

Aggie potakiwała głową i uśmiechała się szeroko.

- Tak, sir, wiem bardzo dobrze. Ja też to robię. To rozkosz dla podniebienia. Och! - Wskazała na Millie. - Proszę tylko na nas spojrzeć. Jest sobotni wieczór, a my wciąż mamy na sobie robocze ubrania. Jeśli pan wybaczy, wyjdę na chwilę, żeby się przebrać w bardziej stosowną suknię. Skoro zaś nie mogę wypić z panem czegoś mocniejszego, to i nie będę w stanie bawić pana rozmową, bo mogłoby mi zabraknąć polotu.

Millie wyciągnęła rękę, chcąc zatrzymać opiekunkę, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ta zniknęła już w drzwiach prowadzących do hallu.

Spojrzała na Bernarda Thompsona.

- Nie mogę siedzieć, jeśli ty stoisz - odezwał się i podniósł z ławy.

- Och... - westchnęła Millie, jakby powróciła ze świata marzeń do rzeczywistości, i spoczęła na kanapie.

Bernard Thompson zajął swoje dotychczasowe miejsce na ławie.

- Jak się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną. Pani Winkowski ma rację, mówiąc, że prowadzenie sklepu z wyrobami kulinarnymi kosztuje cię zbyt wiele wysiłku.

- Zmęczenie to rzecz normalna. Wieczorem każdy czuje się trochę wyczerpany całodzienną pracą, a w soboty jest szczególnie dużo klientów.

- Oczywiście. Czy nadal interes rozwija się pomyślnie?

- Tak. Bardzo pomyślnie.

- Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby mieć prawdziwy sklep?

- Myślałam - odparła, unikając jego spojrzenia. - Ale to oznaczałoby rozstanie z tym domem, z panią Aggie i z Benem.



Nie podtrzymał rozmowy, tylko w milczeniu przyglądał się Millie. Wciąż nie potrafił zrozumieć, jak ta dziewczyna może żyć w takim otoczeniu, skoro mieszkała choćby w domu Quintonów, pełnym rozgardiaszu, ale kulturalnym. To wnętrze było przecież straszne. Spełniało teraz tyle różnych funkcji. Dominowała w nim kanapa i dwa stoły - jeden pod oknem, zastawiony produktami niezbędnymi do gotowania i pieczenia sprzedawanych przez Millie wyrobów, a drugi pośrodku pokoju. Zapewne służył do jedzenia, ale dziewczyna używała go również jako sekretarzyka, bo teraz leżał na nim papier, ołówek i tabliczka. Z kolei pokój, przez który przechodziło się do jadalni-kuchni-salonu wypełniał zastarzały zapach, typowy dla wielu ludzi w podeszłym wieku. I w takim otoczeniu żyła ta dziewczyna. Nie dość, że była piękna, to jeszcze bardzo inteligentna, o czym Bernard Thompson szybko się przekonał podczas poprzednich krótkich wizyt w tym domu. Dobry Boże! Gdyby tylko rzeczywistość wyglądała inaczej. Gdyby tylko... Ileż razy powtarzał to sobie w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy to nagle w jego wyobraźni pojawiał się obraz dziewczyny, który przywiódł go dziś do tego domu. Zastanawiał się, jak długo może tu przychodzić i co ona w końcu na to powie.

- Wkrótce będziesz miała urodziny, prawda? We wrześniu, jeśli dobrze pamiętam? - przerwał panującą w kuchni ciszę.

- Tak. Za dwa tygodnie.

- Skończysz szesnaście lat. Czy czujesz się dorosła? Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nie czuła się w pewnym sensie dorosła. Jednak z drugiej strony nie lubię tego uczucia i nadal chciałabym być, jeśli nie dzieckiem, to kimś młodym, a nie dorosłym.

Bernard Thompson roześmiał się dyskretnie.

- Ależ ty jesteś młoda i przedstawiasz sobą ten typ... - Przerwał, bo nie wiedział, czy użyć słowa „kobiety”, czy też „damy”, więc w końcu zdecydował się na neutralne określenie i powiedział: - osobowości, którą przez całe życie cechuje młodzieńcza witalność, jak na przykład moją wiekową ciotkę Chrissie. Och... - Z niezadowoleniem pomachał ręką. - Przywołałam nie najlepszy przykład, bo wprawdzie ona zachowała w wieku sześćdziesięciu pięciu lat młodzieńczą witalność, ale jej umysł nie jest już taki sprawny jak dawniej. Ciotka Chrissie mieszka niezbyt daleko stąd w rozkosznej małej willi, wraz ze swoją nieodłączną pokojówką. Bardzo bym chciał, żebyś ją poznała... - Po chwili wahania dodał przekornie: - Gdy skończysz szesnaście lat i będziesz mogła sama wychodzić z domu.

- Panie Thompson, ja już od jakiegoś czasu sama wychodzę z domu. Nikt mi tego nie zabrania.

- Ale nigdy nie otrzymałem pozwolenia, by cię gdzieś zaprosić, prawda?

- Ale też nigdy nie wyraził pan takiego życzenia - odpowiedziała mu sztywno.

Roześmiał się swoim dźwięcznym śmiechem, który podobał się Millie.

- Taką rozmowę powinniśmy prowadzić w wytwornym salonie - zaczął wciąż rozbawiony. - To znaczy w takim, w którym kominek ma rzeźbione obramowanie... - wskazał na proste obramowanie tego znajdującego się w kuchni i udekorowanego tylko dwoma mosiężnymi świecznikami oraz dwoma ozdobnymi dzbanami - a ciężkie brokatowe portierey niemal zasłaniają okna, blat zaś stołu jadalnego intarsjowany jest kością słoniową. Ten z kolei... - ze śmiechem wskazał stół stojący pod oknem - musiałby być rzeźbiony na modłę hinduską. W takim wytwornym salonie tam powinien stać fortepian... - wyciągnął rękę w stronę odległego rogu pokoju - nakryty u góry wielkim hiszpańskim szalem, a na ścianach musiałyby wisieć dużo obrazów, które wyszły spod pędzla wielkich artystów. O tak. Z kolei na podłodze należałoby położyć gruby brukselski dywan. Pod stopami zaś, koło sofy... - stuknął butami w deski zasłonięte matą domowego wyrobu - dobrze byłoby mieć niedźwiedzią skórę, która kiedyś chroniła biedne stare zwierzę przed zimnem. - Pochylił się lekko w stronę Millie. - Brzmienie twojego głosu po prostu pasuje do opisanego przeze mnie wnętrza.

- Nie wiem, czy powinnam to potraktować jako komplement, czy raczej jako jego przeciwieństwo.

Był wyraźnie zaskoczony taką odpowiedzią.

- Opisał pan salon, do jakiego jest pan przyzwyczajony. Jak zatem znajduje pan ten, w którym teraz siedzimy? - spytała, zanim zdążył odnieść się do jej wcześniejszej uwagi.

Słyszając to zaczepne pytanie, spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie było moim zamiarem dokonywanie takich porównań odparł spokojnie. - Po prostu twój głos skojarzył mi się z opisanym przed chwilą wnętrzem. I powiem jeszcze, że... ty cała wspaniale pasujesz do takiego właśnie wnętrza.

Wstał z ławy, jakby chciał podejść do Millie, ale drzwi się otworzyły i w kuchni zjawił się Ben, który na widok Bernarda Thompsona przystanął na moment w progu, po czym ruszył do kuchennego stołu.

- Dobry wieczór - przywitał go naturalnie brzmiącym głosem niespodziewany gość. - Właśnie tędy... przechodziłem i skorzystałem z

okazji, by dowiedzieć się... - odwrócił się do Millie - co słyhać u naszej młodej przyjaciółki.

- Ach, tak. Czyli szedł pan do The Courts?

- Do The Courts? - zdziwił się Bernard Thompson.

- Zapewne, bo droga przebiegająca koło naszego domu tam właśnie prowadzi, do Nelson Court i dalej.

- Ben... Pan Thompson przyszedł mnie odwiedzić, tak jak poprzednim razem. On zna The Courts - ostrzegła go Millie spokojnym, lecz stanowczym głosem.

- Czyżby? Raczej w to wątpię. Czy pan kiedykolwiek tam był, sir? - Ben nie spuścił z tonu, a ostatnie słowo dodał jakby po namyśle.

- Nie byłem, ale docierający stamtąd fetor mówi, czego można się tam spodziewać - odparł sztywno Bernard Thompson. - Poza tym doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jaka przepaść dzieli tę część miasta od tej po przeciwnej stronie, choć niewykluczone, że pan mi nie uwierzy. Mogę nawet powiedzieć, że z pewnego punktu widzenia jestem tym zatroskany tak samo jak pan Engels. Ale teraz, kiedy zostałem współwłaścicielem fabryki, zrobię wszystko co w mojej mocy, by w miarę możliwości poprawić sytuację robotników. - Odwrócił się do Millie, która zwróciła uwagę, że poczerwieniał. - Niedawno zmarł pan Crane-Boulder senior, mój ojciec chrzestny. Okazał się tak szczodry, że uczynił mnie współwłaścicielem swojej fabryki. Drugim został jego syn. Tak więc... - spojrzał na Bena - o ile wcześniej miałem ograniczone pole działania, o tyle teraz liczę na to, że uda mi się wprowadzić w fabryce jakieś pozytywne zmiany, a przynajmniej te, które umożliwia prawo.

Na chwilę zapadła cisza.

- Te, które umożliwia prawo... - Ben nie krył sarkazmu. - Zatem spodziewam się, że gdy uda się panu policzyć dzieci pomiędzy piątym a dziesiątym rokiem życia, które umarły wycieńczone pracą w pańskiej fabryce, od razu pojedzie pan do Londynu i powiadomi o tym pana Disraelego lub pana Gladstone'a. Oczywiście wszyscy teraz są pogrążeni w głębokiej żałobie, skoro od śmierci księcia Alberta ubierają się na czarno, prawda? Nawet ktoś taki jak ja przeczytał w gazecie, że na nogi fortepianów założono czarne pokrowce. A wszystko to z powodu śmierci jednego człowieka, który był taki sam jak wszyscy, tyle że żył w bardziej higienicznych warunkach niż większość społeczeństwa. Któż jednak opłakiwałby nędzarzy grzebanych po kilkunastu w zbiorowych grobach? Po kilkunastu... Albo dzieci, zbyt chore już w wieku dziewięciu lat, by móc

pracować, a więc skazane na życie w przytułkach, z których mogą oglądać tylko cuchnące odprowadzanymi nieczystościami rzeki? Albo...

- Może już wystarczy? - zniecierpliwił się Bernard Thompson.

- Nie. Będę mówił dalej, choć nie potrafię wszystkiego przedstawić tak dobrze jak pan Sponge, który ostatnio uczy w szkole prowadzonej przez metodystów. Jest tak samo wykształcony jak pan, jeśli nie lepiej, a równocześnie zna z własnego doświadczenia nie tylko życie klasy średniej, lecz także biedoty. Pochodzi z pana sfery, jednak przez jakiś czas mieszkał w The Courts, chcąc zaznać „komfortu”, w jakim żyją tam ludzie.

- Ben! - krzyknęła Millie.

- Słucham? - Uniósł brwi, udając zaskoczenie. - Chcesz, żebyśmy umilkł? Ty, która doskonale wiesz, dlaczego jestem taki krytyczny? Pamiętasz przecież, co pan Sponge powiedział nam na jednej z lekcji? Jeśli człowiek zaczyna naprawdę robić użytek z rozumu, to już nie ma chwili spokoju. Kłębiące się w głowie myśli są jak robaki zamknięte w skorupie orzecha, które starają się wydostać na zewnątrz. A ujmując rzecz inaczej, można powiedzieć, że zaatakowane przez insekty dziecko nie wzbudzi współczucia, jeśli nie zacznie krzyczeć. Myśli są w pewnym sensie tak samo uciążliwe i trzeba się od nich uwalniać.

- Panie Smith, na podstawie tego, co pan powiedział, można sądzić, że ów instruktor polityczny nie zdołał jeszcze panu uświadomić, iż niewielka wiedza przynosi więcej szkody niż pożytku. A teraz pozwól pan, że pana pożegnaj. - Skinął głową i zwrócił się do Millie łagodniejszym tonem: - Czy mogłabyś wyświadczyć mi tę grzeczność i odprowadzić mnie do bramy?

Millie nie odpowiedziała słowem na tę koturnową uprzejmość, lecz w milczeniu podniosła się z kanapy. Zmierzając do wyjścia, spojrzała na Bena z ostentacyjną odrazą i otworzyła drzwi Bernardowi Thompsonowi.

- Tak mi przykro. Czuję się w obowiązku... przeprosić za jego zachowanie - odezwała się dopiero wtedy, gdy dotarli do bramy.

Nie odrywała oczu od zardzewiałych pretów.

- Ależ nie ma takiej potrzeby. Może cię to zdziwi, ale ja rozumiem, jak ten... - Bernard Thompson przerwał, bo w ostatniej chwili postanowił unikać określenia „mężczyzna”. - Rozumiem, jak on się czuje. Rozumiem to bardzo dobrze... Spójrz na mnie.

Millie wolno odwróciła głowę i spełniła jego prośbę. Po raz kolejny pomyślała, że nie jest wysoki i że jego oczy znajdują się niemal na poziomie jej oczu. Miał wyraz twarzy, który już wcześniej przyprawiał ją o ucisk w gardle, ucisk dojmujący jak ból.

- Bardzo żałuję, że nie będzie mnie tu w dniu twoich urodzin. Niestety, obowiązki zmuszają mnie do wyjazdu do Londynu. Muszę tam wziąć udział w tylu spotkaniach, że pewnie zajmie mi to jakieś trzy tygodnie. Dotychczas, ilekroć zjawiałem się tam w sprawach służbowych, zawsze uczestniczyłem również w życiu towarzyskim. Ale teraz, jak sarkastycznie ujął to nasz przyjaciel... - Bernard Thompson spojrział w stronę domu - Londyn pogrążony jest w żałobie i potrwa to przez jakiś czas, bo królowa Wiktoria strasznie rozpacza po śmierci księcia Alberta. Tak czy inaczej, gdy tylko wrócę do Manchesteru, zjawię się tu i poproszę panią Winkowski, by pozwoliła mi zaprosić cię do cioci Chrissie. Jestem pewny, że polubisz tę starszą damę, mimo iż jest nieco przewrażliwiona. Myślę też, że może ci przypaść do gustu sam dom. Pojedziesz tam ze mną, jeśli pani Winkowski się zgodzi?

- Tak, pojedę - odparła z całą swoją bezpośredniością. Ujęła go taka prostota zachowania, zwłaszcza gdy porównał ją z krygowaniem się kobiet z jego sfery. Gdyby którejś z nich złożył taką propozycję, najpierw uśmiechałyby się kokieteryjnie i wahała, a w końcu z zawstydzeniem stwierdziłaby lub tylko dała do zrozumienia, że propozycja jest dwuznaczna czy wręcz nieprzyzwoita. Natomiast ta dziewczyna udzieliła odpowiedzi zgodnej z jej życzeniem. Nie było w jej zachowaniu cienia fałszu i frywolności i emanowało z niej coś, czego nie dawało się określić słowami, podobnie jak radości czy innego uczucia. Bernard Thompson pragnął trzymać Millie Forester w ramionach, pragnął tego od dnia, w którym niósł ją z rezydencji Crane'ow-Boulderów do domu Quintonów.

William Quinton też poznał się na klasie tej dziewczyny. Gdy Bernard Thompson o tym pomyślał, przypomniał sobie, co powiedział mu zarządca podczas ich ostatniej rozmowy. Otóż Raymond Crane-Boulder pytał Williama Quintona, czy wie coś na temat losów jasnowłosej dziewczyny i czy zna jej adres. Zarządca skłamał, że Millie Forester, w czasach gdy zajmowała się jego dziećmi, mieszkała w odpychającej dzielnicy The Courts, lecz słyszał, że wyprowadziła się stamtąd, choć nie wie dokąd. William Quinton był mądrym człowiekiem. Mądry był również niedawno zmarły senior rodu Crane'ów-Boulderów. W testamencie przekazał zarządcy na własność mały dworek wraz z akrem ziemi, bo wiedział, że jeśli tego nie zrobi, to Raymond pozbędzie się Williama, który nie należał do służalczych pracowników.

Millie otworzyła bramę.

Bernard Thompson wyciągnął do dziewczyny rękę.

- Gdy spotkamy się następnym razem, będziesz już pełnoletnia, a w każdym razie zakończysz pewien etap życia - powiedział, ściskając jej dłoń.  
- Do widzenia, moja droga.

Jego głos przepełniało uczucie, ale Millie zupełnie na to nie zareagowała. Przez chwilę w milczeniu odprowadzała go wzrokiem - dżentelmena w nieskazitelnym szarym surducie i w cylindrze, trzymającego w ręku laskę o srebrnej gałce. Powiedział, że zjawi się tu, kiedy Millie osiągnie pełnoletność.

Nie czekała, aż postać Bernarda Thompsona rozplynie się w mroku, tylko gniewnym krokiem ruszyła do domu.

Do kuchni wróciła już Aggie, lecz Millie nie zwróciła na nią uwagi, tylko od razu natarła na Bena.

- Gdyby nie to, że mieszkamy pod jednym dachem, nie odezwałabym się do ciebie do końca życia! Zachowałeś się okropnie, wręcz skandalicznie! Absolutnie nie musiałeś wygłaszać tych swoich teorii, bo on wie na temat biednych w tym kraju dużo więcej niż ty i tego, co może dla nich zrobić, nie da się w ogóle porównać z tym, co ty mógłbyś zrobić!

- Skończyłaś?

- Tak, ale w każdej chwili jestem gotowa coś do tego dodać.

- To dlaczego nie powiesz od razu? Cały zamieniam się w słuch. Ja jednak, w przeciwieństwie do ciebie, jeszcze nie skończyłem. Uważam, że nie jest to dobry człowiek, tak samo jak każdy inny z jego sfery. To znaczy oni są dobrzy tylko dla swoich, lecz w żadnym wypadku nie dla takich ludzi jak my, a zwłaszcza nie dla młodych dziewcząt z naszej klasy, które czarują uśmiechami i wymyślną rozmową zawracając im w głowach, bo uważają że one nie mają pojęcia o życiu... - podniósł głos - skoro mieszkają w śmierdzących dziurach, gdzie niczego nie mogą się nauczyć! Bo on tak właśnie odbiera to miejsce, prawda? Jako śmierdzącą dziurę. - Widząc, że Aggie zamierza coś powiedzieć, krzyknął: - Nie odzywaj się! Zamierzam wyrzucić z siebie wszystko i zrobię to! - Wycelował w nią palec wskazujący. - Masz w stosunku do Millie wielkie plany, prawda? Spodziewasz się, że pewnego dnia ten mężczyzna przyjdzie do ciebie i powie: „Pani Winkowski, chciałbym panią prosić o rękę wychowanki... Tak, zamierzam się z nią ożenić, a nie po prostu zaprowadzić ją w krzaki”? Więc bądź pewna, że on nigdy się nie oświadczy!

- Przestań i natychmiast stąd wyjdź, zanim czymś w ciebie rzucę! - wrzasnęła Aggie. - Jeszcze pożałujesz, oj, pożałujesz takiego zachowania!

Ben pociągnął nerwowo za krawat i kilka razy poruszył bezgłośnie ustami, jakby nie mógł mówić.

- Być może - wydusił w końcu z siebie. - Ale ty i ona pożałujecie swojej naiwności jeszcze bardziej. To pewne. Kiedyś wspomnicie moje słowa.

Odrzucił się i prowokacyjnie wolno wyszedł z pokoju. Zapłakana Millie ruszyła ku Aggie chwiejnym krokiem i łkając, przytuliła się do niej.

- No już dobrze... dobrze - uspokajała ją opiekunka, głaszcząc po głowie.  
- Co on może wiedzieć o tym człowieku? Zachowuje się jak świnia, która o niczym nie ma pojęcia. - Delikatnie odsunęła Millie od siebie i spojrzała w jej zapłakane oczy. - Czy pan Thompson mówi ci jakieś niestosowne rzeczy? No wiesz...

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- On... on nie jest taki - wyjąkała. - Ben absolutnie się myli. Pan Thompson to dżentelmen, człowiek życzliwy i...

- Lubisz go? To znaczy, czy czujesz do niego coś więcej niż tylko sympatię?

Millie spuściła głowę.

- Tak, pani Aggie, lubię go... więcej niż lubię - wymamrotała.

- Skoro tak, to trzeba przypilnować sprawy. Ale nie miej mu za złe takiego zachowania, to znaczy Benowi, bo on nie potrafi nad sobą zapanować. Jest o ciebie zazdrosny.

Millie przestała ocierać łzy rąbkiem białego fartucha i zdumiona spojrzała na Aggie.

- Ben? Zazdrosny o mnie?

- Oczywiście. Czuje się przecież mężczyzną, nawet jeśli ma krótkie nogi. Mnie możesz wierzyć.

- Ale praktycznie rzecz biorąc, on mnie wychował i traktował jak... brat. Oboje mnie wychowaliście, pani i on.

Aggie roześmiała się.

- Zapamiętaj sobie, dziewczyno, że żaden mężczyzna nie będzie cię już traktował jak brat. Szkoda, że w naszej sypialni dawno nie ma lustra, od kiedy to, które tam było, zostało rozbite. Widzę, że czym prędzej muszę kupić nowe, byś mogła cała się w nim przejrzeć.

- Och, pani Aggie... Życie nie jest łatwe, prawda?

- Oj prawda. Ale i tak masz szczęście, że w pełni uświadomiłaś to sobie dopiero teraz. Większość ludzi, a zwłaszcza tacy jak mieszkańcy The Courts, przekonuje się o tym, zanim jeszcze zaczną chodzić.

Millie nic na to nie odrzekła, lecz zamyślona usiadła na kanapie. W gruncie rzeczy pani Winkowski powiedziała teraz to samo, co wcześniej Ben, tyle że zrobiła to spokojnie... Powiedziała także, że Ben jest o nią,

Millie Forester, zazdrosny... Co za głupota! I okazał to wobec innego mężczyzny. Ale skoro tak, to musiał uznać, że...

Zerwała się z kanapy.

- Pójdę się przebrać.

Gdy w pośpiechu opuściła kuchnię, Aggie sięgnęła po stojącą na polce butelkę dzinu i nalała sobie do kubka dobrą miarkę, po czym usiadła przy kominku.

- Ależ oczywiście, że się przebierz, moja śliczna - powiedziała do siebie gospodyni, pociągnąwszy łyk.

RS



### ROZDZIAŁ 3

Wrogość, jaka zapanowała pomiędzy Millie i Benem, skończyła się po trzech dniach od wizyty Bernarda Thompsona, gdy w domu Aggie zjawił się inny, zupełnie nieoczekiwany gość. Od tego momentu więź łącząca oboje wychowanków pani Winkowski wręcz się umocniła.

Był wtorek, więc mieszkańcy The Courts mieli mało pieniędzy, a w związku z tym przed długim stołem z wyrobami kulinarnymi Millie stało zaledwie kilka osób, wśród nich zaś dwoje dzieci, które mogły sobie pozwolić tylko na porcję grochówki za pół pensa. Gdy Millie nałożyła na każdy z podanych jej talerzy solidną chochlę zupy, brudne i obdarte stworzenia nie odeszły, lecz wpatrywały się w nią w napięciu. Wówczas uśmiechnęła się do nich i sięgnęła po bułkę. Przełamała ją i położyła każdą z dwu połówek na talerzach obok porcji grochówki. Małe urwisy uśmiechnęły się do niej promiennie i wybiegły z podwórza, nawet nie mówiąc do widzenia.

- Mają szczęście - zagadnęła stojąca za nimi w kolejce kobieta. - To skandal. W ich rodzinie pracuje pięć osób, ale większość pieniędzy idzie na dżin. I dwoje dzieci pije razem z matką. Mają po dziesięć lat. Jak tak można?

- Pani Bright, czym mogę służyć?

- Daj mi cztery paszteciki.

- Te po cztery pensy za sztukę?

- Och, nie. We wtorek... - roześmiała się - człowiek jest szczęśliwy, jeśli może kupić te po dwa pensy. I nałóż jeszcze chochlę gulaszu. Nie da się zapomnieć jego smaku. Nigdy nie jadłam lepszego, a jeśli jeszcze znajdzie się w nim łaciny kawałek tłustej baraniny...

Oczywiście Millie zrozumiała aluzję i dopilnowała, by w chochli znalazło się mięso.

Gdy klientka odeszła od stołu, a jej miejsce zajęła następna, dziewczyna spostrzegła stojącego za bramą mężczyznę. Nigdy wcześniej go nie widziała, a znała z widzenia bardzo wielu mieszkańców okolicznych domów, obcy zaś z rzadka się tu pojawiali, mijali bramę domu Aggie i kierowali się do The Courts. Oczywiście było możliwe, że Millie dotychczas jeszcze nie spotkała tego czy innego mieszkańca The Courts, ale ten mężczyzna wyglądał na przybysza z innej części miasta czy kraju. Od tutejszych różnił go ubiór: czarny surdut i spodnie oraz biała koszula i cylinder.

Gdy Millie obsłużyła kolejnych czworo klientów i na podwórzu nie było już nikogo, mężczyzna podszedł do stołu. Teraz zwróciła uwagę, że jest wysoki i bardzo szczupły, a ubranie wisi na nim. Gdy się odezwał, uderzył ją jego głos. Nie był krzykliwy i szorstki, a w wymowie niechlujny, jak ten, którym mówili przedstawiciele klasy pracującej, lecz zarazem nie przypominał głosu dżentelmena.

- Millicent Forester. Tak się nazywasz, prawda?

- Tak.

- Ja też nazywam się Forester, Reginald Forester. Jestem twoim ojcem.

Chochła wysunęła się jej z ręki i upadła na stół.

- To niemożliwe... Mój ojciec nie żyje - zaprzeczyła słowom przybysza, odsunawszy się od stołu.

- Matka ci tak powiedziała, prawda? Ale... ale ja jestem twoim ojcem. Nie spodziewałem się, że znajdę cię tak szybko. Żona pastora z Durham powiedziała mi, że kiedy po raz ostatni o tobie słyszała, mieszkałaś w Manchesterze, ale teraz możesz być właściwie wszędzie. Oczywiście natychmiast cię rozpoznałem, bo wyglądasz jak kopia własnej matki.

- Nie, nie... - zaprzeczyła Millie.

Instynktownie odrzucała tego mężczyznę. Nie chciała, by był jej ojcem. Nie podobała się jej jego twarz. Widniała na niej wąska blizna, która biegła od podbródka ku skroni i niknęła pod rondem kapelusza.

Po chwili wahania Millie odwróciła się i pobiegła w stronę domu.

Na jej widok wyszedł ze stodoły Ben. Zatrzymała się przy nim i chwyciła go za rękę.

- Spójrz na tego mężczyznę... koło bramy - powiedziała bliska płaczu. - Mówi... mówi, że jest... jest moim ojcem. On...

- Co?! - spytał z niedowierzaniem Ben i spojrzał na nieznanego. - Co mówi?

- Że... że jest moim ojcem. Myślałam... myślałam, że mój ojciec nie żyje. Czy możesz do niego podejść i wyjaśnić sprawę?

- Zostań tu. - Ben wolno podszedł do nieznanego i spytał szorstko: - O co chodzi?

- Kim jesteś?

- Powiem ci to, człowieku, jeśli najpierw ty mi powiesz, kim jesteś. Podajesz się za jej ojca, a z tego, co my wiemy, wynika, że on nie żyje.

Mężczyzna oparł dłonie na krawędzi stołu, jakby w poczuciu bezradności, i spuścił głowę.

- To jej matka wolała powiedzieć córce, że nie żyje. A ja tylko wyjechałem na jakiś czas.

- Człowieku, domyślałam się nawet, gdzie byłeś i tak dalej - odparł po chwili Ben.

Mężczyzna błyskawicznie uniósł głowę.

- Skoro tak, to powinieneś również wiedzieć, dlaczego nie zgłosiłem się po nią wcześniej - odparował.

- Zgłasza się pan po nią? Nie ma pan do niej żadnych praw. Ona należy do Aggie, to znaczy do pani Winkowski. - Słyszając głos gospodyni, odwrócił głowę i krzyknął: - Aggie, czy możesz tu podejść?! - Gdy przyczłapała do bramy, powiedział: - Jest problem do rozwiązania. Ten jegomość podaje się za ojca Millie i chce ją stąd zabrać. Co ty na to?

Aggie spoglądała na mężczyznę, jakby od razu dostrzegła w jego szczupłej twarzy podobieństwo do twarzy Millie. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, jakby od początku liczyła się z tym, że kiedyś on się tu zjawi.

- Wejźmy do środka - zaproponowała spokojnie i w pośpiechu ruszyła do domu, by przygotować Millie, która stała przed arkadą wyraźnie zbita z tropu. Wzięła ją za rękę i powiedziała uspokajająco: - Chodź i nie martw się. Zbadamy sprawę.

- Ale pani Aggie, on powiedział... powiedział, że...

- I chyba to prawda, że jest twoim ojcem, więc postaraj się zapanować nad sobą.

Mężczyzna rozglądał się po kuchni-jadalni-salonie z takim samym zdumieniem jak wcześniej Bernard Thompson.

- Proszę spocząć - przerwała milczenie Aggie.

Gdy usiadł na ławie, skierował wzrok na Millie, która stanęła pod oknem, jakby chciała być jak najdalej od tego mężczyzny.

- Zdaję... zdaję sobie sprawę, że wiadomość, iż żyję, mogła cię zaszokować, ale... to nie z mojej winy przez tyle lat nie znałaś prawdy. Stało się tak wyłącznie z jej winy, bo od razu powinna ci powiedzieć, co się wydarzyło. Dowiedziałem się wczoraj, że targnęła się na swoje życie. Wcale nie jestem tym zaskoczony... To nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

- Skinął głową patrząc na Aggie. - Jej matka zawsze miała bardzo słabe nerwy. - Roześmiał się. - W pewnym momencie oboje mieliśmy. - Poruszył ustami. - Czy mógłbym prosić o coś do picia?

- Chce pan herbatę czy piwo? - spytała Aggie.

- Poproszę o piwo. O tak, chętnie napiłbym się piwa. Aggie skinęła na Bena.

Podszedł do kredensu i wyjął butelkę piwa oraz kubek, po czym postawił je na ławie obok mężczyzny, nie siląc się na uprzejmość.

- Dziękuję. - Ojciec Millie spojrział z zaskoczeniem na tego dziwnie wyglądającego młodego człowieka.

Napełnił kubek piwem i wypił je duszkiem, po czym wyciągnął z kieszeni surduta chusteczkę i wytarł usta. Ta chusteczka nie pasowała do człowieka o jego wyglądzie. Wydawałoby się bardziej naturalne, gdyby wytarł usta dłonią.

Odstawił pustą butelkę i kubek na kominek, po czym zwrócił się do Millie.

- Podejź do mnie. Nie zjem cię. Chyba nadszedł czas, żebyśmy się lepiej poznali, prawda?

Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

- Nie jestem tego pewna. Przez tyle lat byłam przekonana, że mój ojciec nie żyje. Dlaczego upłynęło tyle czasu, zanim się po mnie zgłosił? To chciałabym najpierw wiedzieć - odparła ostrym tonem, co sprawiło, że Reginald Forester stał się sztywny.

- Oczywiście, że musi to zostać wyjaśnione. Wyjechałem na wiele lat - skłamał.

- Siedział w więzieniu - poinformowała obojętnym tonem Aggie.

Reginald Forester uniósł się na ławie, jakby chciał wstać, po czym z powrotem opadł na siedzenie.

- Rzeczywiście siedziałem w więzieniu, ale jestem niewinny. Zostałem napadnięty, więc się broniłem. Omal nie zostałem zabity. - Odwrócił się do Millie. - Spójrz na moją twarz! Ta blizna to najlepszy dowód. - Dotknął szramy na policzku. - Walczyłem w obronie twojej matki. Za to, co zrobiłem, można zostać powieszonym, ale sąd uznał moje argumenty i skazał mnie na karę więzienia.

- Czyli tamten mężczyzna stracił życie? - domagała się potwierdzenia Aggie.

- Tak. Umarł po jakimś czasie od... chyba po tygodniu, ale ja też o mało nie umarłem. Mimo to skazali mnie na dwanaście lat więzienia. Mój Boże! - Zazgrzytał zębami i spuścił oczy. Przez chwilę błędził wzrokiem po podłodze, jakby spodziewał się zobaczyć na niej jakieś robactwo, po czym nagle uniósł głowę i dodał: - Nieco skrócili mi karę za dobre sprawowanie... Nie mogłem się doczekać dnia, w którym wypuszczą mnie na wolność i znowu będę mógł cię zobaczyć. - Skinął głową do Millie. - Ale chyba nie zostałem serdecznie powitany, prawda?

- A czego pan się spodziewał? - Aggie podeszła do niego.

- Moja córka... mogłaby przynajmniej zachowywać się wobec mnie uprzejmie i wysłuchać moich wyjaśnień na temat tego, co się wydarzyło.

Chcę, by pani wiedziała, że zanim trafiłem do więzienia, byłem przyzwoitym człowiekiem. - Nerwowo położył dłoń na kolanie. - Miałem dobrą pracę i potrafiłem zapewnić córce właściwe wychowanie. A skoro rozmawiamy tak otwarcie... - Zerknął na Bena. - Mam do niej prawo. Jest moją córką i...

- Niech pan przestanie! - przerwała mu Aggie. - Musi pan wybić to sobie z głowy. Najlepiej będzie, jeśli od razu wszystko panu wyjaśnię. Otóż stracił pan do niej prawo, boja dawno temu podpisałam zobowiązanie, że będę się nią zajmowała. Od tego czasu Millie pozostaje pod moją kuratelą. Wszystko zostało przeprowadzone legalnie, w obecności świadka reprezentującego majestat prawa, od wielu lat sierżanta policji, który zarazem jest moim przyjacielem.

- O mój Boże! - Reginald Forester zerwał się z ławy. - Tylko proszę mi nie mówić, że przeszedłem z jednego więzienia do drugiego! Cholerni policjanci! - Wzburzony potrząsał głową. - Mam się stosować do ich ustaleń, jak do strasznych rozkazów przeklętych więziennych strażników. - Chwycił się za gardło, jakby nie mógł oddychać, po czym odwrócił się do Millie i oznajmił spokojniejszym tonem: - Dziewczyno, ja tylko chcę cię... widywać i rozmawiać z tobą. Sprawę formalnej opieki nad tobą możemy rozstrzygnąć później. Preede wszystkim jesteś moją córką. Wychowywałem cię przez pięć lat i pracowałem, żeby ci zapewnić jak najlepsze warunki... - Nagle opadł na ławę i ponownie chwycił się za gardło, z trudem wciągając powietrze do płuc.

Aggie, która właśnie usiadła na kanapie, zerwała się na równe nogi.

- Dobrze się pan czuje? Nic panu nie jest? - spytała zaniepokojona.

- Jestem tylko trochę przeziębiony. - Ręce zwisały mu bezładnie, a głowa opadła na piersi.

Przejęta współczuciem gospodyni skinęła na Millie. Dziewczyna wolno podeszła do ławy, ale gdy opiekunka zachęciła ją by usiadła obok ojca, potrząsnęła głową.

- Tak mi przykro, ale... ale to spotkanie stanowi dla mnie wielki szok. Muszę mieć trochę czasu, by się ze wszystkim oswoić. Proszę mnie zrozumieć - powiedziała, patrząc w oczy Reginaldowi Foresterowi.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Rozumiem cię. Może powinienem był w inny sposób zjawić się ponownie w twoim życiu, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Poza tym więzienie pozbawia człowieka subtelnych manier.

Millie pomyślała, że mimo agresywnego tonu ojciec wyraża się w taki sam sposób jak Bernard Thompson. Uznała, że to człowiek obyty i w jakimś

stopniu wykształcony, z którego więzienie uczyniło kogoś gruboskórnego. Gdyby tylko... inaczej wyglądał. Najbardziej odpychała ją ta blizna na twarzy i coś w zachowaniu Reginalda Foreстера, czego nie umiała określić.

- Wszystko będzie dobrze. Poznamy się nawzajem... na pewno nie zajmie nam to zbyt wiele czasu, choć oczywiście wyrażam tylko własną opinię. Muszę... poszukać sobie pracy.

- A co pan robił, zanim pan trafił do więzienia? - zainteresował się Ben. Reginald Forester westchnął i spojrział na niego.

- Najpierw byłem majordomusem w wielkiej rezydencji. To funkcja ciesząca się poważaniem. Z kolei moja żona była tam pokojówką pani domu. A gdy się pobraliśmy, odeszliśmy stamtąd. Zmieniłem pracę. Zostałem dyrektorem... - wciągnął powietrze do płuc - domu towarowego. Tam... doszło do tej awantury. Moja żona była równie piękna jak córka, może więc zrozumiecie mnie, jeśli powiem, że musiałem ją chronić przed zaczepkami mężczyzn.

W tym momencie współczucie wzięło w przypadku Millie górę nad nieufnością. Miała ochotę wziąć tego człowieka za rękę i powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze, bo pani Aggie zgodzi się, by tu zamieszkał, ona zaś, jego córka, zatroszczy się o niego.

- Czy mogłaby pani przenocować mnie tu przez kilka dni, dopóki się jakoś nie urządzę? - zwrócił się do Aggie, jakby odczytując myśli Millie krążące właśnie wokół tej sprawy.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie mamy odpowiedniego pokoju - wykręciła się gospodyni.

Millie otworzyła usta ze zdziwienia. Na piętrze były dwie nie używane sypialnie. A więc pani Aggie absolutnie nie życzyła sobie, by Reginald Forester tu zamieszkał. Millie, wbrew współczuciu dla niego, odczuła ulgę.

Spojrzał na Aggie i Bena, po czym wstał z ławy.

- Skoro tak, to muszę się rozejrzeć za jakimś noclegiem, prawda? - odezwał się jęklwym głosem. Widząc, że ten ton nie zrobił na nikim wrażenia, dodał: - Po tym jak przed tygodniem wyszedłem z więzienia, jeszcze nie stanąłem dobrze na nogi... Mam nadzieję, że to rozumiecie... Ta odrobina pieniędzy, jakie miałem, już się rozeszła. Chciałbym pożyczyć parę szylingów, dopóki nie...

Nikogo te słowa nie zdziwiły.

Aggie podeszła do kredensu i wyjęła z małej szkatułki monetę dwuszylingową.

- Starczy panu na kilka noclegów. - Wręczyła mu metalowy krążek.

Zadowolony spojrzął na monetę, zdjął z krzesła cylinder i włożył go, lekko przekrzywiając rondo na prawą stronę, jakby próbował nieco ukryć bliźnę.

- Do zobaczenia, córko. Oczywiście wkrótce cię odwiedzę, bo musimy porozmawiać, prawda? Trzeba uporządkować wszystkie sprawy.

Ruszył do drzwi, a Ben za nim.

Gdy wyszli z pokoju, Millie ciężko opadła na kanapę i zaczęła walić pięścią w siedzenie.

- Pani Aggie, przez te wszystkie lata ojciec wyglądał w moich marzeniach tak jak dawniej. Miał piękną twarz i nienaganne maniery. Był... był w pewnym sensie dżentelmenem. A mężczyzna, który tu dziś przyszedł, tylko wzrostem przypomina mi tamtego Reginalda Foreстера.

- Dziewczyno, opamiętaj się! Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. To nadal jest twój ojciec, a nie „ten mężczyzna”. Nie wybieramy sobie rodziców, choć bardzo żałuję, że tak się nie dzieje, bo ile ludzi miałoby dzięki temu szczęśliwsze życie. On nie ma nic z ciebie, choć może raczej powinnam powiedzieć, że ty nie masz nic z niego. Masz w sobie tylko cechy matki.

Na te słowa Millie zerwała się z kanapy, jakby poczuła się dotknięta do żywego.

- Ona była ulicznicą! - syknęła. - Tak powiedziała o niej w klasztorze siostra Mary. Wtedy nie wiedziałam, co to znaczy, ale już od dawna wiem. Jestem córką prostytutki i mordercy. Och, pani Aggie... - Wybuchnęła płaczem.

Aggie chwyciła ją za ramiona i zaczęła nią potrząsać.

- Twoja matka nie była prostytutką! Została zmuszona przez okoliczności do robienia czegoś, dzięki czemu mogła cię utrzymać przy życiu. Ale nie wytrzymała tego długo. Nie waż się nią pogardzać. Jeśli nawet masz coś przeciwko ojcu, to matkę zostaw...

Nagle Ben odciągnął ją od Millie.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął. - Chcesz jej zrobić coś złego?! Tylko tego jej potrzeba po spotkaniu z tym mężczyzną.

- Zaczęła histeryzować.

- Trudno się dziwić. - Usiadł obok Millie na ławie, objął ją i oparł jej głowę na swoim ramieniu. - Opanuj się. Wszystko będzie dobrze. Jeśli nie chcesz się z nim widywać, już go więcej nie spotkasz.

- Wspaniała rada! Niesłychana! - skomentowała z ironią Aggie. - Przemądrzałku, wbij sobie do głowy, że to jej ojciec. Ma prawo ją widywać. Nic nie możesz na to poradzić. Ale coś mi mówi, że on tu długo nie zabawi.

Pewnie znowu nabroi i wróci tam, skąd przyszedł. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Millie odsunęła się od Bena.

- Wiem, że zabrzmi to strasznie, ale... ale nie chcę go więcej widzieć. Skoro jest moim ojcem, a tego nie da się podważyć, to dlaczego budzi we mnie taki wstręt? Nie wiem, jednak nie potrafię tego przewyciężyć. Nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek... zdołała go polubić - wyznała, spoglądając bezradnie na Bena i Aggie.

- O Boże, ktoś dzwoni! - krzyknęła gospodyni i zwróciła się do wychowanki: - Pójdę otworzyć i obsłużyć, jeśli to klient, a ty postaraj się uspokoić.

Gdy zniknęła za drzwiami, Ben przez chwilę obserwował Millie, po czym bez słowa ruszył za Aggie.

Dogonił ją na podwórzu i razem podeszli do bramy.

- Kiedy po raz ostatni widziałas się ze swoim przyjacielem... sierżantem? - spytał, nie krępując się obecnością klientki, która wraz z nimi ruszyła do stołu.

- Nie pamiętam dokładnie. Przed kilkoma tygodniami. A dlaczego pytasz?

- Na twoim miejscu udałbym się do niego, bo nie wierzę w to, co powiedział ten mężczyzna: że dostał dwanaście lat za obronę żony przed zaczepiającym ją mężczyzną. Jest obleśny. Wydaje mi się, że to szczwany lis. A ten twój przyjaciel sierżant łatwo mógłby skontaktować się z policją w... Jak się nazywa to miasto?... w Durham, i przedstawić nam prawdziwą wersję wydarzeń. Myślę, że to warte zachodu. Co ty na to?

- Może masz rację. A sierżant Fenwick na pewno pomoże, jeśli tylko będzie mógł. Ale to chyba nie ma specjalnego znaczenia, za co Reginald Forester dostał dwanaście lat... Jakie życie jest dziwne... - W zamyśleniu rozejrzała się po podwórzu i pokiwała głową. - Nigdy nie znalazłam się dalej niż o parę kilometrów od tego domu i nie ściągnęłam na niego żadnych nieszczęść. Same przyszły, ale też nie na mnie spadły. Tak, życie jest dziwne. - Spojrzała na zniecierpliwioną klientkę. - Zaraz cię obsłużę! - Odwróciła się do Bena. - Zaczynanie tego handlu to był błąd. Trzeba się użerać z ludźmi od poniedziałku rano do soboty wieczorem. To nie dla mnie.



## ROZDZIAŁ 4

Reginald Forester nie pojawił się w domu Aggie w ciągu dwóch następnych dni. Gospodyni i jej wychowankowie już zaczęli się zastanawiać nad przyczyną, ale przyszedł w niedzielę. Millie właśnie wybierała się, wraz z zawsze odprowadzającym ją Benem, do szkoły dla dorosłych prowadzonej przez metodystów.

Ojciec wyglądał zupełnie inaczej niż podczas pierwszej wizyty. Miał na sobie nowe, odpowiednich rozmiarów ubranie, a także nowe buty. Był bardziej ożywiony i pogodny niż poprzednim razem.

- Dzień dobry - powitał Millie. - Wychodzisz?

- Uczęszczam... do szkoły niedzielnej.

- Do szkoły niedzielnej? - spytał zaskoczony, ale zaraz dodał: - To się dobrze składa, bo będę mógł cię odprowadzić. Pójdziemy na spacer, jak za dawnych lat w Durham, ponieważ w niedzielę zawsze zabierałem cię na spacer. Przechadzaliśmy się nad rzeką. O tak... - Skinął głową, jakby przywoływał wspomnienia z tamtych szczęśliwych czasów, po czym spojrzał na Aggie i Bena. - Spodziewam się, że u was wszystko w porządku?

- Dziękuję, nie narzekamy - odparła Aggie. - Wydaje mi się, że stanął już pan na nogach.

- Poprzednio powiedziałem, że szukam pracy, i udało mi się ją dostać. Zresztą każdy znajdzie dla siebie zajęcie, jeśli naprawdę mu na tym zależy. Zawsze tak uważałem, a życie wciąż to potwierdza.

Millie była teraz zaskoczona również sposobem, w jaki rozmawiał.

- Cóż to za wspaniała praca, że mógł pan ubrać się tak elegancko? - zainteresowała się Aggie.

- Och, znalazłem sobie zajęcie w hotelu, który jest zarazem jadalnią. - Odwrócił się szybko do Millie, jakby nie chciał rozwijać tego tematu. - W jednej z głównych sal muzycznych miasta odbywa się dziś koncert. Jest bardzo reklamowany. Występują najlepsi artyści. Oczywiście obecnie niewiele o nich wiem, ale zawsze lubiłem chodzić na koncerty. Czy nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną?

- Jak przed chwilą pan usłyszał, ona spieszy się do szkoły. Nie jest w stanie pogodzić tych obowiązków z pójściem na koncert. Poza tym wieczory spędza w domu - odpowiedziała mu Aggie, nie dopuściwszy Millie do głosu.

- Na tyle, na ile zdążyłem się zorientować, ona prawie stąd nie wychodzi, a wkrótce skończy szesnaście lat. Nie może pani przykuć jej do tego miejsca

na całe życie. To moja córka. Powinna być na mieście, żeby mogła poznawać ludzi - odpowiedział ostro i zaczepnie, jakby nagle zniknął ugrzeczniony jeszcze przed chwilą mężczyzna.

Gdy skończył, zapadła pełna napięcia cisza. Pierwszy ruszył do ataku Ben.

- „Poznawać ludzi”! Co, u licha, pan przez to rozumie? I kto panu nagadał, jeśli wolno spytać, że Millie jest przykuta do tego miejsca? To temu miejscu zawdzięcza ochronę przed takimi osobnikami jak... - Przełknął ślinę. Zamierzał powiedzieć: „pan”, ale w ostatniej chwili dodał: - Przed różnymi mętami społecznymi. Wcale nie gnieżdżą się tylko w tej dzielnicy. „Poznawać ludzi”? Utracił pan prawa ojcowskie w stosunku do Millie. Przypominam, że formalnie nie jest pan jej opiekunem. Od lat troszczy się o nią pani Winkowski - zakończył wzburzony.

Millie zwróciła uwagę, że Ben użył określenia „formalnie”. Opanowana przez sprzeczne emocje, wśród których był także lęk, odczuła nieoczekiwaną dumę, że Ben nauczył się czegoś w szkole wieczorowej i że wiedza, jaką zdobył, czytając książki, nie wyleciała mu z głowy.

- Posłuchajcie, co mam do powiedzenia, a zwłaszcza pan - odezwała się. Nie potrafiła nazwać Reginalda Foreстера ojcem. - Nie jestem zainteresowana poznawaniem ludzi i nikt w tym domu nie ogranicza moich swobód. Miałam szczęście, że znalazłam się pod opieką pani Winkowski. A pan okazał się na tyle nieodpowiedzialnym człowiekiem, że zrobił pan coś, za co zamknięto pana w więzieniu. Jakoś nie mogę uwierzyć, że leżało panu na sercu dobro żony i córki, choć utrzymuje pan, że to z powodu mojej matki dopuścił się występku. Bardzo dobrze ją pamiętam. Miała łagodne usposobienie i przepełniały ją najlepsze uczucia w stosunku do ludzi. Nie chciałyby, kierując się pańskim dobrem, by pan, broniąc jej, posunął się do ostateczności - Millie wygłosiła to z taką elokwencją jakby też chciała się popisać, że chodziła i nadal chodzi do szkoły.

Gdy skończyła, uświadomiła sobie, że ostatnia z wypowiedzianych myśli nie brzmi przekonująco, bo matka mogła nie mieć zdania na temat tego, co powinien zrobić w jej obronie mąż.

- Proszę, proszę! Zostałem przywołany do porządku. Mój Boże! Po tych wszystkich latach spędzonych w cuchnącej celi, gdzie liczyłem dni, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy wyjdę na wolność i na powrót połączę się z moją rodziną. Tak, myślałem tam o tym przez cały czas i co mnie spotkało? - Wskazał na Millie oskarżycielskim gestem. - Nie powiedziałaś do mnie żadnego ciepłego słowa i nie okazałaś mi odrobiny współczucia z powodu tego, co przeszedłem. Pod względem charakteru ani trochę nie

jestes podobna do swojej matki. Absolutnie nie. Zachowujesz się nie jak córka, lecz jak harda smarkula.

- Nie życzę sobie u siebie w domu takiego języka - zaprotestowała Aggie. - Niech pan wraca do swoich spraw. A jeśli zamierza pan jeszcze nas odwiedzić, proszę być zupełnie trzeźwym, choć wolałabym już nigdy więcej pana nie oglądać.

- Och, będzie mnie pani oglądała, i to wkrótce. Zamierzam wytoczyć proces. W ciągu ostatniego tygodnia nie marnowałem czasu. Rozmawiałem z kimś, kto zna się na takich sprawach. Poradził mi, żebym wniósł sprawę do sądu, to odzyskam prawa ojcowskie i będę je miał do czasu ukończenia przez córkę dwudziestu jeden lat.

- Wynocha stąd! - ryknął Ben, podchodząc do niego. Jego groźna poza sprawiła, że Reginald Forester cofnął się.

- A jeśli nie wyjdę, to co? - spytał Bena z drwiną. Był przecież taki wysoki.

- To nawet pan się nie spostrzeże, jak wyróżnie pan o podłogę, ale to tylko początek. Niech pan wybiera.

Ojciec odwrócił się do Millie.

- W więzieniu dużo myślałem o moim spotkaniu z rodziną i różnie je sobie wyobrażałem, ale powitanie, jakie mi zgotowałaś, nigdy nie przysłoby mi do głowy. Ten typ - z odrazą wskazał na Bena palcem - kazał mi wybierać: albo stąd wyjdę, albo mnie pobije. Tak zachowywali się policjanci w Durham. Mówili: „Jak chcesz, żeby ci przyłożyć? Dyskretnie czy na oczach innych?” Do widzenia, córko. Jeszcze się spotkamy, i to wkrótce.

Gdy wyszedł, Millie i Aggie, jak na komendę, usiadły na ławie.

Gospodyni oddychała ciężko i nerwowo przyciskała rękę do boku.

- Ten człowiek wyprowadza mnie z równowagi - odezwała się po chwili. - Nikt jeszcze nie załazł mi tak za skórę. - Poklepała Millie po ręce. - Ale nie martw się, moje dziecko. Jeśli nie chcesz, nie musisz go widywać. A nie chcesz, prawda?

- Nie chcę, nie chcę, pani Aggie... Będę szczęśliwa, jeśli już nigdy go nie spotkam. I to jest... mój ojciec. - Spojrzała na Bena. - Nie mogę w to uwierzyć. Wmawiam sobie, że nim nie jest, ale przecież wiem, że jest. Czuję... - wzdrygnęła się - taki wstyd.

- Ty nie masz najmniejszego powodu do wstydu. A zmieniając temat... Jeśli nie chcesz stracić połowy pierwszej lekcji, to lepiej już chodźmy - odezwał się trzeźwo Ben.

- Jakoś straciłam ochotę.

- To cię nie usprawiedliwia. - Aggie zmusiła ją, by wstała z ławy. - Ta szkoła to w ciągu tygodnia jedyne urozmaicenie twojego życia i lubisz tam chodzić. No już, zbieraj się. A Ben, kiedy już odprowadzi cię na miejsce, wyładuje gdzieś swoją coniedzielną złość, zaglądając tu i tam. - Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. - Już was tu nie ma. Chcę mieć chwilę spokoju, bo bardzo mi go brakuje w zwykły dzień.

- Strasznie mi ciebie żal... - powiedział z ironią Ben i włożył wiszącą na oparciu krzesła czapkę, a następnie płaszcz. Gdy go zapiął, uśmiechnął się szeroko do Aggie. Najwyraźniej starał się rozładować powstałe w związku z wizytą Reginalda Foreстера napięcie, bo dodał: - Zamiast trzymać na oparciu krzesła te swoje tłuste nogi, mogłabyś zaaplikować im trochę ruchu i wybrać się do niedzielnej szkoły. To szkoła dla dorosłych, a ty jesteś bardzo dorosła. Jeszcze zdołałabyś się czegoś nauczyć, a inni też mogliby się co nieco od ciebie dowiedzieć. Co ty na to?

W odpowiedzi sięgnęła po stojący na półce obok kominka blaszany talerz i rzuciła nim w Bena. Ben schwytał talerz w locie.

- Nigdy nie potrafiłaś trafić do celu - odciął się i położył talerz na stole, po czym zniknął wraz z Millie za drzwiami.

Millie miała metr sześćdziesiąt wzrostu, ale nie wyglądała na dużo wyższą od Bena, gdyż nosił on długi płaszcz, który go wysmukłał i optycznie dodawał mu kilka centymetrów. Dzięki temu Ben wyglądał jak typowy niski mężczyzna.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

- Jak myślisz, do czego to wszystko doprowadzi? Co się ze mną stanie? - odezwała się w końcu Millie, nie wytrzymując napięcia.

- Mogłbym to wiedzieć chyba tylko od samego Boga. Ale jestem w stanie zapewnić cię co do jednego: jeśli cokolwiek będzie zależało ode mnie, to włos ci z głowy nie spadnie. Gdyby twój pozał się Boże ojciec spróbował jakiejś swojej sztuczki, to znajdzie się z powrotem w więzieniu.

- Och, Ben, nie opowiadaj takich rzeczy. To straszne trafić do więzienia.

- Z pewnością jest to straszne dla kogoś, kto znalazł się tam na podstawie fałszywego oskarżenia. Jednak dla morderców nie mam współczucia, a wszystko na to wskazuje, że twój ojciec zabił tego mężczyznę. Nie wiemy, jak naprawdę rzeczy się miały, bo znamy tylko jego wersję zdarzeń. Ale Aggie poprosiła już swojego drogiego przyjaciela, by zasięgnął języka. - Ben uśmiechnął się szeroko i dodał: - Nie czuję do Fenwicka antypatii, tylko denerwują mnie jego poglądy. Tak czy inaczej obiecał, że się dowie. Mam więc nadzieję, że pewnego dnia poznamy całą prawdę.

- Może byś wszedł ze mną do klasy? - zachęciła go, gdy dotarli do budynku, w którym mieściła się szkoła niedzielna. - Jest tu tak samo jak w szkole wieczorowej, tyle że oprócz zwykłych lekcji odbywa się nauka śpiewu pieśni religijnych.

- Zatem mój udział w tym chórze wszystko by zepsuł, skoro mam głos jak derkacz. Wejdz sama. Ja muszę gdzieś wyładować swój coniedzielny napad złego humoru, a potem wrócę tu po ciebie. Miło spędź czas. A gdy będziesz miała okazję zadać pytanie, zwróć się do nauczyciela z prośbą o wyjaśnienie, co stało się z pozostałymi jabłkami w rajcu. Nie znoszę myśli, że po prostu zgniły.

Millie roześmiała się i lekko go odepchnęła.

Gdy zniknęła w budynku szkoły, ruszył na stare miasto.

Wrócili do domu około piątej. Aggie podała obfity podwieczorek. Kiedy skończyli jeść i posprzątaali ze stołu, usiedli koło kominka i rozmawiali. Działo się tak od lat. Zanim zaczęli handlować wyrobami kulinarnymi Millie, rozprawiali o handlu używanymi ubraniami i metalowym złomem, a Aggie i Ben zastanawiali się, czy ona nie powinna zająć się wyłącznie tym pierwszym, on zaś tylko tym drugim. Jednak najczęściej rozmawiali o Millie, o jej nauce i przyszłości. A od kiedy wróciła od Quintonów, Ben spędzał niedzielne wieczory w domu. Chodził do szkoły wieczorowej i odwiedzał Annie w zwykłe dni, od jakiegoś czasu bywając u niej rzadziej. Toteż Aggie zdziwiła się, gdy o wpół do siódmej wstał z krzesła.

- Wychodzę na chwilę. Czuję, że zaraz wpadnę w złość. Muszę się przewietrzyć. Gdybym tylko mógł pokreć się na karuzeli - oświadczył zagadkowo.

- Dokąd się wybierasz? - spytała Millie.

- Nie mam żadnych konkretnych planów. Jak powiedziałem, muszę rozładować złość. Chcesz ze mną wyjść?

- Nie - odparła ze śmiechem.

Aggie zostawiła wszelkie domysły dla siebie, nie pytając, w przeciwieństwie do Millie, dokąd Ben się wybiera. Była przekonana, że wbrew temu, co odpowiedział dziewczynie, chodzi o jakieś konkretne miejsce, a wizyta nie służy rozładowaniu rzekomej złości. Znała dobrze Bena Smitha lub Jonesa albo Robinsona i wiedziała, że on nie robi niczego bez określonego celu.

Po jego wyjściu rozmawiała z Millie, a gdy ta o dziewiątej położyła się do łóżka, Aggie przyrzekła jej, że wkrótce do niej dołączy. Jednak nie zrobiła tego, tylko czekała na Bena, pewna, że gdy on wróci z miasta, to nie uda się od razu do swojego pokoju nad stajnią, lecz przyjdzie do kuchni.

Gdy o dziesiątej zapukał do drzwi, w pośpiechu zeszła na dół, by mu otworzyć.

- Czy zostało jeszcze trochę piwa? Strasznie mnie suszy - zaczął, usiadłszy naprzeciwko niej na ławie.

- Przykro mi, ale się skończyło. Jest tylko kapka dżinu.

- Wiesz, co myślę na temat dżinu, ale nalej mi.

- No mów! - popędziła go, gdy wypił.

- Dowiedziałem się, gdzie pracuje Reginald Forester... W „Reilly's Meat House”.

- W „Reilly's”? To znaczy...

- W jadalni Chudego, gdzie karmi on wszystkich swoich stręczycieli, nierządnicę i pozostały personel. Ludzie mówią, że Wielki Joe jest współwłaścicielem tego miejsca. To raczej pewne, bo on też musi gdzieś żywić swoją bandę.

- Jak się dowiedziałeś?

- Dziś po południu, gdy Millie była w szkole, a ja „wpadłem w złość”, poszedłem porozmawiać z Fredem Millerem... on handluje na targu rybami, oraz z Randym Croftem, który sprzedaje warzywa. To porządni goście. Opisałem im, jak wygląda Reginald Forester, i spytałem, czy przypadkiem nie szukał na targu pracy. Fred nie mógł go sobie przypomnieć, za to Randy od razu skojarzył, o kogo chodzi. Powiedział: „Pewnie pracuje w «Reilly's», bo wczoraj kręcił się tu ubrany tak jak ludzie Boswella. Chudy, trzeba mu oddać sprawiedliwość, przyzwoicie odziewa swoją bandę, zarówno mężczyźni, jak i kobiety”. Roześmialiśmy się. I rzeczywiście okazało się, że ojciec Millie pracuje w „Reilly's”...

- Przecież nie mogłeś tam wejść? Boswell napuściłby na ciebie tych swoich zbirów.

- Nie musiałem - odparł ze śmiechem Ben. - Przez wielkie okno widać z ulicy bar, choć nie salę jadalną. Słyszałem, że są w niej wyściełane pluszem meble. Tak czy inaczej, wyszła stamtąd jedna z „dam” i od razu zauważyła przystojnego, choć niezbyt wysokiego gościa. Powiedziała: „Dobry wieczór, sir. Bardzo dobrze tu karmią. Czy chciałby pan...” - Ben zachichotał. - Odparłem na to: „Nellie, teraz nie mogę, ale kiedy indziej bardzo chętnie skorzystam z zaproszenia”. Wtedy ona mnie popchnęła i krzyknęła: „Och, ty, Benie Smith lub Jones albo Robinson!” Jak słyszysz, użyła moich wszystkich domniemanych nazwisk. Spytała mnie, co tu robię, więc powiedziałem jej, że interesuje mnie nowy kelner z tej jadalni, który nazywa się Forester. Okazało się, że Nellie go zna i wie o nim co nieco. Powiedziała: „Ben! On twierdzi, że jest ojcem tej drogiej sercu Aggie

łachmaniarki jasnowłosej leśnej nimfy. Wyznał, że przepada za swoim złotkiem. Jest gadatliwy, a im więcej wypije, tym chętniej mówi". Nellie powiedziała mi coś jeszcze. - Ben pokiwał głową. - Otóż Reginald Forester oświadczył Chudemu i jego ludziom, że nie pojawiał się w Manchesterze tak długo, ponieważ pływał na statku i został, wraz z innymi członkami załogi, wysadzony przez korsarzy na bezludnej wyspie. Sądzę, że dlatego dostał pracę. Aggie, uwierzyłabyś w tę historyjkę? W każdym razie ludzie Boswella uwierzyli, a przynajmniej niektórzy, bo na pewno nie Nellie. Wiesz, co powiedziała? „Może to i prawda, że jest ojcem Millie, ale ten odległy dziki ład, na którym jakoby został wysadzony, to bez wątpienia była ciupa. Tylko ktoś, kto przebywał w tym szczególnym miejscu przez długi czas, może być tak upiornie błąd". Gdy spytała mnie o zdanie, odparłem, że podzielam jej podejrzenia.

Poprosiła, żebym się z nią przeszedł, bo jak oświadczyła ze śmiechem, w jej zawodzie nie wolno stać. Wolno tylko chodzić i leżeć... Lubię ją. Naprawdę dobry z niej człowiek. - Ben uśmiechnął się do Aggie. - Wiesz, dokąd mnie zaprowadziła? Aż na Bale Street. Na tej cieszącej się złą sławą ulicy domy są całkiem okazałe. Trzy kolejne na początku Bale należą do

Boswella. W ostatnim mieszkają prostytutki, a wśród nich oczywiście także Nellie. Sześć dziewcząt należy do specjalnej kategorii. Było już ciemno, kiedy tam dotarliśmy, więc nie widziałem wyrazu twarzy Nellie, gdy mi o ruch mówiła. Jednak z tonu jej głosu wywnioskowałem, że nie jest zachwycona tym, co one muszą robić. Powiedziała, że Boswell trzyma je dla ekstra klientów. Nazywa się ich gośćmi lub krewnymi, zjawiają się w którymś z dwóch domów jakoby z kurtuazyjną wizytą, by następnie wewnętrznymi drzwiami przejść do tego ostatniego. Jak skomentowała ze śmiechem Nellie, są sposoby, by bogaci mężczyźni mogli zaspokoić swoje upodobanie do osobliwych rozrywek. - Ben opróżnił kieliszek. - Byłem na tyle bezmyślny, że spytałem ją, dlaczego wciąż jest prostytutką, skoro, pomijając już inne względy, została tyle razy przyłapana przez policję, a przecież policja zatrudnia lekarzy, którzy bez najmniejszych skrupułów sprawdzają, czy prostytutki nie są chore. Aggie, ona ma najwyżej trzydzieści lat. Jednak po tym, co mi powiedziała, zapomniałem języka w gębie. A jej wcale nie było do śmiechu. Powiedziała tak: „Ben, zaczynałam bardzo wcześnie. Nawet nie byłam wtedy jeszcze kobietą. Rozumiesz, co mam na myśli? Po dwudziestu latach w tym zawodzie nie umie się robić nic innego i jest już za późno, by się nauczyć czegoś nowego".

- Dałeś jej coś za te informacje o Foresterze? - spytała rzeczowo Aggie.

- Tak... Dwa i pół szylinga.

- Dwa i pół szylinga?! Jesteś strasznie hojny. To tak jakbyś jej zapłacił za dwie i pół rozmowy.

- Aggie, jesteś okropna. Powinnaś tak samo jak ja być wdzięczna losowi za to, że znamy kogoś, kto należy do tej bandy.

- Też coś! Nie pokładaj w tym żadnych nadziei. Oni nie sypią jeden drugiego, bo każdy wie, że gdyby spróbował, szybko znaleziono by jego zwłoki w kanale. Przypomnij sobie, co się przydarzyło temu chłopakowi, który zeznawał przeciwko Wielkiemu Joe. Ludzie mówili, że się powiesił. Jeśli rzeczywiście tak się stało, to najwidoczniej uznał, że już zapadł na niego wyrok i równie dobrze może go wykonać sam. Więc nie licz na pomoc Nellie Pratt i nie przestawaj myśleć tylko dlatego, że opowiedziała ci tyle o sobie. Mnie szkoda czasu dla takich jak ona, a jeszcze bardziej dla tych, którzy żyją z ich pracy. Ale nie podoba mi się, że Forester pracuje u Boswella, choć bardzo to do niego pasuje. - Wstała z kanapy. - Ciągnie mnie do łóżka. Zwalniam cię już. Nie cierpię niedziel. Są nużące. Cieszę się, że jutro jest poniedziałek. - Gdy otworzyła drzwi na podwórze, spojrzała na Bena, którego sylwetka ledwie majaczyła w nikłym świetle świecy z latarni, zawieszanej na gwoździu na ścianie. - Wyobrażasz sobie tego mężczyznę w roli rodzica wychowującego Millie?

- Pewnie, że sobie nie wyobrażam. Jednak z drugiej strony wiadomo nie od dziś, że z ziarenka zgniłego jabłka może wyrosnąć zdrowe drzewo. Dobranoc, Aggie.

- Dobranoc, chłopcze.

Zaryglowała drzwi, zdjęła z gwoźdźca latarnię i wróciła do kuchni, gdzie przykręciła knot lampy naftowej.

Trzeba jak najszybciej wydać Millie za męża. Na szczęście jest ten młodzieniec, gotowy do ożenku, pomyślała, idąc z wysiłkiem po schodach.



## ROZDZIAŁ 5

W dniu urodzin Millie nie wydarzyło się nic szczególnego. Zaraz rano Aggie wręczyła jej kopertę, w której znajdowały się dwa funty. Było to wystarczająco dużo, by dziewczyna mogła sobie kupić nowy płaszcz i kapelusz. Aggie nawet dręczyły wyrzuty sumienia, że nagle okazała się rozrzutna. Z kolei Ben poszedł po śniadaniu do siebie i wrócił z eleganckim pudełkiem. Gdy podekscytowana Millie otworzyła je, okazało się, że jest w nim piękny szal z jasnoniebieskiego jedwabiu, ozdobiony na brzegach malowanymi kwiatami i wykończony frędzlami.

- Och, Ben! Nigdy nie miałam tak pięknej rzeczy! - wykrzyknęła autentycznie zdumiona, unosząc zwiewny materiał.

- W końcu jest to podarunek dla urodziwej dziewczyny - skomplementował ją Ben.

- Pani Aggie, proszę spojrzeć.

- Widzę, widzę. - Aggie odwróciła się do Bena. - Musiałeś się nieźle nachodzić, żeby coś takiego kupić.

- I z pewnością... dużo zapłacić... - Millie pokręciła głową spontanicznie podbiegła do Bena i uściskawszy go, cmoknęła w usta. Już wcześniej zdarzało się, że go obejmowała, podobnie jak on ją gdy płakała, ale dotychczas nie pocałowała go nawet w policzek.

Porażony takim podziękowaniem, nie potrafił odwzajemnić uścisku i wydobyć z siebie słowa, lecz stał sztywno jak manekin.

- Zachowam ten szal do końca życia i będę go nosiła do późnej starości - zapewniła wciąż podekscytowana.

- Do tego czasu nic z niego nie zostanie - zauważył przytomnie, starając się panować nad uczuciami.

Po tej chwili przyjemności zaczął się normalny, wypełniony pracą dzień. Należało piec i gotować, obsługiwać klientów, piec i gotować... I tak w kółko. A wieczorem nie można było dłużej posiedzieć przy kominku, bo należało się wyspać.

W sobotę, cztery tygodnie po urodzinach Millie, w domu zjawiono się z wizytą kolejno aż trzech mężczyzn i żaden nie facygował się po to, by kupić paszteciki lub bułeczki.

Przed południem przyszedł sierżant Fenwick. Musiał zadzwonić, bo od dawna otwierano tu bramę dopiero o wpół do dwunastej, gdy długi stół z wyrobami kulinarnymi Millie był już zastawiony.

Na podwórze wpuścił go Ben.

- Nic nie wiem o żadnych brylantach, perłach i o diademie - zażartował na widok policjanta, zachowując niewzruszoną twarz.

- Jeśli ty nie wiesz, to znaczy, że nikt nie wie, więc skoro nie możesz odzyskać pamięci, zabiorę cię tam, gdzie jest teraz twoje miejsce, bo musimy odzyskać ten diadem - Fenwick odwzajemnił żart, pręąc się jak służbista.

Roześmiali się po raz pierwszy od czasu, gdy się poznali.

- Gdzie ona jest?

- W stodole.

- Millie też?

- Nie. Millie jak zwykle piecze i gotuje.

- Wszyscy bardzo chwalą jej wyroby - pospieszył z informacją Fenwick, a gdy weszli do stodoły, dodał: - Szkoda, że ona nie ma normalnej piekarni. Świetnie by sobie radziła.

- Kto? - spytała Aggie.

- Pani wychowanka, a kto by inny, pani Winkowski... Gdyby dysponowała odpowiednimi pomocnikami i odpowiednim zapleczem, rozkręciłaby ten interes.

- Ma odpowiednich pomocników. Czyżby pan uważał, że ja i Ben nie jesteśmy odpowiedni? - obruszyła się Aggie.

- Och, gdybym musiał odpowiadać na to pytanie, nie wiedziałbym, od czego zacząć. - Sierżant wzdrygnął się. - Zimno tu jak na mrozie.

- O tak. I to jest nieocenione w tym interesie, bo znakomicie przechowuje się tu żywność... Czy ma pan dla nas jakieś wiadomości?

- Owszem, Aggie, mogę ci przedstawić kilka suchych faktów. Otóż w niektórych sprawach Reginald Forester nie kłamał. Rzeczywiście był majordomusem, a jego żona pokojówką pani domu. Ale wtedy, gdy z rezydencji zniknęła biżuteria, pani Forester jeszcze za niego nie wyszła. - Uśmiechnął się do Bena. - To z pewnością chodzi o ten diadem, na którego temat masz mi coś do powiedzenia.

- O co chodzi? O jaki diadem? - zaczęła się dopytywać Aggie.

- Tak sobie żartujemy, Aggie - odparł Fen wiek. - Twój pomocnik ma wspaniałe poczucie humoru. Nigdy w to nie wątpiłem, ale przekonałem się o tym dopiero dziś, gdy tu wszedłem. Tak czy inaczej, w rezydencji, w której Reginald Forester był majordomusem, zginęła biżuteria. Podejrzanie padło na niego, ale oczywiście do niczego się nie przyznał, a właściciele nie wytoczyli procesu. Pewnie postąpili tak dlatego, że chodziło o syna starego służącego, który właśnie zmarł. Gdy odprawili majordomusa, pokojówka pani domu odeszła wraz nim, bo uwierzyła w jego niewinność. I zaraz

potem się pobrali. Nie miał referencji, więc było mu trudno znaleźć dobrą pracę. Jednak w końcu mu się poszczęściło, bo został nadzorcą w domu towarowym. Zakochał się w jednej z pracownic i wszystko na to wskazuje, że nie był to jego pierwszy romans po ślubie. Mąż tej kobiety był zatrudniony na barce towarowej, kursującej pomiędzy Tyne i Londynem. To trudna trasa i podróż w obie strony trwała od dwóch tygodni do dwóch miesięcy, w zależności od pogody oraz ruchu na rzece. I ten mężczyzna najwidoczniej wrócił do domu niespodziewanie, bo zastał swoją żonę z naszym bohaterem. Blizna na twarzy Reginalda Foreстера świadczy o tym, że zdradzony mąż chciał go zabić. Jednak ojciec Millie okazał się silniejszy, bo zdołał wyrwać mu nóż i zadać kilka ciosów. Mężczyzna zmarł. W sądzie niewierna żona utrzymywała, że

Reginald Forester wszedł za nią do domu i usiłował ją zgwałcić, a wtedy nadszedł jej mąż. - Fenwick uśmiechnął się. - Jak napisał mój informator, było to oczywiście tak naiwne kłamstwo, że nikt w nie nie uwierzył, a już zwłaszcza sąd. Zostało udowodnione, że romans trwał od wielu miesięcy. A ponieważ Reginald Forester działał w obronie własnej, uniknął stryczka i skazano go na dwanaście lat więzienia. No i co ty na to, Aggie?

- Nie jestem zaskoczona. Ani przez chwilę nie wierzyłam w prawdziwość opowiadanej przez niego wersji. Natomiast matka Millie z pewnością była strasznie naiwną kobietą, choć bardziej odpowiada mi zupełnie inne spojrzenie na całą sprawę. Gdyby bowiem nie była naiwna, nie miałabym tu od dziewięciu lat Millie i zostałabym pozbawiona czegoś ważnego.

- Oj tak. To nie tylko urodziwa, ale i dobra dziewczyna.

- Co my mamy począć z tym mężczyzną? Czy możemy mu zakazać przychodzić tutaj? - spytał Ben.

Sierżant potrząsnął głową.

- Nie widzę takiej możliwości. To jej ojciec. Nie zrobił niczego takiego, przynajmniej na razie, za co można by go postawić przed sądem. Ale skoro groził...

- Dokładnie - wszedł mu w słowo Ben. - Oświadczył, że radził się kogoś, zapewne prawnika, w sprawie praw ojcowskich. Jest przekonany, że może je odzyskać na drodze sądowej i sprawować nad Millie opiekę, dopóki dziewczyna nie ukończy dwudziestu jeden lat.

- Czeka go ostra walka w sądzie, a biorąc pod uwagę jego przeszłość, bardzo wątpię w to, by wygrał proces. Na waszym miejscu nie przejmowałbym się tym. Muszę iść... zanim zamarnę tu na śmierć. Na dworze jest cieplej. Dlaczego tu tak zimno?

Aggie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Pewnie z powodu szpar pomiędzy starymi deskami, choć i w dawnych czasach, kiedy przechowywaliśmy w tej stodole siano, też panował tu ziąb. Czy wejdzie pan do domu i napije się czegoś ciepłego?

- Nie, Aggie. Dziękuję. Czas już na mnie. Wpadłem na chwilę, bo chciałaś poznać prawdę o tym mężczyźnie.

- Oj chciałam, choć, jak mówiłam, nie jestem zaskoczona tym, co usłyszałam. Bardzo dziękuję, sierzancie. Jeśli tylko mogłabym czymś się panu odwdziżyć... Fenwick roześmiał się.

- Pani Winkowski, musiałaby pani znowu zaprząć konia do wozu i wyruszyć do miasta. Założę się, że nad tym stołem z grochówką i pasztecikami nie dociera do pani zbyt wiele plotek.

- Oj zaskoczyłabym pana, gdybym zaczęła mówić. To pewne.

- Pewne?

- Absolutnie.

- Skoro tak, to czy nie zechciałaby pani zaskoczyć mnie już teraz? - spytał ze śmiechem.

- Teraz nie mam czasu. - Również się roześmiała. - Ale proszę tu przyjść, gdy kiedyś znajdzie się pan w pobliżu, a wówczas pomogę panu rozwiązać niejedną zagadkę.

Uśmiechnął się do niej z zadowoleniem i pomachał ręką na pożegnanie.

- Ona się w ogóle nie zmienia - skomentował zachowanie Aggie, gdy Ben odprowadził go do bramy.

- Oj tak... Ale to może tylko nas cieszyć. Dziękuję, sierzancie, że pan się fatygował.

- Ben, dobry z ciebie człowiek. Opiekuj się nią... Opiekuj się nimi obiema.

Gdy Fenwick wyszedł za bramę, Ben ruszył do domu w ślad za Aggie, która właśnie zniknęła w drzwiach.

- To przyzwoity gość. Aggie ma rację - powiedział do siebie. - Szkoda, że tak rzadko można spotkać takich ludzi.

Zakończyli sobotnią sprzedaż. Po raz kolejny klienci wykupili wszystko już przed drugą. Aggie, Ben i Millie rozmawiali o tym w kuchni.

- Czy gdybyś miała kogoś do pomocy, byłabyś w stanie upiec wszystkiego dwa razy więcej? - spytała gospodyni.

- Przecież już mówiłam, że to sprawa piekarnika - odparła zniecierpliwiona dziewczyna. - Problem stanowi nie tyle przygotowanie ciasta, ile samo pieczenie, jego nie można przyspieszyć.

- Aggie, ona daje ci w ten sposób do zrozumienia, że potrzebny jest odpowiedni piec - wmieszał się do rozmowy Ben. - Powtórzę to, co już mówiłem: powinnaś wyłożyć pieniądze na nowy.

- Czy mogłabyś wynieść się stąd do diabła i zająć swoimi sprawami? - ofuknęła go.

- Nie. Poza wszystkim innym byłoby tu cieplej... Do dziś myślałem, że ten handel to nie tylko twoja i Millie sprawa - postawił się.

- Czy moglibyście przestać się kłócić? - odezwała się wyraźnie przygaszona Millie.

Ben i Aggie spojrzeli na nią z niepokojem.

- Jest zmęczona - orzekł Ben.

- Powiedz mi lepiej o czymś, czego nie wiem - odburknęła Aggie. - A poza tym z czym błogosławieństwem rozpoczęła ten handel? Na pewno nie z moim. Mnie w zupełności zadowalało to, co było wcześniej.

- Słuchajcie... Jeszcze raz was proszę, przestańcie się kłócić. Nie jestem zmęczona. Cieszę się z tego, co robię. Możemy przecież rozmawiać spokojnie - mitygowała ich Millie.

- Spokojnie? Nie słyszysz dzwonka?! - Ben wymownie wskazał drzwi.

- Wyjdź i powiedz klientom, żeby się wynieśli do wszystkich diabłów. Na bramie jest tabliczka z napisem: „Nieczynne”. Jeśli nawet nie umieją czytać, to i tak wiedzą, co ten napis znaczy, bo go znają - poleciała mu ze złością Aggie. Gdy wyszedł, mruczając coś pod nosem, odwróciła się do siedzącej na ławie Millie i powiedziała łagodnie: - Nie namawiam cię do picia, ale jeśli czujesz się zmęczona, skus się na kapkę dzinu. To postawi cię na nogi. Nalać ci?

- Nie, pani Aggie, dziękuję. Już tyle razy mówiłam, że nie lubię ani dzinu, ani piwa. I nie czuję się zmęczona, tylko nieco znużona.

Tak, to było właściwe słowo. Czowała się znużona monotonią codziennych zajęć i panującym w domu nieporządkiem, bo miała teraz o wiele mniej czasu na sprzątanie. Czowała się znużona nie dającą się zagłuszyć tęsknotą za panem Thompsonem, za Bernardem Thompsonem, za... Bernardem.

Ale nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znużenie ustąpiło, bo do pokoju wszedł właśnie on, poprzedzany przez sztywnego ze złości Bena.

Wstała z ławy, obciągając fartuch i poprawiając włosy, ale Bernard Thompson patrzył na Aggie.

- Dzień dobry, pani Winkowski. Jak się pani miewa? Wydaje mi się, że tyle czasu upłynęło od mojej ostatniej wizyty.

- Dzień dobry. Tak samo jak poprzednim razem, ani lepiej, ani gorzej. Proszę usiąść. - Wskazała na ławę.

- A jak się miewa panna Millie? - Teraz patrzył na nią.

- Myślę, że mogę powiedzieć to samo, co pani Aggie: ani lepiej, ani gorzej. - Millie starała się zachować obojętny ton głosu.

- Jest zmęczona i przepracowana, a wszystko to z jej winy - oświadczyła Aggie. Odwróciła się do Bernarda Thompsona. - Wrócił pan z miasta, to znaczy z Londynu?

- Tak. Niestety różne sprawy zatrzymały mnie tam nieco dłużej, niż planowałem, choć nie tylko tam. W Londynie atmosfera jest bardzo przynębiająca, a ja poza tym musiałem udać się do Sussex, w odwiedziny do przyjaciół. To miała być krótka, dwu- lub trzydniowa wizyta, lecz wydłużyła się do tygodnia. Wie pani, jak to jest, kiedy ludzie się rozgadają i... - wzruszył ramionami - zaczną człowiekowi układać życie, każdemu, tylko nie sobie.

- Czy podać panu coś do picia?

- Nie, dziękuję, ale jest coś, co mogłaby pani dla mnie zrobić. Mam do pani pewną prośbę.

- Do mnie? Zatem proszę mi powiedzieć, co to takiego.

- Otóż... - Spojrzał na nią, następnie na wciąż sztywnego Bena, w końcu zaś na Millie. - Chciałbym, żeby pani zgodziła się, bym pokazał Millie mój nowy nabytek... willę na przedmieściu, którą niedawno kupiłem. To maleńki dom, w którym króluje moja ciotka. Z przyjemnością podejmie pannę Millie podwieczorkiem.

Aggie trąciła łokciem stojącego obok niej Bena, który nagle drgnął, jakby chciał zaprotestować.

- Jeśli tak się sprawa przedstawia, sir, czy mogłabym odmówić? Ale powinna o tym zdecydować nasza mała dama, prawda?

- Aggie spojrzała na wychowanek.

- Oczywiście - podchwycił skwapliwie Bernard Thompson. Millie nakazała sobie nadal udawać obojętność, nie odrywać oczu od tego wspaniałego człowieka i nie kierować ich na Bena, a także nie rzucać się w ramiona pani Aggie, która od pewnego czasu orientowała się w jej uczuciach.

- Panie Thompson, byłoby mi bardzo miło zjeść podwieczorek w towarzystwie pańskiej ciotki - oświadczyła z kamienną twarzą. Udawała, że nie widzi, iż Ben odwraca się na pięcie i wychodzi.

- Powinnam się przebrać. Czy zechciałby pan poczekać?

- Oczywiście. Z pewnością nie będę się nudził w towarzystwie pani Winkowski.

Dziewczyna skłoniła głowę i wyszła z kuchni. Siłą woli zmusiła się, by nie biec z radości. Gdy jednak znalazła się na schodach, nie wytrzymała i popędziła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i oparłszy się o nie, zakryła twarz dłońmi i zacisnęła usta. Po chwili westchnęła z ulgą, pospiesznie ruszając do szafy. Otworzyła ją i przebiegła wzrokiem ubrania. Niemal zerwała z wieszaka ciemnozieloną spódnicę i żakiet, a następnie chwyciła stojące na dnie szafy brązowe buciki z guzikami, po czym podeszła do starej komody, z której wyjęła białą bluzkę. Położyła rzeczy na łóżku, zrzuciła z siebie robocze ubranie, nalała do miednicy wody z dzbanka i umyła twarz. Uznawszy, że nie ma czasu rozpleść warkoczy i zmienić fryzury, upięła je na czubku głowy. Nie chciała jednak ukrywać wszystkich włosów pod kapeluszem, więc zaczesła na czoło grzywkę, a dwa krótkie, luźne pasma na skronie. Gdy już włożyła brązowy płaszcz z weluru, wyjęła z szuflad stołu pęknięte lustro, chusteczkę i rękawiczki, a następnie wzięła z blatu wyszywaną paciorkami torebkę. Przejrzała się uważnie w pękniętym lustrze, jednak nie potrafiła ocenić swojego wyglądu. Zanim wyszła z pokoju, obrzuciła spojrzeniem widoczne pod rozpiętym płaszczem żakiet i spódnicę. Nie była pewna, czy dobrze wszystko dobrała, ale w owej chwili w ogóle się to dla niej nie liczyło.

Gdy na powrót zjawiła się w kuchni, Bernard Thompson wstał z krzesła i dyskretnie obejrzał jej strój.

- To dobrze, że ciepło się ubrałaś, bo wieje nieprzyjemny wiatr. Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, by podejść ze mną do zajazdu, gdzie zostawiłem konia i dwukólkę.

- Oczywiście, że nie. Lubię spacerować.

- O której odwiezie ją pan do domu? - spytała Aggie. Rozległ się dźwięk dzwonka, ale ani Millie, ani Aggie nie zwróciły na to uwagi. Patrzyły na Bernarda Thompsona, który wyjął z kieszeni zegarek.

- Jest dopiero druga. Do willi jedzie się dobre pół godziny, bo to za miastem. Powiedzmy, że z powrotem przywiozę tu pannę Millie po szóstej. Czy odpowiada to pani?

- Do tego czasu już się ściemni, ale wierzę, że Millie będzie przy panu bezpieczna. - Aggie podeszła do wychowanki i powiedziała: - Zapnę ci płaszcz.

Nagle drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł Ben w towarzystwie Reginalda Forestera.

Millie i Aggie zamarły w bezruchu. Nawet gdyby Ben wylał na nie kubek lodowatej wody, nie wywołałoby to większej konsternacji.

Gospodyni jęknęła bezgłośnie. Powtarzała w myślach: O Boże! Nie... Nie w chwili, kiedy sprawy układają się dla Millie tak pomyślnie.

Millie miała ochotę zamknąć oczy, żeby nie musieć patrzeć na ojca. Była wdzięczna losowi przynajmniej za to, że Reginald Forester nie wyglądał na pijanego. Zastanawiała się, co powiedzieć... Czy powinna go przedstawić Bernardowi?

Jednak zanim zdążyła otworzyć usta, przedstawił się sam.

Oczywiście natychmiast zwrócił uwagę, że zarówno ona, jak nie znany mu dżentelmen są gotowi do wyjścia. Już miał powiedzieć: „Wspaniale, wspaniale”, ale ugryzł się w język.

- Widzę, córko, że wychodzisz. Ten dżentelmen będzie ci towarzyszył? - spytał z zadowoleniem.

Bernard spojrział na Millie i na jej ojca.

- Tak, to ja będę miał tę przyjemność - odpowiedział za nią.

- W porządku! W porządku! A dokąd pan ją zabiera?

- To nie jest pański interes - warknęła Aggie, zbliżając się do niego. - Proszę usunąć się z drogi, bo właśnie wychodzą. - Odwróciła się do Bernarda Thompsona. - Chcę oświadczyć, że ten mężczyzna nie jest tu mile widziany. Poza tym...

- To jest mój interes - przerwał jej stanowczym tonem Reginald Forester.

- Dopóki moja córka będzie tu mieszkała, nikt nie może mnie pozbawić prawa przychodzenia tutaj. Już to pani mówiłem. A skoro zjawiłem się tu po to, by wręczyć jej prezent urodzinowy, to nikt mnie przed tym nie powstrzyma.

Wyjął z kieszeni na piersiach maleńkie pudełko, w którym mógł być tylko pierścionek, i przeszedłszy obok Aggie, wyciągnął do Millie rękę.

Przybita jego nieoczekiwaną wizytą, spojrziała kolejno na Aggie, Bernarda i Bena, którego wyrazu twarzy nie potrafiła określić, po czym wzięła spoczywające na dłoni ojca pudełko.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Otwórz - zażądał Reginald Forester.

Niechętnie uniosła wieczko i spojrziała na złoty pierścionek wysadzany trzema kamieniami szlachetnymi. Środkowy był czerwony, a dwa boczne przezrocyste.

- Włóż go.

- Kiedy... kiedy indziej.



- Nie. Chcę zobaczyć, jak wygląda na twoim palcu. Znowu spojrzała bezradnie na Aggie, Bernarda i Bena, ale żadne nawet nie drgnęło. Wyjęła pierścionek z pudełka i zawahała się, nie wiedząc, na który palec go włożyć. Wsunęła go na mały, ale okazał się za luźny. Był odpowiedni na środkowy palec. Ojciec uniósł jej prawą dłoń.

- Tylko spójrz! To nie jest żaden byle jaki metal! Nigdy nie zapominaj, że dostałaś go ode mnie. - Odwrócił się do pozostałych. - Skoro nie jestem tu mile widziany, wychodzę. Ale jeszcze wrócę. - Spojrzał na Millie. - Słyszałaś? Wrócę. A przy okazji... - Wskazał na pierścionek. - To tylko na początek. Masz na to moje słowo.

Poprawił kołnierz płaszcza i ruszył do drzwi, które Ben zdążył już otworzyć.

Gdy Reginald Forester i Ben wyszli z pokoju, Aggie spojrzała przepraszająco na Bernarda Thompsona.

- Tak mi przykro, sir, że został pan na to narażony. Tak mi...

- Och, nic się nie stało - wszedł jej w słowo i odwrócił się do Millie. - Myślałem, że twój ojciec nie żyje?

Spuściła oczy.

- Ja też tak myślałam, wszyscy myśleliśmy. Jednak okazało się, że żyje... ku mojemu nieszczęściu... Wiem, że brzmi to strasznie, ale te słowa określają mój stosunek do niego. - Zaczęła zdejmować pierścionek, jednak nie mogła przesunąć go przez staw palcowy. - Odwróciła się do Aggie. - Muszę go posmarować mydłem.

- Proszę zostawić go na palcu i pozwolić mi na niego spojrzeć. - Bernard Thompson wziął ją za rękę i utkwilił wzrok w pierścionku, delikatnie przesuwając go wokół palca Millie. Po chwili orzekł: - Jest piękny.

- To imitacja, sir. Ten człowiek mógł sobie pozwolić tylko na nią.

- Nie sądzę, że to imitacja. Nie jestem znawcą biżuterii, ale i złoto, i kamienie wyglądają na prawdziwe, a pierścionek uwydatnia piękny kształt dłoni. Czy możemy już iść?

Millie podeszła do Aggie i pocałowała ją w policzek. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy.

Gdy dziewczyna ruszyła do drzwi, Bernard Thompson uściśnął podaną mu, niezbyt czystą dłoń Aggie.

- Zmiana dobrze jej robi, prawda? - rzucił na pożegnanie.

- O tak - przytaknęła skwapliwie, mówiąc niemal szeptem.

- Zaraz będę z powrotem - zapewniła Millie napotkanego na podwórzu Bena.

Zrobiła to spontanicznie, bo w jego wyrazie twarzy było coś takiego, co sprawiło, że zareagowała szybciej, niż pomyślała. Ben ledwie na nią spojrział i poszedł do stodoły.

- Jest w stosunku do ciebie... bardzo opiekuńczy - zagadnął Bernard Thompson.

- O tak. Zawsze był - potwierdziła bez wahania.

Wyszli na nierówną drogę, na której, na szczęście, wiatr osuszył błoto. Bernard Thompson wziął Millie za łokieć, starając się przeprowadzić ją przez gromadkę brudnych i obdartych dzieci.

- Dzień dobry, Millie! - krzyknął jeden z chłopców.

- Dzień dobry, Millie! - wrzasnęli chórem pozostali. Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu i pomachała im.

- Jesteś tu znana - skomentował Bernard Thompson.

- To oczywiste. Te dzieci bardzo często u mnie kupują - odparła szorstko, bo jego uwaga naprawdę była zbędna.

Gdy w reakcji roześmiał się cicho, spojrzała na niego. Uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła uśmiech, bo uznała, że ten mężczyzna istotnie rozumie jej sytuację. Nie patrzył z góry ani teraz na te dzieci, ani nigdy wcześniej na nią czy na Aggie i Bena.

Po upływie dziesięciu minut już siedzieli w dwukółce, Bernard Thompson zmusił konia do kłusu.

- To bardzo elegancki powozik - zagadnęła Millie.

- Lubisz konne przejażdżki?

- Tak, ale przede wszystkim lubię konie. My też mieliśmy konia. Daliśmy mu na imię Chłopczyna, lecz to było nieporozumienie, bo okazał się dużo starszy, niż utrzymywał poprzedni właściciel. Podejrzewam, że kiedy pani Aggie go kupiła, miał dobrze ponad dwadzieścia lat. Kiedyś rano zastaliśmy go martwego w stajni. Pani Aggie twierdziła, że zdechł, ponieważ go przekarmiła. Była tak samo jak ja niepokieszona z powodu jego śmierci.

- Powoziłaś kiedykolwiek?

- Tak, ale ściśle biorąc nasz Chłopczyna był kucykiem.

- Zawsze możesz wybrać się tą dwukółką na przejażdżkę, ile razy będziesz chciała.

Milczała, bo intuicja podpowiadała jej, że za tą propozycją kryje się coś więcej.

Znajdowali się w dzielnicy, której dotychczas nie znała. Wprawdzie to miejsce nie wyglądało na takie siedlisko nędzy jak The Courts, jednak wśród fabryk znajdowało się wiele domostw zamieszkałych przez biedotę.

- Jeszcze nigdy tu nie byłam - przerwała milczenie. - Pani Aggie miała swoje trasy i tu w ocóle się nie zapuszczała.

- To dzielnica Hulme, ale nie martw się. Zaraz się stąd wydostaniemy - zaczął ją uspokajać.

- Och, wcale się nie martwię.

Rozglądała się wśród uliczek biegnących do głównej ulicy. Tu i ówdzie na wąskich drózkach piętrzyły się góry śmieci. Pomyślała, że wnętrza tworzących tę dzielnicę domów zapewne nie różnią się od mieszkań w The Courts. Jedyne dachy domów były tu płaskie, a nie, jak tam, spadziste.

- Teraz będzie przyjemniej. Zbliżamy się do bardziej okazałych ludzkich siedzib - odezwał się Bernard Thompson, przecinając główną ulicę, zatłoczoną taczkami, wózkami ręcznymi, tanimi dorożkami o wyściełanych słomą podłogach, bryczkami i powozami.

Jednak na początku wciąż mijali takie jak wcześniej domki o płaskich dachach, tyle że były zadbane. W oknach wisały tu schludne zasłony, a drzwi miały mosiężne klamki. Ale istotnie za tymi domkami szybko pojawiły się bardziej okazałe ludzkie siedziby, otoczone przez niewielkie ogrody, za nimi zaś duże domy z głównym i bocznym wejściem. Na bramach widniały tu tabliczki z napisem: „kupiec”. Za tymi domami rozciągała się otwarta przestrzeń, którą tu i ówdzie porastały niewielkie laski.

- To przypomniało mi Quintonów. Czy pan ma z nimi jakiś kontakt? - zagadnęła ożywiona, gdy przejeżdżali obok jednego z nich.

- Sporadyczny. Bardzo rzadko bywam w tamtych stronach. Czasami spotykam się z Williamem, to znaczy z panem Quintonem, na mieście. Mówi o dzieciach i zawsze ciebie wspomina. - Spuścił głowę. - Quintonom bardzo ciebie brakuje, a po twoim odejściu dzieci znowu stały się niezdolne.

Z powodu, dla którego musiała się rozstać z tą rodziną, nie chciała kontynuować podjętego przez nią samą tematu ani mówić Bernardowi Thompsonowi, że William Quinton powiedział jej na pożegnanie, iż chciałby czasami przywozić swoje dzieci do domu Aggie, by mogły spotkać się ze swą byłą opiekunką, ale nigdy tego nie zrobił.

- Pana dom znajduje się daleko od miasta - skomentowała długą podróż.

- Już jesteśmy na miejscu. To tu.

Zatrzymał konia, zeskoczył z dwukółki i otworzył niewielką metalową bramę, po czym wsiadł ponownie i wjechał na drogę dojazdową. Wkrótce Millie zobaczyła dom. Zastanawiała się, czy to willa, czy pałacyk.

- Jest ładny na zewnątrz, ale wewnątrz jeszcze ładniejszy - pochwalił się Bernard Thompson, podając rękę wpatrzonej w dom Millie.

Stała na zwirowej alejce i od razu jej wzrok przyciągnęły witrażowe okna, błyszczące w blasku słońca, a także dorodny bluszcz pnący się po ścianie przy maleńkim portyku.

Gdy Bernard Thompson wziął ją za rękę, jakby chciał, by jak najszybciej weszła do środka, zza rogu domu wyłonił się młody mężczyzna.

- Geoff, zaprowadź konia do stajni. Powóz będzie mi potrzebny o wpół do szóstej - wydał mu polecenie i wprowadził Millie do hallu.

Natychmiast rozwiązał jej wstążki od kapelusza.

- Och, nie! - zaprotestowała ze śmiechem i lekko uderzyła go w rękę, gdy chciał rozpiąć guziki od płaszcza.

Odsunął się i zagryzł wargi.

- Przepraszam, ale jestem taki podekscytowany - powiedział ze skruchą. - W końcu zawitałaś w moje progi. Zawsze wyobrażałem sobie ciebie w tym domu, od kiedy go kupiłem.

Zdjęła płaszcz i zaczęła się rozglądać po hallu. Był niewielki, mniej więcej taki sam jak w domu Quintonów, ale wspaniale urządzone. Dominowały tu róż i złoto - od dywanu po udrapowane zasłony w łukowatym oknie i prowadzące na piętro schody.

Gdy Bernard wprowadził ją do salonu, z obitego niebieską satyną krzesła podniosła się delikatna jak lalka kobieta.

- O mój Boże. Nie słyszałam, jak zajechał powóz. Jak miło was widzieć, drogi chłopcze. To jest ta młoda dama?

- Tak, ciociu Chrissie.

Starsza pani natychmiast wzięła Millie za rękę. Jej białe szczupłe dłonie były tak delikatne, że wydawało się Millie, iż nie wytrzymałyby mocnego uścisku. Sprawiały wrażenie wręcz nierealnych, jakby nie należały do istoty z krwi i kości. Zresztą nic w tej filigranowej osobce nie sprawiało na Millie wrażenia czegoś realnego, włącznie z melodyjnym wysokim głosem.

- Podwieczorek już czeka, od godziny. Uwielbiam podwieczorki. A panienska, panno...

- Millie, ciociu Chrissie - odpowiedział pan domu.

- Millie. Rozkoszne imię. Oczywiście, że Millie. Ale, jak pytałam, czy lubi panienska podwieczorki?

- Bardzo lubię.

- Czy zadzwonić po Fanny?  
 - Ciociu Chrissie, usiądź i opanuj się nieco. Nie mów tyle, bo wystraszysz naszego gościa - zwrócił jej uwagę Bernard.

- Och... Chyba nie byłabym w stanie cię wystraszyć? - spytała cicho starsza pani, patrząc na Millie.

- Z całą pewnością nie, proszę pani.

- Ona nazwała mnie panią. - Ciocia Chrissie roześmiała się dźwięcznie. - Nie jestem panią tylko panną Christine Lavor. To tylko drogi Bernard nazywa mnie ciocią Chrissie. Wszyscy inni mówią do mnie „Lavy”. Pamiętasz, Bernardzie? Nigdy za tym nie przepadałam, choć nie przeszkadzało mi, gdy zwracała się tak do mnie twoja droga mama, czyli oczywiście nie mama Berenice...

- Ciociu Chrissie, jeśli będziesz tak paplała, Millie się wszystko pomiesza. Ona jeszcze nie zna historii rodziny. Czy zatem możesz powstrzymać swój język i pozwolisz, że usiądziemy? - przerwał jej pan domu.

- Och! - Podeszła drobnymi kroczkami do stołu. - Stawiałam pasjansa. Muszę zabrać stąd karty. Nie chciałabym ich pomieszać, bo to dobry układ. Stawiam pasjansa dwa razy dziennie. Panno Millie, czy panienka też to robi?

- Jak dotychczas, nie... panno Christine.

Bernard uśmiechnął się do Millie z aprobatą, ale starsza pani nawet nie zwróciła uwagi, że dziewczyna dostosowała się do jej życzenia i nazwała ją panną. Całą uwagę „cioci Chrissie” pochłaniała taca, na której leżały karty i którą przносиła ze stołu jadalnego na mały stolik pod ścianą.

Bernard podprowadził Millie do obitego niebieską satyną krzesła, a gdy usiadła, pociągnął za taśmę od dzwonka, który wisiał na ścianie przy kominku. Dziewczyna zwróciła uwagę, że również kolorystykę tego pokoju ożywiały dyskretne akcenty różu i złota, bo na długiej taśmie od dzwonka, uszytej z różowego welwetu, widniał złocisty pas, a u dołu wieńczył ją złocistoróżowy pompon. Tak samo jak w hallu wszystkie barwy były tu pieczołowicie dobrane do siebie, tak że dywan, zasłony, obicia mebli, a nawet fałdzone suknie dam na dwóch obrazach wiszących na ścianie po obu stronach kominka stanowiły harmonijną całość. Widok zapierał Millie dech w piersiach. Czuła, że lubiłaby w samotności przesiadywać w tym salonie, by po prostu napawać się grą barw, a także jakością materiałów oraz stylowych mebli. To wnętrze było niewiele większe od kuchni w domu Aggie, domu, który dawno temu pokochała. Nadal był on drogi sercu Millie, jednak teraz, gdy znalazła się w tym wytwornym salonie, zaczęła się

zastanawiać, czy dom Winkowskich w ogóle odpowiada jej wyobrażeniu o domu. Tu bowiem czuła się jak w świecie z bajki. Pomyślała, że ktoś, kto codziennie przebywa w takim salonie czy w ogóle w takim domu i... z takimi ludźmi, musi prowadzić zupełnie inny styl życia niż ona dotychczas. Nawet towarzystwo tej gadatliwej starszej pani oznaczało pod tym względem coś całkiem nowego. A Bernard Thompson był wprawdzie krewnym Crane'ów-Boulderów, ale zachowywał się zupełnie inaczej niż oni. Gdyby Millie mogła tu zamieszkać, posmakowałaby życia przyjemniejszego nawet niż to, jakiego doświadczyła u Quintonów, zwłaszcza że u nich pracowała, a tu mogłaby...

- Wydajesz się nieobecna myślami. - Bernard pochylił się nad nią. - Nad czym się tak zastanawiasz?

Spojrzała mu w oczy rozmarzona i niezdolna ukryć uczuć.

- Myślałam o tym, że to piękny dom i że dzisiejszego popołudnia znalazłam się w świecie z bajki.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Moja droga, gdybyś bardzo tego chciała, mogłabyś żyć w świecie z bajki - odparł dziwnie niskim głosem.

- O, jest Fanny z podwieczorkiem - odezwała się Christine Labor. - Czy złożyłaś po dwie kromki chleba stronami, które posmarowałaś masłem? Zawsze wołałam takie.

- Tak, panno Chrissie, złożyłam. - Kobieta postawiła ciężką tacę z jedzeniem na stole pod ścianą i spojrzawszy na Millie, powiedziała pogodnie: - Dzień dobry, panienko.

- Dzień dobry - odwzajemniła powitanie Millie.

- Panie Bernardzie, czy mógłby pan przysunąć tu ten stolik, który stoi pod oknem, ten z klapą?

- Oczywiście, Fanny.

Posłusznie jak chłopiec podszedł do stolika o cienkich nogach i przesunął go tam, gdzie stała służąca.

Millie uderzyło, że Fanny zwraca się do Bernarda niczym matka. I choć na oko była dobrze po pięćdziesiątce, wyglądała na bardzo pogodną, jakby cieszyła się znakomitym zdrowiem. Dziewczyna była coraz bardziej urzeczona panującą w tym domu atmosferą.

Na podwieczorek podano, oprócz ciemnego chleba z masłem, małeńkie placuszki z konfiturą, a filigranowej starszej pani niemal nie zamykały się usta. Gdyby Millie od razu nie poczuła do niej sympatii, to z pewnością polubiłaby ją teraz.

- Wiem, że za dużo mówię. Paplę bez przerwy. Każdy to powtarza. Ale ja nie zawsze miałam z kim rozmawiać. Gdy pojawia się ku temu sposobność, nadrabiam stracony czas. Od kiedy odnalazłam drogiego Bernarda czy raczej od kiedy on mnie odnalazł, mówię ze szczególną przyjemnością. Bo miło jest na przykład podyskutować z kimś o książkach, które przeczytało się dawno temu. Niestety, nie wszystko pamiętam - wyznała ze śmiechem przyszywana ciotka pana domu, choć dźwięczała w tym śmiechu nutka smutku. - Panno Millie, proszę się jeszcze poczęstować ostatnim kawałeczkiem chleba...

- Nie, dziękuję. Już się nasyciłam tym rozkosznym podwieczorkiem.

- Zatem mogę go zjeść?

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi i zerknęła na Bernarda.

Odwzajemnił uśmiech, jakby jej za coś dziękował. Po podwieczorku wstał z krzesła i podszedł do niej.

- Teraz chciałbym ci pokazać dom. Nie zajmie to dużo czasu, bo nie chodzi o wielką rezydencję, a raczej o domek dla lalek. Ciekaw jestem twojej opinii na temat mojego gustu.

- Czy powinnam z wami pójść, czy lepiej tu poczekać? - spytała starsza pani.

- Ciociu Chrissie, zostań i dokończ pasjansa. Skup się, żeby ci wyszedł. O ile wiem, nigdy nie udało ci się ułożyć trzech pod rząd, prawda?

- Niestety, nie. Zawsze wychodzą mi tylko dwa, ale pewnego dnia wyjdą i trzy.

W hallu Bernard wziął Millie za rękę i przystanął.

- Cała ciocia Chrissie... Jak ona ci się podoba? - zagadnął.

- Jest... jest przemiła, wprost nadzwyczajna.

- O tak. - Z jego twarzy zniknął uśmiech. - Wprost nadzwyczajna. Opowiem ci o niej, gdy pójdziemy na górę, bo teraz chciałbym, żebyś zobaczyła kuchnię, w której króluje Fanny. A przy okazji... Fanny jest pokojówką cioci Chrissie od czterdziestu dwóch lat. Nigdy jej nie opuściła, bez względu na to, w jakiej Christine Lavor znajdowała się sytuacji. Jest jej bardzo oddana.

- Fanny też wydaje się bardzo miła, serdeczna.

- To prawda. Poza tym rozumie ludzi.

Otworzył dębowe drzwi i znaleźli się w kuchni. Była długa i miała pobielone wapnem ściany. Na wprost wejścia znajdowało się duże okno, ale nie witrażowe czy ostrołukowe, w stylu gotyckim, z kamiennymi słupkami, lecz proste, o trzech wysokich szybach. Piec zaś miał dwa piekarniki.

Naprzeciwko niego stała serwantka z serwisem obiadowym, a obok niej oszklona z przodu szafka z serwisem do herbaty z chińskiej porcelany.

Millie była podekscytowana tym widokiem. Wyobraziła sobie siebie, jak krząta się po tej kuchni i przygotowuje jakąś potrawę na znajdującym się tu stole, który miał biały porysowany blat, ale nogi z mahoniowego drewna. Mogłaby tu każdego rana piec różne przysmaki i siadać na wygodnym pleconym krześle w pobliżu któregoś z piekarników, opierając nogi na kracie ochraniającej palenisko. Oczywiście robiłaby to tylko wtedy, gdyby Bernard gdzieś wyjechał, bo jeśli byłby w domu, siadywałaby z nim w salonie.

- Znowu jesteś nieobecna myślami. Czy to oni tak pochłaniają twoją uwagę? - Bernard wyciągnął rękę w stronę okna, przez które było widać Fanny i Geoffa, po czym dodał: - Dobrze ze sobą żyją. Ona, jak ci mówiłem, jest od czasów młodości służącą cioci Chrissie, on zaś od lat moim służącym. Coś jej pokazuje.

Millie w ogóle ich nie zauważyła, tak była pogrążona w marzeniach.

- I pan, i panna Chrissie jesteście szczęśliwcami.

- Przynajmniej o sobie mogę powiedzieć, że przez całe życie dopisuje mi szczęście. Czasami wręcz się boję, że ono przemienie, bo jest zbyt dobrze, by mogło tak trwać zawsze. Ale ostatnio znowu go doświadczyłem, gdy mój chrzestny uczynił mnie współwłaścicielem fabryki. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to dla mnie znaczy. I przekazał mi w spadku ładną sumkę, dzięki której mogłem kupić ten dom. Tak czy inaczej, nie pora teraz, żeby się nad tym rozwodzić. Wszystko w swoim czasie. Na parterze jest jeszcze pokój do obejrzenia, a właściwie dwa.

Jeden z tych pokoi okazał się niewielkim, wypełnionym książkami gabinetem, a drugi był jeszcze nie umeblowany.

- Mogłaby się tu mieścić damska toaleta - powiedział jakby do siebie Bernard Thompson.

Nie piętrze znajdowały się cztery sypialnie. Prowadziły stąd strome schody do dwóch pokoi na poddaszu. W jednym z nich mieszkała Fanny, jak później powiedział Millie Bernard. Z kolei Geoff miał swój pokój nad stajnią. Bernard dodał, że pomieszczenia dla służby są urządzone bez zarzutu.

Gdy otworzył drzwi do pierwszej sypialni, Millie tylko dyskretnie tam zerknęła.

- Ta jest dla gości - wyjaśnił i ruszył pod drzwi drugiej. Również je otworzył, ale oznajmił: - Uszanujemy prawo cioci Chrissie do prywatności i nie będziemy wchodzili do środka. Sama widzisz, że jej sypialnia wygląda



niczym domek dla lalek. Ona wprost przepada za lalkami i pluszowymi zwierzakami. Jednak powiedziałem jej, że nie może ozdabiać nimi każdego z pokoi w tym domu i konsekwentnie przestrzega tej zasady. - Gdy dotarli pod drzwi trzeciej sypialni, uchylił je i poinformował lakonicznie: - Tu śpię ja. - Szybko podszedł do drzwi czwartej. Otworzył je szeroko i spojrzał na Millie. - Ta jest najładniejsza. Ja... zdecydowałem tu o wszystkim. - Widząc, że dziewczyna stoi w progu i jakby się waha, dodał uspokajająco: - Nie musisz się niczego obawiać. Chcę tylko wiedzieć, czy spodoba ci się tak samo jak salon.

- Jest piękna - orzekła cichym głosem i spuściła oczy, choć nie chciała przed nim udawać fałszywej skromności.

- Wejdzmy i usiądźmy pod oknem. Chcę ci opowiedzieć o cioci Chrissie - zachęcił Millie do przekroczenia progu, biorąc ją za rękę.

Dopiero teraz spojrzała mu w oczy. Mówił o tak neutralnej sprawie, a na dodatek obojętnym tonem, że pozwoliła się zaprowadzić do kanapy pod oknem.

Gdy usiadła na jednym końcu, nie zajął miejsca tuż przy niej, lecz w stosownej odległości.

- Ludzie potrafią być okrutni - zaczął swoją opowieść. - Nawet nie przyszedłoby ci do głowy, że dawno temu najbliższa rodzina cioci Chrissie pozbyła się jej z domu. Bo nie znając dobrze tej starszej pani, można by pomyśleć, że za jej nieskładną paplaniną kryje się co najwyżej związana z wiekiem niezborna myślenie i zaburzenia pamięci.

- Najbliższa rodzina pozbyła się jej z domu? - powtórzyła za nim zdziwiona Millie.

- Tak. Umieścili ją w przytułku. Ale o tyle miała szczęście, że pochodzi z bogatej rodziny i nie był to zwykły przytułek, lecz prywatny pensjonat. A zrobili to tylko dlatego, że nie chcieli jej wziąć do siebie. Zanim tam trafiła, bynajmniej nie traktowali jej źle, tylko w ogóle się nianie interesowali, pozostawiając ją samej sobie. Moja matka zapraszała ją do nas co roku na kilka miesięcy. Gdy jednak ciocia Chrissie zaczęła chorować, to oczywiście mój ojciec nie chciał, by mieszkała pod naszym dachem. Nie zgodził się nawet na to, by od czasu do czasu odwiedzała moją matkę. - Bernard westchnął ciężko. - Gdy w spadku po chrestnym otrzymałem prawo własności do połowy fabryki i pieniądze, zrodził się w mojej głowie pewien plan... - Przerwał na chwilę i spojrzał w bok. - Czułem, że czegoś mi brakuje, i nagle pewnego dnia pomyślałem o cioci Chrissie. Oczywiście jest mi wdzięczna za to, że ma teraz dom. Ona świetnie rozumie moją sytuację... Spotkało ją w życiu straszne nieszczęście. Wiem od matki, że ciocia

Chrissie do siedemnastego czy osiemnastego roku życia zachowywała się całkiem zwyczajnie. Była wręcz nieśmiała. Otóż jako szesnastolatka lub siedemnastolatka zakochała się z wzajemnością w synu sąsiada, ale, niestety, ojciec w ogóle nie chciał słyszeć o małżeństwie swojego potomka z kimś takim jak ciocia Chrissie, ona jest drobna i delikatna, więc w jego oczach nie mogła uchodzić za dobrą „reproduktorkę”. - Bernard wymówił to ostatnie słowo ze stosowną ironią. - Toteż z całą stanowczością wybił synowi z głowy małżeństwo z panną Lavor, która przeżywszy szok zachorowała na ciężką nerwicę. Z osoby wręcz małomówniej przeobraziła się w gadułę bez przerwy paplającą o wszystkim i o niczym. Na szczęście teraz jest z nią o wiele lepiej, przynajmniej pod tym względem. Myślę, że gdyby w swoim czasie dostała od życia szansę wyjścia za męża, to dziś miałaby wspaniałą rodzinę. Żyją jej dwie siostry. Obie są nieszczęśliwe w małżeństwie, choć skutecznie stwarzają pozory, że jest inaczej, więc niemal nikt się tego nie domyśla. Ale o ich małżeństwach zdecydowali rodzice, gdy były jeszcze małymi dziewczynkami. To są związki, by tak rzec, od czasów kołyski. Nadal takie się zdarzają. - Znowu spojrzął w bok, po czym gwałtownie usiadł obok Millie i ściskając jej dłonie, wyznał stłumionym głosem: - Millie, kocham cię... Boże mój, jak ja cię kocham! Wiesz o tym? Wiesz, prawda?

Przekrzywiła głowę i lekko oparła ją o jego głowę.

- Wiem, aleja... też pana kocham - wymamrotała pod nosem.

- Naprawdę? Naprawdę mnie kochasz?

- Tak... Kocham od dawna... Może od chwili, kiedy niósł mnie pan do domu, to znaczy do domu Quintonów... Sama nie wiem, ale nie pamiętam momentu, w którym nie byłabym w panu zakochana.

- Tamten wieczór był decydujący również dla mnie. Jednak wtedy byłąś jeszcze dzieckiem. Nie pozostawało mi nic innego jak czekać. Millie, to wymagało ode mnie wielkiej wytrwałości.

Przez chwilę patrzyli sobie czule w oczy, po czym objęli się i zaczęli całować.

Millie straciła poczucie czasu. Wydawało się jej, że naprawdę znalazła się w świecie z bajki, gdzie wszystko rozplątywało się w złocie i błękicie, barwach tej sypialni.

Gdy Bernard pomógł jej wstać z kanapy, chwiała się na nogach. Podtrzymał ją, śmiejąc się radośnie.

- Och, Millie! Millie! Jestem najszczęśliwszym mężczyzną pod słońcem. Nawet nie wiesz, co się ze mną dzieje, ale teraz wyjdźmy stąd, przynajmniej

na jakiś czas. - Wziął ją za rękę i ruszył do drzwi. - Nie możemy całkowicie lekceważyć dobrych obyczajów, prawda?

Roześmiała się.

- O tak, sir. Całkowicie nie możemy.

- Odwożę cię teraz do domu. Tak będzie dla ciebie bezpieczniej.

- Och, Bernardzie... - Przytuliła się do niego. - Przy tobie zawsze czuję się bezpiecznie. Zawsze.

- Moja droga Millie. Zawsze kojarzysz mi się ze złocistowłosym aniołem. Dlatego w tej sypialni są złociste zasłony. Poza tym ty tak świetnie wszystko rozumiesz. Chodź, chodź. Trzeba omówić tyle spraw. Muszę porozmawiać z twoją drogą opiekunką. Jak sądzę, ona doskonale rozumie sytuację i wie, co do ciebie czuję.

- Zna również stan moich uczuć.

- Tak myślisz?

- To pewne... Czulałam się bardzo nieszczęśliwa, nie widząc cię przez cały miesiąc.

- Och, Millie... - Zatrzymał się pośrodku hallu i ujął jej twarz w dłoń. - Nie chcę się z tobą rozstawać, ani dziś, ani jutro, ani... Boże mój! - Zamknął oczy i potrząsnął głową. - Niestety, jutro muszę wyjechać do Cheshire i prawdopodobnie będę zobowiązany spędzić tam tydzień. Bynajmniej mnie to nie cieszy.

- Wyjeżdżasz w interesach?

- Myślę, że możesz to tak nazwać. Do końca mojego życia będziesz mogła to tak nazywać... Pozwól, że wyjdziemy z tego domu, bo jeśli nie zrobimy tego zaraz, to cię stąd nie wypuszczę.

- Powinnam się pożegnać z panną Chrissie.

- Zrób to szybko. Ja powiem Geoffowi, że jesteście gotowi do drogi.

Wyszedł na dziedziniec, a ona otworzyła drzwi do salonu. Podeszła do stołu, na którym filigranowa kobietka układała pasjansa.

- Panno Chrissie, wychodzę.

- Wychodzi panienka? Jaka szkoda! Myślałam, że panienka tu zostanie.

- Och, nie - odparła ze śmiechem Millie. - W każdym razie jeszcze nie dzisiaj.

- Ale kiedyś tak, prawda?

- O tak.

- Wkrótce?

- Tak... Wkrótce. Tak... - Skinęła głową. - Wkrótce.

- Tak się cieszę. Cudownie będzie mieć panienkę tutaj. To wielkie szczęście dostać od życia takiego mężczyznę jak Bernard. Jest naprawdę wyjątkowy. On wszystko załatwi i zrobi to w taki ujmujący sposób.

- Tak, ma bardzo ujmujący sposób bycia.

- Będzie panienka szczęśliwa.

- Jestem tego pewna... Do zobaczenia, panno Chrissie.

- Do zobaczenia, moja droga... Jeśli chcesz, możesz na pożegnanie pocałować mnie w policzek.

Ciocia Chrissie nadstawiła lewy policzek.

Millie pochyliła głowę i musnęła go ustami. Miała wrażenie, że całuje dużą lalkę z chińskiej porcelany.

Przed domem już czekała dwukółka.

Bernard uniósł Millie i pomógł jej wsiąść, po czym usadowił się obok niej i popędził konia.

Po upływie pół godziny znaleźli się przed zajazdem.

- O Boże! - wykrzyknęła Millie. - Mówiłam tak dużo jak twoja ciotka. Czy to nie straszna perspektywa mieć w domu dwie kobiety, którym usta się nie zamykają?

- Straszna? Byłoby cudownie, a raczej będzie. O tak. - Bernard przełożył cugle do jednej ręki, a drugą uściśnął dłoń Millie. - Będę pamiętał twój pierwszy pobyt w moim domu do końca życia, tak samo jak tę przejażdżkę, bo nigdy dotąd sam nie powoziłem i nie czułem się tak fantastycznie.

- Dobry wieczór - usłyszeli głos Bena, gdy wychodzili z dziedzińca zajazdu na ulicę.

- Ben?! O co chodzi? Czy pani Aggie stało się coś złego? - zaniepokoiła się Millie.

- Nic się nikomu nie stało, tylko pomyślałem o twoim towarzyszu... - Zerknął na Bernarda. - Gdyby odprowadził cię do domu, musiałyby tu wrócić sam. Otóż wątpię, by ktoś tak ubrany jak on mógł o tej porze bezpiecznie poruszać się po naszej dzielnicy, nie narażając się na utratę pieniędzy i innych rzeczy... Więc pomyślałem, że wybawię pana z kłopotu. - Dopiero teraz odwrócił głowę i spojrzał Bernardowi w oczy. - Sam odprowadzę ją do domu.

- Uważam, że absolutnie nie jest to konieczne - zaprotestował Bernard. - Doskonale potrafiłbym się obronić. Ta laska to nie tylko rekwizyt dżentelmena, ale i środek walki.

- Możliwe, że okazałaby się skuteczna, gdyby ktoś zaatakował pana od przodu. Jeśli jednak napastnik zacząłby wymierzać ciosy znienacka, zachodząc pana od tyłu, bądź gdyby przewróciła pana banda wyrostków,

laska nic by nie pomogła. Zresztą to, czy pan pójdzie z nami, czy tu zostanie, zależy tylko od pana.

- Bernardzie... Ben ma rację - zaczęła przemawiać mu do rozsądku Millie. - Wieczorem jest tu niebezpiecznie. Proszę cię, nie czuj się urażony. Ben przyszedł w dobrych zamiarach.

- Wcale nie przyszedłem w dobrych zamiarach. Kierowały mną wyłącznie względy praktyczne - warknął Ben.

- Do widzenia, moja droga. Napiszę do ciebie - odezwał się po chwili wahania Bernard.

- O tak - podchwyciła skwapliwie Millie. - Do widzenia... Dziękuję ci za cudowne popołudnie.

- Ja również ci dziękuję.

Po tym jak spędziła z nim kilka godzin we wspaniałym świecie z bajki, z przykrością przełknęła to sztywne, formalne pożegnanie. Była zła na Bena. Czasami doprowadzał ją do pasji. Zdarzały się chwile, kiedy miała ochotę palnąć go w ramię, choć na ogół żywiła w stosunku do niego jak najlepsze uczucia.

- Zepsułeś mi wieczór... Zaplanowałaś to sobie, prawda? - powiedziała z wyrzutem, gdy oddalili się od zajazdu.

- Uważam, że lepiej zepsuć ci wieczór, niż dopuścić do zeszpecenia twarzy tego dżentelmena, bo chyba nie chciałabyś oglądać na niej żadnych blizn? Dobrze wiesz, co po zapadnięciu zmroku dzieje się na tej uliczce, a zwłaszcza w sobotę - odpowiedział po chwili milczenia.

Oczywiście, że wiedziała. Bandy chłopców i wyrostków jakimś cudem na odległość wyczuwały obcego. Jakże żałowała, że nie znajduje się daleko stąd, w rozkoszonym pałacyku Bernarda. Ale nie wątpiła, że wkrótce tam zamieszka. I nie mogła się doczekać, by opowiedzieć o wszystkim Aggie.

Gdy weszli na podwórze, ruszyła pędem do domu.

Opiekunka jak zwykle siedziała na kanapie.

- O, jesteś... - powitała Millie.

- Tak. Czy pani wie, że Ben wyszedł nam na spotkanie?

- Wiem. Powiedział mi, że wybiera się do zajazdu. Uznałam to za rozsądne.

- Och, pani Aggie, doprowadził mnie tym do szału. Zepsuł mi dzień. Nie... Nie... Nie zepsuł, bo po prostu nie był w stanie. - Szybko zdjęła kapelusz i płaszcz i usiadła obok opiekunki. Wzięła ją za rękę. - Jestem bardzo szczęśliwa. Przepelnia mnie taka radość, że zaraz... eksploduję.

- Czemu to zawdzięczać?

- Przecież pani wie.

- Oświadczył się?

- Tak.

- Och, dziecko, tak się cieszę. Tak się cieszę. Wręczył ci pierścionek?

- Pierścionek? - Uniosła dłoń i spojrzała na ten подарowany przez ojca. - Nie... Wszystko stało się tak nagle. Właśnie mieliśmy wychodzić, jednak... nie byliśmy w stanie już dłużej skrywać naszych uczuć. Bernard powiedział, że niebawem spotka się z panią. Och, pani Aggie, szkoda, że nie widziała pani jego domu. To piękny, wspaniale umeblowany pałacyk. Bernard powiedział, że urządzając go, inspirował się moją urodą. - Rozmarzona, spojrzała w bok. - Wprost nie mogę w to uwierzyć. Dominują tam rozmaite odcienie różu i złota ze względu na... barwę moich włosów i... Och, pani Aggie, Bernard jest cudowny. Nie wydaje mi się, by specjalnie przejął się tym mężczyzną to znaczy moim ojcem. Wspomniał o nim w drodze powrotnej, ale ja nie potrafiłam... wyznać prawdy. Oczywiście kiedyś muszę ją wyznać, lecz wiem, że Bernard nie będzie robił z tego problemu.

- A jaka jest ta jego ciotka?

- Och, pani Aggie... Proszę sobie wyobrazić dużą lalkę z chińskiej porcelany, która przez cały czas papie. Jest przemiła i taka kochana, może nieco ekscentryczna. Biedaczka... Gdy miała szesnaście lub siedemnaście lat, zakochała się nieszczęśliwie. Skończyło się to ciężką nerwicą. Z nieśmiałej dziewczyny przeobraziła się w straszną gadułę. Bernard powiedział mi, że krewni nie chcieli się nią zajmować i ulokowali ją w prywatnym pensjonacie, gdzie spędziła większość życia. Dopiero on ją stamtąd wyciągnął i przygarnął. Ciocia Chrissie, jak nazywa ją Bernard, ma wierną służącą, jeszcze z czasów młodości. Fanny jest tak samo miła i serdeczna jak jej pani.

- Ilu mają służących?

- Dwoje, bo oprócz Fanny jest tam tylko Geoff, człowiek do wszystkiego, wiemy służący Bernarda. Ale to mały dom. Na parterze jest salon, kuchnia, mały gabinet i jeszcze nie umeblowany pokój, a na piętrze cztery sypialnie, na poddaszu zaś dwa mieszkalne pokoje. Jak powiedziałam, dom jest mały, ale piękny, istne cacko.

- Kiedy Bernard Thompson zamierza ze mną rozmawiać? - spytała jak zwykle rzeczowo Aggie.

- Sądzę, że nastąpi to nie wcześniej... niż za tydzień. Nie wiem dokładnie. Powiedział, że napisze. Nie mogliśmy powiedzieć sobie zbyt wiele w obecności Bena, który stał obok nas jak rozjuszony niedźwiedź. Och... - Zerwała się z kanapy i wyciągnęła ręce. - Pani Aggie, szkoda, że nie

mamy fortepianu czy jakiegoś innego instrumentu! Mam ochotę tańczyć z radości!

- Potanecz sobie w sypialni, a potem się przebierz i wróć tu, to coś przekąsimy - zaproponowała gospodyni słysząc, że Ben wchodzi do domu. - Jadłś tam coś?

- Tak. Do herbaty podano chleb z masłem.

Wybiegła z pokoju, powtarzając śpiewnym głosem: „Chleb z masłem! Chleb z masłem!”

Do kuchni wszedł Ben i jak zwykle usiadł na ławie.

- Wszystko w porządku? - zagadnął.

- Stało się. Wychodzi za niego - poinformowała sucho Aggie i zerknęła na Bena, ale patrzył w ogień. Gdy po chwili wstał i ruszył do drzwi, dodała:

- Musisz się z tym pogodzić. I dokąd się tak spieszysz?

- A jak myślisz?

- Tylko nie upij się do nieprzytomności.

- Nie zamierzam wyrzucać pieniędzy w błoto.

- No to dokąd się wybierasz w sobotę wieczorem, jeśli nie do szynku?

- Możesz wierzyć lub nie wierzyć, ale idę do szkoły.

- Akurat!

- Właśnie że tak. Już masz dziś za sobą jedną niespodziankę, więc nie potrafisz przyjąć do wiadomości następnej. Jednak wkrótce się z nią oswoisz. A przy okazji... Czy wiesz, że jeśli mężczyzna należący do tej klasy społecznej co Bernard Thompson wychodzi z domu z dziewczyną, która nie ma u boku przyzwoitki, to naraża tę dziewczynę na utratę dobrego imienia? Z tego, co słyszałem i czytałem, wynika, że żaden mężczyzna, który naprawdę szanuje dziewczynę, nigdy by sobie na to nie pozwolił. Aggie, pomyśl o tym.

Gdy za Benem zamknęły się drzwi, gospodyni wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym podparła głowę ręką, jakby dźwigała nieznośne brzemię.

- Boże! Dlaczego nie dałeś mu normalnych nóg? Jako człowiek jest więcej wart od tłumu dżentelmenów - powiedziała zdesperowana.

## ROZDZIAŁ 6

Zachowanie Bena jest jak łyżka dziegciu w beczce miodu - poskarżyła się Millie opiekunce.

- Zgadzam się, ale w życiu każdego człowieka zawsze jest mniej lub więcej goryczy. I powinnaś starać się Bena zrozumieć - odparła roztropnie Aggie.

- Nie potrafię się pogodzić z tą jego zazdrością. Przecież od tylu lat zaleca się do Annie.

- Z tego, co mi powiedział, wynika, że wcale tak nie jest, przynajmniej od kilku lat. Tak czy inaczej, nie możesz dopuścić, by Ben zniweczył twoje szczęście. Dostałaś życiową szansę wyrwania się stąd. Taka okazja się nie powtórzy. Pan Thompson to zacny człowiek, a gdy go poślubisz, dostaniesz się do lepszego świata.

- Czasami wydaje mi się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, bo coś takiego chyba jeszcze nigdy się nie zdarzyło, to znaczy małżeństwo dżentelmena z osobą mojego pokroju...

- Och... - Aggie lekko uderzyła ją w rękę, zniecierpliwiona tymi czarnymi myślami. - To nieprawda. Całkiem niedawno w gazetach pisali o tym, że mężczyzna z utytułowanego rodu Johnnych z Londynu poślubił aktorkę, a ściślej tancerkę i teraz ona ma tytuł lady. I czy nie pamiętasz historii jednego z Broadhurstów, który związał się z dziewczyną pracującą w fabryce? Byłaś już wtedy dostatecznie duża, żeby zwrócić na to uwagę. Cały Manchester o tym mówił.

- Ale on się z nią nie ożenił.

- To prawda, jednak na przykład pan Abel Rundell związał się węzłem małżeńskim z kobietą, która nie pochodziła z jego sfery.

- Kto to jest?

- To się wydarzyło, zanim jeszcze zjawiałaś się w tym domu. Nie... Nie... Właśnie w tym czasie do mnie trafiłaś. On pochodzi z rodziny armatorów. Ożenił się z dziewczyną, która pracowała u Mullenów, tych milionerów, którzy są współwłaścicielami targowiska. Nie jesteś ani pierwszą, ani ostatnią dziewczyną, której uda się wyrwać z klasy pracującej.

- Ale... ale co wtedy stanie się z panią? Nie może pani zlikwidować sprzedaży wyrobów kulinarnych. Jak pani da sobie radę beze mnie?

- Akurat tym się nie martw. Już dawno chciałam zrezygnować z tej sprzedaży, choć muszę przyznać, że dzięki twojemu poświęceniu przynosi ona spory zysk. Gdy się stąd wyprowadzisz, wrócę do tego, co robiłam wcześniej.



- To niemożliwe. Już nie ma pani tyle siły, żeby wyprawiać się do miasta z ręcznym wózkiem.

- Wcale nie mam takiego zamiaru. Rozgłoszę, że każdy może tu przynosić zbywające rzeczy. Brama będzie otwarta przez cały dzień. A jeśli wypadnie jakaś sprawa do załatwienia na mieście, Ben to robi. Będzie tkwił przy mnie bez względu na wszystko.

- A ja panią zostawię...

- Oj, dziewczyno. Ty to całkiem inna historia.

- Jak pani myśli, dokąd Ben wychodzi wieczorami cały wyelegantowany, bo przecież nie udaje się do Annie? Zauważyłam, że od jakiegoś czasu wcale nie stara się dobrze wyglądać, wybierając się do niej z wizytą.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie wraca do domu pijany. I zaczął palić fajkę.

- Zaczął palić fajkę?

- Tak. Oczywiście nie ma w tym nic zdrożnego, choć się nie przyznał. Wiem o tym, bo kiedyś poczułam zapach dymu na schodach prowadzących do jego pokoju. A raz, gdy wyszedł do miasta, zajrzałam do tego pokoju. I co zobaczyłam? Fajkę. Jednak nie żadną glinianą, o nie, tylko taką z drewna, wyposażoną w lulkę z pianki. Mój ojciec miał taką. Wiem, nie należy do tanich. Dwie gliniane można kupić za pensa, a za drewnianą trzeba zapłacić co najmniej szylinga. Przyszło mi do głowy, że Ben od jakiegoś czasu bardzo pilnie czymś się zajmuje. To, że regularnie wychodzi z domu wieczorami, zaskakuje mnie chyba bardziej niż ciebie. Zwróć uwagę, że pomijając inne dni, znika z domu w każdy czwartek.

Millie nie myślała już o Benie, tylko o tym, że czwartek jest bliżej soboty niż środa, bo w sobotę spodziewała się zobaczyć Bernarda. Nie mogła się go doczekać. Liczyła godziny dzielące ją od tego spotkania i miała kłopoty z zasypianiem. Leżąc w łóżku, wyobrażała sobie, że znajduje się w tej rozkosznej sypialni w domu Bernarda, w której ostatnio z nim rozmawiała. Jego dom miał wkrótce należeć również do niej. Czy była w stanie w to uwierzyć? Tak, ponieważ zgodnie z tym, co powiedziała jej pani Aggie, istnieli na świecie mężczyźni, którzy powodowani miłością, wydobywali niektóre dziewczyny ze społecznego bagna. Z drugiej strony Millie musiała przyznać, iż nigdy nie uważała, że pani Winkowski i Ben należą do społecznego bagna, nawet jeśli ich dom znajdował się w dzielnicy zamieszkałej przez różnego rodzaju męty.

Z zadumy wyrwał ją kaszel Aggie, tak silny, jakby rozsadał płuca.

- Już mówiłam, że powinna pani leżeć w łóżku - odezwała się zaniepokojona.

Gdy atak minął, Aggie przez chwilę z trudem łapała oddech.

- Leżeć w łóżku? Jeszcze nigdy tego nie robiłam z powodu przeziębienia, bo zanim by mi przeszło, rozchorowałabym się od samego leżenia. Lepiej zagrzej mi piwa z imbirem. To zrobi mi dobrze na kaszel.

- Pije je pani od tygodnia i jakoś jeszcze nie pomogło. Ten imbir spali pani wnętrzości.

- W gorącym, imbir traci swój ostry smak, więc się nie sprzeciwiaj.

Millie wyszła w pośpiechu do zmywarki.

Gdy wróciła z garnkiem i zaczęła przelewać do niego piwo, w kuchni zjawił się Ben.

Zwykle tylko zerkała w jego stronę, nie odrywając się od tego, co w danym momencie robiła, ale teraz, podobnie jak Aggie, utkwiała w nim wzrok. Ben wyglądał inaczej niż dotychczas, jednak trudno było powiedzieć, na czym polega różnica. Przyczyną nie był nawet nowy cylinder i porządny, choć używany płaszcz z karakułowym kołnierzem, jakkolwiek to też bardzo odmieniało jego wygląd.

- Na co tak patrzysz? - zwrócił się do Aggie.

- Nie na co, tylko na kogo. Oczywiście na ciebie, bo czy jest tu jeszcze ktoś, na kogo mogłabym tak patrzeć?

- Ale skąd takie zaskoczenie w twoich oczach? Widziałaś mnie już tysiące razy.

- O tak. Częściej niż chciałam. Ale co ty ze sobą zrobiłeś?

- Czyli coś zauważyłaś. Chodzi ci o mój nowy płaszcz?

- Nie, nie. To nie sprawa płaszcza, ale,..

- Aha! - Spojrzał na swoje stopy. - Interesują cię moje buty. Też są nowe.

Aggie i Millie zaczęły je oglądać.

- Obstalowałem je - poinformował lakonicznie.

- Obstalowałeś? - Ton głosu Aggie świadczył o tym, że nie posiada się ze zdumienia.

- Przecież powiedziałem. A różnica pomiędzy nimi a tymi, które dotąd nosiłem, polega na tym, że te najnowsze podwyższają mnie o ponad cztery centymetry, choć oczywiście nogi mam tak samo krótkie jak dotychczas. O tak, podwyższają mnie. I to odbija się korzystnie na mojej sylwetce.

- Jak na to wpadłeś? - spytała cicho wciąż zdumiona Aggie.

- Och. Gdybym miał więcej rozumu, już dawno bym to zrobił. Ale oczywiście chodzi także o to, że takie buty trzeba zamówić, no i niemało kosztują. W żadnym wypadku nie mogą być ciężkie, żeby nie obciążać stóp podczas chodzenia. Poza tym muszą wyglądać normalnie. Trzeba ukryć grubość zelówki pod skórzanym wierzchem. Ale obcasy są dość wysokie. -

Odwrócił się, żeby je zademonstrować. - Wspaniałą zaletą moich nowych butów jest to, że są lżejsze nawet od tych, które wkładam do pracy. Fred Pasternack to poczciwy snob. Musi nim być, skoro robi buty do jazdy konnej dla jaśniepaństwa. A co ważne, jest człowiekiem rozumiejącym innych, no i lubi stawiać czoło nowym wyzwaniom.

- Zatem nie tylko ja wyruszam na podbój wyższych sfer? - powiedziała bezgłośnie Millie.

- Ty, Millie, wyruszasz na podbój wyższych sfer, a ja zostaję nauczycielem - oznajmił Ben, jakby czytał w jej myślach.

- Nauczycielem?! Ty?! - Aggie znowu nie posiadała się ze zdumienia.

- Tak! Ja! - warknął Ben tak ostro, że nawet Aggie nie odważyła się mu przerwać, lecz potulnie zaczęła słuchać tego, co miał do powiedzenia. - Pani Winkowski, ja przez te wszystkie lata nie traciłem czasu. Ciałem byłem w tej dzielnicy slumsów, ale moją głowę wypełniały inne sprawy niż te związane z życiem tutaj. Ty, Aggie, mogłaś w ogóle tego nie zauważyć, ale inni mnie docenili. Mają olej w głowie. Nie zwracają uwagi na to, jak ktoś jest ubrany i ile ma centymetrów wzrostu. Nie zapominają też, że na początku ktoś może mieć okropną wymowę. Aggie, od czasu kiedy się dowiedziałem, co to jest rzeczownik, minęło wiele lat.

- A teraz, skoro już wyrzuciłeś z siebie wszystko, co leżało ci na duszy, powiedz nam, jak do tego doszło, że zostałeś nauczycielem? - zachęciła go łagodnym głosem gospodyni.

- Najwięcej zawdzięczam pani Sponge - odparł po chwili wahania. Spojrzał na Millie. - Kiedyś spytała mnie, czy nie poprowadziłbym lekcji z najmłodszymi dziećmi. Oczywiście roześmiałem się i odpowiedziałem jej, że zwraca się do niewłaściwej osoby. Ale jej zdaniem byłem całkiem odpowiedni, by poprowadzić nauczanie początkowe. Przyjąłem jej propozycję i odkryłem, że lubię tę pracę. Naprawdę mnie zainteresowała. - Przeniósł wzrok na Aggie. - Chcieli, bym uczył w szkole dziennej, ale oświadczyłem, że muszę pracować, więc skierowali mnie do wieczorowej. Powiedzieli, że mogę przyprowadzać na lekcje kilkoro nastolatków z The Courts.

- Ale pomysł! - zadrwiła sobie Aggie. - Chcąc ich zachęcić do nauki, musiałbyś im płacić.

- Otóż, zaraz cię zaskoczę. Przyprowadzam czworo. Jestem pewny, że już czekają na mnie pod bramą. Możliwe, że chodzą tam tylko dlatego, ponieważ po zakończeniu lekcji dostają po kubku kakao, jednak od wielu miesięcy wytrwale dotrzymują mi towarzystwa.

- To ty uczysz od wielu miesięcy? - Aggie zdumiała się po raz trzeci.

- Owszem... - Utkwił wzrok w swoich nowych butach i mruknął pod nosem: - Rzecz w tym, że ta praca uświadomiła mi, ile sam muszę się jeszcze nauczyć. Ale dopnę swego... Chcieli mnie wysłać do odpowiedniej szkoły, która doksztalca nauczycieli, jednak się nie zgodziłem. - Spojrzał na Millie. - Przekonasz się, że dopnę swego. Będę się doksztalcał samodzielnie, choć oczywiście pod jakimś kierunkiem. Może nawet kiedyś dorównam komuś takiemu jak Terrence Sponge i w niedzielę będę przemawiał do tłumu, stojąc na mównicy w parku. - Roześmiał się. - Tak czy inaczej, wszystko przede mną. Ale teraz już wiadomo, dokąd każde z nas zmierza. Mam tylko nadzieję, że sprawy ułożą się po naszej myśli. Po prostu musimy na to zapracować, prawda, Millie?

Bezgłośnie powtarzała: „Och, Ben, Ben”, bo odkryła w nim tyle goryczy. W głosie Bena dźwięczał smutek, który zagościł również w jego oczach. Gdyby tylko... Zreflektowała się. Ben powiedział przecież, że każde z nich wyrusza teraz w swoją drogę.

- Dobranoc, Aggie. Gdybym był tak przeziębiony jak ty, położyłbym się wcześniej do łóżka. Możesz już zaryglować frontowe drzwi, bo zobaczymy się dopiero rano. Oczywiście nie zapomnę zamknąć bramy.

Gdy wyszedł, pokój zrobił się dziwnie pusty, a Millie i Aggie milczały.

- Pani Aggie, Ben ma rację. Powinna się pani położyć - przerwała Millie nieznośną ciszę.

- Och, przestań już to powtarzać i nie odbiegaj od tematu. Jeśli chodzi o Bena, to uczciwie mówiąc, mogę się tylko cieszyć, że sam potrafi do wszystkiego dojść. Toteż wcale bym się nie zdziwiła, gdyby w końcu udało mu się osiągnąć to, do czego zmierza - orzekła z powagą i dodała pogodniej już usposobiona: - Rzeczywiście wydaje się w tych butach wyższy, prawda? W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi, ale od razu spostrzegłam różnicę. Zastanawia mnie, dlaczego pomyślał o tym dopiero teraz. Zdziwiająco, jak człowiek może zmienić swój wygląd, podwyższając się o kilka centymetrów. Mogłabym się założyć o szylinga, że w The Courts nie znajdzie się wielu mężczyzn dużo wyższych od Bena... Ale z drugiej strony, jakie właściwie znaczenie ma te kilka czy kilkanaście centymetrów?

## ROZDZIAŁ 7

Nie powinnam wychodzić - upierała się Millie.

- Chyba już wyjaśniłyśmy sobie wszystkie wątpliwości? I jesteś ubrana do wyjścia - obstawała przy swoim Aggie.

- Proszę się zgodzić, by wszedł tu na chwilę. Chciałby z panią porozmawiać. Tak powiedział.

- Dziewczyno. Przecież ja ledwie oddycham, a w całym domu czuć zapach olejku kamforowego i czego tam jeszcze. Poza tym jest tu jak w norze, bo nie możesz robić kilku rzeczy naraz: sprzątać, piec, otwierać bramy i opiekować się tą tłustą olbrzymką. Po prostu powiedz mu, że jestem przeziębiona i spotkam się z nim, jak tylko wydobrzeję - w przyszłym tygodniu lub wtedy, kiedy będzie mu odpowiadało. A poza tym jego najbardziej interesuje rozmowa z tobą. Chciałabym, żebyś wróciła z tego spotkania z pierścionkiem zaręczynowym... - Zerknęła na jej prawą dłoń. - Dlaczego go włożyłaś?

- Sama nie wiem - odparła Millie, spoglądając na pierścionek, który podarował jej ojciec. - Jest bardzo ładny. Żałuję tylko, że dostałam go od kogoś, od kogo... - Nie dokończyła i zaczęła zdejmować pierścionek. Gdy tak jak poprzednim razem utknął pod stawem palcowym, orzekła: - To dziwne, że z taką łatwością go wkładam, a z takim trudem zdejmuję. Znowu będę musiała posmarować go mydłem.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu kuchni stanął Ben.

- Przybył twój kawaler. Nie wpuściłem go za bramę. Możesz to zrobić sama - oświadczył prowokacyjnie.

Millie pochyliła się nad Aggie, chcąc ją pocałować w policzek, ale opiekunka w porę ją odepchnęła.

- Dziewczyno, co ty robisz? Chyba nie chcesz się zarazić? - prychnęła. - Pamiętaj, że masz wrócić około piątej, bo jak wiesz, Ben chce wyjść do miasta o wpół do szóstej. Nie mam pojęcia, dlaczego musi być taki punktualny, ale widocznie chodzi o coś ważnego. - Z wysiłkiem wciągnęła powietrze do płuc. - Ben... Chodzi o coś ważnego?

- Tak. Przynajmniej dla mnie.

Nie odsunął się, gdy Millie chciała wyjść z kuchni. Musiała się precyzyjnie i z konieczności otrzeć o jego ciało.

- Mam nadzieję, że twoi nowi przyjaciele mają dobre maniery i nauczą cię ich - rzuciła na pożegnanie, gdy wydołała się z kuchni.

Nie odwzajemnił złośliwości, więc skierowała się do wyjścia przez pokój przechodni i po chwili poczuła na twarzy zimne powietrze. Pospiesznie ruszyła do bramy.

- Przepraszam. Ben powinien cię wprowadzić do domu - powiedziała do Bernarda, otwierając bramę.

- Czy coś się stało?

- Nie, tylko pani Aggie ma straszną grypę... - Zawahała się i dodała taktownie: - Bez przerwy powtarza, że grypa jest zaraźliwa. Nie chciałaby, żebyś... wyszedł od nas chory.

- Jak dotychczas jeszcze nie miałem grypy. Jak się masz?

- Dobrze. Dziękuję. - Zerknęła na niego. - Oczywiście tęskniłam za tobą... i nie mogłam się doczekać dzisiejszego dnia.

Wzjął ją za rękę.

- Nie bardziej niż ja, moja droga. To był dla mnie bardzo długi i nudny tydzień.

Gdy znaleźli się za bramą, podbiegło do nich trzech chłopców w obszarpanych ubraniach.

- Da pan pensa?! - powtarzali, podskakując. Bernard Thompson pogroził im harpem.

- Wynoście się! Już was tu nie ma! - krzyknął. Natychmiast się rozbiegli.

- To Millie! - zawołał któryś.

- Nie! - wrzasnął inny.

- A tak. Millie! Millie! - upierał się przy swoim ten pierwszy. Nie odwróciła się i nie pomachała im, co zwykle robiła, tylko dotrzymywała kroku Bernardowi, który starał się jak najszybciej wydostać z uliczki.

- Och, jak się cieszę, moja droga, że będę mógł cię stąd zabrać - powiedział sztywno. A gdy dotarli do zajazdu i pomógł jej wsiąść do dwukółki, oświadczył przeproszającym tonem: - To nie jest pojazd odpowiedni na tę porę roku. Muszę się rozejrzeć za powozem. Wszystko w porządku, jeśli jeżdżę sam, ale ciebie nie powinienem narażać na takie zimno.

Roześmiała się.

- Pozory myślą. Wbrew temu, co może sugerować moja postura, jestem bardzo wytrzymała, wręcz twarda.

- Wio! - roześmiany, popędził konia. - Wytrzymała czy wręcz twarda. O tak. Sprawiasz wrażenie kogoś takiego. - Spojrzał na nią z ukosa. - Porządnie okryj pledem kolana. Jest dziś wyjątkowo zimno.

Wracaj do domu. Wracaj do domu - nie dawał jej spokoju jakiś wewnętrzny głos. Słyszała go wraz z każdym obrotem kół.

- Co za tłok - stwierdził Bernard, gdy wjechali do robotniczej dzielnicy, rozciągającej się wokół fabryk. - Ale zgodnie z nową ustawą w sobotę pracuje się tylko do pierwszej, co zresztą przyczynia się do wzrostu obrotów sklepów handlujących dżinem.

- Czy załatwiłeś interesy w Cheshire?

- Interesy? - Spojrzał na nią zdziwiony. - Tam nie chodzi o interesy w normalnym znaczeniu tego słowa, tylko o narady rodzinne. Niestety, nie da się zerwać rodzinnych więzi. A teraz mam w planie inną podróż: muszę odwiedzić przyjaciela. Wszystko... ci wyjaśnię, gdy znajdziemy się w domu...

Po wejściu do hallu Millie poczuła się tak, jakby od jej poprzedniej wizyty w pałacyku Bernarda minął nie tydzień, lecz dzień. Już czekała tam na jej przybycie panna Christine Lavor.

- Och, panno Millie, jak miło znowu panienkę zobaczyć! - wykrzyknęła, otwierając ramiona. - Myślałam o paniencie. Czy od razu usiądziemy do podwieczorku? Fanny już posmarowała masłem wspaniały ciemny chleb i poskładała kromki. Robiła to pod moim nadzorem. I upiekła ciasteczka z pyszną konfiturą. Och, proszę się rozebrać i oddać mi płaszcz.

Bernard roześmiał się, bo gdy ciocia Chrissie szczebiotała, on zdążył już odebrać od Millie płaszcz, który teraz, wraz z kapeluszem, rękawiczkami i torebką spoczywał na krześle.

- Ciociu Chrissie, pędź do kuchni i powiedz Fanny, żeby zaraz podała podwieczorek, bo... bo jesteśmy zmarznięci i głodni.

- Oczywiście, Bernardzie.

Gdy wyszła z hallu swoim drobnym kroczeniem, Bernard wziął Millie za rękę i wprowadził do salonu. Pospiesznie zamknął drzwi, objął ją i czule spojrzał w oczy. Zanim się spostrzegła zaczął ją całować, jednak wcale nie delikatnie, jak poprzednim razem, tylko bardzo namiętnie.

Po pocałunku oparła głowę na jego ramieniu i przez chwilę dyszała, jak po wyczerpującym biegu.

Bernard westchnął, wciąż mocno przytulając ją do siebie.

- Przez ten cały tydzień tęskniłem za chwilą w której wezmę cię w ramiona, z dnia na dzień tęskniłem coraz bardziej - powiedział cicho. Delikatnie odsunął ją od siebie i dodał: - Millie Forester, czy zdajesz sobie sprawę, jak głębokie jest moje uczucie?

- Nie, ale mam nadzieję szybko się o tym przekonać i uzewnętrznić moje własne.

- Och, Millie... - Zaprowadził ją do stołu. - Jak to wspaniale móc słuchać tego, co mówisz, i samego twojego głosu. Bo nie chodzi tylko o twoją

urodę, o tę nadzwyczaj piękną twarz czy włosy... - delikatnie dotknął palcami jej grzywki - ale także o sposób bycia i wysławiania się. I pomyśleć, że wychowałaś się w takim środowisku! Och, przepraszam cię! Przepraszam... Wiem, że nie mogę ci tego wyrzucać, a jednak nie potrafię się uwolnić od pytania, jak to możliwe, że tkwiąc w istnym bagnie społecznym jesteś taka piękna, niewinna i subtelna?

- To pani Aggie i Ben prowadzili mnie dotychczas przez życie i chronili przed złem - odpowiedziała cicho. - Bernardzie, ani przez chwilę o tym nie zapominam. Zawdzięczam im wszystko, włącznie z tym, kim jestem teraz. Gdyby nie oni, nie wiadomo, co by się ze mną stało. Jestem pewna, że coś... coś strasznego.

Kiedyś ci o tym opowiem. A teraz liczy się dla mnie tylko to, że nie zważasz na otoczenie, w jakim przyszło mi żyć.

- O tak, Millie. Absolutnie nie zważam i nigdy nie będę... I po rozmowie... - Przerwał, bo do salonu weszła ciocia Chrissie, a za nią Fanny z tacą.

Millie miała wrażenie, że przebywa tu od poprzedniej soboty, bo wszystko w tym domu działa się zgodnie z ustalonym rytmem.

Oczywiście panna Chrissie paplała tak samo jak poprzednim razem.

- Panno Millie, podoba mi się kolor tego stroju. Zawsze lubiłam zieleń. Pewnie dlatego że jako dziecko często bawiłam się na dworze. Wiosną wiałam długie łańcuszki ze stokrotek. Czy panienka to potrafi?

- Sądzę, że nie.

- Nie szkodzi. Pokażę panience, jak to się robi. Za domem rozciągają się rozległe pola. Jeszcze wśród nich nie spacerowałam, ale kiedyś wybierzemy się na przechadzkę i nauczę panienkę robić te łańcuszki. W dzieciństwie ozdabiałam nimi moje lalki. Niestety, nie wszystkie były z tego zadowolone, więc tym, które kaprysiły, mówiłam, że w życiu nie da się zadowolić każdego. Prawda, Bernardzie, że w życiu nie da się zadowolić każdego?

- O tak, ciociu Chrissie. Absolutnie się z tym zgadzam.

- Oczywiście przez jakiś czas nie będzie stokrotek, bo mamy jesień, ale szybko nadejdzie wiosna, skoro od tej chwili panienka będzie tu razem z nami.

Millie się roześmiała.

- Panno Chrissie, nie od tej chwili. Muszę wrócić do domu o umówionej porze, ponieważ Ben... To... mój przyjaciel... ma ważne spotkanie na mieście, a nasza opiekunka, pani Winkowski, jest bardzo przeziębiona. Nie byłabym w porządku, gdybym ją zostawiła samą w domu, prawda?



Odpowiadała tej filigranowej kobiecie jak dziecku, bo też ciocia Chrissie zachowywała się jak dziecko.

- Oczywiście, że nie. Nie wolno zostawiać samego nikogo, kto jest przeziębiony lub dolega mu coś innego - oświadczyła z naciskiem. - Po prostu myślałam, że od dziś panienka będzie tu mieszkała. Ale jeśli nie od dziś, to może od przyszłego tygodnia...

Millie uśmiechnęła się do niej serdecznie.

- Może od przyszłego tygodnia - powtórzyła jak echo. Była zaskoczona, gdy po chwili Bernard dał filigranowej

kobietce do zrozumienia, że powinna opuścić salon.

- Ciociu Chrissie, popędź do kuchni i powiedz Fanny, żeby posprzątała po podwieczorku. I pomóż jej w tym, bo mam Millie mnóstwo do powiedzenia. Rozumiesz mnie?

- O tak, drogi chłopcze. Pewnie, że cię rozumiem. Oczywiście, że pomogę Fanny posprzątać, choć nie pozwoli mi wycierać filiżanek, w obawie, bym ich nie stłukła.

Rozchichotana wyszła z pokoju. Bernard usiadł koło Millie.

- Jaka szkoda... - westchnął - że nie mogłem porozmawiać z panią Aggie. Tak bym chciał, żebyś została tu dziś na noc.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czeka nas wiele innych nocy...

- O tak, tak. Chodzi tylko o to, że... że wprost nie mogę się doczekać. To straszne, że widuję cię zaledwie raz w tygodniu, przez kilka godzin. Ale wszystko wkrótce się zmieni, prawda?

Uśmiechnęła się do niego.

- Mam taką nadzieję - powiedziała cicho.

Fanny pospiesznie sprzątała ze stołu, przez cały czas rozpromieniona. Gdy w końcu wzięła do rąk ciężką tacę, skinęła głową, patrząc na Millie, jakby mówiła: „Szybciej już nie mogłam”.

Millie miała ochotę podziękować jej, ale nie zrobiła tego, bo jeszcze nie była panią domu.

Po wyjściu służącej Bernard przysunął bliżej kominka małą sofę.

- Chodź tu, moja droga.

Gdy tylko Millie usiadła, objął ją i zaczął całować. Przytulał ją do siebie tak mocno, że poczuła na ciele ucisk górnego guzika od żakietu. Najwidoczniej również Bernard poczuł go przez krawat i podkoszulek, bo roześmiał się i rozpiął guzik.

- Mogłabyś zranić mi serce... - zażartował. - Czy nie jest zabawna ta paplanina cioci Chrissie o stokrotkach i kolorze twojego stroju?

- Jak rozumiem, lubi zieleń. Skrzywił się.

- Całkiem możliwe, aleja, moja droga, postanowiłem ubierać cię w inne stroje, i będą w barwie złota, w różnych jego odcieniach, żeby odpowiadały karnacji twojej skóry.

Odsunęła się od niego.

- Zatem, sir, nie podoba się panu ten strój, który mam na sobie? - spytała, nie kryjąc, że czuje się urażona.

- Och, lady, byłby absolutnie bez zarzutu na innej dziewczynie. Jest bardzo elegancki, ale nie podkreśla twojej urody. Oczywiście nie wymaga ona podkreślania, jednak fasony i barwy powinny być do niej jak najlepiej dobrane. Dopilnuję, żeby tak się stało. Kiedyś wybierzemy się do Londynu... Jakie tam są wspaniałe sklepy... Ja usiądę na obitym satyną krześle, a ty będziesz przymierzała każdą suknię, która ci się spodoba, i przechadzała się w niej, żebym mógł cię dokładnie obejrzeć. - Pomachał ręką jakby sobie wyobrażał tę sytuację.

Nie wiedziała, dlaczego odczuwa dziwny niepokój. Czyżby dlatego, że zdaniem Bernarda jej strój nie jest w najlepszym guście? Jakoś nie mogła się zgodzić z jego opinią bo miała na sobie bez zarzutu skrojony kostium z grubego samodziału w dobrym gatunku.

- Czy myślałaś kiedyś o tym, żeby wybrać się do Paryża?

- To znaczy do Francji? Nie. Ale chciałabym zobaczyć morze.

- Nie byłaś nigdy nad morzem?

- Nie.

- Och, moja droga Millie. Ile przyjemności czeka kogoś, kto może ci coś ofiarować. Na świecie jest tyle mórz i wybrzeży. A jakie piękne są plaże we Francji i we Włoszech. A sama Wenecja czy podróż statkiem do Francji...

- Byłaś we Francji i we Włoszech? - spytała zaciekawiona.

- Nie tylko tam. Spędziłem trochę czasu za granicą a przez dwa lata, od siedemnastego do dziewiętnastego roku życia, mieszkałem w Holandii. Mam tam rodzinę.

- W Holandii?

- Tak. W ubiegłym roku zaś spędziłem sześć miesięcy w... Och, Millie...

- Objął ją. - Wyobraź sobie, że razem odwiedzamy te wszystkie miejsca za granicą, gdzie ostatnio byłem... - Rozejrzał się po salonie i dodał tonem, z którego ulotniła się wszelka ekscytacja: - Co ja mówię? Obecnie nasze wyjazdy z konieczności będą raczej rzadkie. Ale czy to ważne? - Pochylił głowę do jej ucha. - Mamy przecież ten wielki dwór, ten siedmiopokojowy zamek, tę sekretną grootę, do której zawsze, kiedy tylko będę mógł, ucieknę od świata, żeby być z tobą. O tak. Kiedy tylko będę mógł. Millie, będę

spędzał z tobą każdą wolną chwilę. Och, moja droga... - Zaczął głaskać ją po twarzy. - Gdyby tylko była inna sytuacja i gdybyśmy mogli się pobrać. Zresztą rozumiesz, o co chodzi. A poza tym mamy to, co najlepsze, to znaczy bardziej swobodny związek... bez... - Widząc, że Millie odwraca się od niego, spytał zaskoczony: - O co chodzi?

Przysunęła się do drewnianego oparcia z boku sofy i ostrożnie, jakby wyślizgiwała się spod czegoś, co w każdej chwili mogło ją unieruchomić, podniosła się z siedzenia. Utkwiła wzrok w Bernardzie, który wciąż spoczywał na swoim miejscu.

- O co chodzi? - powtórzył.

Chciała mu odpowiedzieć, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Poza tym nie mogła pozbierać myśli. Bernard wstał.

- O nie. Tylko nie to - powiedział, dotknąwszy dłonią czoła. - To niemożliwe, żebyś nie rozumiała mojej sytuacji albo żeby nie rozumiała jej pani Aggie. W jej przypadku z pewnością tak nie jest. Zresztą ani ona, ani ty nie należycie do ludzi ograniczonych umysłowo. Millie! Proszę, bądź rozsądna. Weź pod uwagę wszystkie okoliczności. Dzięki temu, co proponuję, nie dojdzie do skandalu. Wszystko obmyśliłem. Kupno tego domu i sprowadzenie tu ciotki Chrissie to wynik mojego planu. Formalnie byłabyś jej opiekunką. Nikt nie wiedziałby, że może chodzić o coś innego. Millie! Proszę! Nie patrz tak na mnie i nie odsuwaj się. Stój tam, gdzie stałaś dotychczas. Wysłuchaj mnie! Kocham cię. Wszystko, co mówię, jest podyktowane moim uczuciem. Kocham cię i... ożeniłbym się z tobą nawet jutro, gdyby tylko było to możliwe. Ale... ale dawno temu zostało postanowione, z kim mam się ożenić. Gdy byłaś tu przed tygodniem, mówiłem ci o tym, że przy zawieraniu małżeństw wciąż liczą się korzystne dla obu stron koligacje rodzinne i „właściwe” potomstwo. Otóż gdy miałem osiemnaście lat, popełniłem straszny błąd i złożyłem przyrzeczenie, że ożenię się z pewną dziewczyną. To małżeństwo z rodzaju tych, które zostają postanowione, jak ja to mówię, gdy dzieci są jeszcze w kołyskach. Wychowywałem się razem z tą dziewczyną, bo to córka naszych sąsiadów. Muszę... muszę doprowadzić rzecz do końca. Zresztą nie chodzi tylko o koligacje rodzinne, ale i o interesy, bo to małżeństwo ma związek z moim chrzestnym, który zostawił mi w spadku pieniądze oraz uczynił mnie współwłaścicielem fabryki. Wszystko to łączy się ze sobą, ponieważ moja narzeczona jest... jego siostrzenicą... Millie! Podszedł do niej nieco bliżej.

- Okazałam się, jak określiłby to Ben, cholernie naiwna. - Millie nareszcie odzyskała zdolność mówienia. O dziwo, jej głos nie był ani drżący, ani jęklivy. - Od razu należało przyjąć, że nie możesz być takim

człowiekiem, za jakiego chciałam cię uważać. Wprawdzie pani Aggie powiedziała mi, iż w klasie średniej i wyższej zdarzają się mężczyźni, którzy żenią się z kobietami pochodzącymi z niższych warstw społecznych, dzięki czemu na przykład jakaś tancerka zyskuje tytuł lady, ale podkreślała, że to bardzo rzadkie przypadki.

Poczuła się zaskoczona opanowaniem, z jakim mówiła.

- Millie, moja droga, uwierz mi, że gdybym miał najmniejsze podejrzenie, że nie rozumiesz mojej sytuacji, absolutnie... nie zaczynałbym całej tej historii. To prawda. Ale sądziłem, że skoro pochodzisz z takiej... - przełknął ślinę - dzielnicy, pewne sprawy są dla ciebie oczywiste. Ani przez moment nie wątpiłem w to, że żyjąc tam, potrafiłaś uchronić swoją niewinność, ale też myślałem, iż traktujesz nasz związek realistycznie, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Oczywiście, że wiem. Miałam zostać twoją kochanką i zamieszkać tu, żeby być pod ręką, byś mógł używać mojego ciała, jeśli przyszedłby ci na to ochota. Widziałeś mojego ojca. Na tyle, na ile się orientuję, ma podły charakter, po wielu latach milczenia ponownie zjawiał się w moim życiu dopiero w ostatnich miesiącach. Natomiast moja matka umarła, gdy miałam siedem lat. Powiesiła się, ponieważ jej ciało zostało użyte. Mówię ci o tym teraz, choć zamierzałam wyjawic tę straszną prawdę dopiero po ślubie. O Boże! Masz prawo czuć się zaskoczony moją ignorancją i głupotą, ale wiedz, że nigdy, bez względu na to, jak ułoży się moje życie, nie zostanę niczyją kochanką. Nigdy! - To ostatnie słowo wymówiła tak, jakby wymierzała Bernardowi policzek. - A teraz, panie Thompson, opuszczam ten dom. Na pożegnanie chciałam powiedzieć panu tylko jedno, a mianowicie to, że obecnie przypomina mi pan syna pana przyrodniej siostry.

Słuchał, spuściwszy głowę, ale po tym ostatnim stwierdzeniu spojrzął na Millie, oburzony porównaniem go do Davida.

- Dziewczyno, nie waz się więcej mówić takich rzeczy! Nie jestem ani lepszy, ani gorszy od większości ludzi, jednak pod względem charakteru nie mam nic wspólnego z synami mojej przyrodniej siostry i z jej mężem!

Okrążyła go, zmierzając do drzwi, ale uprzedził ją i zanim tam dotarła, już trzymał dłoń na klamce.

- Millie, proszę... Postaraj się mnie zrozumieć. Oświadczam po raz kolejny, że cię kocham. To prawda - zaklinał się.

- Wobec tego proszę mi powiedzieć, co pan czuje do swojej przyszłej żony?

- To żadna tajemnica. Na swój sposób ją kocham, dzięki sympatii i życzliwości, które określają mój stosunek do niej. Jednak nigdy nie połączy

mnie z nią namiętność, jaką ty we mnie wyzwalasz. Zresztą rodzaj uczuć cementujących mój związek z tą dziewczyną z góry wyklucza taką namiętność.

- Ma pan mnóstwo czasu, żeby się przekonać, czy jest tak rzeczywiście... A teraz czy byłby pan tak łaskawy i pozwolił mi stąd wyjść?

Z wahaniem otworzył drzwi.

Millie błyskawicznie włożyła płaszcz i kapelusz.

- Nie musi się pan fatygować. Przywykłam do chodzenia pieszo - odparła, gdy chciał polecić służącemu, by zaprzęgną! konia do dwukółki.

- Bądź rozsądna! - napomniął ją ostro. - Wkrótce zapadnie zmrok. Może się zdarzyć, że nigdy nie dotrzesz do domu.

- Od lat poruszam się wśród biedoty, o czym sam pan się przekonał, więc niczego się nie obawiam.

- Poczekaj chwilę.

Chciał ją wziąć za rękę, ale była szybsza i uderzyła go w nadgarstek.

- Proszę mnie nie dotykać!

Uderzenie było bolesne, bo trzymał się za nadgarstek drugą dłonią.

Pospiesznie wzięła z krzesła torebkę i rękawiczki i wyszła na dwór, natychmiast ruszając pędem do bramy.

- Millie! Millie! - usłyszała głos Bernarda Thompsona, gdy dotarła do drogi, ale tylko uniosła lekko spódnice i halki, by łatwiej było jej biec.

Na dworze już szarzało, a ona miała przed sobą dwadzieścia minut drogi do gęściej zabudowanego przedmieścia, przez które musiała przejść, chcąc się dostać do miasta i do dzielnicy, w której mieszkała.

Nie słysząc już nawoływań, zwolniła na chwilę.

Na przemian biegnąc i idąc, pokonała jakieś półtora kilometra, gdy na dobre się ściemniło. Zziębnięta posuwała się poboczem drogi, którą z obu stron otaczały pola uprawne. Nagle spostrzegła w oddali światła jakiegoś pojazdu, a po chwili usłyszała z tyłu odgłos kopyt kłusujących koni. Odwróciła się, przekonana, że Bernard Thompson ruszył w ślad za nią swoją dwukółką.

Podczas manewru mijania na wąskiej drodze powożący zwolnili. Zmierzający w przeciwną stronę powóz przepuścił podążającą w kierunku miasta dorożkę. Nadal jechała wolno. Dorożki były do wynajęcia... Millie uczepliła się tej szansy.

- Czy jest pan wolny?! - zawołała do woźnicy.

Gdy mężczyzna zatrzymał konie i wychylił się z kozła, spostrzegła, że jest rostry i silnie zbudowany.

- Nie dosłyszałem! Niech panienka powtórzy! - krzyknął.

- Czy jest pan wolny?!

- To wprost nie do wiary! Czy jestem wolny? Mam już jednego pasażera. Muszę go spytać, czy zgodziłby się na podwiezienie panienki.

Pasażer właśnie wyglądał przez okno. Patrzył na Millie oniemiały. W pierwszej chwili pomyślał, że śni, ale zaraz uznał, że po prostu ma szczęście, a on wierzył w swoje szczęście. Miał wyjątkowo dobry dzień. Właśnie wracał od stałego klienta, dżentelmena, który mieszkał nie opodal i z którym zawarł korzystną transakcję.

Wysiadł z dorożki i przystanął obok niej.

- Jestem do usług panienki... lub pani. Czy życzy sobie panienka, żeby ją podwieźć do miasta? - spytał w sposób, jaki uważał za charakterystyczny dla dżentelmena.

- Tak... Jeśli byłby pan tak uprzejmy.

- Młoda dama nie powinna przebywać o zmroku sama na dworze, w dodatku na takim odludziu.

- Nie... nie zastałam w domu przyjaciół.

- Dokąd panienka chciałaby się dostać? - spytał woźnica.

- Jeśli... jeśli pan podwiózłby mnie do rynku, trafiłabym stamtąd do domu.

Gdy podeszła do dorożki i w świetle lamp powozu zobaczyła wyraźniej twarz pasażera, zeszywniała.

- Nie, dziękuję. Pójdę pieszo - wymamrotała, z powrotem wycofawszy się na pobocze drogi.

- Jak panienka sobie życzy - odparł obojętnym tonem. - Ale to odludne miejsce, a poza tym, chcąc dotrzeć do rynku, trzeba jeszcze przedostać się przez niebezpieczną dzielnicę. Jeśli jednak panienka czułaby się raźniej, podążając obok dorożki, to woźnica będzie jechał wolno. Chciałbym jeszcze dodać, że absolutnie nie powinna panienka się mnie obawiać. - Ku jej najwyższemu zaskoczeniu wszedł do dorożki i wychyliwszy się przez okno, powiedział do woźnicy: - Pojedź krótszą drogą, to znaczy przez Caxton.

- Ma się rozumieć, sir. Zrobię, jak pan powiedział. Dorożka zdążyła już przejechać kilkaset metrów, zanim Millie zmusiła się, by ją dogonić.

Miała pewność, że pasażer o szczupłej twarzy jest tym samym mężczyzną, który od dawna depta jej po piętach, usiłując ją uprowadzić. Nie potrafiła zapomnieć tej twarzy, choć osobnik ów starał się sprawiać wrażenie kompletnie odmienionego.

Posuwając się obok dorożki, uświadomiła sobie, że na długo przedtem zanim dotrą do gęsto zabudowanego obszaru, może ją spotkać nieszczęście, bo po obu stronach drogi znajdowały się kanały. Łatwo było wpaść do

któregoś z nich. Dla zachowania bezpieczeństwa, choć również z powodu zmęczenia, przytrzymała się resorów. Przepelniała ją rozpacz, gdyż Bernard Thompson złamał jej serce. Z równym zapalem, jak wtedy gdy wracała do domu od Quintonów, przysięgała sobie, że nigdy więcej nie będzie brała pod uwagę wyprowadzki z domu pani Aggie.

Gdy woźnica wjechał do dzielnicy szynków i sklepów, oświetlonych wiszącymi na zewnątrz lampami, Millie wydawało się, że rozpoznaje uliczkę, na której się właśnie znajdowali. Jednak szybko znowu poczuła się zdezorientowana, bo o zmroku wszystkie uliczki sprawiały wrażenie łudząco do siebie podobnych. Kiedy po jakimś czasie dorożka skręciła w szczególnie wąską uliczkę, Millie mogła się niepostrzeżenie oddalić, ale powstrzymał ją widok chodzących i stojących grupkami mężczyzn oraz wyrostków, którzy, jak wnioskowała z ich zachowania i docierających do jej uszu rozmów, byli pijani.

Dorożka oraz podążająca obok niej dziewczyna mijaly właśnie szynk, przed którym zawzięcie kłóciło się kilku osobników. I gdy jeden z nich został popchnięty, wpadł na pojazd, a chcąc utrzymać równowagę, uchwycił się Millie.

- Witaj, ślicznotko - zagadnął, pochylając się i zaglądając jej w oczy.

- Wynoś się! Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła. Słyszac kobiecy głos, do dorożki podeszli dwaj inni mężczyźni.

- Kogo my tu mamy?! O rety! Ładna sztuka i jak wystrojona, a na dodatek całkiem sama! Uczepiła się dorożki! To ci heca! Skąd się tu wzięłaś, skarbie?!

Dorożka jechała, jakby woźnica i pasażer niczego nie zauważyli.

- Zostawcie mnie w spokoju! - zawołała rozpaczliwym głosem Millie i kopnęła jednego z groźnych natrętów w tydkę.

Gdy ten obrzucił ją stekiem wyzwisk i pochyliwszy się, by jej przyłożyć, wpadł na dorożkę, woźnica zatrzymał konie, a pasażer pospiesznie wysiadł i zaczął okładać intruzów laską. Millie, przyciśnięta do koła, obserwowała całe zajście. Laska była wyjątkowo giętka, bo ze świstem odskakiwała od ciał trzech mężczyzn.

- Wsiadaj! Szybko!

Pasażer dorożki zostawił ich i chwycił Millie za rękę, widząc, że kamraci poszkodowanych zamierzają pospieszyć im z pomocą. Otworzył drzwi i wepchnął dziewczynę do środka.

- Wio! Wio! - wrzasnął woźnica i zmusił konie do truchtu. Przez chwilę grupa mężczyzn biegła obok dorożki, waląc w nią pięściami.

Millie opierała się na siedzeniu. Nie mogła złapać oddechu.

- Czuję się zobowiązany przesłać ci pieniądze na nowy kapelusz - odezwał się mężczyzna, wskazując na jej odkrytą głowę.

- Bardzo... bardzo przepraszam.

- Och, panienko, nie bądź taka strapiona. Lepiej powiedz mi, dlaczego byłaś sama na takim odludziu?

- Musiałam... musiałam pilnie odwiedzić pewnych ludzi. Nie... nie zastałam ich w domu.

- Mam w to uwierzyć?

- Nie ma dla mnie znaczenia, czy pan mi wierzy, czy też nie. Czy byłby pan tak uprzejmy i powiedział woźnicy, że chcę wysiąść przy rynku?

- On wie, dokąd ma jechać. Zapadła cisza.

Gdy mijali dobrze oświetlony sklep lub szynk, Millie widziała twarz mężczyzny, ale przez większość czasu w dorożce było niemal ciemno, bo światło lamp przyczepionych do tego tajemniczego dla niej pojazdu ledwie sączyło się do środka.

- Sądzę, że jesteśmy na rynku - przerwała milczenie, gdy koła zaturkotały na bruku.

- Niezupełnie. We właściwym czasie dowiesz się, gdzie jesteś, gdy tylko tam dojedziemy.

W dorożce znowu zapadła cisza.

Wkrótce po tej rozmowie mężczyzna wychylił się przez okno.

- Will, nie zatrzymuj się od frontu, tylko wjedź od razu na dziedziniec - wydał polecenie.

- Na jaki dziedziniec?! Proszę mi pozwolić wysiąść! - krzyknęła zdesperowana Millie.

- Zaraz wysiądziesz.

Dorożka zwolniła i dwukrotnie skręciwszy, zatrzymała się. Mężczyzna pospiesznie wysiadł i podał Millie rękę. Gdy dziewczyna stanęła na ziemi i spostrzegła, że znajduje się na otoczonym murem dziedzińcu, chciała krzyknąć, lecz stojący za nią mężczyzna zasłonił jej usta dłonią. Równocześnie przycisnął kolano do jej krzyża tak brutalnie, że odruchowo rozłożyła ręce. Wówczas drugi mężczyzna, ten, którego wcześniej wzięła za dorożkarza, stanął do niej tyłem, chwycił jej dłonie i błyskawicznie wziął ją na plecy. Już nikt nie zasłaniał jej ust, ale sparaliżowana strachem, nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Gdy została wniesiona do domu, oślepiło ją jasne światło, ale zanim jej oczy zdążyły się do niego przyzwyczaić, znowu znalazła się w ciemnościach, w korytarzu, a po chwili w kolejnym pomieszczeniu, które, o dziwo, okazało się kuchnią. Były tu dwie kobiety. Mężczyzna zręcznym



ruchem zdjął ją z pleców i posadził na krześle o wysokim oparciu. Wciąż nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko patrzyła i słuchała.

- Aż trudno w to uwierzyć - powiedział chudy mężczyzna do kobiet. - Była sama na drodze. Miałem wielkie szczęście... Neli, zajmij się nią. Jest sporo do zrobienia. A ty, Rosie, pójdz do szynku i przekaz Peterowi, że ma udać się do klubu Firmana i spotkać się z panem B.

- Z panem B.? - zdziwiła się kobieta.

- Tylko tyle. Peter będzie wiedział, o kogo chodzi. Przypomnij mu jedynie, żeby się stosownie ubrał, tak na wszelki wypadek, bo to dla niego nie nowina, jak należy wyglądać w takich miejscach.

- Ale jaką wiadomość ma przekazać temu panu B.?

- Och, tę samą co zwykle: że jest dla niego towar. Pospiesz się.

- Nie chcesz herbaty?

- Nie, Rosie. Nie chcę. Idź już. Kobieta roześmiała się.

- W porządku, możesz nie chcieć herbaty, ale nie ruszę się stąd, dopóki ci czegoś nie powiem. Otóż ta dziewczyna ma taką minę, że musisz dać jej coś na uspokojenie, bo umrze ze strachu, zanim przyjdzie tu pan B. - Znowu się roześmiała. - Gdyby tak się stało, kochanie, byłbyś wściekły, prawda?

Podszedł do niej spiesznie, udając niezadowolenie.

- Rosie, już cię tu nie ma! - popędził ją i odwrócił się do drugiej kobiety.

- Neli, zaprowadź tę dziewczynę na górę. - Ruszył do drzwi, a mijając woźnicę, rzucił: - Jesteś szybki, „dorożkarzu”. Wykonałeś ładny kawałek roboty. Możesz wprowadzić konie do stajni, bo dziś nie będą mi już potrzebne.

- Tak, szefie - powiedział usłużnie woźnica.

Millie nie opierała się, gdy Neli trzymała ją za ramiona, wyprowadzając z kuchni do hallu, w ślad za chudym mężczyzną. Kobieta trzymała ją mocno, ale nie brutalnie. Gdy doszli do podwójnych drzwi, mężczyzna je otworzył. Okazało się, że wiodą nie do pokoju, a tylko do niewielkiego pustego pomieszczenia. Zaraz jednak Millie przekonała się, że chodzi o sztuczkę, bo gdy mężczyzna przekręcił coś w ścianie naprzeciwko, natychmiast się rozsunała, ukazując następny hall. Dziewczyna miała wrażenie, że z powrotem znalazła się w domu, z którego tak niedawno uciekła, gdyż dominował tu jeden kolor, choć nie różowy, lecz ciemnoczerwony. Taki był dywan, ciężkie zasłony, obicia krzesel...

Gdy przechodzili przez ten hall, zauważyła boczne drzwi i poczuła przypływ energii, jakby wstąpiło w nią nowe życie. Wyrwała się prowadzącej ją kobiecie i zaczęła szarpać za klamkę oraz krzyczeć. Jednak zaraz zorientowała się, że jej wysiłki są daremne. Drzwi miały dwie ciężkie

zasuwy, a w dużym zamku nie było klucza, pilnująca jej para nawet więc nie drgnęła.

- Proszę mnie stąd wypuścić! Proszę! - krzyknęła z desperacją do mężczyzny.

- A dlaczego miałbym to zrobić? Sama jesteś sobie winna. Nie prosiłem cię, żebyś zatrzymywała mój powóz. - Wolno podszedł do niej i oświadczył cichym głosem: - Czekałem na ten moment od bardzo dawna. Pamiętasz mnie, prawda, od pierwszego naszego spotkania? To było dawno temu. Przez ten czas zdażyłaś dorosnąć. To niesamowite, ale aż za bardzo dorosłaś!

Jeszcze trochę, a mógłbym nie mieć z ciebie pożytku. Rozumiesz, o co mi chodzi, kochanie?

Gdy pochylił się nad nią, niewiele myśląc, uderzyła go pięścią w twarz i kopnęła kolanem w przyrodzenie. Cofnął się i zaczął coś mówić, ale jego słowa zostały zagłuszone przez głos kobiety.

- Nie do wiary! Nie do wiary! - wykrzykiwała ze śmiechem, najwyraźniej zaskoczona taką odwagą.

Mężczyzna wyprostował się i już zamierzał Millie uderzyć, ale Neli go powstrzymała.

- Chyba nie chcesz, żeby miała jakieś sińce, skoro ma się tu zjawić ten człowiek? Kara zawsze może poczekać.

Odsunął się, choć bardzo niechętnie, od Millie i odwrócił do kobiety.

- Czy mam zranioną twarz? - spytał, wodząc palcami po policzku.

- Nie. Tylko zadrapaną. Najwidoczniej dziewczyna nosi pierścionek.

Omiał nie wyrwał ręki Millie ze stawu, szarpiąc jej dłoń i oglądając pierścionek. Po chwili bluznął najgorszymi przekleństwami i wyciągnął rękę dziewczyny w stronę Neli.

- Tylko spójrz! Widzisz, co ona ma?! Nie wierzę własnym oczom!

Zaczął brutalnie zdejmować z palca pierścionek, nie zwracając uwagi, że Millie krzyczy z bólu. A gdy klejnot znalazł się w jego dłoni, zaczął nim poruszać, jakby sprawdzał blask kamieni.

- Jesteś pewny? - spytała sceptycznie kobieta.

- Pewny?! Do jasnej cholery! Znam swoje rzeczy! Miałem go przez dwadzieścia lat... Kto ci go dał? - Ścisnął Millie za ramię i powtórzył: - Kto ci go dał?

- Mój... mój... To prezent.

- Kto ci go dał? - powtórzył po raz trzeci, wymawiając z naciskiem każde słowo.

- Mój... mój... ojciec.

Po chwili puścił jej ramię i odwrócił się do kobiety.

- Niech to krew zaleje! - bluznął i znów posypały się przekleństwa. A gdy już wyładował złość, powiedział: - Słyszałaś, Neli? To ojciec dał jej ten pierścionek. To on... tak kradł. Mój

Boże! A uważałem się za zbyt chytrego lisa, by mógł mnie oszukać jakiś królik. I zamierzał mi ją sprzedać... Pamiętasz, Neli, jak o tym mówił? Sam wszystko zaplanował. Chciał ją zabrać na spacer i zwabić tu podstępem. Miał dostać trzydzieści funtów w zamian za kogoś, na kogo czekam od lat, bo przez jej matkę dużo straciłem. O Boże! Ile przez tę kobietę straciłem... - Odwrócił się do Millie. - Czy zdajesz sobie sprawę, moja nimfo w łańchmanach, że wyglądasz jak żywa kopia własnej matki? Przechytrzyła mnie, bo zdążyła się powiesić tuż przed przewiezieniem jej na statek. Mój Boże! Po tym jak musiałem zwrócić pieniądze, sam bym ją powiesił, bo sprawy nie szły tak dobrze jak teraz. Ale odzyskam te pieniądze z nawiązką, dzięki tobie! Ruszaj! - Chwycił ją za ramię i popchnął w kierunku schodów. Gdy zaczęła krzyczeć, oświadczył spokojnie: - A krzycz sobie, ile wlezie, bo i tak nikt cię nie usłyszy. Ten przyjemny dom jest wyciszony, bo przeznaczyłem go dla nieletnich, choć ty od niedawna nie jesteś nieletnia. Tym większa szkoda. Na szczęście ten mężczyzna wciąż ma na ciebie oko i dobrze mi za ciebie zapłaci. Zapłaci, zanim nawet na ciebie spojrzy. Nie mógł dopaść cię sam, a mnie się wydawało, że nie jestem w stanie wyświadczyć mu przysługi... Marsz na górę!

Millie uczepliła się balustrady schodów, więc odciągnął ją siłą i wepchnął z ostatniego stopnia do korytarza na piętrze. Gdy upadła na kolana, kobieta pomogła jej wstać.

- Chodź. Opór nic nie da - powiedziała cicho. Ten korytarz też był cały w czerwieniach.

- Chcesz numer ósmy? - spytała Neli swego towarzysza, gdy minęli troje drzwi.

- Po co tak daleko? Otworzyła czwarte drzwi.

- Poczekaj tu, złotko, dopóki nie zapalę światła - powiedziała do Millie, zostawiając ją na korytarzu.

Zapaliła dwie lampy naftowe i wciągnęła dziewczynę do środka.

- Szybko ją rozbierz. Jeśli on jest w klubie, może zjawić się tu lada chwila - polecił stojący w progu mężczyzna.

Gdy cofnął się i zamknął drzwi, Millie spojrzała na kobietę.

- Proszę mnie stąd wypuścić! Proszę! Pani Aggie ma pieniądze. Zapłaci pani. Proszę! - zaczęła ją błagać jak dziecko cichym głosem.

- Nic nie wskórasz tymi prośbami. Rozbierz się.

Gdy Neli chciała jej rozpiąć płaszcz, została odepchnięta.

- Nie! Nie! Proszę mnie nie dotykać! Nie rozbiórę się! Nie! - krzyknęła Millie płaczącym głosem dziecka i znowu zaczęła ją błagać: - Bardzo panią proszę. Jeszcze nigdy nie robiłam czegoś takiego... To znaczy, o niczym nie mam pojęcia...

- Wiem, kochanie, co masz na myśli. Wiem bardzo dobrze. Ale jesteś już dużą dziewczyną i kiedyś musi się to stać. Poza tym mogłabyś mieć znacznie gorszych niż ten, który tu dziś przyjdzie. Wierz mi. On jest w porządku. Przy nim nic się nie zdarzy. Bo z niektórymi innymi to nigdy nie wiadomo, co im przyjdzie do głowy. A on jest miły. Chce tylko trochę się pobawić. No już. Daj mi płaszcz.

- Nie!

- Więc muszę obejść się z tobą szorstko, bo nie możesz mieć na sobie ubrania. Na świecie są gorsze rzeczy niż to, co będziesz robiła w tym pokoju. To święta prawda! I powinnaś być wdzięczna losowi za to, że masz w tym wszystkim trochę szczęścia. No już!

Wprawnym ruchem odwróciła ją twarzą do siebie i w jednej chwili zdjęła jej płaszcz. Kapelusz, który od czasu ulicznej awantury wisiał z tyłu głowy Millie, z trudem utrzymując się na niemal oderwanych wstążkach, upadł na podłogę. Gdy Neli zdejmowała jej ostatnią halkę, dziewczyna już nie stawiała oporu, wyczerpana walką. Po chwili naga kuliła się na skraju łóżka, a kobieta wyrzucała wszystkie jej rzeczy na korytarz. Uporawszy się z tym, Neli wyjęła z szafki coś, co wyglądało na kusą koszulę. Istotnie była to cieniutka koszula z batystu w najlepszym gatunku. Gdy włożyła ją Millie, okazało się, że fatalaszek sięga zaledwie do kolan. Dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej i zaczęła jęczeć, ale kobieta uniosła jej podbródek i spojrzała na białą przerażoną twarz.

- Wiem, kim jesteś - szepnęła. - Dziewczyną Bena, prawda? Posłuchaj... Spróbuję mu przekazać wiadomość, że trafiłaś do tego domu, ale dziś nie mogę stąd wyjść, bo pełnię dyżur do rana. Natomiast jutro jakoś dam mu znać. Nie mam pojęcia, co on zrobi. Prawdopodobnie będzie chciał powiadomić policję, co może się okazać fatalne w skutkach, bo nie jest wykluczone, że wtedy stanie ci się coś złego. Po prostu znikniesz. Tak czy inaczej, postaram się coś zrobić.

Millie nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Kobieta pospiesznie zdjęła z łóżka jedwabną narzutę, odsłaniając elegancką pościel. U wezgłowia spoczywały poduszki, obszyte na brzegach koronką.

- Dziewczyno, wskakuj do łóżka i ogrzej się. Zaraz rozpalę ogień w kominku. - Spojrzała w jego kierunku.

Podążając za jej wzrokiem, Millie spostrzegła kominek, bo sparaliżowana strachem do tej pory nie zwracała na nic uwagi. Ale przecież miała mnóstwo czasu, by móc zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół w tym wnętrzu... dziś wieczorem, w nocy, jutro...

RS

## ROZDZIAŁ 8

Minęła siódma, a Millie wciąż nie wracała do domu. Ben spoglądał w napięciu na siedzącą na kanapie Aggie.

- Gdyby tylko była w stanie, dotrzymałaby obietnicy. Wiem to - odezwała się Aggie. - Coś musiało ich zatrzymać w drodze. Różne rzeczy mogły się zdarzyć, nawet gdy już szli tu z zajazdu, w którym Bernard Thompson zostawia swoją dwukólkę. Aha... Mówiłeś, że nie ma jej w zajezdzie...

- Otóż to. Czy przestałaś myśleć? Przecież byłem tam przed piątą, tak jak poprzednim razem, bo Millie ma takie pojęcie o życiu toczącym się poza bramą tego domu, jak Bernard Thompson o stanie bezpieczeństwa w tej dzielnicy.

- I dlatego mnie obwiniasz za to, że Millie jeszcze nie wróciła do domu?

- Nie. A w każdym razie jeśli już miałbym kogoś obwiniać, to nie tylko ciebie, ale i siebie. Dopuściliśmy do tego wszystkiego, bo chcieliśmy dla niej jak najlepiej. Uznaliśmy, że ona musi mieć zapewnione bezpieczeństwo.

- No właśnie. I nie sądzę, że byłabym w stanie zdobyć dla Millie lepszego opiekuna niż ten mężczyzna. Ben, to przyzwoity człowiek. Rozejrzyj się dokoła i pomyśl, gdzie ona się wychowała. A mimo to tak mu przypadła do gustu, że chce, by została jego żoną. Wydaje mi się, że miał wobec niej poważne zamiary od czasu, kiedy ją poznał, jak wnioskuję z tego, co ona mówi. I czekał, dopóki Millie nie ukończy szesnastu lat. Świadczy to o tym, że jest bardzo prawy.

- Mam pewne wątpliwości.

- Jakie wątpliwości? Co może je budzić? To taki szczerzy i otwarty człowiek.

- Możliwe, ale wszystko przebiega podejrzenie gładko i prosto. Aggie, spójrz prawdzie w oczy. W życiu takie rzeczy się nie zdarzają. Śpiąca królewna występuje tylko w baśni braci Grimm.

- Jakich braci? O czym ty mówisz?

- Och, to bez znaczenia.

- Tak. Ale ma znaczenie to, że martwię się o Millie.

- Nie tylko ty.

- A muszę tkwić, ledwie dysząc, w tej cholernej kuchni, zamiast wyjść z domu i rozejrzeć się po mieście.

- A dokąd byś się udała? Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

- Jak długo masz zamiar siedzieć z założonymi rękami?

- Jeszcze przez godzinę. Jeśli Millie nie wróci do ósmej, wówczas...
- Wówczas co? Co chcesz zrobić?
- Wynajmę dorożkę i pojedę do tego wspaniałego domu, w którym prawdopodobnie Millie wciąż tkwi, namawiana, by została na noc.
- Och, Ben, jak ty czarno widzisz! Od razu doszukujesz się we wszystkim czegoś najgorszego, prawda? Wciąż mnie pod tym względem zadziwiasz, bo ja uważam, że znajomość z tym mężczyzną to najlepsza rzecz, jaka mogła się Millie przydarzyć.
- Może to ty masz rację. Czas pokaże... Zagrzać ci piwa?
- Tak. I dodaj więcej niż zwykle imbiru. O Boże! - Położyła się na kanapie. - Szkoda, że jeszcze nie umarłam. Wreszcie przestałabym sobie tak dogadzać jedzeniem i trunkami. Już wtedy gdy zaczęłam to robić, byłam gruba. Jeśli miałabym więcej rozsądku czy silnej woli, potrafiłabym nad tym zapanować. Niestety, okazało się to silniejsze ode mnie. Ale zawsze w ten sposób po prostu osładzałam sobie życie.
- Aggie, o wiele groźniejsze byłoby, gdybyś się rozpiła.
- Masz rację... Gdyby to był dzin, a nie jedzenie... Ben?
- Słucham, Aggie? - Właśnie stawiał garnek z piwem na ogniu.
- Martwię się... Martwię się o różne rzeczy, a sen, jaki miałam dziś w nocy, tylko pogarsza moje samopoczucie. W tym śnie... - westchnęła ciężko - widziałam Millie w kanale.
- Piwo zaczęło kipieć i zalewać syczący ogień. Ben chwycił garnek, postawił go w schowku z boku kominka i odwrócił się do Aggie.
- Kobieto, na litość boską! Po co mi teraz opowiadasz takie rzeczy?! - spytał z pretensją.
- Nie mów do mnie takim tonem, a w każdym razie pozwól mi skończyć. Otóż nie była martwa, lecz płynęła uciepiona deski. Usiłowałam złapać deskę, ale nie udało mi się i przepłynęła obok mnie.
- Ben nalał piwo do kubka i podał go Aggie.
- Już dłużej nie będę czekał. Skoro nie ma ich do tej pory, biorę dorożkę i jadę tam. Nie będzie mnie przez godzinę lub dwie, więc leż na tej kanapie i martw się do woli, ale nie zapadaj w drzemkę i nie miej już więcej takich koszmarnych snów. Wezmę zapasowy klucz, żeby zamknąć cię od zewnątrz.
- W zajeździe nie zastał Millie i Bernarda Thompsona, a wszystkie dorożki wyjechały do miasta. Nie mógł wynająć nawet dwukółki. Pozostał tu jedynie niewielki wóz i sterany pracą kucyk, który jednak najlepiej nadawał się do takiego pojazdu. Na szczęście zwierzę nie okazało się tak stare, na jakie wyglądało, i sprawnie poruszało się w ruchu ulicznym.

Wyjechawszy z gęsto zabudowanego obszaru, Ben zatrzymał się przed sklepem i kupił kwartę piwa. Połowę wypił sam, a drugą dał kucykowi, który pochłoniął trunku w mgnieniu oka, dzięki czemu ożywił się i przebył resztę drogi kłusem. Ben wpadł na ten pomysł, ponieważ kiedyś odkrył, że Chłopczyzna chętnie pił, a po spożyciu ćwiartki trunku zwawiej ciągnął wóz.

W mroku nie było łatwo zlokalizować dworku Bernarda Thompsona. Ben musiał zdjąć z wozu latarnię i oświetlać kolejno mijane domy, aż w końcu odnalazł numer siedem. Niska brama była otwarta, więc nie musiał się zatrzymywać, tylko od razu skręcił na drogę dojazdową do domu. W pokojach na parterze paliło się światło.

Gdy zapukał do frontowych drzwi, zaraz pojawiła się w nich służąca. Spoglądała z zaskoczeniem na niskiego mężczyznę, który trzymał w ręku latarnię.

- Czy jest tu panna Forester? - spytał rzeczowo.

- Och, proszę wejść. Proszę... - Fanny otworzyła szeroko drzwi.

Z chwilą kiedy Ben znalazł się w hallu, natychmiast zdał sobie sprawę, że ten dom musiał wyrzeć na Millie wielkie wrażenie. Rzeczywiście było tu bardzo ładnie.

Jeszcze nie zdążył się dobrze rozejrzeć, gdy do hallu weszła filigranowa kobieta, przy której wcale nie wydawał się mały.

- Przywiózł ją pan? Przywiózł pan z powrotem Millie? - zaszczebotała na powitanie.

- Nie... nie, proszę pani. Myślałem, że ona tu jest. Jeszcze nie wróciła do domu. Przyjechałem... przyjechałem po nią - wyjąkał, zbity z tropu.

- O Boże! Boże! Ona jest taka nieposłuszna i nierozsądna. Prawda, Fanny? Bardzo nierozsądna. Przecież wszystko było załatwione...

- Wielka szkoda... Wielka szkoda... - zawtórowała jej służąca.

- Czego pani tak żałuje? - spytał Ben.

- Tego, że to, co zostało załatwione...

- Z tego powodu zamieszkałam w tym domu - przerwała jej swym szczebiotem filigranowa dama. - Drogi Bernard wszystko załatwił. Nie doszłoby do skandalu. Wy tłumaczył mi sytuację i znalazł u mnie zrozumienie. O tak. Millie też powinna go zrozumieć. Otwarcie przedstawił jej całą sprawę. Jak mogła sobie wyobrażać, że chodzi o coś innego? Przecież ślub był wykluczony, prawda? Wykluczony. Millie miała tu zamieszkać jako moja opiekunka i ich rzeczywisty związek zostałby w ten sposób ukryty przed światem.

Ben nie posiadał się ze zdumienia. Stał osłupiały z na wpół otwartymi ustami i pochyloną głową. A więc miał rację... Dobry Boże! A Millie



myślała, że Bernard Thompson zamierza się z nią ożenić. Aggie też tak myślała... Ba, Aggie była tego pewna. Bernard Thompson zaś interesował się Millie wyłącznie jako ewentualną kochanką. Nie zadowalała go jakaś dziwka, lecz chciał mieć za kochankę niewinną dziewczynę. Gdzie on teraz jest? - zastanawiał się Ben. Jeśli w tym domu, to zaraz go uduszę, odpowiedział sobie. O tak, bez cienia żalu. Uderzyło go, że takie określenie przyszło mu do głowy: „bez cienia żalu”. To znaczyło, że istotnie poszerzał zakres swojego słownictwa. Ale z całą pewnością uczył się czegoś więcej niż tylko nowych słów i zwrotów oraz poprawnej angielszczyzny. O tak. Miał tego świadomość.

W jego myśli ponownie wdarł się szczebiotliwy głos filigranowej staruszki.

- Bernard był niepokieszony. Biegł za nią aż do drogi... bez płaszcza i kapelusza, a nawet bez laski, ale zniknęła mu z oczu. Akurat przejeżdżał powozem pan Tyler, który mieszka w sąsiednim domu. Powiedział Bernardowi, że przed chwilą minął podążającą w stronę miasta dorożkę. Pan Tyler był zły, że jego powóz musiał zjechać na pobocze, by przepuścić dorożkę. Zauważył biegnącą wzdłuż drogi Millie, choć oczywiście nie mógł wiedzieć, kto to jest, prawda? Ale widział młodą damę. Jego lokaj, który siedział na koźle wraz ze stangretem, obejrzał się, zaskoczony, że samotna młoda dama biegnie o zmroku wzdłuż pustej drogi. Oczywiście pomyślał, że Millie wsiadła do dorożki i udała się nią do domu.

Skoro wynajęła dorożkę, to już dawno powinna być w domu, pomyślał Ben. Więc co to była za dorożka?

- Gdzie on jest? - spytał.

- Chodzi panu o Bernarda?

- Tak, o Bernarda.

- Och, Geoff spakował jego walizkę i odwiózł go na dworzec kolejowy.

Czy chciałby pan poczekać na Geoffa i porozmawiać z nim?

Nie odpowiedział filigranowej damie, lecz odwrócił się do służącej.

- Gdy wróci pan Thompson, proszę mu powiedzieć, że przyjadę tu, by się z nim spotkać. Dobrze? I proszę nie zapomnieć dodać, żeby przypadkiem nie starał się uniknąć tego spotkania.

- Oczywiście, że mu przekażę - zapewniła skwapliwie Fanny z wyjątkową powagą.

Gdy przekraczał próg domu, dobiegł go dźwięczny głos filigranowej damy.

- Jest pan bardzo nieuprzejmym młodym człowiekiem. Nie potrafiłabym pana polubić.

Mój Boże! Bernard Thompson wykoncypował sobie, że Millie rzekomo będzie opiekowała się tą kobietą, pomyślał z goryczą.

Do dziesiątej Ben odwiedzał zajazdy i inne firmy wynajmujące dorożki, ale nikt nie przypominał sobie, by wioził młodą dziewczynę.

- Chłopcze, dorożki wracają do miasta puste - powiedział mu ze śmiechem jeden z właścicieli. - Nasi klienci tu nie mieszkają.

Gdy Ben wrócił do domu, Aggie nerwowo chodziła po kuchni, sapiąc i kaszląc.

- O Boże! Gdzie ty byłeś? Myślałam, że coś ci się stało.

- Usiądź.

- Już dość się nasiedziałam. Mów, czego się dowiedziałeś.

- Usiądź, bo ja nie mogę stać.

Zajęła swoje miejsce na kanapie, a on na ławie.

- Millie zniknęła - zaczął, opierając ręce na kolanach. - I od razu musisz się z tym pogodzić, bo nic tu nie da walenie głową w mur. Nie wiem, jak to się stało i gdzie ona teraz jest, ale zniknęła.

- Ben, powiedz mi spokojnie wszystko, czego się dowiedziałeś.

- Powiem ci krótko. Millie zorientowała się, że twój drogi przyjaciel, pan Thompson, nie zamierza się z nią ożenić, lecz chce, by została jego kochanką. Wszystko zaplanował wspólnie z tą zbzikowaną małą staruszką, bo Millie miała być jej rzekomą opiekunką, by dało się ukryć romans. Teraz już wiemy, że nigdy nie zamierzał się z Millie ożenić. Twój drogi pan Thompson kupił ten dom po to, żeby móc się tam z nią spotykać.

Aggie niezdarnie położyła się na kanapie.

- I Millie zniknęła wraz z Bernardem Thompsonem? - spytała po chwili, która wydawała się długa jak wieczność.

Ben zerwał się z ławy.

- Nie, do jasnej cholery! Gdyby z nim uciekła, dowiedzielibyśmy się, gdzie przebywa. Wygląda na to, że uciekła z jego domu. Z tego, co usłyszałem, wynika, że wynajęła jakąś dorożkę.

- Dorożkę? Jakąś? - Aggie spojrzała na niego zaskoczona. - Dorożki są wynajmowane przez firmy... Byłeś...

- Byłem wszędzie, gdzie znałem, że powinienem być. Nikt nie wioził do miasta, z miejsca, w którym znajduje się dom Bernarda Thompsona, młodej dziewczyny. Poza tym każda podążająca stamtąd do centrum dorożka raczej musiałaby przejechać przez rynek. Millie zorientowałyby się, gdzie jest, i zapewne chciałyby wysiąść, gdyby tylko mogła... gdyby tylko mogła...

Z powrotem usiadł na ławie.

Spojrzawszy na wstrząsane spazmami ciało, chciał krzyknąć: „Aggie, nie płacz! Na litość boską! Uspokój się!”, ale jakoś nie potrafił. Po raz pierwszy widział, jak Aggie Winkowski płacze. Owszem, czasami drżały jej z powodu jakiegoś przeżycia usta, ale nigdy nie uroniła łzy. Czy jednak i on nie był bliski płaczu? Miał ochotę rzucić się na leżącą pod jego stopami matę, walić głową o podłogę i łkać. Tak, łkać z powodu nieszczęśliwej miłości, choć to nie dziś utracił nadzieję, że uda mu się zbliżyć do Millie. Od tak dawna niczym gąbka chłonał wiedzę, chcąc pod względem umysłowym dorównać tej bystrej dziewczynie, a nawet ją prześcignąć, by i ona mogła czegoś się od niego nauczyć... I nawet gdyby nie mógł ich połączyć głębszy związek uczuciowy, to przynajmniej mogliby rozmawiać - w domu czy na spacerze. Jednak Ben nie potrafił wyzbyć się marzeń, które sięgały znacznie dalej, bo chciał rozmawiać z Millie, trzymając ją w ramionach... Zastanawiał się, jak on i Aggie będą bez niej żyli, co po tylu latach zrobią bez tej dziewczyny. Oczywiście, gdyby wyszła za męża, musieliby pogodzić się z tym, że opuszcza ich dom, ale teraz liczyło się tylko to, co się z nią stało, jaki spotkał ją los.

Nagle Ben zerwał się z ławy, podszedł do kanapy, przyklęknął i wziął Aggie za rękę.

- Aggie, uspokój się... uspokój... - Głos mu się załamał. Wyjęła z kieszeni fartucha nieświeżą chusteczkę i wytarła twarz.

- W Biblii jest napisane, że to, czego człowiek się boi, dosięgnie go wcześniej czy później - zaczęła zbolalym głosem.

- Tylko jeden Bóg wie, jak bałam się przez te wszystkie lata, by Millie ktoś nie porwał. I stało się. Ale ktokolwiek to zrobił, Bóg nad nią czuwa. Jednak modłę się, by nie znajdowała się w rękach Boswella. - Spojrzała pośpiesznie na Bena. - Czy jest jeszcze coś, co mógłbyś zrobić?

- Jak ci mówiłem, byłem w różnych miejscach, między innymi w tych, gdzie mogłaby wysiąść, gdyby przyjechała do centrum dorożką. Dlatego uważam, że zabrał ją prywatny powóz. Wielu bogatych mężczyzn jeździ w interesach własnymi pojazdami, które wyglądają jak zwykłe dorożki. Nie byłem jeszcze w jednej dzielnicy, ale jest już w pół do jedenastej, a samo dojście tam zajmie mi pół godziny. O tej porze są tam tylko sami pijacy i ulicznice, które tylko czekają, by alfonsi wskazali im, komu opróżnić kieszenie. Oczywiście głównie spotyka to tych, którzy wpadają do ryszotków, prawdopodobnie potrącani przez tychże alfonsów. Myślę, że musimy poczekać do rana. Najpierw pójdę na policję.

Żadne z nich nie powiedziało: „Oczywiście tylko wtedy, jeśli ona do tego czasu nie wróci”, bo nie łudzili się, że tak się stanie.

- Dobrze byłoby, gdybyś porozmawiał z sierżantem Fenwickiem - odezwała się po chwili Aggie.

- Jeśli tylko go zastanę, powiem mu o wszystkim. Ale bez względu na to, z kim będę rozmawiał, wiem, co usłyszę w odpowiedzi: że są bezsilni. A tymczasem codziennie giną jakieś dzieci. Posterunkowi wiedzą o tym, lecz nic nie robią... Dasz radę przejść do sypialni czy będziesz spała na tej kanapie?

- Nie mam siły iść po schodach. Muszę tu zostać. A ty idź już do siebie i połóż się do łóżka. Sen cię pokrzepi.

- Nie, Aggie. Czuję się tak samo podłe jak ty. Nie mógłbym zasnąć. Przyniosę sobie fotel z drugiego pokoju i będę dokładał do ognia.

Uścisnęła mu dłoń.

- Ben, pozwoliłam jej wyjść z Bernardem Thompsonem w najlepszej wierze. Bóg mi świadkiem, że nawet na myśl mi nie przyszło...

- Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze - wszedł jej w słowo. - Z pewnego punktu widzenia coś takiego musiało się zdarzyć. Od początku ciąży nad nią jakieś fatum. Dlatego tak staraliśmy się ją chronić. To fatum łączy ją z jej matką...

Przerwał, bo nagle przyszło mu do głowy, że Millie, zamiast znosić okrutny los, mogła już skończyć ze sobą, tak samo jak jej matka.

Odwrócił się na pięcie i pospiesznie wyszedł do drugiego pokoju. Uniósł stary fotel, jakby to było piórko, i po chwili już stawiał go przy kominku. Pogrzebaczem przesunął oddalone bryły węgla bliżej ognia, otrzepał ręce i usiadł w fotelu. Oparł stopy o kratę i zamknął oczy. Wmówił sobie coś idiotycznego, a mianowicie że jeśli będzie udawał, że śpi, to Millie wkrótce zaśnie. Czekala go długa noc. Bał się, że wyobraźnia całkowicie wymknie mu się spod kontroli.

## ROZDZIAŁ 9

Gdy Ben przyszedł na posterunek, było jeszcze ciemno. Dyżurujący policjant zamrugał oczami na jego widok i nie starał się ukryć ziewania.

- Jaki ma pan kłopot? - spytał bez żadnych wstępów.

- Chciałbym... chciałbym zgłosić czyjeś zaginięcie.

- Proszę przedstawić sprawę. - Podsunął sobie pod nos zeszyt i poślinił ołówek. - Słucham.

- Zaginiona osoba ma szesnaście lat. Jest wychowanką pani Aggie Winkowski.

Posterunkowy ożywił się, jakby nagle przeszło mu widoczne na twarzy zmęczenie.

- Ach, ona? Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem, gdy wracała od znajomych. Ktoś widział ją jak wsiadała do powozu, który wyglądał na zwykłą dorożkę. Na tym ślad się urywa. Czekalem na nią... Miała być w domu o piątej. Sprawdziłem wszystkie firmy wynajmujące dorożki, ale absolutnie nikt nie przypomina sobie, by wiozł młodą dziewczynę.

- Ona ma jasne włosy, prawda?

- Tak. Bardzo jasne.

- I mówi pan, że mieszka u pani Winkowski, która jest lepiej znana jako...

- Nie musi mi pan tego przypominać, a poza tym ona nazywa się Aggie Winkowski - przerwał mu obcesowo Ben.

Posterunkowy spojrział na niego wyraźnie zaskoczony taką hardą postawą.

- No dobrze... - Dał za wygraną i nie wymienił przezwiska Aggie, ale okazał się ciekawski, bo spytał: - Ta dziewczyna jest córką...

- Jak powiedziałem, to wychowanka pani Winkowski.

- W porządku... - Znowu dał za wygraną i powtórzył za Benem, równocześnie notując w zeszycie: - Wychowanka pani Winkowski... - Dużo czasu zajęło mu napisanie nazwiska i głośno wypowiadał poszczególne litery. - Skoro była w odwiedzinach u znajomych czy u kogoś innego, to niech pan poda adres i nazwisko właścicieli domu.

Wyraz twarzy posterunkowego świadczył o tym, że nie zamierza zrezygnować z ustalenia tych danych.

- Elm Road, numer siedem, na przedmieściu - poinformował lakonicznie.

- Elm Road, numer siedem - powtórzył za nim posterunkowy, równocześnie notując. Nie dopytywał się o nazwisko, lecz upewnił co do

innej sprawy. - Zaginiona była widziana po raz ostatni po opuszczeniu tego domu? O to panu chodzi?

- Dokładnie o to. - Ben spojrział na niego nieustępliwie, a posterunkowy wcale nie pozostał mu dłużny. - Kiedy będzie tu sierżant Fenwick?

- Pewnie około dziewiątej.

- Czy zatem mógłby go pan powiadomić o całej sprawie i powiedzieć mu, że jeszcze tu przyjdę, by z nim porozmawiać?

- Nie zapomnę. Jak tylko się tu zjawi, zaraz go o wszystkim poinformuję - odparł posterunkowy z udawaną powagą.

- Nie ma w tej całej sprawie nic śmiesznego - zwrócił mu uwagę Ben.

Posterunkowy spojrział na niego surowo.

- Sam to wiem i lepiej niech pan zachowuje się grzecznie. Nie podoba mi się sposób, w jaki pan ze mną rozmawia.

- A mnie nie podoba się sposób, w jaki pan rozmawia ze mną. Jak tylko spotkam się z sierżantem Fen wickiem, zrelacjonuję mu przebieg tego „przesłuchania” i spytam, czy zawsze jego podwładni kpią sobie z obywateli przychodzących na policję w ważnych sprawach - odparł Ben, naśladując postawę i ton głosu pana Sponge'a, a wręcz wyobrażając sobie, że nim jest.

Skinął głową, odwrócił się na pięcie i opuścił zdumionego policjanta.

Zaczął chodzić po mieście. Najpierw krążył wokół „Reilly's” - jadłodajni Chudego i Wielkiego Joe - po czym zajrzał przez okno do środka, ale o tej porze nie było tam żywego ducha, nawet sprzątaczkę. Następnie udał się na Bale Street. Przechodząc obok domów należących do Boswella, nie potrafił nie zadać sobie pytania, czy przypadkiem w którymś z nich nie ma Millie. Z drugiej strony jakoś nie mógł sobie wyobrazić Chudego jako bywalca rezydencji znajdujących się w okolicy, gdzie mieszkał Bernard Thompson, obojętne, czy stręczyciel jeździłby tam powozem, czy dorożką. Gdy doszedł do końca ulicy, skręcił w boczną krótką uliczkę, a z niej w tę, która znajdowała się na tyłach Bale Street. Okazała się zadziwiająco szeroka i czysta, a domy w większości miały tylne bramy. Do ogradzających domy murów przylegały drewniane ustępy, które zaczęto budować od niedawna. Nieczystości były zasypywane popiołem i raz w tygodniu wywożone. Ben pomyślał z żalem, że nie ma takich klozetów w The Courts. Oczywiście w tym robotniczym osiedlu, w każdym podwórku-studni musiałyby być ich przynajmniej dwadzieścia.

Odchodząc z Bale Street, czuł się zupełnie bezradny. Nie wiedział, co zrobić. Wydawało mu się, że może poszukiwać Millie tylko na ślepo, to znaczy włócząc się po mieście bez żadnego planu.

O dwunastej wrócił do domu. Aggie nie leżała w łóżku, lecz krzątała się po kuchni. Oświadczyła, że czuje się nieco lepiej. Podgrzała rosół i paszteciki.

- Przepraszam, Aggie, ale nawet nie będę próbował jeść, bo nie przelknąłbym najmniejszego kęsa - oświadczył, gdy postawiła przed nim talerz. - Napiję się tylko piwa.

- Co robiłeś na mieście?

- Byłem tu i tam, jednak nic nie wskórałem, bo w niedzielę rano ciężko kogoś spotkać. Przeszedłem się po ulicach, na których urzędują prostytutki, ale oczywiście o tej porze żadnej jeszcze nie ma. W niedzielę pokazują się dopiero wieczorem, choć to trochę dziwne.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Chyba wynajmę wóz i pojedę do domu Bernarda Thompsona, żeby się dowiedzieć, czy już wrócił i co ma w sprawie Millie do powiedzenia.

- Nie rób rzeczy, które mogą tylko powiększyć nasze kłopoty, ale gdyby pomógł ją odnaleźć, wszystko bym mu wybaczyła. Ben... - Zniżyła głos. - Przeżywałam w życiu bardzo trudne chwile, choć można by powiedzieć, że moje życie od początku było trudne. Ale zwłaszcza w czasach młodości stale byłam wyczerpana fizycznie z powodu przepracowania, choć jeszcze bardziej cierpiałam psychicznie, między innymi z powodu mojego wyglądu. Jednak wszystko to drobiazg w porównaniu z tym, co czuję od wczoraj wieczorem. Oczywiście wiem, że ty czujesz to samo. Bez Millie nasze życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Z góry znała odpowiedź, więc on, milcząc, zdjął tylko z ławy płaszcz i czapkę.

- Wychodzę. Uważaj na siebie. Zamknę bramę.

Gdy zniknął za drzwiami, nawet nie była w stanie posprzątać ze stołu, lecz od razu położyła się na kanapie. Zamknęła oczy, złożyła dłonie i zaczęła półgłosem odmawiać modlitwy. Około drugiej ktoś zadzwonił.

- A dzwoń sobie! Dzwon, ile chcesz! - powiedziała rozdrażniona, odwracając się do drzwi. A gdy po dziesięciu minutach dzwonienie nie ustało, usiadła i dodała naprawdę już zdenerwowana: - O mój Boże! Nie dadzą człowiekowi spokoju!

Położyła się. Jeszcze nie była na tyle zdrowa, by ryzykować wychodzenie na dwór. Nawrót grypy mógłby okazać się bardzo niebezpieczny.

Okropnie się przestraszyła, gdy po jakimś czasie rozległo się pukanie do okna. Usiadła i spojrzała w tamtą stronę. Jakaś kobieta przywoływała ją kiwając dłonią, więc zwlokła się z kanapy i poczłapała do okna. Rozpoznała

za szybą twarz Annie Blackett. Zaciekawiona, czego może chcieć ta kobieta i jak się tu dostała, ruszyła przez zmywalnię do bocznych drzwi, które kiedyś wychodziły na mały ogród.

Gdy tylko otworzyła, podbiegła do niej przyjaciółka Bena.

- O co chodzi? Jak się tu dostałaś? - przywitała ją z rezerwą.

- Och... Aggie... to znaczy pani Winkowski, dzwoniłam, ale skoro pani nie słyszała, od tyłu przedostałam się na podwórze przez mur - tłumaczyła się stropiona Annie.

- Wspięłaś się na ogrodzenie? Wejdz. O co chodzi? Co się stało?

Aggie ruszyła do kuchni.

- Bena nie ma w domu, prawda? Bo gdyby był, od razu by mi otworzył... Chciałam... chciałam przekazać wiadomość, to znaczy... Czy mogę usiąść?

- Tak, tak. - Aggie wskazała ławę.

Annie przycupnęła na krawędzi ławy. Była zdenerwowana, bo czuła się tak, jakby weszła w paszczę lwu. Znalazła się w tym domu po raz pierwszy i nie wiedziała, co z sobą począć. Uderzył ją panujący tu bałagan.

- Chodzi... chodzi o Millie...

- Co z nią?! Wiesz coś o niej?

- Tak... Pani Winkowski, wie pani, że mam kuzynkę... Nellie Pratt. Nie szcycę się nią, ale to nie jest zły człowiek. Czasami mnie odwiedza... naprawdę czasami, bo... one wszystkie muszą się trzymać z dala od tej dzielnicy. Niecałe pół godziny temu wpadła do mnie jak burza i zaraz wybiegła, ale i tak zdążyła strasznie dużo nagadać... Kazała mi zawiadomić Bena, że Millie jest w środkowym domu na Bale Street, na piętrze, w pokoju numer cztery. Ale chcąc się dostać do tego pokoju, Ben musi wejść do pierwszego z domów. Nellie powiedziała, że w niedzielę nie kręci się tam zbyt wiele osób, Chudy będzie właśnie w tym pierwszym, bo tam mieszka. Drugi z domów jest wyciszony, żeby nie było słychać na ulicy krzyków, jakie się tam rozlegają. Nellie powiedziała na temat tego domu dużo więcej, ale nie wszystko zapamiętałam. W każdym razie ważne jest to, że ona będzie tam do wpół do siódmej, ale nie dłużej, bo musi wyjść. A gdy Ben przeskoczy przez mur i dostanie się do ostatniego z domów... - Złapała się za głowę. - Nie wiem, czy miała na myśli numer pierwszy czy trzeci, ale powiedziała „do ostatniego”... Nellie zostawi otwarte drzwi do kuchni. Przestrzegła przed powiadomianiem policji, bo Chudy znalazł sposób, żeby ukryć się przed policją i w razie potrzeby uciec. Jest tam zamaskowana piwnica.

Jak powiedziała Nellie, Bena może zaskoczyć rada, by nie powiadamiać policji, ale tylko tym sposobem uda się stamtąd wydostać Millie. Moja



kuzynka była bardzo zdenerwowana, bo gdyby wyszło na jaw, że powiadomiła Bena, Boswell by ją zabił. Kazała powtórzyć Benowi, że powinien przyjść jak najszybciej, bo u Millie ma się zjawić klient. Gdzie on się podziewa? - Szybko podeszła do Aggie, która całym ciężarem opierała się o stół, i spytała niepewnym głosem: - Czy dobrze się pani czuje?

Aggie wolno uniosła głowę i spojrzała na młodą kobietę, której nigdy nie lubiła. Na samą wzmiankę o niej wpadała w złość. Po raz ostatni widziała ją dawno temu. Annie była tak samo jak przed laty płaska niczym deska, ale wyglądała całkiem znośnie, czysto i schludnie.

- Nic mi nie jest, choć czułabym się raźniej, gdyby Ben był w domu. Wynajął konia i wóz i pojechał na przedmieście, gdzie wczoraj Millie została uprowadzona. Ale nawet nie zdążył dobrze wejść do domu, a już go po nią posłę. Gdybym tylko była taka silna jak kiedyś, sama bym tam poszła... Annie... - Jej głos brzmiał wyjątkowo łagodnie. - Dziękuję ci za wszystko. A jeśli spotkasz się ze swoją kuzynką, podziękuj jej ode mnie. Nie wiadomo, co jeszcze może się Millie przydarzyć, ale do końca życia będę pamiętała, że mi pomogłaś. A ona, będąc tym, kim jest, zrobiła wszystko, co mogła, to znaczy twoja kuzynka... Nie musisz ponownie przechodzić przez mur. Mój Boże! Jak ci się to udało?

- Na zewnątrz muru niektóre kamienie wystają, ale od wewnątrz ściana jest gładka. - Annie uśmiechnęła się nieśmiało.

- Za stodołą jest furtka. Dam ci klucz. Zamek jest pewnie zardzewiały, bo od lat nie otwieramy tej furtki.

Przetrzęsnęła szafkę w zmywalni i przyniosła duży klucz. Zamoczyła część otwierającą w naczyniu z jakimś tłuszczem, które stało na ławie koło kominka, i wręczyła Annie klucz.

- Łatwiej otworzysz - skomentowała.

- Mam nadzieję, że Ben szybko wróci - odezwała się Annie już na zewnątrz. - Sposób, w jaki Neli mówiła... - Utkwiła wzrok w butach, nerwowo szurając nimi po kamiennym schodku. - Co mam zrobić z kluczem, gdy otworzę furtkę?

- Przerzuć go przez mur.

Aggie wróciła do kuchni, ale nie położyła się, tylko chodziła w tę i z powrotem od drzwi do kanapy. Chodziła aż do chwili, kiedy opadła z sił i omal nie przewróciła się na kanapę. Wtedy usiadła i złożyła ręce.

- Boże, spraw, by Ben zaraz wrócił - modliła się głośno.

O szóstej do burdelu Boswella przybył klient. Został przywieziony tą samą dorożką, którą poprzedniego dnia wieczorem właściciel uprowadził

Millie. Boswell właśnie wprowadził go z pierwszego domu do hallu drugiego. Z okazji tej wizyty paliło się tu mnóstwo świec.

- Wczoraj wieczorem posłałem człowieka do pańskiego klubu, a skoro pana nie zastał, pozwoliłem sobie posłać go dziś do pańskiego domu, znając pana zainteresowanie tą dziewczyną - poinformował z uśmiechem Chudy. - Kazałem mu spytać, czy nie zechciałby pan skorzystać z naszej „dorożki”, zdając sobie sprawę, że nie byłoby dla pana wskazane przyjeżdżać tu własnym powozem.

- Masz absolutnie rację. Absolutnie. I dziękuję ci, bardzo dziękuję. Oczywiście zostaniesz odpowiednio wynagrodzony za fatygę. Masz na to moje słowo... Czy nic jej nie dolega?

- Oczywiście jest nieco zdenerwowana.

- I mówisz, że masz ją tu od wczoraj?

- Tak właśnie jest.

- Jaka szkoda! Zmarnowałem tyle czasu. - Klient uśmiechnął się.

- Otóż to, sir. Nie wiem, czy ma pan świadomość, że ona odwiedzała Bernarda Thompsona w jego domu? O tak. Bardzo się nią interesował. Powiedział mi o tym jej... ojciec.

- Wydawało mi się, że ona nie ma rodziców.

- Jej ojciec zjawiał się tu niedawno, sir. Ma za sobą długą odsiadkę. Powiedział mi, że ten młody dżentelmen zabierał ją do swojego domu.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Powinien pan.

- Więc ona ma ojca?

- Och, nie musi się pan nim przejmować. Współdziałał ze mną w tej sprawie. O tak. Bardzo współdziałał. To najchytrzejszy człowiek, jakiego znam.

- Nawet sobie nie wyobrażałem, że nadejdzie ten dzień. Wiesz, jak się nią interesowałem przed kilku laty. - Na twarzy klienta malował się zachwyty.

- Doskonale pamiętam, sir. Dlatego zastanawiałem się, czy nadal będzie się panu podobała, bo nie jest już dziewczynką. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że wyrosła na bardzo atrakcyjną dziewczynę. Naprawdę miło na nią spojrzeć. Zdecydowałem się posłać po pana, by pan ocenił, czy ona wciąż się panu podoba, bo jeśli się co do tego nie dogadamy, nie będę jej tu trzymał. Gdyby pan uznał, że ona już pana nie interesuje, to najkorzystniejsze będzie dla mnie wysłanie jej...

- Och, niech cię o to głowa nie boli. Ona wciąż mnie interesuje, tak samo jak jej przeszłość, o ile oczywiście Millie okaże się uległą.

- Może być nieco przygaszona i obojętna, bo rano byliśmy zmuszeni podać jej środek uspokajający, choć Neli powiedziała mi, że większość płynu została wylana... Zna pan drogę. Zatem zostawiam pana.

RS

## ROZDZIAŁ 10

Przerażenie, które wieczorem wprawiło Millie w stan umysłowego odrętwienia, ustąpiło wraz z nadejściem dnia. Wreszcie dokładnie obejrzała pokój. Od razu zorientowała się, że nie ma tu okna. Draperie zasłaniały nie okno, lecz zamurowany otwór okienny. Słyszała, że robiono takie rzeczy w dawnych czasach, kiedy płaciło się podatek od liczby okien. Uderzył ją też niemal zupełny brak przedmiotów. Wąskiego obramowania kominka nie zdobiły ani wazy, ani świeczniki. Tylko na umywalce stała duża miednica z chińskiej porcelany, a w niej dzban. Obok zaś leżało w mydelniczce mydło. Mosiężne łóżko miało kotary z tego samego materiału co narzuta. Zarówno w nogach, jak i u wezglowia wisiał okręcony wokół słupków baldachimu niemal metrowej długości sznur zakończony frędzlami, gruby na centymetr. Pod łóżkiem stał nocnik, a przy jednej ze ścian znajdowała się niska mahoniowa szafka z podnoszonym blatem. Millie zajrzała do środka i odkryła tam wiadro z chińskiej porcelany. Z kolei w drugiej szafce, z której kobieta imieniem Neli wyjęła wieczorem kusą koszulę, znalazła tylko dwie takie same.

Wczoraj Millie była przekonana, że strach nie pozwoli jej usnąć, a jednak zasnęła, wyczerpana płaczem, rano obudził ją zgrzyt klucza w zamku. W drzwiach zobaczyła tę samą co wieczorem kobietę, która okazała się dla niej życzliwa. Kobieta wniosła do pokoju tacę, znajdowała się na niej filiżanka herbaty, a obok talerz z plasterkiem bekonu, smażonym jajkiem, kromką chleba i kawałkiem masła.

- Czy spałeś, kochanie? - spytała z uśmiechem.

Millie nie była w stanie mówić. Usiadła, gdy taca znalazła się na jej kolanach.

- Zjedz śniadanie. Na pewno jesteś głodna. A potem umyj się i skorzystaj z porcelanowego wiadra.

- Czy... czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić? - zaczęła ją błagać Millie.

- Proszę mi pomóc wydostać się stąd, bo inaczej oszaleję. Przecież pani wie, że przez tego człowieka moja matka popełniła samobójstwo?! Ja też to zrobię, zanim jakkolwiek mężczyzna mnie dotknie... Zabiję się.

- Dziewczyno, lepiej nie mów takich rzeczy, bo on cię zwiąże, dobrze ci radzę. Zresztą musiałybyś się nieźle natrudzić, by w takim pokoju popełnić samobójstwo.

Millie ze złością zdjęła tacę z kolan i postawiła ją na łóżku.

- Nie chcę tego. Nie będę jadła.

- To zależy tylko od ciebie, ale jestem pewna, że zjesz, gdy naprawdę zgłodniejesz, a nawet jedzenie będzie ci smakowało. Mówię to wszystko dla twojego dobra. Zobaczysz, im szybciej zapanujesz nad nerwami, tym będzie dla ciebie lepiej.

- Co... co oni będą ze mną robili?

- Och... - Kobieta znowu się do niej uśmiechnęła. - Będzie tylko jeden mężczyzna. Tak się składa, że wiem, kto to jest, więc uważam, że wszystko powinno być w porządku. Jak powiedziałam ci wczoraj wieczorem, do niczego nie dojdzie, a przynajmniej nie za pierwszym razem, ale nie możesz zachowywać się całkowicie obojętnie.

Do pokoju wszedł Boswell.

Millie położyła się demonstrując w ten sposób, że nie ma ochoty na śniadanie, i patrzyła na niego, gdy podchodził do łóżka. Wskazał na tacę.

- Nie zamierzasz jeść?

- Nie. Będzie pan miał kłopoty, straszne kłopoty, jeśli wyjdzie na jaw, gdzie jestem.

- Jestem przyzwyczajony do kłopotów i zawsze sobie z nimi radzę, zwłaszcza jeśli wiążą się one z takimi małymi dziewczynkami jak ty.

Postawił tacę na jej kolanach.

Millie usiadła, chwyciła talerz i rzuciła nim w twarz Boswella. Rozległ się krzyk, lecz był to krzyk kobiety, która natychmiast stanęła pomiędzy Millie a właścicielem burdelu.

- Nie... nie możesz jej posiniaczyć, bo... bo będziesz tego żałował. Dziś przychodzi ten mężczyzna. Nie możesz jej posiniaczyć... Nie możesz... Daj jej środek na uspokojenie. Przynieś go z kuchni, a ja nakłonię dziewczynę do wypicia tego lekarstwa.

- Oj, nakłonisz! - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Bo inaczej obedrę ją ze skóry! Gdyby nie to, że on tu dziś przyjdzie, obdarłbym ją w tej chwili! Skatowałbym i wysłał na statek, gdzie szybko zaczęłaby złorzeczyć Bogu, że żyje.

Millie zaczęła drżeć ze strachu. Kurczowo zaciskała dłonie na kołdrze, obserwując Boswella, który przeszedł w nogi łóżka i rozkołysał jeden z wiszących na słupku baldachimów sznurów, po czym opuścił pokój.

- Dziewczyno, zrobiłaś coś cholernie nierozważnego. To naprawdę było najgorsze, co mogłaś uczynić - zaczęła ją strofować kobieta, pochyliwszy się do jej ucha. - Gdy on wpada w gniew, zachowuje się jak diabeł wcielony. Nie znam nikogo bardziej niebezpiecznego. Nigdy więcej nie rób takich rzeczy. Boże drogi! Nigdy... Posłuchaj. Dam ci kolejną dobrą radę... Gdy zjawi się klient...

- Nie mam żadnego klienta. Nie mam i już. Nie będę się o nic starała. Nie pozwolę, żeby ktoś używał mojego ciała.

- Milcz i słuchaj! Na litość boską, dla własnego dobra musisz być miła dla klienta i okazywać mu zainteresowanie, bo to znaczy, że będzie do ciebie przychodził i Chudy cię nie dopadnie. Jeśli klient okaże się stały i hojny, to Boswell cię nie uderzy. To wszystko, co mogę ci poradzić. Inaczej nie jestem w stanie ci pomóc. - Zaczęła zbierać z podłogi porozrzucane jedzenie. Na widok jajecznicy mruknęła: - Muszę pójść po ścierkę.

Przekreśliła klucz w drzwiach.

Wróciła z miednicą, szczotką i ścierką oraz z małym kubkiem, który postawiła na umywalce. Gdy starła plamy z podłogi, wzięła kubek i podeszła z nim do łóżka.

- Wypij - poleciła.

- Nie, nie wypiję!

- Dziewczyno, wypij dobrowolnie, bo nie chcę cię zmuszać.

- Coś dodaliście do tej wody?

- Tak, ale nie zaśniesz po tym, tylko poczujesz się lepiej. Millie wyciągnęła rękę, chcąc wytrącić Neli kubek.

- Nie waż się tego robić! Nie będę po raz drugi sprzątać. Jeśli wylejesz ten płyn, już nie uda mi się powstrzymać Boswella przed wymierzeniem ci kary.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że Millie cofnęła rękę i zaczęła szarpać pościel.

Kobieta szybkim wprawnym ruchem ścisnęła jej nos, odchyliła głowę i wlała płyn do otwartych ust i poplamiała kołdrę.

Millie zaczęła kaszleć i prychać, ale tylko niewielka strużka płynu wydostała się z jej ust.

Neli wzięła miednicę, szczotkę, ścierkę oraz kubek i wyszła z pokoju, oczywiście przekreślając klucz w zamku.

Millie leżała na poduszkach i przez kilka godzin znajdowała się w błogim nastroju. Uczucie było dziwne, ale raczej przyjemne. Zaczęło słabnąć, gdy kobieta zjawiała się z obiadem. Jednak nie osłabło na tyle, by Millie nie chciała jeść.

- To podoba mi się o wiele bardziej. Dzięki temu posiłkowi wzmocnisz swoje siły, a zwłaszcza wtedy gdy się zdrzemniesz - orzekła Neli i znowu wyszła z pokoju.

Millie posłuchała jej rady.

Gdy się obudziła, nie miała pojęcia, ile godzin przespała, bo z powodu zamurowanego okna nie wiedziała nawet, jaka jest pora dnia. Pokój

rozjaśniło tylko światło dwu lamp naftowych. W miarę upływu czasu stwierdziła, że błogi nastrój, który zawdzięczała podanemu jej środkowi, zaczyna ustępować, a jego miejsce ponownie zajmuje paraliżujący strach.

Znajdowała się już niemal na granicy hysterii, gdy kobieta wniosła do pokoju wiadro z węgłem.

- To nastąpi już niedługo - powiedziała ogólnikowo Neli. - Nie będzie mnie tu jutro, więc staraj się nad sobą panować. Rozumiesz, co mam na myśli?

Odpowiedziało jej milczenie.

Gdy tylko wyszła, Millie wstała z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju.

Kiedy po jakimś czasie rozległ się zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. Stała sztywno i kurczowo przycisnęła ręce do boków, a na widok mężczyzny, którego rodzina Quintonów nazywała „panem”, otworzyła szeroko oczy i rozchyliła usta. Miała uczucie, że włosy podnoszą się jej na głowie. Oczyma wyobraźni zobaczyła scenę sprzed ponad dwóch lat, która miała miejsce w pokoju wypoczynkowym pałacu Crane'ów-Boulderów. Czowała na swoim ciele dłoń tego mężczyzny, gdy trzymał ją i unosił w tańcu, jakby to było wczoraj. Słyszała także głos Jane, która twierdziła, że podczas tego tańca ona, Millie Forester, pokazała łydki. Przypomniała sobie również, że gdy po przyjęciu w pałacu leżała chora w salonie Quintonów i ten mężczyzna przyszedł do niej w odwiedziny - usiadł wtedy na brzegu łóżka i głaskał ją po włosach - miała uczucie wstrętu. A teraz Raymond Crane-Boulder zjawił się u niej w burdelu, do którego została wprowadzona!

- Och, Millie...

Krzyknęła przeraźliwie, bo sposób, w jaki ten mężczyzna wymawiał jej imię, był tak dziwny, że tylko potęgował strach, i uciekła w najdalszy kąt pokoju, z drugiej strony łóżka.

Jednak Crane-Boulder nie rzucił się za nią, lecz pozostał przy drzwiach.

- Nie zrobię ci krzywdy... Nigdy... - powiedział uspokajająco.

- Czy wiesz, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia? Tak, zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, gdy jeszcze byłaś dziewczynką. Jak ty od tamtego czasu urosłaś i dojrzałaś... Jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy. Usiądźmy i porozmawiajmy. Zaufaj mi, moja droga. Zaufaj, proszę. Powtarzam, że za nic w świecie nie wyrządziłbym ci krzywdy. Możemy wspaniale spędzać ze sobą czas.

Ruszył do niej, ale ledwie dotarł do łóżka, wskoczyła na nie i błyskawicznie znalazła się po drugiej stronie, zmiierzając do drzwi. On był jednak szybszy.

- Nic dobrego nie wyniknęłoby z tej ucieczki - perswadował, trzymając ją za ramiona, które drżały pod wpływem strachu. On jest na dole. Możesz wydostać się stąd tylko w jeden sposób. Muszę ci to brutalnie powiedzieć, ale... ale prawda jest taka, że wyłącznie ja mogę cię stąd wyciągnąć, wyłącznie ja... Och, porozmawiajmy...

Pociągnął Millie w stronę łóżka. Błyskawicznym ruchem wziął ją na ręce i położył na pościeli, po czym usiadł obok. Ujął jej dłonie i lekko uderzał jedną o drugą jakby miał do czynienia z dzieckiem.

- Millie... Millie... Nie boisz się mnie, prawda? Nie wolno ci się mnie bać, bo będziemy spędzali ze sobą całkiem dużo czasu. Prawda, że nie chciałabyś przebywać w tym pokoju do końca życia lub zostać gdzieś daleko wysłana, co Boswell może zrobić w każdej chwili? To nie jest miły człowiek, ani trochę miły. Ale jeśli choć odrobinę mnie pokochasz, zaopiekuję się tobą. Chcę od ciebie tylko tyle - żebyś mnie odrobinę kochała.

Opanowała ją dziwna niemoc. Nie była w stanie opierać się i krzyczeć. Czowała, że zaraz jej ciało odrętwieje, a w żadnym wypadku nie mogła do tego dopuścić. Nie mogła. Zaczęła w myślach wzywać na pomoc panią Aggie i Bena.

Ben wrócił do domu o piątej.

- Człowieku, gdzie ty byłeś? Na litość boską gdzie tak długo byłeś? - powtarzała wzburzona Aggie, ledwie stanął w drzwiach. - Wiem, gdzie ona jest. Wiem. Annie twierdzi, że nie powinieneś powiadamiać policji, ale ja się z nią nie zgadzam, bo uważam, że sam nie dasz rady wyciągnąć stamtąd Millie.

Ben wziął Aggie za ręce i zmusił, by usiadła na kanapie.

- Uspokój się! Uspokój! - krzyknął. - Opowiedz mi wszystko po kolei.

Zrelacjonowała mu to, czego dowiedziała się od Annie, najlepiej jak potrafiła.

Zanim skończyła, wybiegł do sąsiedniego pokoju, ale zaraz wrócił.

- Gdzie schowałaś ten stary nóż, podobny do korda, który zawsze trzymałaś w futerale? - spytał rozgorączkowany.

- Och, nie. Nie bierz go, bo dojdzie do morderstwa.

- Tak. I to ja mogę go dokonać. Mogę. Gdzie on jest?

- W szufladzie. - Wskazała na kredens. - Z tyłu.

Wyciągnął szufladę z takim impetem, że część sztućców spadła z brzękiem na podłogę, ale od razu spostrzegł zakrzywiony w miejscu ostrza futerał z brązowej skóry, z którego wystawała ozdobna rękojeść. Wyjął nóż z futerału i ostrożnie przesunął palcem po zakrzywionym ostrzu. Upewnił



się w ten sposób, że ani trochę nie stępiło się od dnia, w którym Aggie przed laty znalazła nóż na kupie śmieci za domem. Chciał, by mu go podarowała, jednak odmówiła. Ale teraz był w jego rękach. Zatknał go za szeroki skórzany pas i wsunął rękojeść pod szelkę.

- Bądź ostrożny i użyj go tylko w razie konieczności. Jest ostry jak brzytwa.

Miała wrażenie, że jej słowa nie dotarły do Bena, bo zanim skończyła, ruszył pędem do drzwi.

Biegł aż do Bale Street. Zdyszany, przystanął na widok świateł dorożki, która minęła trzeci z domów Boswella i skręciła w boczną uliczkę. Wówczas przekradł się za pojazdem pod otaczającym inną posesję murem. Przyciśnięty do ogrodzenia domu znajdującego się naprzeciwko domów Boswella, zobaczył przez otwartą tylną bramę nie tylko wysiadającego z dorożki mężczyznę, ale i drugiego, który stał w drzwiach od strony dziedzińca. Było ciemno, więc nie widział niczego dokładnie, jednak nie uszło jego uwagi, że woźnica swobodnie zawrócił, wyjechał z bramy i skręcił w tę samą boczną uliczkę, którą tu dotarł. Skoro zaś manewr zawracania został wykonany bez najmniejszego trudu, znaczyło to, że dziedziniec jest szeroki, zapewne jeden wspólny dla wszystkich trzech domów.

Ben zastygł w bezruchu, przyciśnięty do muru, i trwał tak, dopóki pojazd nie zniknął mu z oczu. Siłą woli zmusił się, by od razu nie wbiec przez otwartą bramę, lecz zachować ostrożność i nieco zorientować się w sytuacji. Nie wiedział przecież, ilu jest w domu mężczyzn, z którymi będzie musiał walczyć, chcąc uwolnić Millie. Gdy biegł na Bale Street, wpadł na moment do Annie, która powtórzyła mu to, co powiedziała Neli, a mianowicie, że w niedzielę rzadko zjawiają się w burdelu klienci, natomiast Boswell na ogół tam jest. Jednak nic nie było absolutnie pewne. Szczerze powiedziawszy, Ben miał nadzieję spotkać Chudego i rozprawić się z nim. Bardzo tego chciał. Stał pod murem kilka minut, gdy nagle przyszło mu do głowy, że drzwi mogą zostać w każdej chwili zamknięte, podobnie jak brama.

Przemknął przez ulicę i wszedł na dziedziniec. Jedyne punkty orientacyjne w gęstym mroku stanowiło dla niego mdłe światło, które sączyło się z okna na parterze. Uznał, że niedaleko od okna muszą być drzwi. Istotnie, posuwając się wzdłuż muru domu, natrafił na nie, ale wcale nie były tak blisko okna. Gdy zaś nacisnął klamkę, nawet nie drgnęły. Ruszył więc dalej wzdłuż muru i gdy jeszcze bardziej zbliżył się do okna, wymacał następne drzwi. Wstrzymał oddech i ostrożnie nacisnął klamkę, czując łomotanie serca. Gdy drzwi ustąpiły, zastygł na moment w bezruchu,

po czym wśliznął się do ciemnego korytarza. Na jego końcu, pod drzwiami, dostrzegł smugę światła, więc podszedł tam ostrożnie i zaczął nasłuchiwać. Gdy upewnił się, że w pomieszczeniu panuje cisza, delikatnie poruszył klamką i błyskawicznie otworzył drzwi.

Neli stłumiła krzyk. Robiła coś przy stole. Natychmiast odwróciła głowę i nie patrząc na Bena, wskazała mu drzwi prowadzące z kuchni do dalszych pomieszczeń.

- Uważaj w hallu - mruknęła pod nosem, jakby rozmawiała z kimś siedzącym naprzeciwko niej przy stole.

Ben w jednej chwili pokonał dzielący go od drzwi dystans i znalazł się w kolejnym, lepiej niż poprzedni oświetlonym korytarzu czy raczej hallu, bo z uchylonych drzwi na końcu docierało tu jasne światło. Nagle dostrzegł za drzwiami jakiś ruch, jakby ktoś tam krążył po pokoju. Błyskawicznie otworzył je na całą szerokość, a znajdujący się za nimi mężczyzna równie błyskawicznie odwrócił się w jego stronę. Zaczęli mierzyć się wzrokiem. Ben był gotowy do ataku i tylko czekał na stosowny moment, pochyliwszy się nieco, ale Boswell skoczył na niego jednym susem, niczym drapieżne zwierzę, więc obrońca Millie nie miał czasu, by wyciągnąć zza pasa nóż. Zaczął mocować się z kimś, kto miał tak ruchliwe dłonie, jakby w jednej chwili potrafił się przeistoczyć w ośmiornicę. Chudy starał się złapać Bena za gardło, tak jak Ben starał się złapać jego. Kiedy po krótkich zmaganiach silne dłonie Bena zacisnęły się na cienkiej szyi Boswella, ten zaczął go kopać po nogach, a w pewnej chwili uderzył kolanem w przyrodzenie. Ben puścił przeciwnika, jednak zdołał zapanować nad odruchem i nie złapał się za bolące miejsce, tylko wyciągnął zza pasa nóż. Błyskawicznie wy dobył go z pochwy i wycelował w gardło stręczyciela. Tracąc równowagę, wpadł na niego. Gdy Boswell runął na plecy, Ben przywalił go swoim ciężkim ciałem. Stręczyciel nie miał siły go odepchnąć. Ben wykorzystał sprzyjający moment i poderżnął mu gardło. Tryskająca z przeciętych tętnic krew omal nie zalała Benowi oczu. Zsunął się ze wstrząsanego konwulsjami ciała i przez chwilę leżał obok, z trudem łapiąc oddech. W końcu uklękął, z wysiłkiem wstał i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi znajdujących się na wprost tych, którymi wszedł. Przebywszy krótki korytarz, trafił do następnego hallu. Na widok schodów poczuł taki przyływ energii, że pokonał je kilkoma susami i skierował się do pokoju numer cztery. Pchnął drzwi i wtargnął do środka.

Na łóżku, obok leżącej Millie, sztywnej i bladej, jakby była martwa, siedział wysoki mężczyzna. Pochylił się nad nią i gładził jej ciało.

Ben wydał z siebie gardłowy krzyk i skoczył na mężczyznę niemal tak samo zwinnie jak wcześniej na niego Boswell. Ale o ile właściciel burdelu niewiele przewyższał Bena wzrostem, o tyle Crane-Boulder górował nad nim niczym wieża i działał równie szybko. Natychmiast się zamachnął, chcąc trzasnąć Bena w twarz, tak że ten nie zdążył nawet zamierzyć się nożem, zdążył natomiast przykucnąć, dzięki czemu zdołał uniknąć ciosu. Pochyliwszy się, Ben zaatakował niczym byk, uderzając głową w żołądek przeciwnika. Crane-Boulder zatoczył się do tyłu i zatrzymał w nogach łóżka. By nie upaść, uczepił się słupka baldachimu, akurat w miejscu, gdzie wisiał sznur. W mgnieniu oka rozwiązał węzeł, chwycił sznur i zamachnął się. Gdy smagnął Bena po oczach, ten przestał na chwilę widzieć. Wówczas zarzucił mu sznur na szyję i zaczął go dusić. Ben wypuścił z ręki nóż, usiłując obiema dłońmi uwolnić się od sznura. Po chwili szamotaniny potknął się i upadł na plecy. Crane-Boulder usiadł na nim okrakiem i zaczął zaciskać sznur na jego szyi. Z wysiłku, jaki w to wkładał, szczyrzył zęby, rozchyłał wargi i wytrzeszczał oczy, przez co skojarzył się Benowi z wcielonym diabłem.

Gdy Ben wtargnął do pokoju, słabość, jaka opanowała Millie pod wpływem nieopisanego strachu, natychmiast ustąpiła. Dziewczyna dźwignęła się z łóżka i stanęła obok, obserwując walkę. Ale teraz, gdy zdawało się, że siły opuściły Bena całkowicie i jest bliski śmierci, postanowiła działać. Rozejrzała się gorączkowo po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby zaatakować Crane'a-Bouldera i oczywiście jej wzrok padł na stojącą na umywalce miednicę, bo oprócz niej i stojącego obok dzbana nie było tu innych, nadających się do walki przedmiotów. Millie chwyciła miednicę w momencie, gdy Crane-Boulder rozluźnił chwyt i sięgnął po leżący na podłodze nóż. Krzyknęła przeraźliwie, bo uniósł nóż, jakby chciał z całej siły wbić go w gardło Bena. Przyskoczyła od tyłu i uderzyła Crane'a-Bouldera miednicą w głowę w chwili, gdy chybiwszy szyi, przeciął Benowi ramię. Straciła równowagę i by nie upaść, chwyciła prześladowcę swego przyjaciela za ramiona. Gdy oszołomiony uderzeniem Crane-Boulder starał się wyprostować i uwolnić od niej, błyskawicznie odskoczyła, podniosła miednicę i ponownie uderzyła go z całej siły. Tym razem miednica rozpadła się na kawałki, a na włosach Crane'a-Bouldera pojawiła się krew. Wypuściwszy z rąk resztki potrzaskanej porcelany, Millie cofnęła się chwiejnym krokiem i patrzyła, jak Raymond Crane-Boulder przechyla się na bok i osuwa na podłogę. Wydawało się jej, że trwa to strasznie długo.

Usłyszawszy rżący oddech Bena, podbiegła do niego.

- Och, Ben... Ben...

- Mili... Millie...

Z wysiłkiem odwrócił głowę i spojrzał na swoją lewą rękę. Płaszcz i koszula były rozcięte od ramienia po łokieć i zbroczone krwią, która spływała po dłoni na podłogę.

Millie pomogła Benowi wstać.

Chwiał się przez chwilę, zanim odzyskał równowagę.

- Nóż - wystękał.

Podeszła do znieruchomiałego na podłodze Crane'a-Bouldera i podała Benowi broń.

Ben spojrzał na bezwładne ciało swego niedoszonego oprawcy i wziął ją za rękę.

- Idziemy - powiedział krótko.

Gdy zmierzali w kierunku schodów, musiała go podtrzymywać.

- Ben, tu są jeszcze inni mężczyźni. Są... - wymamrotała przestraszona, gdy zeszli na parter.

- Nie, nie ma żadnego. Żadnego... Chodź - uspokoił ją. Gdy otworzył drzwi do następnego hallu, spostrzegł Neli.

Stojąc w pewnej odległości, wpatrywała się w groteskowo poskręcane i zakrwawione ciało swojego pana i władcy, którym Boswell był dla niej od lat.

- Mój Boże! Ben, rozprawiłeś się z nim ostatecznie. Mój Boże! - krzyknęła, gdy podszedł do niej chwiejnym krokiem, trzymając Millie za rękę. Po chwili dodała ostrym tonem: - Uciekajcie stąd, zanim ktoś was dopadnie i zabije!

- A co... co będzie z tobą? - spytał Ben.

- Sama potrafię się o siebie zatroszczyć. Mam już gotową historyjkę o tym, co się tu stało. - Istotnie wyglądała na opanowaną. Gdy weszli do kuchni, powiedziała do Millie, która miała na sobie tylko kuszą koszulę: - Nie możesz wyjść na ulicę w takim stroju. - Zdjęła z oparcia stojącego w rogu kuchni wysokiego krzesła coś, co wyglądało na pokrowiec, i zarzuciła Millie na ramiona. Nagle krzyknęła: - O mój Boże! - Wepchnęła Millie i Bena za trzecie spośród znajdujących się w kuchni drzwi i syknęła: - Nie ruszajcie się! I ani słowa!

Znajdowali się w jakimś schowku, bo Millie wyczuła pod bosą stopą przewróconą miotłę. Obejmowała Bena. On również przytulał ją do siebie, podtrzymując w pasie zdrową rękę. Trwali tak, słuchając dobiegającej z kuchni rozmowy.

- Och, Rosie! Jak to dobrze, że już jesteś! - krzyknęła Neli z udawanym przejęciem na widok kobiety, która przyszła do pracy na nocną zmianę. - Rozpętało się tu istne piekło. Odbili ją.

- Tę nową dziewczynę?

- Tak. Przyszło ich czterech lub pięciu... chyba pięciu. Nie jestem tego pewna, bo omal nie umarłam ze strachu. I... i załatwili Chudego.

- Co?!

- Tak. Leży sztywny jak deska. Tylko nie mów, że jest ci go żal. Nie musisz być obłudna. Nie wiem, co zrobili temu klientowi, który akurat był na górze, ale chyba też go załatwili. Niezła zgraja opryszków!

- Neli, co teraz będzie? Czy policja zostanie o wszystkim powiadomiona?

- Rosie, nie zachowuj się jak kompletna kretyńska. Jeśli zjawi się tu policja, to wiesz, co się stanie. Zlikwidują to miejsce i co ze sobą poczniesz? Jesteś już za stara, żeby znowu wychodzić na ulicę.

- Czy to była banda Wielkiego Joe?

- Nie... nie mam pojęcia. Rosie, posłuchaj... Idź do „Reilly's”. Na pewno wszyscy tam siedzą. Tylko zachowuj się zwyczajnie, jakby nic się nie stało, bo im mniej osób będzie o wszystkim wiedziało, tym lepiej dla nas. Po cichu wywołaj Teda. Pamiętaj, teraz to on jest naszym szefem. Niech weźmie ze sobą Mike'a i Sonny'ego. Powiedz mu... Powiedz tylko, że przysłała cię Neli, bo jest jakiś kłopot i chce, by każdy przyszedł tu osobno. Ted będzie wiedział, o co chodzi. No idź już i przestań tak drzeć. Wszystko będzie dobrze. Ważne jest tylko to, by nikt niepowołany nie odkrył tu zwłok Boswella. Trzeba wynieść je stąd jak najszybciej i udawać, że został zabity na mieście. Jeśli chodzi o tego klienta, to nie wiem, co należy z nim zrobić, ale myślę, że to samo co ze zwłokami Chudego. Idź już.

Po długiej chwili wypuściła ze schowka Bena i Millie.

- Na litość boską! Zmykajcie stąd jak najszybciej i wracajcie do domu okrężną drogą. Och, dziewczyno, muszę ci dać jakieś buty! - Pospiesznie przyniosła stojące w rogu kuchni stare pantofle i wsunęła je na stopy Millie.

- Są na ciebie za duże, ale lepsze takie niż żadne. A teraz znikajcie! Szybko! Gdyby zastał was ktoś z bandy Boswella, od razu byłoby po mnie, bo uznałby mnie za waszą współniczkę, ponieważ można tu wejść tylko przez tę kuchnię. - Ruszyła z nimi do drzwi i wypchnęła ich na dziedziniec. - Trzymajcie się bocznych uliczek, bo inaczej ściągnięcie na siebie uwagę przechodniów lub nawet policji. Ty, Ben, krwawisz, a strój Millie...

Po wyjściu z jasno oświetlonej kuchni nie mogli przez chwilę przyzwyczaić się do panującego na dziedzińcu mroku.

- Trzymaj się mojego płaszcza - powiedział cicho Ben i ruszył pod murem domu w kierunku ogrodzenia.

Gdy wydostali się z dziedzińca przez wciąż otwartą bramę i doszli boczną uliczką do Bale Street, na nowo ogarnął ich lęk, bo w świetle latarni byli całkiem dobrze widoczni. Ben przyspieszył, choć nadal nieco się słaniał, a Millie dreptała obok niego w za dużych pantoflach, uważając, by ich nie pogubić. Na szczęście w niedzielę wieczorem po mieście kręciło się mało ludzi, a boczne uliczki były wręcz wyludnione, jeśli nie liczyć stojących w bramach młodocianych chuliganów. Jednak nie stanowili oni dla Millie i Bena zagrożenia, gdyż wygląd tej pary sprawiał, że brali dziewczynę i towarzyszącego jej młodego mężczyznę za takich samych jak oni.

Gdy w pewnym momencie Ben oparł się całym swym ciężarem na ramieniu Millie, podtrzymała go, wyważając siły i nie dopuszczając, by osunął się na ziemię.

- Och, Ben, tylko się nie przewróć - powiedziała cicho i podprowadziła go pod mur, żeby mógł się oprzeć. A kiedy stanął ze spuszczoną głową której nie był w stanie unieść, odezwała się błagalnym głosem: - Ben, jeszcze trochę wysiłku. Jesteśmy już blisko domu...

Mruknął coś pod nosem i siłą woli zmusił się do dalszego marszu.

Millie otworzyła bramę ogrodzenia domu pani Winkowski i ruszyli przez podwórze do otwartych i oświetlonych drzwi frontowych.

Aggie musiała tam stać od jakiegoś czasu, bo niezdarnie wybiegła dziwnej parze na spotkanie.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Chłopcze, co ci jest? Co ci się stało?

- Aggie, wejdźmy do środka - powiedział z wysiłkiem. Gdy dotarli do kuchni, zobaczyła w świetle lampy, jak naprawdę oboje wyglądają i z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Boże drogi! Boże drogi! - krzyknęła, kiedy Millie zdjęła z bosych stóp cudze, za duże pantofle, a następnie zrzuciła na podłogę okrywający ją materiał i okazało się, że ma na sobie tylko wyzywającą kusą koszulę. Gdy zaś dziewczyna, nie bacząc na swój strój, rzuciła się jej w ramiona, przytuliła ją i kołysząc, powtarzała: - Moje dziecko! Moje biedne dziecko! Bóg ich za to ukarze! Wszystkich!

Z oczu Millie płynęły łzy.

- Pani Aggie, gdyby nie Ben... gdyby nie Ben...

To przypomniało Aggie, że natychmiast należy się nim zająć. Podeszła do ławy, na której usiadł, gdy tylko znaleźli się w kuchni, i z przerażeniem spojrzała na rozerwany i zakrwawiony rękaw płaszcza.

- Boże drogi! Ben, rozbierz się, musimy obejrzyć ranę. Gdy pomagała mu zdjąć płaszcz, nawet nie westchnął, ale kiedy oderwała przylepiony do rany rękaw koszuli, jęknął z bólu i spojrzał na swoją rękę.

Aggie i Millie wpatrywały się w głęboko przeciętą tkanekę z najwyższym niepokojem.

- Musi przyjść lekarz i założyć szwy - orzekła Millie.

- Mało brakowało, a dźgnąłby cię w gardło i byłoby po wszystkim - wymamrotała Aggie. - Mój Boże! Jaki kawał ciała przeciął.

- Moim własnym nożem, który zresztą świetnie spełnił swe zadanie w przypadku Boswella - pochwalił się Ben.

- Boswell ci to zrobił?

- Nie, nie. Wykończyłem go tym nożem, zanim przedostałem się na piętro, gdzie spotkałem pewnego dżentelmena... Millie, co zrobiłaś z nożem?

- Schowałam go do kieszeni twojego płaszcza. - Wyjęła nóż. - Jest tutaj.

- Jakiego dżentelmena spotkałeś? - dopytywała się Aggie. Ben spojrzał na Millie.

- To był pan Crane - odparła dziewczyna, spuściwszy głowę.

- To znaczy Crane-Boulder?! Ten, w którego pałacu byłaś na przyjęciu? - upewniła się Aggie.

Millie milczała, tylko jeszcze bardziej spuściła głowę.

- O mój Boże! O mój Boże! Kiedy do ciebie przyszedł? Kiedy?

- Pani Aggie, proszę... - Dziewczyna zakryła twarz dłońmi i chwiejąc się na nogach, dodała: - Wszystko... wszystko pani opowiem, ale później, bo teraz... - stanęła sztywno, starając się uspokoić - musimy opatrzyć ranę Bena. Trzeba ją zabandażować. Czy... czy mogę wziąć prześcieradło?

- Oczywiście. Masz dość siły, żeby wspiąć się po schodach? Nic ci nie jest? I czy możesz coś na siebie włożyć? - Aggie zarzuciła ją pytaniami.

Gdy Millie bez słowa wybiegła z kuchni, gospodyni postawiła na ogniu kociołek z wodą.

- Najpierw trzeba ranę oczyścić... Och, chłopcze, to prawie cud, że uszedłeś z życiem, a Millie wróciła do domu - powiedziała z ulgą.

- Święta prawda, Aggie - potwierdził słabym głosem Ben. - Święta prawda... Daj mi kapkę czegoś mocniejszego...

- W jednej chwili, chłopcze. Ciągłe nie mogę się po tym wszystkim pozbierać i skupić myśli.

Podeszła do półki w rogu kuchni, gdzie zawsze trzymała butelkę dżinu, i nalala pełny kieliszek.

Ben wypił jednym haustem i nawet się nie otrząsnął.

- Postaram się o whisky... o whisky dla ciebie, chłopcze. I nie siedź na ławie, tylko połóż się na kanapie.

Ben nie dał się dwa razy prosić, lecz natychmiast podszedł do kanapy.

- Połóż się odwrotnie, żeby był dostęp do twojej zranionej ręki. Przenieś poduszki.

Gdy spoczął i wyciągnął rękę wzdłuż krawędzi kanapy, krew z poruszonej wcześniej rany zaczęła spływać po palcach na podłogę. Aggie zdjęła z wieszaka ścierkę i mocno okręciła nią dłoń Bena.

Millie wróciła do kuchni ubrana w suknię i krótki wełniany zakiet. Na gołe nogi włożyła swoje własne pantofle. Od razu zaczęła drzeć na pasy przyniesione z sypialni prześcieradło, podczas gdy Aggie przemywała głębokie nacięcie na ręce Bena, które zaczynało się na ramieniu, a kończyło tuż nad łokciem. Wprawdzie robiła to delikatnie, ale co chwila moczyła koniec ręcznika w gorącej wodzie, co przyprawiało Bena o taki ból, że przez cały czas zaciskał zęby.

- Trzeba ją mocno zabandażować - odezwała się Millie, widząc, że pod wpływem ciepła rana zaczyna mocno krwawić.

- Masz rację - potaknęła Aggie.

Właśnie skończyły, gdy ktoś zapukał do frontowych drzwi.

- Wiem, kto to jest... to Annie - odparł z wysiłkiem Ben, widząc malujący się na twarzy Millie strach.

Gdy Aggie otworzyła, istotnie przed drzwiami stała Annie, a obok niej mężczyzna z latarnią w ręku.

- Pani Winkowski... Chciałam się tylko dowiedzieć, czy Ben wrócił. Pan Burton był tak miły, że zechciał mi towarzyszyć.

- Wejdz... Wejdzcie - zaprosiła ich Aggie. Zamknąwszy drzwi, dodała: - Wrócił, ale w jakim stanie... Zresztą sami zobaczycie.

- Było gorąco, co? - odezwała się Annie, pochylając się nad mężczyzną, który był jej przyjacielem, ale wobec którego żywiła głębsze uczucia.

- Cholernie gorąco, jednak dzięki tobie i Neli Millie wróciła do domu.

Annie spojrzała na stojącą przy stole piękną, choć może nieco zbyt szczupłą dziewczynę o poblądłej twarzy, która jeszcze jako dziecko zdobyła serce Bena, na dziewczynę, która zmieniła Bena z jej, Annie, kochanka w przyjaciela.

- Mam nadzieję, że przyszedłeś tam w samą porę - powiedziała cicho.

- Annie, ja też mam taką nadzieję...

- Czy rana jest poważna?

- Tak. Ten mężczyzna okazał się groźnym przeciwnikiem. Annie odwróciła się do Aggie.



- Pan Burton zajmuje się wypadkami przy pracy w fabryce, takimi, które nie wymagają interwencji lekarza. Może mógłby pomóc... Alfredzie, czy mógłbyś obejrzeć ranę Bena?

- Tak, ale tylko dlatego, żebyście nie poczuli się zawiedzeni moją odmową, bo ja nic tu nie poradzę.

- To bardzo miło z pana strony, jednak przed chwilą zabandażowałyśmy Benowi rękę. Myślę, że lekarz musi założyć szwy - odmówiła grzecznie Aggie.

- Jeśli cięcie jest głębokie, trzeba to zrobić jak najszybciej - oświadczył Alfred Burton.

- Pewnie tak, ale nie wydaje mi się, by stary Partridge chciał się fatygować po nocy, choćby do samej królowej, bo to święta prawda, co mówią o nim ludzie, że po zapadnięciu zmroku robi się sztywny jak paralityk - odpowiedziała mu Aggie.

- Niedawno wziął sobie do pomocy młodego lekarza - poinformował Alfred Burton. - Dobry człowiek z tego nowego. Przychodzi do chorych w The Courts i nie krzyczy od progu, że należy mu się pół szylinga. A jeśli ktoś nie ma pieniędzy, to zgadza się poczekać, nie tak jak stary Partridge. Ten młody przyszedłby tu dziś bez wahania.

- Odłóżmy to do jutra. Nie będzie za późno - wmieszał się do rozmowy Ben. - Teraz chcę tylko... spać. - Zamknął oczy. - Dziękuję ci, Annie. Nie zapomnę ci tego, co zrobiłaś, do końca życia.

Annie pospiesznie ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się obok Millie.

- Bardzo się cieszę, że znowu tu jesteś.

- Powtórzę za Benem, że nie zapomnę ci tego, co zrobiłaś, do końca życia. O tak - podziękowała jej Millie.

Annie odwróciła się w milczeniu.

- Dobranoc - pożegnał Millie Alfred Burton.

- Dobranoc panu.

Gdy Aggie wyszła odprowadzić gości, Millie zbliżyła się do kanapy i przyklękła obok Bena. Delikatnie dotknęła jego zabandażowanej ręki, którą złożył na piersiach.

- Och, Ben... Nawet nie mam odwagi myśleć o tym, co by się ze mną stało, gdyby Annie nie powiedziała ci, gdzie jestem.

- A raczej gdyby Neli nie przyszła do niej i nie przekazała jej wiadomości dla mnie - odparł, nie otwierając oczu. - Zawsze musimy pamiętać o Neli. Słyszysz? Zawsze pamiętaj o Neli. A teraz bądź posłuszną dziewczynką i idź spać.

Wchodząc do kuchni, Aggie usłyszała jego ostatnie słowa.

- Ben ma rację. Połóż się do łóżka, a jutro porozmawiamy - poparła go. Millie stanęła przed Aggie.
- Czy szybko przyjdzie pani do sypialni?
- Szybko, ale przez chwilę chciałabym zostać z Benem... Wyciągnęła rękę w stronę znieruchomiałego na kanapie ciała i omal nie straciła równowagi, bo Millie znowu rzuciła się jej w ramiona.
- Pani Aggie, wciąż się boję... Proszę już nigdy nie pozwalać mi wychodzić z tego domu bez pani lub bez Bena... Nie... nie chciałabym kiedykolwiek wyprowadzać się z tego domu... Nigdy... nigdy...
- Dziewczyno, opanuj się! Opanuj. Nie musisz się już niczego bać. Idź na górę. W tym domu jesteś bezpieczna. Nikt nie może mnie przechytrzyć i wśliznąć się tu niepostrzeżenie.
- Millie stanęła na palcach i pocałowała ją w policzek, a następnie podeszła do Bena i delikatnie pogłaskała go po twarzy. Gdy wyszła z kuchni, Ben otworzył oczy i spojrzał na Aggie.
- Wślizną się tu, jeśli tylko się dowiedzą że to ja zabiłem ich szefa i że ta subtelna dziewczyna zrobiła to samo z ich bogatym klientem. Właśnie to stało się dziś wieczorem. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, nie sposób w to uwierzyć, prawda? No i możemy zostać powieszoni za zabicie dwóch okrutnych szkodników, bo nie byli nikim więcej. Patrząc na Boswella, widziałem tylko wielkiego szczura, których pełno w kanałach. Wielkiego szczura...
- Lepiej śpij, chłopcze - przerwała mu Aggie. - Już mamy to wszystko za sobą. Teraz będzie inaczej.

## ROZDZIAŁ 11

Aggie zaczęła się martwić, bo Ben dostał w nocy gorączki. Coraz bardziej niecierpliwie czekała na lekarza, który miał zjawić się lada chwila. Gdy rozległ się dzwonek, przeszła z kuchni do frontowego pokoju i wyjrzała przez okno, bo nie chciała otwierać nikomu obcemu. Ale gdy spostrzegła przed bramą Fenwicka, nie zeszła od razu na dół, tylko w pośpiechu wróciła do kuchni.

- Ukryj rękę Bena pod kocem, bo to sierżant - poleciała Millie.

- Powiem mu, że Ben się przeziębił, gdyż nikt tak szybko jak ten policjant nie kojarzy ze sobą różnych faktów. Dobry człowiek z tego sierżanta, ale musi czuwać nad przestrzeganiem prawa.

Począpała do drzwi i po chwili była już na podwórzu - poczuła na twarzy lodowate powietrze.

- No! No! Wcześniej pan przyszedł. Co zrobiłam tym razem? - zażartowała, otworzywszy bramę.

- Nic, a może jeszcze o czymś nie wiem. Jak się masz, Aggie?

- Właśnie się wylizałam ze strasznego przeziębienia, ale zaraziłam Bena. Biedaczysko, kiepsko się dziś czuje. - Gdy ruszyli przez podwórze, spytała: - Z czym pan przychodzi?

- Mam dla was wiadomość, choć nie wiem, czy was zasmuci, czy raczej ucieszy.

- Skoro tak, to proszę wejść i powiedziec nam, o co chodzi. Gdy znaleźli się w domu, zaryglowała drzwi i zaprowadziła go do kuchni.

Spojrzał na buzujący w kominku ogień, a następnie na przykrytego po uszy Bena i na Millie.

- A więc znalazłaś się? - zagadnął i odwrócił się do Bena. - Przepraszam, ale dopiero dziś przekazano mi twoje zgłoszenie. Wczoraj miałem wolne i posterunkowy powinien ci być o tym powiedzieć. Udzieliłem mu reprimendy, ostrej reprimendy, bo poza tym jego obowiązkiem było powiadomić o wszystkim dyżurującego wczoraj sierżanta. - Spojrzał na Millie. - Co ci się przydarzyło?

- Poblądziła, wracając od znajomych - odpowiedziała mu Aggie, zanim Millie zdążyła otworzyć usta. - Na szczęście spotkała jedną z nauczycielek ze szkoły wieczorowej. Ta dobra kobieta zabrała ją do siebie i przenocowała. Nie było możliwości, by nas o tym powiadomić. Gdy wczoraj Millie zjawiła się w domu, powiedziałam jej, co o tym myślę, bo jak można dopuścić, by ktoś martwił się tak przez całą noc jak ja i Ben.

Sierżant spojrział na Millie surowo.

- Wyglądasz bardzo mizernie, jakby rzeczywiście Aggie ostro cię skarciła. A może też się przeziębiłaś?

- Grypa jest... zaraźliwa - odpowiedziała niepewnie.

- Przyszedłem, żeby was o czymś powiadomić, choć w zasadzie dotyczy to tylko ciebie i nie mam pojęcia, jak przyjmiesz tę informację.

Gdy Millie kurczowo złapała się za szyję, Ben usiłował przekręcić się na bok, patrzył na sierżanta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale Aggie mu przeszkodziła. Podeszła do kanapy i podciągnęła mu pod brodę koc, który zsunął się nieco, odsłaniając tors.

- Cokolwiek to jest, leż spokojnie. Leż spokojnie - przywołała go do rozsądku.

- Twój ojciec nie żyje - powiedział do Millie Fenwick. Odjęła dłoń od szyi i zacisnęła palce na krawędzi stołu, jakby pomagało jej to zachować równowagę.

- Nie sądzę, żebyś ostatnimi czasy żywiła wobec niego jakieś głębsze uczucia, ale z drugiej strony w sprawach rodzinnych nigdy nic nie wiadomo. Więzy krwi to więzy krwi - ciągnął sierżant.

- W jaki... w jaki sposób do tego doszło? - spytała Aggie.

- Powiedziałbym, że w okropny. Zwłoki Reginalda Foreстера zostały znalezione w kanale. Sądzymy, że został pobity i wepchnięty do wody, nie chodziło chyba o kradzież, bo w kieszeniach surduta znaleźliśmy tylko kilka szylingów i różne drobiazgi, które być może Millie chciałyby zatrzymać, jak na przykład dwie ozdobne brosze... Ciało znajdowało się w kanale niezbyt długo, nie od kilku dni, tylko raczej od kilkunastu godzin. Jeden z moich podwładnych rozpoznał po bliźnie na twarzy, że to Reginald Forester. Gdyby nie ona, nie byłibyśmy w stanie ustalić tożsamości ofiary. Później udało mi się potwierdzić, że istotnie chodzi o tego samego mężczyznę, który utrzymywał, że jest twoim ojcem.

Millie usiadła na krześle, a Ben znowu usiłował przekręcić się na bok i odwrócić w stronę sierżanta.

- Dziś w nocy znaleziono nie tylko jego zwłoki - ciągnął sierżant.

Słyszając to, Ben zastygł w bezruchu.

- Otóż nie żyje również Boswell. W jego przypadku jesteśmy całkowicie pewni, że ktoś go zamordował, bo ma poderżnięte gardło. Oczywiście wiele osób ubolewa tylko nad tym, że ktoś nie zrobił tego wcześniej. Ben? Co ty na to? Nigdy za nim nie przepadałeś, prawda?

Ben westchnął ciężko.

- A czy pan zna kogoś, kto za nim przepadał?

- Trafne pytanie... Znalaziono jeszcze trzeciego człowieka, ale nie był martwy, tylko nieprzytomny. Aktualnie przebywa w szpitalu. To bardzo znany właściciel fabryki pan Crane-Boulder. Ktoś musiał uderzyć go w głowę, gdy wyszedł ze swojego klubu, bo znaleziony został w pobliżu, w bocznej uliczce. Wszystko na to wskazuje, że chodziło o rabunek, gdyż miał na sobie tylko spodnie i surdut. Zabrano mu nawet buty. Dziwne, że wszystkie trzy wypadki zdarzyły się mniej więcej w tym samym czasie.

I ciekawe są związki łączące Boswella z panem Crane'em-Boul-derem. Otóż wiele osób wiedziało, że pan Crane-Boulder odwiedzał Chudego w domu i korzystał z usług jego „firmy”, a także z usług podobnej „firmy”, której właścicielem jest człowiek znany jako Wielki Joe. Jeśli zaś wziąć pod uwagę wszystkie znane w mieście osobistości, które lubią perwersyjne rozrywki, to nasze więzienia powinny być pełne. Co na to powiesz, Aggie?

- Sierzancie, pan wie najlepiej... Te sprawy należą do policji, czyli do pana... Ale nie jestem obłudna, więc powiem, że w końcu Boswell dostał za swoje. A co do tych, którzy odwiedzają takie miejsca jak domy Boswella, to choć może to dziwić, uważam, że nie są ani odrobinę lepsi od niego.

- Zgadzam się. A co do Crane'a-Bouldera... Jeśli odzyska przytomność, to przedstawi nam przebieg zdarzeń. Co najmniej dowiemy się tego, kto go uderzył, jeśli oczywiście zdołał zobaczyć napastnika.

- O mój Boże! - krzyknęła Millie i oparła głowę na stole. Aggie natychmiast do niej podeszła i objęła ją.

- Kochanie, idź do sypialni i połóż się na chwilę.

- Przepraszam, ale to z powodu mojej gadaniny o tych morderstwach - zaczął się kajać sierżant. - Młodzi ludzie są tak mało odporni. A poza tym w ogóle nie powinienem był o tym mówić, bo gdy tylko stanąłem w progu, uderzyło mnie, że Millie wygląda bardzo mizernie. Już sobie pójdę, dość już zamieszania narobiłem, ale zjawię się tu niebawem. Chciałbym przynieść Millie rzeczy po ojcu... to znaczy to, co naszym zdaniem mogło do niego należeć... Ben, życzę ci, żebyś jak najszybciej doszedł do siebie. To okropne złapać grypę... Aggie, nie musisz mnie odprowadzać do bramy.

Ledwie ruszył do drzwi, gdy zadzwonił dzwonek.

- Od rana masz gości. - Uśmiechnął się do Aggie.

- To na pewno lekarz.

- Lekarz? - spytał zaskoczony.

- Do Bena.

- Z powodu grypy? Nie do wiary! Naprawdę dbasz o swoje przybrane dzieci. Zatem Benowi raczej szybko się polepszy. Jeśli to stary Partridge, to zaraz każe mu wstać.

- To nie stary Partridge, lecz ten nowy... Stevens. Ludzie mówią, że to dobry człowiek - odezwała się Aggie, gdy ruszyli przez podwórze.

- O tak. Słyszałem o nim. To nowy typ lekarza, nauczony pracować za pół darmo. Ale w ten sposób niczego się nie dorobi, więc pewnie się zmieni. Zmieni jak wszyscy, prawda, Aggie?

- Panu wciąż przychodzi to z trudem.

Uśmiechnął się do niej i w milczeniu podeszli do bramy.

- Dzień dobry, doktorze - pozdrowił młodego mężczyznę i dodał ze śmiechem: - W domu czeka na pana strasznie chory młody człowiek. Jest przeziębiony.

- Naprawdę, sierżancie? Zatem czym prędzej muszę się nim zająć.

- I proszę rzucić okiem również na dziewczynę, bo wydaje mi się, że jest chora. Może coś jej się przydarzyło, gdy przedwczoraj zaginęła... Do widzenia, Aggie. Wpadnę jutro lub pojutrze, żeby zobaczyć się z Millie. Mam nadzieję, że do tego czasu poczuje się znacznie lepiej. Musisz uważać, żeby już więcej nie zaginęła.

Aggie milczała, jednak nie dawało jej spokoju podejrzenie, że Fenwick coś wie.

- Przepraszam, że muszę pana trudzić - odezwała się do lekarza, zamknąwszy bramę za sierżantem. - Ale to nie przeziębienie... Chodźmy szybko do domu, bo inaczej strasznie pan zmarznie.

- Jeśli czekający na mnie pacjent nie jest przeziębiony, to pani jest na pewno. Absolutnie nie powinna pani wychodzić z domu w taką pogodę - orzekł, przyjrawszy się jej, gdy zmierali przez pokój przechodni do kuchni.

- Och, jakoś jeszcze nigdy zimowe powietrze mi nie zaszkodziło - zbagatelizowała problem i dotknęła jego ręki, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że chce, by się zatrzymał. - Panie doktorze... Młody człowiek, który na pana czeka, nie jest przeziębiony, ale ma gorączkę z powodu rany na rękę. Wie pan, jaka jest policja... - Wyciągnęła dłoń w stronę okna i widocznej przez nie bramy, za którą właśnie zniknął sierżant Fenwick. - Im policja mniej wie, tym mniej może zaszkodzić. To dobry człowiek, ale w policji takich jak on jest niewiele. A co do Bena... Smitha... Tak się nazywa czekający na pana pacjent. Zaopiekowałam się nim, gdy był jeszcze dzieckiem. Ostatnio miał drobne kłopoty, w rodzaju tych, o których nie mówi się nikomu. Toteż chciałabym panu zaufać i mieć pewność, że nie zdradzi pan nikomu, co naprawdę Benowi dolega. Zdaję sobie sprawę, że dużo od pana oczekuję, skoro widzimy się po raz pierwszy w życiu, ale

słyszałam o panu same dobre rzeczy. Dlatego uznałam, że mogę pana poprosić, by zachował pan tę sprawę dla siebie.

- Pani...

- Winkowski. To długie nazwisko.

- Pani Winkowski... Lekarze, podobnie jak księża, powinni trzymać język za zębami, jeśli nie działają wbrew prawu, choć czasami muszą nawet nieco przekroczyć przepisy. Powiedziała pani, że słyszała o mnie, więc i ja wyznam, że też o pani słyszałem, jak również o przygarniętych przez panią - młodym człowieku i dziewczynie, która, jak pani... jak sierżant oświadczył, niedawno zaginęła.

- Zgadza się. To skomplikowana historia. Opowiem ją panu, gdy lepiej się poznamy. A teraz chciałabym, żeby pan obejrzał rękę Bena. Martwi mnie ta rana. Zatem proszę za mną.

Gdy weszli do kuchni, lekarz rzucił okiem na młodego człowieka, który leżał na kanapie, a następnie przyjrzał się uważnie siedzącej przy stole dziewczynie, po czym postawił na blacie czarną lekarską walizkę i podszedł do Bena.

- Dzień dobry. Co panu dolega?

Ben był spocony i miał rozpalone policzki.

- Dzień dobry - odpowiedział słabym głosem. Aggie podsunęła lekarzowi krzesło.

Usiadł, odchylił koc i odsłonił zabandażowaną rękę Bena. Na płótnie widniały plamy krwi.

- Och... Rozumiem. Trzeba to zdjąć, to znaczy ten opatrunek.

- Zapewne ma pan rację - odparł Ben. Lekarz odsłonił długą głęboką ranę.

- Wygląda strasznie - mruknął pod nosem i odwrócił się do Aggie. - Czy mogę prosić o wrzącą wodę? O wrzącą...

- W jednej chwili, panie doktorze. Kociołek stoi na ogniu. Lekarz odwrócił się do Millie.

- Potrzebuję czystego płótna.

W milczeniu podeszła do kredensu i wyjęła podarte na pasy prześcieradło.

Stevens wziął od niej jeden z pasów, złożył go i wyjął z walizki butelkę z jakimś płynem.

- Poproszę o czystą miednicę - zwrócił się ponownie do Millie.

Gdy wróciła ze zmywalni, Aggie już stała obok kanapy z kociołkiem wrzątku. Millie podeszła do nich i postawiła miednicę na podłodze. Lekarz nalał do niej trochę płynu z butelki, a następnie rozcieńczył go gorącą wodą i zanurzył w roztworze złożony pas płótna, który błyskawicznie wyjął i

wycisnął, starając się uchronić dłonie przed poparzeniem. . Odwrócił się do Bena.

- Będzie piekło i szczypało, ale rana musi zostać oczyszczona. Proszę się nie martwić, jeśli pojawi się krew. Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem.

- Wczoraj wieczorem... Od razu należało po mnie posłać. Dlaczego pan tego nie zrobił?

- Panie doktorze... - Aggie uprzedziła odpowiedź Bena. - Była niedziela, a do tego wieczór. O ile wiem, stary doktor Partridge nie byłby mi wdzięczny za to, że wyciągam go z domu.

Wydawało się jej, że mruknął pod nosem: „Bez względu na dzień i porę nie byłby wdzięczny”, ale ponieważ nie była tego pewna, wołała milczeć, niż powiedzieć coś niestosownego.

- Muszę założyć szwy - zwrócił się lekarz do Bena.

- Spodziewałem się tego.

- Rana jest długa i zabieg nie będzie bezbolesny.

- Nie oczekiwałem, że będzie inaczej.

- Naprawdę powinien pan leżeć w szpitalu. Ben milczał.

Gdy rana została oczyszczona, lekarz podszedł do walizki i wyjął małe pudełko, w którym znajdowała się igła i grube nici.

- Ma pani jakąś wódkę? - Spojrzał na Aggie.

- Tylko dżin, ale Ben za nim nie przepada. Powinam pójść po whisky.

- Dżin musi nam wystarczyć.

Gdy Ben wypił pół kubka dżinu, lekarz przystąpił do zszywania rany. Trwało to długo, ale pacjent nawet nie jęknął.

- Zniósł pan wszystko bardzo dzielnie, a z pewnością nie było to łatwe - pochwalił go Stevens, gdy odciął nić na końcu rany. - Wątpię, by dżin w tym panu pomógł. Teraz lekko zabandażuję rękę. Proszę się nie niepokoić, jeśli na płótnie pojawi się krew. To będzie znaczyło, że rana zaczęła się samoczynnie oczyszczać. Ale to, co zrobiłem, nie przyniesie panu ulgi. Gorączka nie spadnie.

Niech pan leży możliwie najspokojniej, żeby nie nadwierać ręki. Zajrzę do pana wieczorem. Na szczęście ma pan do dyspozycji dwie wspaniałe pielęgniarki. Dziś i jutro musi pan być karmiony. Proszę, niech pan nie próbuje jeść sam, bo nie chciałbym, żeby pan jeszcze bardziej uszczuplił swoje siły. Rozumie pan?

Uśmiechnął się do Bena, ale ten nie był w stanie nawet odwzajemnić uśmiechu, bo po raz pierwszy w życiu czuł się tak wyczerpany, jakby bez powodzenia wciąż próbował odsunąć jakiś przytłaczający go ciężar. Poza



tym dokuczał mu trudny do zniesienia ból ręki. W tej chwili było mu nawet obojętne, czy przeżyje, czy też umrze.

- Przez kilka najbliższych dni będzie strasznie cierpiał... Czy bił się z kimś? - zagadnął lekarz odprowadzającą go do drzwi frontowych Aggie.

- Można tak powiedzieć, panie doktorze. W reakcji tylko pokręcił głową.

- A co z dziewczyną? Wygląda na chorą. Co jej jest? - spytał już za progiem.

- Nic specjalnego.

- Co pani przez to rozumie? Ma suchoty?

- Och, nie! Chodzi tylko o to, że przeżyła dziś szok. Sierżant powiadomił ją że w nocy znaleziono w kanale zwłoki jej ojca.

- Boże! Boże! Ja z kolei słyszałem, że odkryto morderstwo i usiłowanie morderstwa. A w ciągu weekendu wypisałem świadectwa zgonu dla pięciorga dzieci. Dziś może ich być nawet więcej. Czy pani chodzi do kościoła?

- Nie.

- Tak myślałem. Jeśli już o tym rozmawiamy, to wyznam, że ja też nie chodzę. Odpychają mnie te świątynie i spieszący do nich rzekomo dobrzy ludzie, którzy przychodzą tam tylko po to, by prosić swojego Boga o życie w dostatku, a nigdy nie zatroszczą się o tych wyrzucanych z ich nor za niepłacenie czynszu i żyjących w smrodzie, wśród robactwa, bo niezdolnych zapanować nad słabością do dżinu. - Uśmiechnął się gorzko. - Uważam, że wszystko to z powodu dżinu, choć ci ludzie chyba nie zdają sobie z tego sprawy, tak jak nie wiedzą dlaczego staczają się w pijaństwo. Zgadza się pani ze mną?

- Zgadzam się, panie doktorze, i oczywiście nie odnoszę pana uwag do siebie. Powiem tylko, że zawsze miło będzie tu pana widzieć, nawet jeśli nie przyjdzie pan po to, by mnie badać i przepisywać jakieś kosztowne trucizny.

Roześmiał się.

- Niech pani już zamknie drzwi, bo inaczej wieczorem przyjdę z wizytą również do pani i osłucham pani klatkę piersiową. Kiedyś trzeba będzie to zrobić.

Odprowadzała wzrokiem tego bardzo męskiego, młodego lekarza, gdy szedł do bramy. Pomyślała, że Bóg jest dobry, choć w takim stwierdzeniu zawiera się pewna ironia, jeśli wziąć pod uwagę, jakie jest życie.

Trzeciego dnia Stevens orzekł, że rana na ręce Bena dobrze się zasklepia i nie widać oznak infekcji czy gangreny, jednak poprawa nie może nastąpić natychmiast, zwłaszcza że doszło do dużej utraty krwi. Ale Aggie uważała, że życzliwy lekarz po prostu ich pociesza, widząc, jak się martwią. Ubiegłej

nocy czuwała przy Benie, a od rana była na nogach. Wieczorem Millie wymogła na niej, by położyła się spać, sama zaś usiadła na wyplatany krzesło obok kanapy. Wilgotnym ręcznikiem ocierała Benowi pot z czoła i z klatki piersiowej. Chory leżał obnażony do pasa, bo nie sposób było włożyć mu koszulę. Przeważnie drzemał, ale nagle otworzył oczy.

- Millie - powiedział cicho.

- Tak, Ben? Jestem przy tobie. O co chodzi?

- Czuję się... strasznie.

- Wiem, Ben, wiem, ale wkrótce poczujesz się lepiej. To wszystko z powodu gorączki. Ona też szybko spadnie.

- Gorączka rzadko spada... o ile nie odchodzi się wraz z nią.

- Och, proszę cię... - Pochyliła się nad nim przerażona tym prorokowaniem własnego końca. - Nie mów takich rzeczy. Za kilka dni będziesz zdrow.

- Mogę... mogę mieć tylko nadzieję. Usiądź. Zaczęła głaskać go po zdrowej ręce.

- Ben, nie tylko nie mów takich rzeczy, ale i nie pozwalaj sobie na takie myśli... - Ponownie pochyliła się nad nim. - Nie potrafiłabym bez ciebie żyć. Teraz to wiem. Byłam naiwna i niespełna rozumu... O mało nie doprowadziłam do twojej śmierci. Ben... Nigdy... nigdy mnie nie opuszczaj.

- Millie... - Dostał ataku kaszlu. Wytarła mu usta kawałkiem płótna.

Gdy atak minął, Ben odchylił głowę do tyłu i z wysiłkiem wciągnął do płuc powietrze.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co powiedziałaś?

- Oczywiście... Ja... ja... - Uśmiechnęła się blado. - Pani Sponge kazałaby mi to tak wyrazić: „Wiem, co chciałam przez to powiedzieć”. Och, Ben, Ben... Wyzdrowiejesz. Musisz wyzdrowieć. Potrzebuję cię... Zawsze cię potrzebowałam. Teraz to wiem.

Pot spływał mu po twarzy, więc znowu sięgnęła po płótno.

- W... w życiu każdego człowieka zdarzają się wspaniałe chwile - powiedział z wysiłkiem. - Myślę, że w moim to właśnie jedna z nich. - Dotychczas patrzył w dal, ale teraz wolno odwrócił głowę i utkwiał wzrok w Millie. - Ale... ale jeśli nawet stanę obok ciebie... w moich nowych butach, to... to i tak będę małym mężczyzną... Co na to powiesz?

- Ben, dla mnie nigdy nie będziesz mały - odparła z naciskiem. - Przeciwnie, zawsze będziesz kimś wielkim i najlepszym. Wiem, że mnie kochasz i że jest tak już od jakiegoś czasu. Ja też cię kocham i też już od jakiegoś czasu, tyle że uświadomiłam to sobie dopiero teraz, bo myślałam w świecie z baśni braci Grimm i wyobrażałam sobie, że przyjdzie

tu po mnie królewicz na białym koniu. Byłam ślepa i naiwna, gdyż nie zdawałam sobie sprawy, że... ten królewicz od dawna przebywa w tej kuchni. Ben... Wierzysz mi?

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Millie, chciałbym ci wierzyć... bardzo chciałbym, ale spójrzmy na fakty... Nie mogę...

- Ben, proszę...

- Nie, Millie. Nie mogę wierzyć wbrew faktom... Chciałbym, żebyś się wyprowadziła z tej nory. Mogłoby ci się... bardzo dobrze... wieść, jeśli miałabyś piekarnię. Myślę o tym... od jakiegoś czasu. Pratt... z Oswald Road... chce sprzedać swoją, bo jest stary. Aggie ma dużo więcej pieniędzy... niż można by się spodziewać... Wiem o tym. Ona... ona kupi ci tę piekarnię i... przeniesie się tam z tobą. To ładny dom... Otoczony ogrodem... Prattowie mieszkają nad sklepem. Musisz obejrzeć to miejsce.

- Leż spokojnie... Leż spokojnie... Wypij to...

Wzięła ze stołu kieliszek, podtrzymała Benowi głowę i powolutku wlała mu zawartość do ust.

- A teraz... śpij.

- Millie, zrób, co... ci powiedziałem... Przrzeknij...

- Przrzekam... Ale pójdziemy do pana Pratta... we troje. Rozplakała się, widząc, z jakim trudem Ben oddycha. Zaczęła myśleć, podobnie jak wtedy gdy leżała na łóżku w domu rozpusty Boswella, o wszystkim, co dawno temu, gdy chodziła do szkoły przyklasztornej, powiedziała jej siostra Cecilia. Millie zwracała się do niej jak do samego Boga, błagając ją by Ben nie umarł. W pewnym momencie zasnęła. Nie miała pojęcia, jak długo spała, ale knot lampy naftowej niemal się wypalił, a ogień w kominku dogasał. Zerwała się z krzesła, podkreśliła knot i dołożyła węgla do ognia. Gdy wróciła do Bena, wydawało się jej, że on śpi. Nagle ogarnął ją przemożony strach, bo okrywający go pled nie unosił się jak dotychczas, w górę i w dół, pod wpływem ciężkiego oddechu. Niemal w panice wsunęła rękę pod koc i położyła dłoń na sercu Bena. Gdy wyczuła miarowy silny rytm i uradowana gwałtownie się wyprostowała, zachwiała się i omal nie upadła na kanapę. Zasłoniła sobie usta, by nie krzyknąć: „Och, Ben, Ben! Będziesz żył!”

Rano doktor Stevens orzekł, że w nocy nastąpiła zdecydowana poprawa i teraz Ben musi tylko nabrać sił, trzeba go zatem pielęgnować i opatrywać mu ranę. Uznał, że wizyty lekarza nie są już konieczne. Prosił, by go wezwać tylko wtedy, gdyby nastąpiło pogorszenie, choć oświadczył, że raczej się tego nie spodziewa.

- Jeśli kiedykolwiek będę mógł coś dla pana zrobić, proszę tylko dać znać - podziękował mu Ben.

- To strasznie nierozsądne mówić takie rzeczy - odparł ze śmiechem lekarz. - Ilekroć ludzie składają tego rodzaju zobowiązanie, zawsze tego żałują. - Odwrócił się do Millie. - A ty, młoda pielęgniarcko, musisz zacząć przebywać na świeżym powietrzu, żeby zaróżowiły ci się policzki, bo inaczej zostaniesz moją następną pacjentką w tym domu. Alabastrowy kolor jest wspaniały, ale w przypadku marmuru. Natomiast w przypadku cery nie świadczy o dobrym zdrowiu.

- Teraz Millie szybko dojdzie do siebie - pospieszyła z odpowiedzią Aggie. - Wszyscy dojdziemy. Dziękuję, panie doktorze. Ile jestem panu winna?

- Pięć szylingów... Nie za dużo?

- Nie.

Poczłapała do stojącej na kredensie szkatułki i wyjęła dziesięć szylingów.

- Och, nie... - zaprotestował, zaskoczony jej hojnością.

- Nawet gdyby pan zażądał funta, zapłaciłabym panu podwójnie.

- Jest pani bardzo miła... Gdyby wszyscy tak mi płacili, a zwłaszcza w The Courts, jeszcze w tym roku mógłbym przejść na emeryturę.

Aggie i Millie roześmiały się z żartu, a Ben się uśmiechnął.

- Niektórzy ludzie rodzą się po to, by robić rzeczy niezwykle. Oto jeden z nich - powiedziała wzruszona opiekunka do Bena i Millie, gdy wróciła do kuchni, odprowadziwszy lekarza.

Nie minęło pół godziny, gdy ktoś zapukał do frontowych drzwi.

Po ucieczce z domu rozpusty Boswella Millie ani razu nie podeszła do drzwi frontowych, by otworzyć, gdy rozlegało się pukanie lub dźwięk dzwonka. Teraz też nie podniosła się z krzesła, więc to Aggie znowu do nich poczłapała. Miała uśmiech na twarzy, bo Ben powiedział coś dowcipnego, ale na widok gościa natychmiast spoważniała.

Bernard Thompson zdjął kapelusz.

- Pani Winkowski...

- Czego pan tu szuka? - przerwała mu obcesowo.

- Czuję, że muszę... że muszę tu przyjść i jakoś wszystko... wytłumaczyć... i... i dowiedzieć się, w jakim stanie jest Millie...

- Och... Czy dobrze usłyszałam? Obchodzi pana, w jakim stanie jest Millie? Zatem niech pan się cieszy, że ona w ogóle żyje i nadal jest niewinna, jeśli dobrze się domyślam... Mam nadzieję, że rozumie pan, o co mi chodzi.

Policzki Bernarda Thompsona pokrył ceglasty rumieniec.

- Bardzo... bardzo przepraszam - wyjąkał, spuściwszy głowę. - Nastąpiło nieporozumienie... Byłem przekonany, że...

- Wiem, o czym pan był przekonany. Otóż mylił się pan, uznając, że ja i Millie godzimy się na taką sytuację. I coś jeszcze chcę panu powiedzieć... W The Courts żyje mnóstwo mętów społecznych, pozbawionych wszelkich skrupułów, ale to nic w porównaniu z postępowaniem ludzi z pana sfery. Myślicie, że wolno wam wybierać sobie z klasy niższej najpiękniejsze oraz niewinne dziewczyny i używać ich do woli, jak usiłował to zrobić w przypadku Millie pański szwagier.

Bernard Thompson gwałtownie uniósł głowę i zmrużył oczy.

- Co pani chce przez to powiedzieć? Co zrobił mój szwagier?

- Zna go pan od tylu lat i nie orientuje się, jakie on ma skłonności? Nie uwierzę w to, więc proszę mi niczego nie wmawiać... Jak pan myśli, dokąd Millie trafiła, gdy uciekła z pańskiego domu? No, dokąd?

- Wzięła dorożkę. Powóz mojego sąsiada, który akurat wracał z miasta, mijal się z tą dorożką. Jego stangret powiedział mi, że widział, jak młoda dziewczyna zatrzymała dorożkę. Dlatego uznałem, że Millie dojedzie do domu bezpiecznie.

- Boże miłosierny! Tak po prostu pan uznał? A wie pan, czyja to była dorożka? Owszem, Millie ją zatrzymała, ale gdy zobaczyła pasażera, uciekła. Szła w pewnej odległości za dorożką, by się nie zgubić, jednak w pewnym momencie ten chytry lis skręcił w ulicę, na której było pełno pijaków, i gdy zaczęli ją zaczepiać, przedzierzgnął się w jej rzekomego obrońcę. Uprowadził ją do swojego domu rozpusty, bo to jest plugawy stręczyciel, a raczej był, gdyż, jak zapewne pan słyszał, przed kilkoma dniami ktoś poderżnął mu gardło. Ktokolwiek to zrobił, w moich oczach zasługuje na medal. - Pochyliła głowę. - A wie pan, dla kogo Millie uprowadził? Dla kogo trzymał ją pod kluczem, do niedzieli wieczorem? Dla pańskiego szwagra. To miał być dla niego szczególnie smaczny kąsek.

- Obawiam się, że nastąpiła jakaś straszna pomyłka.

- Pomyłka?! A to dopiero! Wiem o wszystkim od samej Millie. Kazał jej wybierać: albo będzie mu uległa, albo Boswell sprzeda ją na statek.

Bernard Thompson cofnął się o kilka kroków.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. W niedzielę wieczorem ktoś napadł na mojego szwagra w pobliżu klubu.

- Też coś! Dla bandy Boswella to nic trudnego szybko pozbyć się z burdelu nieprzytomnego człowieka. Owszem, pana szwagier został zaatakowany... przez kilku uczciwych mężczyzn, którzy pospieszyli

dziewczynie na ratunek. Ale niech tylko pan Crane-Boulder spróbuje pisać na ten temat słowo, gdy do siebie dojdzie, a nikt w tym kraju nie zdoła ich powstrzymać przed zrobieniem tego, co okaże się konieczne.

Bernard Thompson zamknął oczy i spuścił głowę.

- O mój Boże - jęknął.

- Taki pan przejęty całą sprawą a przecież wszystko przez pana. Skoro zachciało się panu kochanki, to dlaczego nie rozejrzył się pan wśród ulicznic? I Boswell, i Wielki Joe zapewniliby panu duży wybór. Obaj znali swój fach. Ale nie... Zachciało się panu czystej, nieskalanej dziewczyny. Cała pana rodzina wydaje mi się nic niewarta.

- Za pozwoleniem! - uniósł się Bernard Thompson. - Nie wolno pani tak mówić. Z panem Crane'em-Boulderem nie łączą mnie więzy krwi. On jest tylko mężem mojej przyrodniej siostry. Nigdy za nim nie przepadałem i zawsze podejrzewałem go o... - Przerwał i odwrócił głowę. Zaraz jednak zapanował nad sobą i powiedział spokojniejszym tonem: - Przepraszam za zło, które wyrządziłem, i za niesłuszne podejrzenie, że pani i Millie milcząco akceptujecie mój plan. Byłem w błędzie. Czy mógłbym do niej pójść?

- Po moim trupie. To jedyny sposób, żeby pan się z nią zobaczył.

- Mam jak najlepsze intencje... Proszę!... Zamierzam...

- Wiem, co pan zamierza, ale to już nie jest ta sama Millie, która była w pana domu. Tamta Millie zniknęła na zawsze. Przekonałby się pan o tym, gdyby pan się z nią spotkał. Do końca życia starczy jej tego, co przeszła z powodu pana i tych innych. Więc niech pan się stąd zabiera i nigdy więcej tu nie przychodzi.

Cofnęła się i zatrasnęła mu drzwi przed nosem. Przez chwilę stała, opierając się o ścianę, po czym wróciła do kuchni.

- Kto to był? - dziewczyna odłożyła wałek, którym spłaszczala na stolnicy ciasto.

- Och... - Aggie musiała wyteńczyć umysł, by skutecznie oszukać Bena i Millie. - Mężczyzna, któremu ktoś powiedział, że zamierzam sprzedać dom. Uznał, że skoro nie handlujemy już ani starzyzną, ani wyrobami kulinarnymi, to chciał się dowiedzieć, jakie mam plany... czy przypadkiem nie myślę o pozbyciu się tej posesji. Powiedział, że dobrze zapłaci, jeśli bym się zdecydowała.

- A na... co mu potrzebna ta posesja? - zainteresował się Ben.

- Przypuszczam, że na jakąś fabryczkę. Przecież wiecie, że mówi się o zamiarze wyrzucenia z The Courts połowy mieszkańców, by gdzieś zakwaterować napływających tu wciąż w poszukiwaniu pracy

Irlandczyków, Szkotów czy Żydów. On chce zamienić to miejsce w... - Przerwała, bo nic przekonywającego nie przyszło jej do głowy.

- W co? - nie ustąpiła Millie, bacznie przyglądając się Aggie.

- Już mówiłam, że on chce założyć tu małą fabryczkę, a równocześnie mieć dom.

- A gdzie tę fabryczkę wybuduje? - dociekała Millie.

- Nie wybuduje, tylko wykorzysta do swoich celów budynki gospodarcze. A zresztą, czy to ważne? Dałam mu ostrą odprawę.

Millie spojrzała na nią, jakby nie uwierzyła w żadne jej słowo, i zniknęła w zmywalni, chcąc wyrzucić przez okno wychodzące na dawny ogród. Wydawało się jej, że słyszy głos Bernarda Thompsona, nawołującego ją, by wyszła z domu. Mimo iż natychmiast przypomniała sobie, że tylko raz słyszała go mówiącego głośno, to znaczy gdy krzyknął na konia, przez chwilę miała pewność, iż się nie pomyliła. Zastanawiała się, co by było, gdyby mu otworzyła. Szybko doszła do wniosku, że na widok Bernarda Thompsona nie odczułaby żadnej przyjemności. Przecież musiałaby mu powiedzieć, że to przez niego przeżyła chwile nieopisanego strachu, Ben zaś popełnił morderstwo i sam omal nie zginął.

Ona zresztą też jeszcze nie wiedziała, czy doprowadziła do śmierci człowieka. Była pewna tylko tego, że dużo czasu upłynie, zanim zaśnie, nie przypominając sobie, jak leżała na wytwornej pościeli na łóżku w domu rozpusty Boswella, a częściowo obnażony Crane-Boulder wodził po jej ciele swymi dużymi wypielęgnowanymi dłońmi. Myślała wtedy tylko o tym, że gdy klient Boswella wyjdzie, ona natychmiast powiesi się na przymocowanym do słupka baldachimu sznurze, kończąc ze sobą w taki sam sposób, w jaki kiedyś skończyła ze sobą jej matka. Wbrew temu, co mówiła Neli, popełnienie samobójstwa w tej „celi” było możliwe, leżąc na łóżku podczas wizyty Crane'a-Bouldera, Millie zauważyła na drzwiach wieszak na szlafrok. Nie wątpiła, że zdoła, ze względu na swą niewielką wagę, zawisnąć na tym wieszaku. Właśnie o tym myślała, gdy Ben wtargnął jak burza do pokoju. Nagle opuściła ją pewność, czy zdołałaby powiedzieć o tym wszystkim Bernardowi Thompsonowi... Ale jeśli nawet nie, to dowiedziałyby się przynajmniej tego, że uczucie, jakie wobec niego żywiła, było urojeniem i w jednej chwili zniknęło, jakby rzeczywiście nigdy nie istniało. Jednak znowu ogarnęły ją wątpliwości, czy istotnie nigdy nie kochała Bernarda Thompsona?

Gdy naląła wody do miski ze stojącego w zmywalni wiadra, uderzyła ją myśl, że jej stosunek do Bena w pewnym momencie przyniesie odpowiedź na to pytanie.

## ROZDZIAŁ 12

Sierżant Fenwick zjawił się w domu Aggie dopiero po dwóch tygodniach. Nie uszło jego uwagi, że lewy rękaw płaszcza Bena, którego spotkał niemal w drzwiach, jest pusty.

- Ben... Co ci się stało w rękę?
- Przewróciłem się i pękła mi kość.
- A już myślałem, że ręka boli cię z powodu tego przeziębienia.

Ben i Aggie świadomie nie wymienili spojrzeń. Fenwick odwrócił się do Millie.

- Cieszę się, że w waszej rodzinie jest ktoś, kto już czuje się lepiej, bo gdy byłem tu poprzednim razem, wyglądałaś jak wychłostana śmierć.

- Sierżancie, to chyba rzadko spotykane porównanie, gdyż słyszę je po raz pierwszy.

- Mój ojciec często go używał. A swoją drogą to ciekawe, skąd biorą się takie powiedzenia. Skoro już wspominałem o moim ojcu, to jestem tu w związku z twoim ojcem. - Położył na stole nieduży worek. - Tu są rzeczy znalezione przy zwłokach Reginalda Foreстера. - Zerknął na Aggie. - Mam nadzieję, że twoje zdanie w sprawie pogrzebu zostało uwzględnione.

- O ile wiem, tak.

Fenwick wyjął z worka rzeczy i porozkładał je na stole. Dotknął skórzanego portfela.

- Millie, jest w nim list twojego ojca do żony pastora z Durham. Mógłby cię zainteresować. A co do reszty rzeczy...

Jest tylko kilka szylingów, o których ci już mówiłem... - Przesunął monety po blacie. - Jeśli zaś chodzi o te dwie brosze oraz o złote spiniki do mankietów i o spinkę do krawata, to nie wiem, czy rzeczywiście należały do twojego ojca. Jak myślisz?

Millie przez chwilę oglądała w milczeniu wszystkie te drobiazgi.

- Sądzę, że nie należały. Możliwe, że tylko portfel i monety stanowiły jego własność. Podejrzewam, że... że tę biżuterię ukradł - powiedziała sztywno.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Widzę, że stawiasz sprawę otwarcie. Co według ciebie powinienem zrobić z tą biżuterią? Ogłosić w gazecie, żeby ewentualni właściciele zgłosili się po nią na policję?

- Nie interesuje mnie, co pan z nią zrobi. Ja na pewno nie chcę jej zatrzymać.



- W tym właśnie tkwi problem, że nie wiadomo, co z nią zrobić. Jeśli podamy do publicznej wiadomości informację, że ta biżuteria jest do odebrania w komisariacie, to każdy, kto chciałby się po nią zgłosić, będzie się obawiał, iż zaczniemy go podejrzewać o zamordowanie Reginalda Foreстера. I co ty na to?

- Sierżancie, ja nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Nie znam się na złodziejstwie i nie zamierzam się znać. Jak już oświadczyłam, nie chcę tych rzeczy.

- No cóż... Zabiorę je z powrotem i mech moi przełożeni zdecydują, co z nimi zrobić. Aż trudno uwierzyć w to, co od jakiegoś czasu dzieje się na moim zagonie! - Zerknął na Aggie i Bena. - Trwa wojna pomiędzy dwiema szajkami, bo kompani Boswella oskarżają o podejrzenie mu gardła ludzi Wielkiego Joe. I wiecie, co ci ostami zrobili przed trzema dniami? W rewanżu zabili jednego z członków bandy Chudego. Poza tym zastraszają nadzorowane przez alfonsów Boswella prostytutki, niszcząc w ten sposób konkurencję. - Fenwick skrzywił się z odrazą i dodał ironicznie: - Uważam, że ktokolwiek zamordował Boswella, powinien dokończyć dzieła i zlikwidować Wielkiego Joe. Oczywiście to nic nie da... - Wzruszył ramionami i spojrzał na Aggie. - Ktoś inny wysunie się na czoło, bo każdy z nich tylko czyha, by zająć miejsce zwolnione przez szefa. Ludzie potrafią wyciągać korzyści z każdej sytuacji.

- Jest w tym stwierdzeniu sporo prawdy - orzekła Aggie i dodała żartem: - Na szczęście, o ile się orientuję, przynajmniej na moje życie nikt nie czyha, chcąc coś na tym zyskać.

Fenwick się roześmiał.

- A może jesteś krótkowidzem - odwzajemnił żart. - Na mnie czas. - Nie wyszedł jednak od razu, tylko odwrócił się do Bena. - Współczuję ci z powodu tej ręki. Myślę, że lekarz ją obejrzał?

- Tak, tak. Ten nowy, to znaczy doktor Stevens.

- Aha... Jak mówiłem wcześniej, to dobry człowiek i wszyscy go już znają. No i co powiedział o tym pęknięciu kości?

- Że po jakimś czasie kość się zrośnie.

- Jasne. Uważaj na siebie i na te dwie kobiety. Ale chyba nie powinienem cię pouczać, co masz robić, bo sam to wiesz.

- Oczywiście, sierżancie.

- Aggie, już wychodzę... Słyszałem, że zamierzasz się stąd wyprowadzić. To będzie wydarzenie. Czy to prawda?

- Nigdy nic nie wiadomo. Może dojść nawet i do tego. Upłynęło już sporo czasu od dnia, w którym przyszedłam na świat. Chyba zgodzi się pan ze mną, sierżancie.

Fenwick znowu zareagował śmiechem na wymijającą odpowiedź Aggie. Dla żartu lekko popchnął tę swoją starą dobrą znajomą, gdy przez pokój przechodni podążała przed nim do wyjścia.

- Czy według ciebie on się czegoś domyśla? - spytała Millie Bena, gdy zostali sami w kuchni.

- Sądzę, że to więcej niż domysły. Ale co on może zrobić? Gdyby nawet chciał, to chyba nie byłby w stanie niczego nam udowodnić. Poza tym wygląda na zadowolonego, że nie ma już Boswella. Sama słyszałaś, jak mówił, że żałuje, iż taki sam los nie spotkał Wielkiego Joe. - Ben uśmiechnął się krzywo. - Myślę, że temu ostatniemu nie dałbym rady. A ty jak uważasz?

Millie podeszła do niego i dotknęła jego policzka.

- Uważam, że zdołałbyś go pokonać, jak każdego, kto wszedłby ci w drogę.

Teraz Ben dotknął jej policzka.

- Millie, wolałbym, przynajmniej na razie, nie traktować całkiem poważnie tego, co o mnie mówisz, bo wciąż nie jestem pewny twoich uczuć. Sądzę, że w końcu odzyskasz rozsądek.

- Och, Ben, przestań. Proszę...

- Czyżbyś nie chciała odzyskać rozsądku? - spytał z uśmiechem.

- Ja go nie straciłam... Co z tą piekarnią?

- Niebawem ją zobaczysz. Wybieramy się tam jutro. Ostatnio Aggie bardzo się natrudziła, żeby załatwić transakcję.

- Ale ona mieszka w tym domu od urodzenia, a przedtem żyli tu jej rodzice, dziadkowie...

- Aggie nie chce, żebyś ty tu mieszkała.

- Mogąc być z wami, czułabym się szczęśliwa także w tym domu.

- Millie... - Dotknął jej podbródka. - Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, jaka jesteś piękna? Nie zamykaj oczu i nie potrząsaj głową. Byłaś piękną dziewczynką i jesteś jeszcze piękniejszą szesnastolatką... Aż boję się pomyśleć, jaka będziesz urodziwa, gdy staniesz się dojrzałą kobietą. W tym domu zawsze wyglądałaś jak rzadkiej urody kwiat, który rośnie na śmietniku. Odważę się powiedzieć, że za kogokolwiek byś wyszła, zawsze będę o tego kogoś zazdrosny, cholernie zazdrosny. Ale powiadam: zazdrosny o kogoś, kogo poślubisz. Gdybyś natomiast została czyjaś kochanką, zabawką w rękach jakiegoś próżnego mężczyzny, chyba bym

oszalał i zabił go jak Boswella. Jeśli spotkasz kiedyś mężczyznę, poważnego mężczyznę, obojętne czy z klasy pracującej, czy jakiegoś dżentelmena, i będziesz chciała za niego wyjść, to wezmę się w karby i nie stanę na twojej drodze. Oczywiście wszystko zależy od tego, czy naprawdę będziesz chciała go poślubić. Nie... nie przerywaj mi! - Pogroził jej palcem. - Nie mówię głupstw. Nie zamierzam przywiązywać wagi do wyznań, jakie poczyniłaś, gdy myślałaś, że umieram. - Zachichotał. - Ja też tak myślałem. To straszne uczucie... Choć byłem na wpół przytomny, pamiętam każde twoje słowo.

- Och, Ben... Nie ma drugiego takiego człowieka na świecie... Nigdy nie będzie...

- Wiem o tym. Nawet w tym mieście nie ma nikogo, kto wyglądałby tak jak ja.

- Proszę... Przestań z siebie szydzić, bo jesteś... - teraz ona pogroziła mu palcem - bardzo mądrym człowiekiem. Prawda, że uważasz się za mądrzejszego od innych?

Roześmiali się.

- Dlaczego wam tak wesoło? - zagadnęła Aggie, wchodząc do kuchni.

- Powiedziałam mu, że jest bardzo mądrym człowiekiem i że uważa się za mądrzejszego od innych - skwapliwie poinformowała ją Millie.

- Wolabym się dowiedzieć czegoś, o czym nie wiem. Znoszę tego przemądrzalskiego już od tylu lat... No i co? Jesteśmy wszyscy gotowi, żeby zobaczyć tę żyłę złota, na której, moja panno, zrobisz fortunę? Namęczysz się przy kopaniu, bo zdradzę ci od razu, że ja będę przesiadywać w... jak to nazywają... damskiej toalecie.

Ben i Millie się roześmiali.

- Pamiętasz, Ben, jak kiedyś pani Sponge czytała nam na lekcji historyjkę, w której kobiety wечно chodziły do damskiej toalety, a jeden ze słuchaczy spytał po co?

- A o co chodzi? - zainteresowała się Aggie. - Powiedzcie mi, tej ciemnej masie, co to jest damska toaleta? Salon? Buduar?

- Ubikacja - odpowiedzieli chórem Ben i Millie.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Nie przypominali sobie, by kiedykolwiek wcześniej śmiali się tak serdecznie i beztrudnie.

Do nowego domu przyjechali dorożką. Gdy wysiedli, przystanęli na chwilę na wybrukowanym placu i spojrzeli na fasadę. Millie zwróciła uwagę, że okna nie są zbyt duże, podobnie jak znajdujące się pomiędzy nimi drzwi - solidne i pociemniałe od wilgoci. Pod oknami znajdowały się

mosiężne tabliczki. Na jednej widniało nazwisko dotychczasowych właścicieli, a na drugiej napis: „Pieczywo i wyroby cukiernicze”.

Aggie wręczyła Millie duży klucz.

- Otwórz. - Gdy dziewczyna włożyła klucz do zamka, opiekunka odwróciła się do dorożkarza. - Poczekaj pan na nas?

- Jak długo pani sobie życzy.

- Na pana miejscu okryłabym konia derką, bo zamarznie na kość, zanim wyjdziemy z tego domu.

Oglądali dom niemal przez godzinę.

- No i jak ci się tu podoba, chłopcze? - zagadnęła Aggie Bena, gdy stali w salonie.

- Aggie, mówiąc szczerze, być tu to tak, jakby znaleźć się w zupełnie nowej rzeczywistości. Oczywiście mówię tylko za siebie, bo jak mógłbym wyrazić uczucia Millie? Ona sama przedstawi je najlepiej. Ale chyba widzisz, że jest zachwycona... Pani Winkowski, mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę z tego, iż ta ulica znajduje się na granicy dwóch światów: świata nieudaczników i świata szczęściarzy, którym się powiodło.

- Oczywiście, że o tym wiem. Pan Pratt powiedział mi w nieco żartobliwy sposób, że przez całe lata obsługiwał ludzi z tych dwóch „obozów”. Pierwsi zawsze kupują sami, a drudzy posyłają do sklepu nieletnie służące lub chcą, żeby dostarczać im pieczywo do domu.

- Będziemy przyjmowali zamówienia i rozwozili nasze wyroby po mieście? - spytała Millie, jakby wcale nie była z tego zadowolona.

- Oczywiście, że tak, jeśli tylko damy radę, no i jeśli będziemy mieli zamówienia. Tak czy inaczej, kupiłam od pana Pratta ręczny wózek z budką. Wygląda jak wielka skrzynka na kółkach, ale jest lekki, tak że może go popychać nawet mały chłopiec... Teraz zostawię was na chwilę samych, żebyście się nad wszystkim zastanowili. Muszę wyjść za potrzebą. - Przy drzwiach odwróciła się i z figlarną miną dodała: - Pan Pratt powiedział, że na podwórzu jest duża nowoczesna toaleta. Był z niej tak samo dumny jak z piekarni.

Gdy Aggie opuściła salon, Millie podeszła do okna i spojrzała na długi, choć wąski ogród.

- Jest wspaniały, prawda?

Ben stanął przy niej i utkwiał wzrok w zimowych drzewach.

- Tak, to piękny ogród - powiedział w zadumie.

- Ben... Co ja bym zrobiła bez pani Aggie? - Millie odwróciła się do niego. - Co by się ze mną stało, gdyby kiedyś nie zabrała mnie z ulicy? - Zadrzała, jakby przeszył ją dreszcz.

- A przed dwoma tygodniami mogło się stać ze mną to samo co przed kilkunastu laty. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Pochyliła głowę i dodała cicho: - Gdy znalazłam się w tym strasznym miejscu, nie byłam w stanie uwolnić się od myśli, że ludzie, bez względu na pochodzenie, są nikczemni. Jednak równocześnie starałam się pamiętać, że na tym świecie jest również ktoś taki jak pani Aggie czy ty. No i okazało się, że jest też Annie oraz ta kobieta... Neli, bez której pomocy wciąż bym tam tkwiła lub leżała martwa pod ziemią. Tak... Na pewno bym już nie żyła.

- Och... Otrząśnij się z tych wspomnień i nigdy już do nich nie wracaj. To przeszłość. Nigdy więcej coś takiego cię nie spotka. Zadbam o to, a jeśli nie ja, to ktoś inny.

- Dlaczego powiedziałeś o... kimś innym?

- Sam nie wiem... O ile jestem pewny, że w tym domu będzie się wspaniale mieszkalo i że ta piekarnia przyniesie zyski, o tyle wciąż mam wątpliwości co do naszego związku... Coś nie pozwala mi mieć nadziei... Nie patrz tak. Wszystko się jakoś ułoży. Ale bez względu na to, jak potoczy się twoje życie, pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. - Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. - Zejdźmy na dół, bo inaczej Aggie wciąż będzie tkwiła w tej ubikacji, czy w „damskiej toalecie”, jak zapewne zechce to miejsce nazywać.

Nie od razu uściśnęła jego dłoń, lecz stała wyraźnie zaskoczona rezerwą, z jaką traktował jej miłosne wyznania. Nie musiała długo czekać, żeby zrozumieć, skąd bierze się ta rezerwa.

A ż trudno uwierzyć, że piekarnia znajduje się zaledwie półtora kilometra od The Courts - zagadnęła Aggie, gdy wracali do domu.

- W linii prostej to niecały kilometr - uściślił Ben. - W każdym razie dla wron.

- Od lat nie widziałam w tym mieście wron, ale kiedy byłam dzieckiem, stale krążyły nad stacją - odparła ze śmiechem Aggie. - Ciekawe, co je wypłoszyło?

Gdy dorożkarz wjechał na podwórze, był zmuszony zatrzymać się wcześniej, bo przed domem stała dwukółka, a obok niej Bernard Thompson.

- Ten to ma tupet - powiedziała Aggie, gdy z pomocą Bena wysiadła z dorożki. - Zakazałam mu tu przychodzić. Teraz załatwię to spokojniej.

- Pani Aggie, proszę... - zatrzymała ją Millie. - Ja... ja się tym zajmę.

Ben wziął Aggie za rękę i sztywno ruszyli do domu. Jednak przy drzwiach opiekunka nie wytrzymała i spojrzała na mężczyznę, który właśnie skierował się w stronę stojącej na środku podwórza dziewczyny.

Gdy podszedł, Millie spojrzała mu w oczy.

- Och, Millie... Musiałem przyjść. Nie mogę trzymać się od ciebie z daleka. Chciałem... osobiście powiedzieć ci, jak bardzo jest mi przykro, nie tylko z powodu idiotycznej propozycji, jaką ci złożyłem, ale oczywiście również z powodu tego wszystkiego, na co cię naraziłem. Pragnę... pragnę, żebyś mnie wysłuchała, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- Panie Thompson, nie ma pan mi nic do powiedzenia, co chciałabym od pana usłyszeć - oświadczyła sucho.

- Millie, proszę... Czyżbyś miała tak nieczułe serce, że nie potrafisz mi wybaczyć? Chcę naprawić swój błąd, bo naprawdę zależy mi na tobie. Wiem, że tobie też na mnie zależy.

- Już nie zależy mi na panu. Kiedyś istotnie tak było, bo w pewnym momencie każda dziewczyna wierzy, że spotka królewicza z bajki. Dopiero niedawno przekonałam się na własnej skórze, że to prawda. Jeśli bowiem ma się dość rozsądku, to przychodzi taka chwila, kiedy potrafi się zrozumieć, że chodzi o coś nierealnego, o coś, co wymyśla się pod wpływem przeczytanych książek. W młodości ma się skłonność do snucia różnych fantazji, ale się z tej skłonności wyrasta. Ja za swoje fantazje omal nie zapłaciłam najwyższej ceny - powiedziała z goryczą. - O nic pana nie oskarżam. To moja naiwność i pragnienie pani

Aggie, bym była szczęśliwa, sprawiły, że okazałyśmy się takie łatwowierne.

- Millie, wysłuchaj mnie, proszę... Naprawdę mam ci coś ważnego do powiedzenia... uwierz, że twoje dobro leży mi na sercu. Wcześniej chodziło mi o to, by po prostu zabrać cię z tego... - wskazał na podwórze - i zarazem zaspokoić uczucie, jakie wobec ciebie żywię. Mogłabyś na to odpowiedzieć, że jesteś szczęśliwa, mogąc mieszkać tu z panią Winkowski i z tym mężczyzną... Benem, ale wtedy uważałem inaczej. Uważałem, że jeśli naprawdę się o ciebie troszcza, to pragną, byś żyła w lepszych warunkach niż te, jakie mogą ci zaoferować, i gotowi są zapłacić cenę, jaka wiązałaby się z przyjęciem mojej propozycji. Jednak absolutnie nie wysuwałbym tej propozycji, gdybym nie uważał, że ty i pani Winkowski jesteście świadome moich zamiarów. Ponieważ jednak naprawdę cię kocham, jestem zdecydowany zerwać zaręczyny i ożenić się z tobą. Powiedz, że mnie rozumiesz i przyjmujesz moje oświadczenia.

- Panie Thompson, proszę nie mówić nic więcej. Nawet gdybym nie była zaręczona i czuła się choć odrobinę związana z panem uczuciowo, to wzgardziłabym pana oświadczeniami, ponieważ w sposób oczywisty pan się do nich zmusza i...

- Jak to możliwe, że zaręczyłaś się z kimś w tak krótkim czasie? Powiedziałaś „tak” po to, żeby się mnie pozbyć?

- Nie, panie Thompson. Jestem zaręczona z Benem.

- Co?! Z tym... z tym... człowiekiem?

- Tak, panie Thompson - potwierdziła stanowczym tonem. - Z tym godnym szacunku człowiekiem, który jest wart sto razy więcej niż pan i pana rodzina.

- To niemożliwe... niemożliwe...

- Absolutnie możliwe. I muszę panu podziękować, że to za sprawą pańskiego zachowania będę mogła zostać jego żoną. Ono pozwoliło mi odkryć, kogo naprawdę kocham... Nie będzie pan musiał zrywać zaręczyn i znosić lekceważenia ze strony przedstawicieli pana klasy społecznej, które zapewne odczułby pan po naszym ślubie. Wszystko zostanie po staremu, bo w przeciwnym razie szybko wyszłoby na jaw, że wyciągnął mnie pan, jak to pan nazywa, z bagna społecznego. Życzę miłego dnia, panie Thompson.

- Millie... Millie... - szepnął błagalnym głosem, bo odwróciła się na pięcie i ruszyła do domu.

Przez chwilę patrzył na drzwi, które zatrzasnęła za sobą po czym wsiadł do dwukółki i opuścił podwórze domu Aggie Winkowski. Wszystko było skończone. Millie dokonała wyboru. Bernard Thompson wciąż nie mógł jednak uwierzyć, że odrzuciła jego propozycję małżeństwa, a zarazem zdecydowała się poślubić tego człowieka... Na pocieszenie pozostawało mu to, że ominie go konfrontacja z własną rodziną i braćmi Grace, nieuchronna w przypadku zerwania zaręczyn.

Millie stała przez chwilę za zamkniętymi drzwiami, przyciskając do nich dłonie, po czym w pośpiechu ruszyła do kuchni.

Ben był sam. Zaciskał dłoń zdrowej ręki na obramowaniu kominka. Gdy weszła, powoli się odwrócił i spojrzał na nią.

Po krótkiej chwili podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach.

- Benie Smith lub Jones albo Robinson, nigdy mnie nie pocałowałeś - powiedziała cicho.

Zamknął na moment oczy.

- Nigdy - powtórzył i przytulił ją do siebie zdrową ręką, ale tylko patrzył jej w oczy.

- Czy teraz jesteś pewny moich uczuć? - spytała, chcąc mu pomóc przełamać nieufność.

Pocałował ją.

- Teraz jestem pewny. Och, Millie, Millie, jak ja cię kocham... Wiem, że ty też mnie kochasz, choć nie mam pojęcia, dlaczego i jak mogło do tego

dojść. Twoja miłość jest bardzo świeża, bo masz tylko szesnaście lat, co też nie pozwala ci odczuć głębi mojego uczucia, ale gdy staniesz się dojrzałą kobietą w pełni to zrozumiesz.

Usłyszeli trzask drzwi od zmywalni i odwrócili głowy. To Aggie weszła do kuchni.

Zawahała się przez chwilę, po czym poczłapała do Bena i Millie.

- Jest tak, jak być powinno - powiedziała z promiennym uśmiechem. Objęła ich i wymamrotała pod nosem: - Moje dzieci, mam tylko was i tylko was chcę mieć. - Ale gdy przytulili się do niej, odepchnęła ich i oznajmiła: - Na dziś już wystarczy nam wzruszeń, ale trzeba uczcić tę okazję, to zaś pozwoli mi zażyć właściwą dawkę mojego lekarstwa. Dla ciebie, Ben, zostało jeszcze trochę whisky, a ty, moja damo, jak zwykle poprzestaniesz na herbacie. Wzniesiemy toast... - Spojrzała na nich czule i powiedziała cicho: - Ja wzniosę toast za pomyślność państwa Smith lub Jones albo Robinson.

Znowu się objęli i wybuchnęli gromkim, radosnym śmiechem.

RS



RS